

Zdobywca Indii

Bidwell George



calibre 0.9.43

GEORGE BIDWELL
ZDOBYWCA INDII

PROLOG

W bitwie pod Plassey, dnia 23 czerwca 1757 roku, trzydziesto-dwuletni pułkownik Robert Clive, dowodząc wojskami lądowymi Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, zwyciężył Sirraja-ud-Daula, nababa (księcia) Bengalu, Biharu i Oryssy, zdetronizował go, a na jego miejsce wprowadził na tron Mir Jafara, dotychczasowego wodza armii nababa. Mir Jafar hojnie wypłacił się Robertowi Clive, jego oficerom i żołnierzom. A Kompania Wschodnio-Indyjska, jako wyraz wdzięczności za tak wielkie rozszerzenie jej możliwości handlowania i eksploatacji ludności i zasobów naturalnych tego kraju, dowiodła swej aprobaty dla działalności Clive'a i jego osiągnięć, awansując go na stanowisko gubernatora Bengalu.

W szesnaście lat później pułkownik John Burgoyne, poseł do parlamentu, za namową osobistych nieprzyjaciół Clive'a w dyrekcji Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, wystąpił w Izbie Gmin z oskarżeniem, zarzucając Robertowi Clive, podówczas używającemu tytułu barona of Plassey, iż przy intronizacji Mir Jafara: „przyjął sumę dwóch »lakhów« i osiemdziesięciu tysięcy rupii jako członek specjalnej komisji Kompanii; dalszą sumę dwóch »lakhów« rupii jako głównodowodzący; i jeszcze szesnaście »lakhów« rupii i więcej pod określeniem osobistych podarunków, które to kwoty, dochodząc łącznie dwudziestu »lakhów« i osiemdziesięciu tysięcy rupii, w angielskiej monecie równały się sumie dwustu trzydziestu czterech tysięcy funtów szterlingów; a tak postępując, lord Clive nadużył powierzonej mu władzy, ku szkodliwemu przykładowi w służbie publicznej.”

Broniąc się przed tymi zarzutami, Clive powiedział między innymi:

- Zważcie sytuację, w jakiej mnie postawiło zwycięstwo pod Plassey. Wielki książę (Mir Jafar) zależny od mego skinienia; miasto o bogactwach niewiarygodnych zdane na moją łaskę i niełaskę; jego bankierzy o krociowych fortunach rywalizujący jeden przez drugiego o mój uśmiech; szedłem sklepionymi podziemiami, otworzonymi tylko przede mną, gdzie po prawej i lewej stronie tłoczyły się stosy złota i klejnotów! Panie przewodniczący, mnie jeszcze teraz zdumiewa moja własna powściągliwość!

Clive oznajmił w dalszym ciągu, że:

- ... Podarunki były dozwolone, brano je od samego początku rządów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, i nadal bez przerw w ciągu stu pięćdziesięciu lat; ludzie, którzy zasiadali w dyrekcji, sami wielokrotnie dostawali prezenty...

Czy więc historia powinna potępić tylko Roberta Clive, barona Plassey, za „nadużycie powierzonej mu władzy ku szkodliwemu przykładowi w służbie publicznej” i za jego inne winy?

Czy też, zdumiewając się, jak sam Clive, jego „powściągliwością”, historia powinna obciążyć większą winą jego pracodawców, dyrektorów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, rządzących w Indiach tak, iż według słów poety Williama Cowpera, ich wyzysk Indii trzeba zaliczyć do najcięższych narodowych zbrodni, „za które Bóg skarał Anglię utratą jej amerykańskich kolonii”?

Część pierwsza

W STRONĘ WIELKIEJ PRZYGODY

Rozdział I

MAŁO BĘDZIE SŁAWNIEJSZYCH NAZWISK

„Nieustanne bójki (do których jest skłonny ponad miarę) nadają jego usposobieniu despotyzm i gwałtowność taką, że wybucha przy lada okazji, z którego to powodu usiłuję powściągnąć ten heroizm, aby wzamian rozwijały się cenniejsze zalety pokory, dobrotliwości i cierpliwości.”

Autorem przytoczonych słów, widocznie nieświadomym, że w niektórych życiowych zawodach pokora, dobrotliwość i cierpliwość mogą raczej zawadzać, był Artur Bayley. Adresatką - siostra jego żony, Rebeka Clive, matka siedmioletniego Roberta. Od chwili urodzenia, dnia 29 września 1725 roku, dziecko wciąż niedomagało, a klimat rodzinnej siedziby - dworu Styche koło miasteczka Market Drayton w hrabstwie Shropshire, w północno-wschodnim zakątku pogranicza walijskiego - okazał się zbyt ostry dla słabego organizmu. Prócz tego, w Styche więcej było żołądków do nakarmienia, niż rodzice mogli nastarczyć. Dochody Richarda Clive, prawnika o niezbyt rozległej praktyce, nie dorównywały starożytnemu pochodzeniu jego rodu, liczącego przodków aż do XII-ego wieku. Tak więc Roberta, gdy miał trzy lata, odwieziono pod opiekę wujostwa, do posiadłości Hope Hall koło Manchesteru. Z powodu tej wczesnej rozłąki, rodzina Roberta - miał cztery siostry i dwóch braci - wywarła mniejszy wpływ na jego dzieciństwo i młodość, niż to zwykle bywa. Zapewne przyczyniło się to do spokojniejszej atmosfery życia w Styche, gdyż chociaż matkę chłopca, z domu Gaskell, córkę manczesterskiego kupca, cechowało usposobienie zrównoważone i zdrowy rozsądek, to Richard Clive łatwo wpadał w złość. Połączenie takiego temperamentu z „despotyzmem i gwałtownością” jego syna byłoby bardzo wybuchową mieszanką.

Wkrótce po przybyciu do Hope Hall, mały Robert zachorował na „ciężką gorączkę”. Prawdopodobnie choroba podkopała jeszcze bardziej jego i tak słabe zdrowie i zostawiła trwałe ślady w postaci ataków melancholii, które go okresowo nawiedzały, a ustępowały tylko wtedy, gdy prowadził czynny, intensywny tryb życia.

Próby Artura Bayleya nakłaniania pupilka do „pokory, dobrotliwości i cierpliwości” zawiódły tak dalece, że Hope Hall stał się widownią rozczarowań. Bayleyowie musieli się uznać za pokonanych i wysłać chłopca do internatu. Rejestr wybryków i niesubordynacji, którym Robert wykazał się w ciągu czterech lat dręczenia swoich wychowawców, nie przeszkodził nieprzeciętnie przenikliwemu dyrektorowi szkoły, doktorowi Eatonowi dostrzec wielkich zdolności ucznia. Kiedy jedenastoletni Robert przechodził do szkoły średniej, dr Eaton pisał o nim:

„Gdy ten chłopiec dojdzie lat męskich i znajdzie sposobność wykorzystania swoich talentów, mało będzie nazwisk słynniejszych, niż jego.”

W szkole średniej nie wydawało się, żeby nabyta wiedza miała przysporzyć sławy jego nazwisku. Robert przekornie opierał się wysiłkom nauczycieli, nie przykładał się do nauki, wykpiwał pilniejszych kolegów.

Kupcy z Market Drayton uznali wkrótce, że „ten łobuziak Clive” wziął się na nich i wcale w tym

nie widzieli zapowiedzi sławy ani wielkości. Robert zorganizował bandę ze swoich szkolnych kolegów i razem rozbijali szyby wystawowe w tych sklepach, których właściciele odmawiali chłopcom drobnych pieniężnych datków albo żywności, by uzupełnić skąpą dietę



Lord Clive. Portret pędzla George'a Dance w internacie. Nie tylko w tym okresie swego życia Clive zdobywał pieniądze metodami dość podobnymi.

Jeden z kupców postanowił położyć kres tym chłopięcym szantażom. Najął kilku miejscowych zbirów i kazał im przepędzić smarkaczy, żądających okupów. Potem ze śmiechem zaprosił swoich najemników do pomieszczenia za sklepem na poczęstunek, który im obiecał.

- Szybko, chłopcy, teraz dopiero on tego pożałuje! - zawołał Robert do swoich kompanów.

Sklep owego kupca mieścił się w połowie ulicy, schodzącej stromo w dół. Szerokim rynsztokiem spływał z góry strumień.

- Chodźcie, wy dwaj, kładziemy się razem w tym rynsztoku! - rozkazał Robert.

Trzej chłopcy położyli się jeden przy drugim tuż poniżej sklepu. Przemokli i dygotali z zimna. Ale woda, wstrzymana tą ludzką tamą, zalała sklep i magazyny kupca, przesiąkła do stojących na podłodze worków z towarem. Dopiero, gdy zaczęła przeciekać do pomieszczenia za sklepem, gdzie kompania sobie popijała, zorientowano się, co osiągnęła pomysłowość młodego Clive'a.

Brodząc w wodzie, kupiec przeszedł do drzwi i pogroził pięścią przemokniętym chłopcom, a Robert krzyknął:

- To pana będzie kosztowało dużo więcej, niż tych parę miedziaków, które by nam starczyły!

Wielebny profesor Burslem, dyrektor szkoły średniej, nie szczędził ani własnego ramienia ani spodenek młodocianych przestępców, wymierzając karę za wybryk, o którym kupiec mu doniósł. Ale nic nie mogło poskromić Roberta. Nie przestał być postrachem swoich nauczycieli - dla których powziął z niewiadomych przyczyn szyderczą pogardę - i sklepikarzy w Market Drayton. Jednakże jego następny głośny wybryk nie naraził na ryzyko nikogo, prócz niego samego.

Kościół w Market Drayton stał na wysokiej skarpcie, już prawie za miastem. Pewnego niedzielnego poranka wierni, idący na nabożeństwo i z dumą spoglądający na wyniosłą wieżę, nagle przystawali i zadzierali głowy.

- Jak on się tam znalazł?

- Spadnie!

- Co on teraz robi?

Przy samym szczycie wieży siedział okrakiem młody Robert Clive, na wystającym gargulcu, rzeźbioną chimera skrywającym odpływ wody z rynny. Pomachał wesoło ręką do gapiących się w górę postaci, między którymi dostrzegł teraz wielebnego Burslema.

- Jak ty tam wlałeś? - krzyknął dyrektor i usłyszał im-pertynencką odpowiedź:

- Tak samo, jak zejść - patrzcie!

Chłopiec najpierw stanął na gargulcu - niełatwy wyczyn, ponieważ siedział zwrócony twarzą na zewnątrz i musiał oprzeć się o chropowate kamienie muru, wyciągając ręce wstecz. Ludzie na dole wstrzymywali oddech. Robert z pozorną nonszalancją obrócił się, uchwycił rękoma skraj krawędzi pod wieżą, podciągnął się na krawędź i zwinnie zszedł po drabinie, używanej do wywieszania flagi.

- Złaząc ze szczytu wieży na tak wąską rynnę, mogłeś spaść i złamać sobie kark - pinił się z gniewu wielebny Burslem.

- Ale nie spadłem, panie dyrektorze. A gdybym spadł - ileż to kłopotów bym szkole zaoszczędził!

Dyrektor rozłożył ręce bezsilnie. Nigdy w ciągu swego długoletniego doświadczenia z nieposłusznymi uczniami nie spotkał takiego.

- Ale dlaczego...? - zaczął.

Jeden z przyjaciół Roberta wystąpił naprzód.

- Ja go wyzwalem, panie dyrektorze.

Market Drayton i wielebny Burslem mieli zupełnie dość Roberta Clive. Poproszono opiekuna, żeby zabrał chłopca. Pozostały po nim inicjały: „R. C”, wyryte własnoręcznie scyzorykiem na pulpicie w klasie - trofeum, po dziś dzień pokazywane zwiedzającym stary szkolny budynek. I wbrew niechęci do nauki Robert zabrał ze sobą zasób znajomości autorów klasycznych - który wbił mu do głowy za pośrednictwem odwrotnej części ciała sumienny mentor, sam zresztą wybitny łacinnik - dostateczny, aby mógł w późniejszym życiu czytywać Horacego w oryginale.

Roberta posłano do znanej szkoły londyńskiej, Merchant Taylors. Tam naruszył dyscyplinę tak radykalnie, że wkrótce znowu obijał się po domu, w Hope Hall.

Artur Bayley i jego żona kochali chłopca serdecznie, chociaż im tyle przyczyniał kłopotów. Znajdowali zawsze usprawiedliwienie dla jego łobuzerstwa, wierzyli ślepo śmiałej przepowiedni doktora Eatona. Ale rzeczywiście nie wiedzieli już, doprowadzeni do ostateczności, co z chłopcem dalej począć. Trzeba było naradzić się z rodzicami. Przez cały czas surowego kazania ojcowskiego, Robert stał uśmiechnięty, spoglądając z ukosa lekko przymrużonymi oczyma. Na wyraz jego twarzy składało się połączenie impertynencji z chłopięcym urokiem, co jak wiedział z doświadczenia, działało rozbijająco na poirytowanych wychowawców. Po skończonym kazaniu nie odzywał się ani słowem, nie zmieniał pozy ani wyrazu. Ojciec wzruszył ramionami, westchnął:

- Co my mamy z tobą zrobić? Czy chcesz wstąpić w moje ślady i studiować prawo?

- Jak mi się wydaje, mógłbym powiedzieć, że mało która profesja mniej mi przypada do przekonania, proszę ojca.

- Nie wygląda mi to na komplement pod moim adresem - mruknął Richard Clive. - A właściwie

dłaczego...?

- Lata nudnej harówki za biurkiem, proszę ojca. - I z czarującym uśmiechem: - Po prostu z nudy zadreńczyłbym wszystkich dookoła.

- Przynajmniej jesteś szczery. Czy masz jakieś własne projekty na przyszłość?

- Tylko ogólne, proszę ojca. Chciałbym prowadzić czynne, ruchliwe życie. Czy nie ma dla mnie jakichś możliwości wyjazdu za granicę?

Richard Clive odchylił się w krzesło, zażył tabaki i w zamyśleniu pogładził się po brodzie. Sugestia chłopca mogła być najlepszym rozwiązaniem. Jeśli Robert zawsze będzie broił, niech przynajmniej nie przynosi rodzinie wstydu na miejscu, w kraju.

- Indie? - zapytał.

- Może być, proszę ojca.

- Jeden z moich klientów jest dyrektorem Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Mógłby cię zaangażować na urzędnika. Bardzo poszukiwane posady. Kompania wysyła wielu młodych ludzi do Bombaju, Madrasu, Kalkutty...

- Ale czy są przywiązani do biurka, proszę ojca?

- Niektórzy wracają do kraju zaledwie po paru latach z niegorszą fortuną. Urzędnik, który wykaże się zdolnością i inicjatywą, szybko znajduje sposobność handlowania na własną rękę, jak mi opowiadano.

- Spróbowałbym, jeśli ojciec zechce mi to załatwić... Posłano więc Roberta do prywatnej szkoły, gdzie uczono księgowości i kaligrafii. Kompania Wschodnio-Indyjska żądała od kandydatów na urzędników gwarancji w wysokości pięciuset funtów szterlingów, tytułem zapewnienia dobrego sprawowania. Richard Clive podpisał gwarancję, ale biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia z synem, nie bez obaw.

Rozdział II

SZERSZEŃ W WILCZYM GNIEŹDZIE

Tuż przed wyjazdem niespełna osiemnastoletniego Roberta do Indii, jego ojciec zaprosił na obiad Jamesa Extona, dyrektora Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, którego uczynności chłopiec zawdzięczał swoją posadę kancelisty, oraz innego jeszcze londyńskiego kupca, Thomasa Mounsell, niezwiązanego z Kompanią. Gdy panie opuściły towarzystwo, zostawiając mężczyzn przy portwejni i cygarach, Exton zwrócił się do najmłodszego kompana:

- No i cóż, młody człowieku? Twój ojciec mówił mi, że studiowałeś, i to ponoć „nadzwyczaj pilnie” - tu uśmiechnął się do Richarda Clive - dokumenty i sprawozdania, jakie ci pożyczyłem. Powiedz mi więc, co sądzisz o organizacji, której podjąłeś się służyć.

- Może szanowny pan - odrzekł Robert - zechciałby wyjaśnić mnie co do kilku spraw, które nie są dla mnie jasne?

- Z chęcią. Jak wiesz, sam byłem w Indiach przez kilka dobrych lat.

- A zatem: dlaczego osiedla Kompanii znajdują się tylko wzdłuż wybrzeża? Dlaczego nie ma ich w głębi łądu, bliżej źródeł towarów, jakie nabywają?

Z ksiąg i dokumentów, pożyczonych mu przez Extona, Robert dowiedział się, że nie przypadkiem angielscy kupcy z początkiem XVII-ego wieku postanowili zbijać fortuny właśnie w Indiach. Poseł, wysłany przez królową Elżbietę w roku 1581 do Delhi na dwór cesarza Akbara, wrócił z opowieściami o wielkich miastach i krezusowych bogactwach Indii, w porównaniu z którymi Anglia wydawała się uboga i zacofana. W niedługi czas potem angielscy piraci zdobyli i przyprowadzili do ujścia Tamizy dwa portugalskie statki handlowe z ładunkami z Indii. Jeden z nich, największy statek, jaki widziano dotąd w Anglii, był załadowany bezcennymi ilościami korzeni, jedwabi, tkanin bawełnianych, złota, pereł, leków, porcelany, hebanu.

Bogate łupy, przywożone z dominiów hiszpańskich przez korsarzy królowej Elżbiety, zwróciły uwagę tych z angielskich kupców, których cokolwiek romantycznie zwano łowcami przygód (choć często prowadzili swe interesy siedząc w kraju i opłacając innych, by szukali przygód) na zyskowne przedsięwzięcia rabowania dalekich krajów. Widok fantastycznych ładunków statków portugalskich rozpałił ich wyobraźnię i żądzę zdobyczy. Kilkunastu z nich założyło Kompanię Wschodnio-Indyjską, której w roku 1601 królowa nadała przywilej wyłącznego handlowania z krajami, położonymi na wschód od Przylądka Dobrej Nadziei, a na zachód od Cieśniny Magellana. W ujściu Tamizy wzniesiono doki, gdzie później przez/ dwieście lat miały powstawać największe i najlepsze statki handlowe, znane pod nazwą „wschodnio-indyjskich”. Ładowniami tych wspaniałych statków wyciekała z Indii serdeczna krew narodu, wywożona do Anglii.

W roku 1610 założono na kontynencie indyjskim dwie pierwsze placówki handlowe: w Masulipatam, na wybrzeżu Koromandelskim i w Zatoce Bengalskiej. Około roku 1617 Kompania Wschodnio-Indyjska obliczała zyski na sumę miliona funtów szterlingów z kapitału, wynoszącego

jedną piątą tej kwoty. A Indie? Któż by dbał o Indie! Maksyma kupców w stosunkach handlowych z dalekimi krajami głosiła: „Kupuj od nich tanio, sprzedawaj im drogo”. Pilnie studiujący księgi Robert Clive, jak większość jego rodaków, nie widział w tym nic złego.

Angielscy monarchowie uprawili Kompanię do fortyfikowania jej posiadłości w Indiach i do utrzymywania własnych oddziałów wojskowych - oficjalnie dla obrony przed francuskimi i holenderskimi rywalami, ale oczywiście umożliwiało to kupcom wywieranie politycznego i militarnego nacisku na władców krajowych.

Tkaniny bawełniane, indygo, cenne korzenie, opium i saetra - ta ostatnia nie znajdująca w naturalnej postaci w Europie, a wysoko ceniona jako surowiec do wyrobu prochu - stanowiły główne pozycje importu Kompanii z Indii. Płacono za nie ceny, które nawet uwzględniając koszty transportu i ryzyko strat z powodu napaści pirackich albo burz, przynosiły wielokrotnie pomnożone zyski na europejskich rynkach. Dla zrównoważenia tego importu, Anglia posiadała mało towarów, nadających się na wywóz do Indii. Piękne sukna wełniane, z których w owym czasie słynęła, nie znajdowały popytu u Hindusów, żyjących pod słońcem tropików. Ale kupcy Kompanii mieli inne „interesy do załatwienia”. Płacili za swoje zakupy w Indiach srebrem, uzyskanym ze sprzedaży afrykańskich niewolników na Wyspach Karaibskich i w Ameryce hiszpańskiej.

Książęta, bankierzy i zamożni mieszczaństwo w Indiach brali srebro, opłacali nim pomoc sąsiadów w swoich wzajemnie wyniszczających wojnach, kupowali lukratywne stanowiska i pożyczali na lichwiarski procent. Masy ludności hinduskiej i ma-hometañskiej, chłopów i rzemieślników, którzy oddawali poborcom podatkowym zbiory, sól, korzenie i tekstylia na eksport, niewielkie odnosili korzyści z tych handlowych transakcji. Znowu - czy można się spodziewać, aby nowomianowany młody sługa Kompanii, który już dowiódł własnych instynktów do grabieży szantażując sklepikarzy, przejmował się więcej od swoich „starszych i lepszych” losem hinduskich chłopów w turbanach i płóciennych przepaskach na biodrach?

Angielskie faktorie, przyciągając miejscową ludność - zarówno kupców, jak i wszelkiego rodzaju pracowników fizycznych - rozrastały się szybko w osady i miasta. Ale zainteresowania Kompanii Wschodnio-Indyjskiej ograniczały się prawie wyłącznie do terenów położonych wzdłuż wybrzeży. Stąd pierwsze pytanie młodego Roberta, na które James Exton odpowiedział:

- Dopóki Kompania nie będzie bezpiecznie zainstalowana, dopóty okolice nadmorskie będą pożądane, zapewniając możliwość ucieczki w razie niesnasek z Francuzami, albo z tubylczymi książętami. Bo morzem włada Anglia.

Mógł być dodać, że panowanie na morzach zabezpiecza zyski udziałowców Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Korsarstwo, w oparciu o bazy na Madagaskarze, przeważnie w rękach angielskich awanturników, równie chciwych bogactw jak dyrektorzy Kompanii, tylko mniej moralnie obłudnych - nadal pieniło się na Oceanie Indyjskim i w Zatoce Bengalskiej. W XVII wieku pirat z Madagaskaru, John Avery, wziął do niewoli wraz ze statkiem ze skarbami Wielkiego Mogoła jego własną córkę. Jej łzy i niewinność na nic się jej nie przydały wobec determinacji pirata, któremu zachciało się zostać ojcem dziecka z krwi książęcej.

Kupcy hinduscy nie mieli floty wojennej dla ochrony morskich dróg handlowych przed piratami. Jeśli więc chcieli handlować z dalekimi krajami, musieli sprzedawać swoje towary Anglikom, Francuzom lub Holendrom za taką cenę, jaką ci partnerzy, altruistycznie wyrzekając się drobnej części swych olbrzymich zysków, zechcieli im oferować.

Thomas Mounsell był jednym z bardzo wielu angielskich kupców, którzy niechętnym okiem

spoglądali na monopol Kompanii w handlu z Indiami i chcieli swobody dla każdego, by mógł handlować do woli, według własnych zasad i dla własnej korzyści. Dlaczego, zapytywali nie bez słuszności, mają płacić w formie podatków i ceł za utrzymywanie królewskiej marynarki, jej okrętów i załóg, by te broniły zysków szczupłej garstki udziałowców Kompanii Wschodnio-Indyjskiej?

- Odnosicie korzyści pod każdym względem - mówił Mounsell do Extona. - Nie dopuszczając nas do udziału, ograniczacie rywalizację i możecie zmusić kupców hinduskich do sprzedawania za taką cenę, jaką wam się spodoba narzucić.

- Niezupełnie, szanowny panie - wtrącił się młody Robert. - Istnieje bardzo silna rywalizacja ze strony Francuzów i Holendrów. Portugalczyki, o ile się mogą zorientować, już się przestali liczyć. Wydaje mi się, że naszym pierwszym zadaniem powinno być usunięcie tych cudzoziemców. Wtedy rzeczywiście moglibyśmy dyktować ceny.

Exton prychnął śmiechem i powiedział do Richarda Clive:

- Twój syn ma ekspansjonistyczne pomysły, jak widzę. Bardzo dobrze.

- Lepiej by było - mruknął prawnik, spoglądając na syna ze zmarszczoną brwią - żeby się ograniczył do ksiąg rachunkowych, do których będzie wpisywał pozycje po przyjeździe do Madrasu.

- Taki pomysłowy młodzieniec nie będzie długo ślęczał nad książkami rachunkowymi - odparł Exton. I dorzucił, zwracając się do Roberta: - W rzeczywistości, to właśnie Francuzi chcieliby nas teraz wykurzyć z Indii.

- Czy ośmielają się atakować nasze faktorie, szanowny panie?

- Jeszcze nie. Ale jakieś dziesięć lat temu, nikt z nas, Anglików, Francuzów czy Holendrów, nie wtrącał się do kłótni między tubylczymi książętami. Uznawaliśmy zwierzchność władcy, noszącego tytuł nababa, płaciliśmy mu za ochronę przed rozbójnikami, a jeśli coś chcieliśmy od niego uzyskać, wręczaliśmy mu podarunki. Później, właśnie w czasie mego tam pobytu, to jest od 1733 roku, gubernator posiadłości francuskich, Benoit Dumas, zaczął mieszać się do spraw lokalnych Karnatyku. Poparł jednego z pretendentów do tronu nababa przeciw drugiemu, i udzielił mu wojskowej pomocy.

- Co chciał zyskać przez to? - pytał Richard Clive.

- Przywileje handlowe większe od tych, jakie nam przyznawano, niższe opłaty celne od tych, jakie my płacimy, a wszystko w zamian za tę jego pomoc wojskową.

- I my siedzimy beczynnym i nie sprzeciwiamy się Francuzom? - zapytał z niedowierzaniem Robert.

- Do tej pory trzymaliśmy się z dala od tych spraw. Ale nie wykluczone, że ten stan długo nie potrwa. Moim zdaniem, Francuzi zamierzają nas w ogóle usunąć.

- Odważą się nas otwarcie zaatakować? - oburzył się Robert.

- Chyba nie, o ile Anglia i Francja nie będą w stanie wojny. Ale mogą namówić nababa, by kazał nam się wynosić.

- I my byśmy się wynieśli, z podkulonym ogonem, na rozkaz jakiegoś czarnucha?

Francuzi byli tradycyjnymi nieprzyjaciółmi Anglii, z którymi można było walczyć, jak równy z równym, o ile nadarzyła się sposobność. Robert słyszał o niegdyś kwitnącej wysokiej kulturze dawnych Indii. Ale słyszał tak, jak się słucha bajek o zaczarowanej królowej. Dla niego, który nigdy nie postawił stopy poza ojczyzną wyspą, gdzie awanturnicy i podróżnicy chełpili się przywiezionym murzyńskimi, hinduskimi lub muzułmańskimi niewolnikami, czasem na jarmarkach pokazywali ich za opłatą, nazywając książętami albo nawet królami - czarna twarz oznaczała niewolnika, sługę, była

godna pogardy; czarna twarz nie mogła nigdy oznaczać człowieka, który by wydawał rozkazy białemu. Gdyby czarny się na to poważył, byłby w pojęciu młodego Anglika bandytą i jako takiego należało go traktować.

Thomas Mounsell uśmiechnął się z odcieniem szyderstwa. - Mamy tu młodego patriotę, jak widzę - zauważył.

- I do Roberta: - O nic się nie bój, chłopcze. Tak się składa, że Indie należą do ludzi z czarnymi twarzami. Ale Kompania Wschodnio-Indyjska nie pozwoli, by taka drobnostka, jak to, do kogo kraj należy, przeszkodziła jej w ciągnięciu zysków.

- Francuzi nas zmuszają - powiedział Exton. Robert nie był pewien, wcale nie chciał być pewien.

- Praktycznie biorąc, to szanowny pan ma słuszość - przyznał. - Ale czytałem właśnie, że coś przed pięćdziesięciu laty ówczesny prezes Kompanii - nazywał się chyba Child, Sir Josiah Child - oznajmił publicznie, że Kompania powinna objąć władzę polityczną w Indiach, że powinna położyć tam fundamenty suwerennego stanu angielskiego.

- Chłopak nie pominął niczego, co istotne - mruknął Mounsell. - Kompania zamierza, jeśli tylko będzie mogła, opanować te obszary, rządzić nimi dla własnych korzyści. Child wygadał się niechcący i zdemaskował całą tę pobożną deklamację o wyłącznym poświęceniu „pokojowym stosunkom handlowym”.

Ostatnie słowa wymówił ze zjadliwym sarkazmem.

- Sądziłbym, że Sir Josiah miał rację - powiedział Robert, kręcąc w palcach kryształową nóżkę swego kieliszka z portwejnem. - Nie podoba mi się myśl, że jesteśmy zależni od dobrej woli tych czarnuchów, którym każdej chwili może przyjść do głowy, żeby nas wyrzucić.

- Czy uważasz, młody człowieku - zapytał Mounsell - że wchodząc do czyjegoś domu jako goście, mamy usiłować wyrzucić prawowitych właścicieli, przyjmujących nas według zasad gościnności?

A Robert odpowiedział:

- Okoliczności, obrona własna mogą czasem doprowadzić do tego, że to się stanie nieuniknionym. Mounsell potrząsnął głową.

- Jeśli twoje sumienie przemawia takim głosem, to przepowiadam ci karierę w Kompanii, gdzie sumienie tylko przeszkadza.

Richard Clive z pewnym zdziwieniem przysłuchiwał się własnemu synowi, który do tej pory mało czym się interesował. Teraz wydawało się, że dobrze wykorzystał wszystko, co przeczytał i usłyszał.

- Bardzo interesujące - powiedział. - Ale panie będą się niecierpliwiły w salonie, że zaniedbujemy je tak długo. Może przejdziemy...?

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli można - przerwał Robert.

- Panie Exton, wspomniał pan o podarunkach, dawanych lokalnym władcom, by ułatwiali handel. Jakiego to rodzaju podarunki?

- Łapówki, mój chłopcze, zwyczajne łapówki! - wtrącił szybko Mounsell.

Exton znowu się roześmiał.

- Nazywaj pan to sobie, jak chcesz! - rzekł. - Ale bez tego nie posuniesz się w Indiach o jeden krok. Każdorazowy pretendent do tronu nababa przyrzeka lakhi rupii (jeden lakh - 10 000 funtów szterlingów), cenne klejnoty i perły każdemu, kto będzie go popierał przemocą, podstępem lub w ostatecznym razie, morderstwem. To nie jest łagodny kraj. Każdy aspirant do urzędu, wysokiego czy

niskiego, musi opłacać nababę, jego ministrów i dygnitarzy, zanim dostanie swój urząd. Kupcy, zajęci wątpliwymi transakcjami, kupują sobie „podarunkami” bezkarność. Nikt nie może obwiniać Europejczyków o wprowadzenie do społeczeństwa hinduskiego przekupstwa, intryg i zdrady. Pieniły się tam bujnie na długo przed tym, zanim myśmy przybyli...

- Można było się spodziewać, że jako chrześcijańscy kupcy - szydził Mounsell - wysłannicy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej będą służyli przykładem uczciwości. Ale oni wszystko usprawiedliwią, byle zyski płynęły!

- Pan to mówi z prostej zawiści, bo go ominęła sposobność handlowania - zniecierpliwiał się Exton. - Gdybyście wy, prywatni kupcy, mogli tylko wśliznąć się do Indii, robilibyście to samo, co my, i to samo, co wszyscy w Indiach!

Mounsell zignorował zarzut i zwrócił się do Roberta:

- Niestety, mój chłopcze, przekupstwo i intrygi są równie głęboko zakorzenione w Anglii, jak ponoć w Indiach. Tytuły parów i rycerzy przypadają tym, którzy najwięcej za nie dadzą. Grubsze sumy przechodzą z ręki do ręki za każdym razem, gdy kogoś mianują na lukratywną synekurę w rządzie. Mandaty poselskie można kupić. A pod koniec ubiegłego wieku, nie kto inny, jak właśnie Kompania Wschodnio-Indyjska zapłaciła blisko sto tysięcy funtów szterlingów, w tym dziesięć tysięcy samemu królowi, by sobie zapewnić kontynuację monopolu na eksploatację zasobów Indii...

Nie chcąc już więcej rozdrażniać Extona, współgościa w zaprzyjaźnionym domu, Mounsell nie dodał, że gdy nadarzała się sposobność osobistego wzbogacenia, dyrektorzy i przedstawiciele Kompanii za granicą odrzucali na cztery wiatry wszelkie względy na uczciwość, honor i rzetelność. Byli zaiste jak złowroga „czarna ręka”, gotowa zwrócić się zarówno przeciw narodom Indii, jak i przeciw koledze w dyrektoriacie Kompanii.

Nim przeszli do salonu, Richard Clive zapytał jeszcze syna:

- Czy nie przyznasz mi teraz, że nawet dureń powinien wykroić dla siebie lukratywny kącik w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej?

Robert nie zwrócił uwagi na wzgardliwy przytyk. Bawiąc się wciąż kieliszkiem, odpowiedział:

- Posunąłbym się dalej, proszę ojca. W okolicznościach, które, jak sędzę, się następują, gotów bym się założyć, że w ciągu dziesięciu lat wrócę z fortuną. To znaczy, o ile tymczasem czarnuchy albo Francuzi nie wyrzucą Kompanii z Indii - ale to po moim trupie! A jeżeli zostaną tam lat dwadzieścia, będziesz ojcem jednego z najbogatszych ludzi w Anglii i może jednego z najbardziej znanych.

- Ufam, że masz rację i dobrze ci życzę - odrzekł Richard z pobłażliwym uśmiechem realisty. - Ale muszę tu zauważyć, że w twojej przeszłości nie ma wiele danych na poparcie tak buńczucznej zapowiedzi. Chciałbym ci doradzić, abyś się lepiej nauczył, między innymi - a jestem pewien, że moi szanowni goście poprą moją ojcowską radę - większego szacunku dla zwierzchników.

- Jeśli dowiodą, że na to zasługują - odparł Robert. - Tylko wtedy obdarzę ich moim szacunkiem.

Wychylono kieliszki, odsunięto krzesła. Gdy czterej mężczyźni wstawali od stołu, Mounsell powiedział z uśmiechem do Extona:

- Wydaje mi się, że wpuściłeś pan szerszenia do wilczego gniazda Wschodnio-Indyjskiej Kompanii. Będę z ciekawością obserwował, ile on wam kłopotów przyczyni.

Rozdział III

PODRÓŻ Z PRZYGODAMI

- Ani jeden maszt się na nim nie utrzymał, panie kapitanie! I fale się przelewają nad pokładem.

O świcie dnia 19 kwietnia 1743 roku porucznik John Samson na wyżce pięćsettonowego statku wschodnio-indyjskiego „Winchester” opuścił swoją lunetę i w powyższych słowach złożył raport kapitanowi Gabrielowi Stewardowi. Ich statek, wiozący ładunek towarów i oddział wojsk Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, lawirował ostrożnie w kierunku wieloznamiennych przy wyspach Zielonego Przylądka, na Oceanie Atlantyckim. O parę godzin wcześniej „Princess Louisa”, statek żeglujący wspólnie z „Winchesterem” i również zmierzający do Indii, wystrzelił sygnał z żądaniem ratunku. Ale po ciemku „Winchester” obawiał się podejść bliżej. Kapitan Steward wydał rozkaz:

- Weźcie szalupę i jolkę i próbujcie uratować załogę.

Hałas łańcuchów kotwicznych, tupot nóg marynarzy spuszczających łodzie na wodę - obudziły dwóch młodych pasażerów, Roberta Clive i Edmunda Maskelyne, świeżo upieczonych kancelistów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Pośpiesznie naciągnęli spodnie i wybiegli na pokład, żeby się dowiedzieć przyczyny zamieszania.

- Pomóż mi - szepnął Robert. - Popłyniemy z nimi szalupą!

- Lepiej zapytać kapitana - zawahał się Edmund.

- Nie pozwoli. Ale później, niech nas zakuje w łańcuchy, jeśli zechce!

Szalupą dowodził porucznik Samson, wobec czego dwaj chłopcy wskoczyli do jolki i usiadłszy obok siebie wzięli wiosła, starając się robić wrażenie niewinnych i zdeterminowanych. Podoficer, dowodzący łodzią, skrzywił się i zawarczał:

- Też ma kapitan pomysły, żeby do takiej roboty posyłać szczury lądowe! Wy dwaj, lepiej siadźcie bliżej dzioba! I uważać tam, bez żadnych głupstw!

Morze rzucało łodziami, unosząc je tak, jakby miały dotknąć niskich chmur, i spychając w wodne przepaście, aż chłopcom wydawało się, że wcale się z nich nie wynurzą. Chwilami widzieli osadzoną na mieliźnie „Louise”, chwilami skrywały ją olbrzymie góry wodne. Fale załamywały się nad niedoszłymi ratownikami, zalewając wszystkich w łodziach. O to zresztą chłopcy wcale nie dbali. Wypatrywali oczy, przejęci, niespokojni o życie zagrożonej załogi. Byli już na odległość głosu od kadłuba statku. Marynarze, zgromadziwszy się na ogołoconym pokładzie, wymachiwali czapkami i krzyczeli. Ale słowa ginęły w huku szalejącej burzy. Łodzie nie mogły się zbliżyć, rozbiłyby się o skały. Przygotowano liny i harpuny, aby ściągnął rozbitków, ilu się da.

Dwaj chłopcy w jolce patrzyli z zapartym oddechem.

- Ten statek tonie! - wykrztusił Robert.

Ledwo to wymówił, gdy potężna fala zmiotła pokład grzęznącego na mieliźnie statku, strącając marynarzy w rozszałęły wir wodny. Kilku rozbitków pozostało jeszcze na pokładzie, poturbowanych, bez tchu; nadeszła druga fala - i tym razem ani żywa dusza nie utrzymała się na pokładzie. Niegdyś

dumny żaglowiec wschodnio-indyjski był pudłem z bukszprytem. Dwaj chłopcy spojrzeli po sobie w osłupieniu, nie mogąc pojąć nieuniknionej ostateczności tej tragedii. Od kapitana po chłopca okrętowego - nie ocalał nikt z załogi statku „Princess Louisa”.

Kiedy zgnębieni ratownicy podpłynęli z powrotem do „Winchestera”, kapitan Steward wychylił się przez burtę, wygrażając pięścią dwóm przedsiębiorczym chłopcom.

- Wy, przekłete urwisy! - wrzasnął pełnymi płucami, gdy chłopcy wspinali się na pokład. Zamierzył się na Roberta, ale ten uchylił się zrećnie. - Jeszcze byście potonęli, a ja bym się znalazł w tarapatach za to, że was nie przypilnowałem!

Robert, jeszcze wstrząśnięty tym, co przed chwilą zobaczył, opanował się z wysiłkiem i krzyknął w odpowiedzi:

- Nie było czasu, żeby poprosić o zezwolenie, panie kapitanie!

- O, huncwoty, wiedzieliście doskonale, że gdybyście mnie zapytali... - Ryk wichury jakby przycichł trochę, co uspokoiło i kapitana. - No cóż, sam byłem kiedyś takim wlsusem. Nie brak wam odwagi, muszę” przyznać. Hej, napijcie się, to wam dobrze zrobi! - I wyciągnął flaszkę z kieszeni.

Katastrofa statku „Princess Louisa” dowiodła naocznie, że w XVIII wieku człowiek i jego zamki z dębowego drzewa bywały igraszką żywiołów. Wkrótce zdarzyło się więcej takich dowodów.

Kiedy „Winchester” opuścił wyspy Zielonego Przylądka, północno wschodni wiatr zaniósł go daleko na Atlantyk. Przez dwadzieścia cztery dni Robert nie miałby wiele zajęcia, gdyby przed wyjazdem ojciec nie dał mu w prezencie paru książek. Były to: „Życie Sir Franciszka Drake” Samuela Glarke’a, opublikowane w XVII wieku i „Żegluga, Podróże i Odkrycia Narodu Angielskiego” Richarda Hakluyta, wydane w roku 1600.

Z książek tych dowiedział się, jak Drake, William Hawkins z synem Johnem, Martin Frobisher i inni z „wilków morskich” królowej Elżbiety wyprawiali się w cztery strony świata w poszukiwaniu skarbów, które wzbogacały ich samych, ich królewską patronkę i kupców, finansujących ich przedsięwzięcia; jak próbowali nawiązać stosunki handlowe - zwłaszcza handel afrykańskimi niewolnikami - z Nowym Światem, i przy-



łączać nowe ziemie do korony angielskiej. Lektura fermentowała w jego umyśle, krystalizowała pomysły, które krążyły mu po głowie jeszcze przed rozmową z Extonem i Mounsellem w domu ojcowskim.

- Ci wiedzieli, co robić! - mówił do Edmunda Maskę - lyne. - Gdyby jeden z nich żył teraz, Anglia prędko władałaby Indiami, do których żeglujemy.

- - To wielki kraj, niełatwo go podbić - powątpiewał Maskelyne. - Może nie opłaciłaby się skórka za wyprawkę.

- Ba! Nie buduje się imperiów przewidywaniem kłopotów. Tu trzeba sięgać śmiało, jak Drake, jak Hawkins. Chciałbym być o parę lat starszy, Edmundzie. Pokazałbym tym hinduskim księżątkom, kto jest panem, a Francuzów odesłałbym z powrotem tam, gdzie jest ich miejsce!

Dnia 17 maja, tym razem w środku nocy, znowu niecodzienne hałasy obudziły dwóch młodzików. Silny wstrząs, zgrzyt, trzask łamanego drewna - i znaleźli się obaj na podłodze. „Winchester” utknął na podmorskich skałach. Żadne wysiłki kapitana ani załogi nie mogły ruszyć statku z miejsca. Z nadejściem świtu dostrzegli, że znajdują się niedaleko od niskiej, długiej linii wybrzeży. Na kotwicach kołysały się niewielkie stateczki, a od południowego zachodu widać było zarysy sporego miasta.

- Wywiesić sygnał, że potrzebujemy pomocy! - rozkazał kapitan Steward.

Na tratwach i łodziach, które do nich podpłynęły, znajdowali się Portugalczycy. Okrążyli statek, gestykulując i wymachując rękami, po czym odpłynęli, by powrócić z pilotem, starym, doświadczonym żeglarzem, obznajomionym z niebezpieczeństwami tych wybrzeży. Maskelyne cierpiał na febrę i po pierwszym alarmie wrócił do kabiny. Robert przyszedł, by mu opowiedzieć:

- Podobno jesteśmy w pobliżu miasta Pernambuco, u wybrzeży Brazylii. I nie wiadomo, jak długo tu zostaniemy. Załoga zdejmuje reje, żagle, takielunek i przewozi to wszystko na ląd. Żołnierze pomagają. Ładunek też trzeba będzie znieść na brzeg.

Nawet gdy w ten sposób zmniejszono ciężar „Winchestera”, minęło jeszcze sześć dni, zanim z pomocą Portugalczyków, holujących statek swymi łodziami, ściągnięto go wreszcie ze skał i spuszczone na wodę, głębokości sześciu sążni. Maskelyne wyzdrowiał już i obaj chłopcy przysłuchiwali się, gdy pilot łamaną angielszczyzną informował kapitana:

- O tej porze roku pogoda nie sprzyja. Trudno będzie doholować was do Pernambuco, gdzie musicie naprawić statek.

Oznaczało to postój co najmniej kilkutygodniowy. Najęto portugalskich robotników, by wybudowali szopę dla osłony ładunku. Załoga, żołnierze i pasażerowie mieszkali na statku, co przynajmniej w pewnym stopniu chroniło ich przed bardzo agresywnymi insektami tych okolic. W chwilach przerw od burz i deszczy, wzrastały nadzieje kapitana Stewarda na doprowadzenie statku do stanu zdatnego do żeglugi. Próbowano nawet załadować z powrotem towar, ale za każdym razem nawroty gwałtownych sztormów uniemożliwiały zadanie, usprawiedliwiając niechęć pilota, który nie podejmował się przeprowadzenia statku wzdłuż wybrzeży, usianych podwodnymi skałami i mieliznami. Cieśle okrętowi próbowali naprawić kadłub, ale przeszkadzała im nieustanna wysoka fala.

Gdy pogoda na to pozwalała, obaj chłopcy chodzili na spacer, zbierali banany i owoce mango, rosnące w obfitości. Chociaż Robert potrafił być przy odpowiedniej okazji poważny i zdradzał wiedzę ponad swój wiek, jednakże dowiódł, że niezupełnie wyrósł ze swych chłopięcych nawyków do złośliwych psot. Wspinał się na pnie kokosowych palm, ukrywał wśród pierzastych liści na wysokości dwudziestu metrów i strącał twarde, ciężkie owoce na głowy niczego nie podejrzewających przechodniów. Małp spotykało się tu mnóstwo, zbierały się hałaśliwymi stadami, ale, ponieważ Portugalczycy regularnie strzelali do nich i zabijali, uważając ich mięso za bardzo smaczne, małpy uciekały przed chłopcami. Największą przyjemnością Edmunda było drażnienie jaskrawo upierzonych papug i podniecanie ich do wrzasku, a później naśladowanie ich skrzekliwych

głosów.

Kapitan nie pozwalał chłopcom chodzić samym do Per-nambuco, ale kilkakrotnie poszli do miasta z porucznikiem Samsonem. Nie znaleźli tam niczego - ani rozrywek, ani ciekawych widoków. Koloniści portugalscy odnosili się podejrzliwie do obcych, zwłaszcza Anglików, których zwyczaj usadawiania się na cudzych terytoriach był już powszechnie znany. Do słynnych z bezprawia dzielnic tubylców, schroniska przestępców z bliższych i dalszych okolic, porucznik przezornie swoich pupilów nie poprowadził.

Egzotyka szybko znudziła obu chłopców. Robert czytywał po kilkakroć te parę książek, jakie miał ze sobą. Chcąc sobie urozmaicić monotonię, chłopcy namówili pewnego portugalskiego marynarza, by im przehandlował flaszkę miejscowego rumu wzamian za koszulę. Urozmaicenie udało im się ponad wszelkie oczekiwania. Nie przywykli do tak mocnych trunków, podpici, zaczęli się mocować dla zabawy. Maskelyne, wyższy i silniejszy fizycznie, pokonał wkrótce przyjaciela, który wyrwał mu się i zaczął uciekać po pokładzie. Oglądając się za ścigającym go Edmundem, Robert wpadł na kapitana Stewarda, potknął się i spadł głową do morza.

Wicher dał, wzbijając wysoką falę. Robert umiał pływać, ale wydawało się pewnym, że rozbije się o bok statku. Gdyby się to stało, historia Indii potoczyłaby się zapewne zupełnie inaczej.

Tuż pod ręką kapitan znalazł wiadro na długiej linie, zostawione przez marynarzy, którzy łowili kraby. Spuścił wiadro za burtę tak zręcznie, że ominęło głowę Roberta. Z trudem chwytając w płuca powietrze razem z wodą, oszołomiony uderzeniami fal, chłopiec próbował pochwycić linę - nie powiodło mu się. Machał rozpaczliwie, na oślep rękami i złapał linę właśnie w momencie, gdy następna fala miała go odrzucić. Kapitan i Maskelyne wciągnęli go na pokład, krztuszącego się i bez pantofli, podobno cennych, ze srebrnymi sprzączkami. Poza tym nic mu się nie stało. Co więcej, kąpiel go kompletnie otrzeźwiła!

- Może to was nauczy, że pokład statku nie jest miejscem do głupiej zabawy! - upomniał ich kapitan, ale tak był rad z pomyślnego zakończenia niebezpiecznego incydentu, że nawet bardzo się nie złościł.

Wreszcie pilot podjął się wprowadzić „Winchestera” do portu w Pernambuco, jednakże język portugalski nie znał, jak się wydawało, słowa: „pośpiech”. Poprzednio wiały wiatry i burze, które uniemożliwiały naprawę statku; teraz robotnicy oznajmili, że jest za gorąco, by pracować za dnia. A chłodniejsze noce mijały im na innych zajęciach. Nadszedł więc już wrzesień, zanim kapitan Steward, przeklinając i wymyślając „leniwym nicponiom”, zdołał ich zmusić do poważniejszej pracy nad uszkodzonym kadłubem. A dopiero w lutym roku 1744 „Winchester” wybił kotwicę i z ulgą pożegnał Pernambuco salutem dziewięciu dział, kurtuazyjnie odwzajemnionym...

W Europie toczyła się wojna o austriacką sukcesję. Fryderyk pruski dążył do zajęcia Czech i zdobycia Pragi. Książę Maurycy, marszałek saski, w służbie Francuzów, przygotowywał wojska do najazdu na Anglię, oficjalnie w celu poparcia próby (nieudanej) Karola Edwarda Stuarta, prawnuka Jana Sobieskiego, odzyskania ojcowskiego tronu, zagarniętego przez Hanowerczyka, Jerzego II.

W czerwcu, piętnaście miesięcy po opuszczeniu wybrzeży Anglii, gdy już nadchodziła pora południowo-zachodnich mon-sunów, Robert i Edmund wychylali się przez burtę statku, by prędzej dostrzec na horyzoncie zarysy Madrasu. Było to rozległe miasto. Ale rozbudowało się dzięki Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, która założyła tu pierwszą faktorię w roku 1639, i niewiele posiadało budynków w stylu orientalnym. Dzieliło się na tak zwane Czarne Miasto, zamieszkałe wyłącznie przez krajowców ze wszelkich społecznych i ekonomicznych sfer; Białe Miasto, gdzie

tylko Europejczykom wolno było się osiedlać; oraz okręg ufortyfikowany, zwany Fortem Św. Jerzego, otoczony dość marnymi murami, o czterech bastionach i tyluż bateriach dział. Pod koniec wieku XVII Madras otrzymało od Anglii przywileje miejskie, włącznie z przywilejem wieszania europejskich i hinduskich „złoczyńców”. W odniesieniu do Hindusów z przywileju tego często korzystano.

Pierwsze spojrzenie na wybrzeża Indii pobudziło zachłanną wyobraźnię Roberta.

- Ta nieciekawie wyglądająca miejscowość - rzekł - jest dla nas tylko odskocznią. Za nią leży szeroka kraina naszych szans!

Maskelyne był przezorniejszy:

- Miejmy nadzieję, że nam się powiedzie...

- Musi mi dać fortunę, choćbym ją miał wydzierać tymi gołymi palcami! - wyrzucił przed siebie ręce dramatycznym gestem. - I musi mi dać sposobność działania! Palę się do tego!

- Nie pal się w tym klimacie, bo ci będzie jeszcze goręcej - pokpiwał Maskelyne.

Ale jego żarty nie zostały mile przyjęte. Natura rzadko obdarza wyostrzonym poczuciem humoru ludzi, którzy mają osiągnąć sławę.

Rozdział IV

HARÓWKA W TROPIKACH

Działa Fortu Św. Jerzego, z których codziennie o świcie oddawano salwę, nie obudziły Roberta Clive z jego pierwszego snu w Indiach. Urzędnik, chcąc dopomóc nowo przybyłemu, wszedł do jego pokoju:

- Wstawać, wstawać! Czas do kościoła.

Clive przewrócił się na drugi bok i wymamrotał:

- To nie jest niedziela! Idźcie sobie!

- Niedziela czy dzień powszedni, wszystko jedno. Każdy protestant, mieszkający w budynkach Kompanii, musi chodzić na nabożeństwa, pod karą dwunastu pensów grzywny albo domowego aresztu na tydzień. Tak brzmi regulamin, słowo w słowo. Jeśli ktoś jest katolikiem albo wyznawcą konfucjanizmu, może tego uniknąć, nie inaczej.

Narzekając, Clive usłuchał jednak. Nawet jego niezdyscyplinowany duch pojął, że zaczynanie pierwszego dnia pracy od zignorowania regulaminu oznaczałoby ściągnięcie na siebie kłopotów.

Po nabożeństwie zajmowano się handlem z krajowcami, którzy przynosili na sprzedaż jedwabie, muśliny, barwne tkaniny bawełniane, indygo i leki z głębi kraju. W zamian brali od Kompanii sukna, grubą wełnę używaną do dywanów, ołów, cynober, ostrza do szabli oraz lustra, małe i duże. Krajowcy targowali się, narzekali na niskie ceny, oferowane przez kupców Kompanii, starszego i młodszego, odpowiedzialnych za przetarg, i na wysokie ceny, jakich żądali za swój towar. Urzędnicy w randze agentów zajmowali się odbieraniem i wydawaniem wymienianych towarów. Tymczasem zaś Clive'a i Maskelyne'a inni kanceliści wtajemniczali w sztukę rejestrowania transakcji oraz prowadzenia ksiąg rachunkowych...

Najwyższym urzędnikiem Kompanii w Madrasie był gubernator. Otrzymywał tytułem pensji zaledwie trzysta funtów rocznie. Pomagało mu sześciu członków rady, każdy z pensją czterdziestu funtów. Spodziewano się po nich wszystkich, jak i po dwóch starszych kupcach, dwóch młodszych, pięciu agentach i dziewięciu kancelistach - ci ostatni dostawali istic książęce wynagrodzenie w wysokości jednego funta pięciu szylingów co kwartał - że będą się sami dofinansowywali prywatnymi transakcjami. Nie wolno im było, oczywiście, konkurować z pracodawcami, to znaczy handlować z Anglią. Ich pole działania ograniczało się do tzw. „handlu krajowego”, to znaczy zakupywania towarów w jednej prowincji Indii, by je sprzedać w innej, albo też w którymś z krajów azjatyckich.

Ten system odpłatności, jeśli go można tak nazwać, skłaniał, a nawet zmuszał urzędników Kompanii do uprawiania praktyk, które od czasu do czasu jej dyrektorzy w Anglii potępiali ze świętoszkowatym oburzeniem. W takim handlu było aż nadto sposobności - zwykle wykorzystywanych - do oszukiwania miejscowej ludności, do korupcji, szantażu i zwyczajnej grabieży. Chociaż obwinięła swoich pracowników za nadużycia, w rzeczywistości to właśnie

Kompania ponosiła winę. Ten „system” wypłacania śmiesznie małych pensji i stwarzania możliwości jednostkom do zbijania fortuny - cel przybycia do Indii - na własną rękę, leżał u podstaw większości nadużyć, które sprawiły, że miano Europejczyka zyskało w końcu złą sławę u ludności Indii, od najuboższych wieśniaków do książąt.

W Londynie najwyższą władzę w Kompanii sprawowała Rada Udziałowców, w skład której wchodziłi wszyscy właściciele akcji na sumę pięciuset szterlingów i więcej. Rada zbierała się cztery razy w roku i wybierała jako dyrektorów dwudziestu czterech ze swego grona, posiadaczy pakietu akcji równowartości co najmniej dwóch tysięcy funtów, zwykle kupców, prowadzących również interesy w bankowości, handlu zagranicznym albo przedsięwzięciach armatorskich. Ci dyrektorzy, podzieleni na komisje, stanowili teoretycznie władzę wykonawczą Kompanii.

W rzeczywistości, jeśli chodziło o działalność w Indiach, dyrektorzy niewiele mieli do powiedzenia, prócz ustanowienia ogólnych zasad i mianowania urzędników na wyjazd. Piętnaście miesięcy trwało, zanim statek „Winchester” dotarł do Indii; wynika z tego jasno, że kontrola działalności urzędników Kompanii mogła być tylko bardzo ogólnikowa. Co więcej, mało który z dyrektorów znał z własnego doświadczenia warunki, panujące w Indiach. Urzędnicy na miejscu musieli posługiwać się własną inicjatywą i inteligencją. Londyn wyrażał opinię o ich poczynaniach, ale dezaprobata zwykle przybywała za późno, aby można było *coś* zmienić. Praktycznie więc biorąc, codziennymi sprawami Kompanii w Indiach rządzą jej miejscowi urzędnicy.

...W południe nie żonaci urzędnicy w Madrasie zasiadali do wspólnego posiłku w wielkiej sali jadalnej, obsługiwani przez złożoną z krajowców służbę. Tego pierwszego dnia Clive zapytał Maskelyne’a:

- Czy nie czeka nas żadne ciekawsze zajęcie od tego, cośmy robili dziś rano?

Maskelyne wzruszył szerokimi ramionami.

- A czegoś ty się spodziewał? Że cię z miejsca mianują gubernatorem? Zanadto jesteś niecierpliwy. Nic tym nie wskórasz.

- Wydaje mi się - mrucał Clive, nie słuchając żadnych pocieszeń - że zamieniłem nudną harówkę u adwokata w zimnym, wilgotnym Londynie na równie nudną harówkę pod tropikalnym słońcem.

- Przecież wiedzieliśmy, gdy nas mianowano, że na początku będziemy na najniższym, oprócz krajowców, szczeblu drabiny urzędniczej Kompanii.

- Pięć lat jako kancelista - rozważał posepnie Clive - trzy jako agent, trzy jako młodszy kupiec. Zdechnę z nudów, zanim nawet zostanę starszym kupcem.

Resztę popołudniowych, upalnych godzin spędzano na drzemce, albo, jeśli chodziło o młodszych mężczyzn, na nauce któregoś z miejscowych języków. Zachęcano do tego dodatkiem do pensji w wysokości dwudziestu funtów rocznie, za dostateczną znajomość jednego z języków miejscowych, a dziesięciu funtów za znajomość języka perskiego. Nie bagatelne sumy dla kancelistów, zarabiających pięć funtów rocznie! Clive zabrał się energicznie do nauki, a w późniejszym życiu mawiał:

- Dzięki szczęśliwemu przypadkowi, że nie mogłem sypiać w dzień, poznałem dość dobrze lokalne narzecza. A to z kolei pozwoliło mi lepiej rozumieć politykę i charakter krajowców - bardzo dla mnie użyteczne.

W rzeczywistości, użyteczna okazała się dla niego również praktyka urzędnicza, na którą tak narzekał. Wyrobił sobie na całe życie cenne przyzwyczajenia: dokładność, staranne przechowywanie kwitów i rachunków, sporządzanie kopii listów. Ale, jak wielu innych, dopiero później nauczył się doceniać znaczenie tego, że zaczynał pracę od dołu, od abecadła swojej profesji.

Po odbyciu popołudniowych godzin urzędowania chłopcy wyszli przejść się w chłodniejszym powietrzu. Wieczorami wiała od morza orzeźwiająca bryza. Przypatrywali się łodziom krajowców, kołyszącym się na falach. Wiele z tych łodzi robotnicy Kompanii sporządzali sobie sami z drewna, wyrzuconego na brzeg przez fale. Ci robotnicy otrzymywali jednego pensa dziennie, z czego mieli wyżywić siebie i rodzinę. Ryż gotowany w wodzie był ich prawie jedynym pożywieniem, z rzadka pozwalali sobie dodatkowo na placki bez drożdży, wypiekane w popiele.

Europejczyków obowiązywało jeszcze wieczorne nabożeństwo. Po nabożeństwie i po kolacji nie było w Madrasie co robić, chyba iść do winiarni na pijatykę i karty.

Robert wykonywał swoje obowiązki dość poprawnie, ale w posępnym przygnębieniu. Nie krył rozczarowania. Usiadłszy pewnego dnia za stołem z surowego drewna, który wraz z łóżkiem, prymitywną szafką i dwoma trzcinowymi krzesłami stanowił całe umeblowanie jego pokoju w parterowym drewnianym budynku, w nastroju posępnej melancholii pisał w liście do kuzyna:

„Klimat daleki od umiarkowanego w połączeniu ze spiekotą słoneczną szkodzą organizmom naszym i doprawdy sędzę, że korzyści, jakich tu nam przybędzie, nie wynagrodzą strat zdrowia zadanych...”

Odłożył pióro, odgarnął mokre od potu, ciemne włosy z szerokiego czoła, chustką ocierał wilgoć z wydatnego nosa, wąskiej górnej wargi, agresywnego podbródka. Westchnął ciężko, wstał, wsunął ręce w kieszenie i podszedłszy do okna, zapatrzył się na ogród i ołowiane, ciężkie od gorącej mgły morze. Nagle wyprostował się, wyjął ręce z kieszeni, paru szybkimi krokami podszedł do szafki, otworzył ją. Energicznie wrócił do stołu, położył na nim pistolet. Znowu wziął pióro:

„Z pewnością listy wymyślono na pociechę dla takich samotnych nieboraków, jak ja... Ani jednej rodziny nie poznałem tu bliżej, serdeczniej... Śmiało powiedzić mogę, że od kiedy opuściłem kraj, żadnego szczęśliwego dnia nie zaznałem.”

Zakończywszy list słowem „Adieu”, Robert ujął pistolet, przechylił się w tył na krzesło, zajrzał do lufy. Przyłożył broń do skroni i po krótkiej chwili pociągnął za cyngiel. Rozległo się słabe pstryknięcie - nic więcej.

„Samotny nieborak” zbadał pistolet, sprawdził, że jest nabity. Jego determinacji jedna porażka nie zachwiała. Spróbował znowu. Ciche pstryknięcie i głośnie:

- Psia krew!

Z irytacją rzucił knąbrny pistolet na stół. Patrzył nań gniewnie:

- Czy muszę sobie poderznąć gardło? - powiedział głośnie i dodał z niesmakiem: - Niechlujna robota!

Drzwi pokoju otwarły się nagle. Maskelyne podszedł do stołu i zaproponował:

- Chodź, przejdziemy się nad morze!

Napotkawszy zamiast odpowiedzi zrozpaczone spojrzenie, wziął pistolet, podszedł do okna i strzelając beztrzesko, wpakował jedną za drugą dwie kule w pień palmowego drzewa przed domem.

Robert zerwał się na równe nogi, chwycił z ręki kolegi pistolet, który nie zechciał go zabić i wyrzucił szerokim łukiem daleko w ogród.

- Widocznie mój czas jeszcze nie nadszedł - powiedział do zdziwionego druha. - Może jednak opatrność chowa coś dla mnie w zanadrzu. Chodźmy nad morze!

Górnolotna retoryka. A jednak miała się urzeczywistnić w stopniu, o jakim Robertowi nawet się nie śniło.

Clive zyskał sobie wkrótce opinię ponurego gbura. Chociaż skarżył się w listach, że nie

zaprzyjaźnił się z ani jedną rodziną, wina leżała po jego stronie. Pogardzał swymi zwierzchnikami w Kompanii tak samo, jak niegdyś nauczycielami. Trzymał się z dala od kolegów, oprócz jednego Maskelyna, który nadaremnie usiłował go wciągnąć w życie towarzyskie angielskiej kolonii, gdzie on sam znajdował miłe odprężenie i atmosferę przyjaznej sympatii.

Od biernej dumy odosobnienia, Clive przerzucił się do aktywnej agresywności. Starszy kupiec Kompanii i członek rady gubernatora, Patrick Gavin, doradzał młodemu kanceliście, mając jego własne dobro na uwadze:

- Pracujesz pan dobrze, ale samą tylko pracą daleko w Indiach nie zajdziesz. Musisz starać się zyskać sobie przyjaciół. Tu jest niejeden, który może przeszkodzić w awansie albo popchnąć naprzód, zależnie od tego tylko, czy pana polubi, czy też nie.

Clive wiedział doskonale, że Gavin miał słuszość. Ale jeśli

Gavin miał słuszość, to on, Clive, jej nie miał. A tego uznać nie chciał. Szukając odpowiedzi, trafił na najgorszą z możliwych:

- Ludzie, którzy zwą się moimi zwierzchnikami - odrzekł - są rzeczywiście takiego pokroju, że awans wcale nie zależy od zasługi. Gardziłbym sobą, gdybym starał się wspinać po tej drabinie.

Zrozumiałe, że Gavin poczuł się obrażony tak wyraźną zniewagą i doniósł o niej gubernatorowi Nicholasowi Morse. Ten nie był człowiekiem o wybitnej indywidualności, ale nie brak mu było dobrej woli ani taktu. Poprzednio Clive dostał od niego pozwolenie na korzystanie z jego biblioteki, składającej się głównie z literatury klasycznej, dzieł o historii Indii i sprawozdań z działalności Kompanii w Madrasie. Mało młodych ludzi przejawiało taką chęć dokształcania się i Morse - jak niegdyś dr Eaton, dyrektor pierwszej szkoły małego Roberta - dostrzegł w młodym kanceliście cechy nieprzeciętnego charakteru i zdolności. Po doniesieniu Gavina, gubernator zawiązał Clive'a na rozmowę. Powiedział mu, że przewiduje dla niego wielką przyszłość w służbie Kompanii i jednocześnie przestrzegł, aby własną arogancją nie kładł sobie kłód pod nogi.

- Twoje opinie o zwierzchnikach nie zmienią ich w niczym - mówił. - Lepiej zatrzymaj je dla siebie aż do chwili, gdy znajdziesz się w pozycji, umożliwiającej ci wywieranie na nich jakiegoś wpływu.

Clive z gabinetu gubernatora poszedł prosto do Gavina:

- Stosując się do rozkazu gubernatora, niniejszym przepraszam pana za obrazę!

Nie zwracając uwagi na niezbyt uprzejmy ton tych słów, Gavin zaprosił młodego urzędnika na obiad do swego domu. I znowu spotkał się z szorstką nieuprzejmością:

- Gubernator kazał mi pana przeprosić, co uczyniłem. Nie kazał mi jeść z panem obiadu! - I wyszedł z pokoju.

Nic. dziwnego, że urzędnicy Kompanii uznali go za beznadziejny przypadek, a nie chcąc narażać się na grubiaństwo, przestali posyłać mu zaproszenia - które ignorował - na przyjęcia, obiady, pikniki i inne towarzyskie okazje tego rodzaju - może dość proste rozrywki, ale pomagające miłe spędzić chwile odpoczynku.

W roku 1745 w kolonii europejskiej w Madrasie wybuchła ostra epidemia. Od maja do listopada zmarło dwanaście osób, przeważnie młodych mężczyzn, którzy nie zdążyli się jeszcze zaaklimatyzować. Clive zachorował, przez kilka dni stan jego był krytyczny. Rekonwalescencja pogłębiła nastrój melancholii. W listach do rodziny i przyjaciół z tego okresu wciąż się przebija ton znużenia, frustracji, ledwie zawoalowany żal z powodu przedsięwzięcia wyprawy do Indii.

W ciągu pierwszych dwóch lat jego pobytu w Madrasie zdarzył się jeden tylko incydent -

tragiczny dla innych, wmieszanych w to osób - który, jak się wydaje, przyniósł Robertowi Clive pewną satysfakcję. Podczas przedłużającego się postoju w Pernambuco, w drodze do Indii, Robert wydał wszystkie pieniądze - niewiele tego było - jakie otrzymał, wyjeżdżając z Anglii. Zniszczył też ubranie. Po przybyciu do Indii kupił więc trochę najpotrzebniejszych rzeczy od kapitana Stewarda z „Winchesteru”, podpisując zobowiązanie, że spłaci mu należność w ciągu dwunastu miesięcy. Donosząc ojcu o tej transakcji Robert narzekał, że Steward „nie tylko policzył mu wygórowaną cenę, ale jeszcze dodał odsetki w wysokości 50⁸/o... „W sumie dług wyniósł ponad trzydzieści funtów szterlingów. „Doprawdy sędzę, że gdybym te rzeczy kupił w Anglii, nie kosztowałyby ani piętnastu funtów... Kapitan niezbyt wspaniałomyślnie się znalazł...”

W irytacji z powodu ciążącego na nim długu Robert zapomniał o dobrodusznej opiece i pobłażliwości, z jaką kapitan odnosił się do niego w czasie podróży z Anglii. I na końcu tegoż listu Clive dodał post-scriptum:

„Dostałem właśnie wiadomość o śmierci kapitana Stewarda w Bengalu”.

Bez słowa współczucia czy żalu za człowiekiem, który ocalił Roberta Clive od utonięcia. Doprawdy, lakoniczny ton wzmianki sugeruje nieomal zadowolenie z tego, że kapitana Stewarda tak szybko spotkała kara za brak wspaniałomyślności. A może tylko zadowolenie z tego, że nie potrzebował się więcej kłopotać o zapłacenie długu!

Rozdział V

UCIECZKA I POJEDYNEK

Około północy, październik, rok 1746. Oszklone drzwi, prowadzące na werandę w jednym z domów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Madrasie stały otworem, lecz zasłonięte długimi firankami. W pokoju dwaj mężczyźni, ciemnoskórzy, o czarnych brodach, jeden wysoki i barczysty, drugi średniego wzrostu, obaj w turbanach i powłóczystych białych szatach, spoglądali na siebie uważnie. Nagle wybuchnęli śmiechem. Jeden powiedział:

- Przed paru godzinami: kanceliści Kompanii; teraz: hinduscy dubosze!

Mianem tym zwano tłumaczy.

- Potrzeba, a raczej Dupleix, matką wynalazków! - odparł drugi. - Chodźmy!

Przebrani mężczyźni, każdy z żywnością w małym tłumoczku, nie zwrócili niczyjej uwagi, gdy przemykali ulicami, wychodząc z Madrasu. Wszyscy w mieście zanadto byli przejęci własnymi sprawami i własną przyszłością, by sobie zaprzętać głowy dwoma rzekomymi „duboszami”. Para brodaczy wyprawiała się do Fortu Św. Dawida, obronnego bastionu Kudaluru, odległej o jakieś dwieście kilometrów faktorii Kompanii. Jak i Madras, Kudaluru mieścił się na wybrzeżu, nie było więc obawy zabłądzenia; ale ponieważ między Madrasem a Kudalurem leżało Pondicherry, główny ośrodek francuski w południowych Indiach, trzeba go było okrążyć szerokim łukiem; a i tak uciekinierzy musieli przejść terytoria, opanowane przez nieprzyjaciela. Nie odważali się iść w ciągu dnia, ani też skorzystać ze sposobności podwiezienia na zaprzężonym w bawoły wozie, aby ich najlepszy akcent nie wzbudził podejrzeń powożącego nim nędzarza i nie skłonił go do zdrady w nadziei otrzymania nagrody. Dnie przesypiali między piaszczystymi wydmiami, a później w gajach palm kokosowych. Nocą maszerowali tak prędko, jak tylko mogły ich unieść młode nogi. Wstrzymywały ich ulewne monsunowe deszcze, które pewnej nocy spłynęły potokami wody z chmur tak niskich, że wydawało się, jakby je można było dotknąć podniesioną ręką. Przykucnięci pod palmą, narzucali swoje długie szaty na głowy. Ale brunatna farba na ich twarzach rozpląnęła się zdradzieckimi smugami. Trzeba było koniecznie naprawić to, co stanowiło najważniejszą część ich przebrania. Wyszukali roślinę, z której wyciśnięty sok skutecznie przyciemniał skórę.

Zanim wędrowcy przebyli połowę drogi, lekkie obuwie, jakie nosili, rozpadło się w strzępy. Sto kilometrów trzeba było przejść boso.

- A białe stopy nie pasują do brunatnych twarzy! - mruknął niższy z dwóch „duboszy”.

I co wieczór musieli aplikować na stopy roślinną farbę. Skóra od tego ciemniała, ale bynajmniej nie twardniała, toteż przez parę dni posuwali się bardzo powoli na obolałych bosych stopach.

Wyższy z dwóch wędrowców stale zostawał w tyle, ale niższy nie chciał zwolnić kroku, ani przedłużyć dziennego odpoczynku choćby na jedną noc.

- Trzeba dokończyć, cośmy przedsięwzięli - mówił. - Dasz rady iść. Musisz. Niebezpiecznie tu marudzić.

Więc jego towarzysz kuśtykał dalej, spocony, obolały, narzekający.

Zbliżywszy się do Pondicherry, skręcili w głąb lądu, by uniknąć niepożądanego spotkania. Opuścili wówczas jałowe pustkowia, do których przywykli w okolicach Madrasu i weszli w krainę urodzajnych plantacji, gdzie rosły w obfitości ananasy, pomarańcze, cytryny, granaty, banany, owoce mango i bambusy. Żywność, którą wędrowcy zabrali ze sobą, skończyła się o dwa dni wcześniej; ostatnio żywili się kokosami. Teraz łąpczywie rzucili się na apetyczne owoce. Zbyt łąpczywie, Przez dwa dni i dwie noce musieli ryzykować pozostanie w jednym miejscu, w zaroślach, cierpiąc na biegunkę, która ich wycieńczyła, a gdy wyruszyli znowu, znacznie opóźniła tempo ich marszu. Przebycie ostatnich pięćdziesięciu kilometrów zajęło im dwakroć tyle czasu, co pierwszych pięćdziesięciu po wyjściu z Madrasu.

Wreszcie, w trzy tygodnie po wyruszeniu, tuż przed wschodem słońca, dwaj „dubosze”, milczący teraz, powłócząc obolałymi nogami, dotarli do Fortu Św. Dawida. Przeszedłszy między rzędami zawsze zielonych tulipanowców, zatrzymali się przed schludnymi domostwami i starannie utrzymanymi ogrodami urzędników Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Kudalu-rze. Wyczerpani, oparli się o pnie wysokich palm i popatrzyli na siebie, tak, jak przed wyjściem z Madrasu, ale tym razem bez śmiechu, tylko z wzajemnymi, milczącymi gratulacjami. Dopięli swego. Byli żywi i wolni. Niższy wyciągnął brunatną rękę i uściśnął dłoń towarzysza.

- Tego żaden z nas nigdy nie zapomni - powiedział wyższy. - Wątpię, czy dałbym rady, gdybyś ty nie poganiał tak nieubłaganie.

Odpowiedź była charakterystyczna:

- Co trzeba, to się zrobi!

Bezpośrednim powodem tej dość awanturniczej ucieczki Roberta Clive i Edmunda Maskelyne do Kudaluru było zdobycie Madrasu przez Francuzów, którzy zagarnęli wszystkie towary, zarówno należące do Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, jak i stanowiące prywatną własność jej urzędników. Ale to wydarzenie, a pośrednio i ucieczka, miały swe korzenie w bardzo odległych sprawach - całej historii Indii.

Mawiano, że bogactwa naturalne były w ciągu wieków przyczyną nieszczęść Indii. Może słuszniejsze byłoby twierdzenie, że przyczyną były raczej bogactwa nagromadzone, gdyż Indie nie posiadały tak wielkich naturalnych zasobów złota i drogocennych kamieni, jak przypuszczano. Ale nagromadzone bogactwa nie były jedyną przyczyną. Był również powód geograficzny: rozległość obszaru Indii. W epoce powolnej komunikacji tylko człowiek genialny mógł sprawować skuteczną władzę nad olbrzymim terytorium, gdzie interesy podległych książąt często były sprzeczne z interesami cesarza. Tacy ludzie rzadko się trafiają. Gdy nie czuli nad sobą silnej i sprawnej ręki władcy, lokalni książęta - chciwi, ambitni, bezwzględni - wojowali między sobą, każdy dążąc do supremacji, każdy usiłując rozszerzyć własny krąg wpływów i własne terytoria[^] z których mógł ściągać podatki. Tak czynnik geograficzny - rozległość obszaru - doprowadził do słabości Indii: wewnętrznego skłócenia. Korzystali z tego coraz to nowi grabieżcy i zdobywcy.

Brak jednolitej państwowości w Indiach skusił w XI i XII wieku władców muzułmańskich do najazdu na północne prowincje, z których wygnali w góry rodzimych hinduskich radżów i założyli swą stolicę w Delhi. W dwieście lat później muzułmańscy wodzowie, podlegli Wielkiemu Mogołowi, podminowali władzę centralną tak, że gdy nadszedł Tamerlan Wielki, grabiąc i łupiąc, nie napoił żadnego poważniejszego oporu. W roku 1556 władca muzułmański Akbar wstąpił na tron cesarski i w ciągu swego blisko półwiecznego panowania rządził jednym cesarstwem od

Afganistanu na północy do granic Hajderabadu. Był człowiekiem o niezmożonej energii, wielkim administratorem, który założył i utrzymywał feudalną organizację państwa, wykorzenił wyzysk wieśniaków, narzucił jednolity dla wszystkich wymiar sprawiedliwości, rozwinął handel, tolerował wszelkie religie, opiekował się nauką i sztuką, zakładał szkoły w całym swym olbrzymim państwie.

Prawnuk Akbara, Aurangzeb, który w roku 1658 wstąpił na sławny „Pawi tron” w Delhi - arcydzieło z epoki panowania jego ojca, Szah-Dżahana, podobnie jak słynny na cały świat grobowiec Taj Mahal w Agra - rozszerzył panowanie Mogołów w Indiach jeszcze dalej na północ, a na południu objął cały obszar półwyspu prócz wysuniętego przylądka. Ale pod koniec panowania Aurangzeba właśnie wewnętrzne zaczęły osłabiać państwo, częściowo w wyniku jego własnej krańcowej bigoterii, która zrażała Hindusów, a częściowo w wyniku wzrastającej siły i agresywności Mahrattów, rozbójniczego narodu hinduskiego z Indii Środkowych. Po śmierci cesarza w roku 1707 proces rozpadu uległ przyspieszeniu. Nadir, szach Persji, najechał kraj, zdobył cesarską stolicę Delhi i wywiózł łupy - wśród nich „Pawi Tron” - wartości blisko dwudziestu milionów funtów szterlingów. Nieudolność rządu cesarskiego, który nie potrafił bronić ani granic państwa, ani stolicy i nagromadzonych skarbów, zachęciła ostatecznie mahrackich „su-badarów” (gubernatorów), a także hinduskich i muzułmańskich nababów do odtrącenia supremacji Delhi, najeżdżania słabszych sąsiadów i wojowania z silniejszymi.

W epoce, gdy Clive przyjechał do Indii, przemoc była prawem, rozpasaly się mordy i grabieże. Najbardziej w tych walkach o władzę cierpiały warstwy najuboższe. Subadarowie i nababowie waśnili się, a poborcy podatkowi i inni urzędnicy praktykowali wymuszanie w rozmaitych formach. Wieśniacy powiadali: „Bawół idzie do tego, kto trzyma kij”. A jednak niebawem miały nadejść czasy, kiedy ci sami wieśniacy i ich potomstwo będą wołać o przywrócenie tego zwyczajnego wyzysku, praktykowanego przez ich własnych rodaków, zamiast świetnie zorganizowanego, absolutnie bezwzględnego, nieuniknionego wyzysku, wprowadzonego przez przedstawicieli obcej, kupiecko-grabieżczej cywilizacji. Gdyż powszechna anarchia dostarczyła „miłującym pokój kupcom” zarówno z Francji jak i z Anglii idealnej sposobności. Nieład, zamieszki obudziły w nich nadzieje narzucenia własnej suwerenności na tak rozległych ziemiach, jakie tylko zdołaliby zagarnąć.

Interesami Francji w Indiach kierował Joseph Dupleix,



Fort Św. Jerzego, Madras. Rok 1754 człowiek zdolny, energiczny i kompletnie pozbawiony skrupułów. Obserwując jego metody Robert Clive nauczył się niejednego skutecznego podstępu, który później sam będzie praktykował. Gdy w roku 1744 wybuchła w Europie wojna angielsko-francuska, Francja zaczęła się obawiać o swe posiadłości w Indiach. Zwierzchnicy Dupleixa polecieli mu dojść do porozumienia z angielskim gubernatorem Madrasu, Nicholasem Morse, i uzgodnić, że wojna

między dwoma państwami nie zostanie rozszerzona na ich placówki w Indiach. Ale Morse otrzymał od Kompanii Wschodnio-Indyjskiej inne wskazówki. Z Anglii wysłano do Madrasu silną eskadrę okrętów wojennych pod dowództwem komodora Curtisa Barnetta ze specjalną misją niepokojenia, a jeśli się da - zniszczenia francuskich posiadłości. Gubernator Madrasu musiał więc odrzucić propozycje Dupleixa.

Po przybyciu, Barnett oczyścił Ocean Indyjski ze statków francuskich, włącznie z ładunkami, w które Dupleix zainwestował swoją osobistą fortunę. Rozwścieczony stratą Francuz wezwał na pomoc najbliższą eskadrę francuską, dowodzoną przez admirała La Bourdonnais, gubernatora wysp francuskich na Oceanie Indyjskim. Był to początek - choć jeszcze nikt nie zdawał sobie z tego sprawy - długicli zatargów między Anglikami a Francuzami nie tylko o przywileje handlowe, ale o władzę na subkontynencie Indii.

W Dekanie - mniej więcej tej części Indii, która leży między rzekami Narbudą a Kistną - rządził podówczas cesarski subadar nazwiskiem Nizam-ul-Mulk. Nominalnie podlegał mu zarządca Karnataki - prowincji ciągnącej się od Wschodnich Ghatów do wybrzeża Koromandelskiego, gdzie znajdowały się angielskie i francuskie osiedla - nabab Arcotu, An-war-ud-din. Ci dwaj ustalili swoją władzę po latach krwawych waśni, wzajemnego przekupywania, morderstw, najazdów i kontrnajazdów, i wszelkich okropności wojny domowej. Obaj na swoich tronach czuli się dość niepewnie. Zwłaszcza Anwar-ud-din nie cieszył się bynajmniej popularnością: podejrzewano go o udział w zamordowaniu jego poprzednika, a także młodzika, którego subadar Dekanu wyznaczył na następcę nababa po dojściu do pełnoletności.

Przybywszy na Wybrzeże Koromandelskie, La Bourdonnais odpędził eskadrę angielską i po naradzie z Dupleixem wysadził na ląd dwa tysiące wojsk, by zająć Madras. Tak zaczęła się wojna, która ze zmiennym szczęściem miała się toczyć przez piętnaście lat.

Kompania Wschodnio-Indyjska nie troszczyła się o sprawę obronności Madrasu. Fortyfikacje były zaniedbane, a do obsługi dwustu dział brakowało kanonierów i kul. Cały garnizon liczył raptem trzystu ludzi, z czego połowę stanowili najemni metysi portugalscy. Gubernator Morse zwrócił się więc o pomoc do Anwar-ud-dina, ale zaniedbał podtrzymania swej prośby zwyczajowym hojnym podarunkiem. Kiedy nabab czekał, co dostanie od Anglika, mądrzejszy Dupleix pośpiesznie obiecał mu znaczną sumę pieniędzy i oddanie Madrasu wzamian za pozwolenie zaatakowania angielskiego miasta.

Clive stał przy oknie w biurach Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, obserwując rezultaty bombardowania miasta, rozpoczętego przez La Bourdonnais.

- Wyjątkowo mało skuteczne! - mruknął szyderczo. Rzeczywiście, w ciągu dwu dni trwającego oblężenia tylko pani Anglików i czterech Portugalczyków poległo od bomb. Jednakże bombardowanie osiągnęło cel zamierzony przez admirała, chociaż w sposób, którego nie przewidywał.

- Mój Boże! Trafili w magazyny z arakiem! - wykrzyknął Clive do Maskelyne'a. - Teraz się zacznie zabawa!

Trudno to było nazwać zabawą. Żołnierze garnizonu woleli trunek od walki. Po pijanemu zaczęli się buntować. Atakujący nie budzili tyle strachu, co perspektywa grabieży i gwałtów pijanego żołdactwa, więc tłum krajowców rzucił się do bram siedziby gubernatora Morse.

- Będą żądali poddania miasta - powiedział Clive. - Zobaczysz.

- Dziwisz im się? - odparł Maskelyne. - Czemu mieliby narażać się na wysadzenie w powietrze

albo zranienie bombami, jeśli dla nich cała sprawa polega na zamianie angielskiego pana na francuskiego pana?

Mniej usprawiedliwione było tchórzostwo starszych urzędników Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, którzy również zwrócili się do Morse'a tłumacząc mu, że bombardowanie zniszczy ich domy i składy towarów, źródło ich osobistych zysków.

- Jeśli się poddamy - nalegali - to Francuzi, choćby nawet zagarnęli to, co stanowi własność Kompanii, z pewnością zezwolą nam kontynuować nasze prywatne transakcje handlowe.

Nie wiedzieli, jakim człowiekiem był Dupleix, który właśnie stracił osobistą fortunę z powodu działań angielskiej floty.

La Bourdonnais istotnie zaproponował bardzo wspaniałomyślne warunki poddania, które Morse przyjął. Ale admirał pokłócił się z Dupleixem o to, który z nich ma kierować całością operacji wojennych i wobec tego odpłynął ze swoją eskadrą.

Dupleix przekreślił poprzednie wspaniałomyślne warunki poddania, a będąc w posiadaniu miasta, narzucił własne, które oznaczały ruinę interesów Kompanii i jej kupców. Wojska francuskie zajęły Madras, skonfiskowały wszystkie towary - należące do Kompanii i prywatne - i dały urzędnikom do wyboru: albo złożenie przysięgi na wierność Francji, albo wysiedlenie na parol do Pondicherry.

Żadna z tych alternatyw nie odpowiadała Robertowi Clive.

- Wynoszę się stąd - powiedział do Maskelyne'a. - Nie przyjechałem do Indii po to, by mnie jako jeńca prowadzono ulicami Pondicherry, ku wzdorliwej uciechu Francuzów i tubylców. Jestem wolnym poddanym króla angielskiego i takim zamierzam pozostać. Muszę jakoś dotrzeć do Fortu Św. Dawida.

- Mrzonki! - zaprotestował Maskelyne. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, że Fort Św. Dawida jest o paręset kilometrów stąd? I że trzeba się przedostać przez francuskie terytoria? A jeśli cię złapią jako zbiega, potraktują dużo gorzej niż teraz, razem z innymi jeńcami.

- Chodzi o to, żeby nie dać się złapać - odparł Clive, wzruszając ramionami.

Maskelyne westchnął.

- Nie ma chyba sposobu, żeby cię powstrzymać. Gdybyś ryzykował tylko własną głową... Ale będziesz i mnie miał na sumieniu!

Clive, już w drzwiach, odwrócił się gwałtownie: oczy i usta otwarte w zdumieniu.

- Jeśli ty pójdziesz, ja idę z tobą! - oznajmił Maskelyne. Tak więc pod koniec października 1746 roku, dwaj młodzi kanceliści, przebrani za „duboszów”, bliscy wyczerpania, ledwo stąpając na obolałych stopach, dotarli do celu.

Fort Św. Dawida Anglicy kupili od Mahrattów w 1690 roku. Zgodnie z tą transakcją nabyli również okoliczne wsie, „tak daleko wokoło, jak sięgnie kula wystrzelona z armaty”. Kanonier znał się na rzeczy. „Wystrzelona kula” znalazła się za Kudalurem, a wsie krajowców włączone do transakcji znano odtąd jako „Gundu Graman” albo „wsie kuli armatniej”. Zupełnie niepodobny do Fortu Św. Jerzego, Fort Św. Dawid był silną twierdzą, zbudowaną na wzniesieniu. Klimat tu był łagodniejszy, a okolica bogata w sady i gaje palmowe. Do siedziby gubernatora, zwanej „Domem w Ogrodzie”, prowadziły długie, cieniste aleje wysokich drzew.

Gubernator Hinde, człowiek rozumny, odważny i zacny, gościnnie powitał przybyszów, z wielkim uznaniem rozwodził się nad odwagą, z jaką przedostali się przez kraj będący w rękach nieprzyjaciela. Jego urzędnicy z hojną serdecznością zaproponowali młodzieńcom - którzy nie

posiadali niczego, prócz przebrania - aby zechcieli sobie wybrać, co im potrzeba z garderoby. Clive, jak zwykle, uniósł się dumą.

- Niech mi przyślą, co mogą - powiedział. - Muszę to przyjąć. Ale nie będę chodził do nich po prośbie i wnosił podarowane w charakterze jałmużny łachy, choć jestem teraz goły!

W Kudalurze był już komplet kancelistów, Clive i Maskelyne znaleźli się więc bez zajęcia. Życie w niewielkim forcie płynęło monotennie. Wobec toczącej się wojny zaniechano zwykłych polowań i wycieczek rzeką. Nawet statki z kraju nie zawijały, by przerwać nużącą monotonię. Hazard pozostał jedynym sposobem zabijania czasu. W tych warunkach humory nie dopisywały, nerwy zawodziły, sprzeczki łatwo wybuchały.

Pewnego wieczoru niejakiemu Basilemu Franklinowi - był to wysoki, tęgi, brutalnie wyglądający młodszy kupiec - szła karta nadzwyczajnie, wygrywał od młodszych kolegów grube sumy. Clive przegrał już pieniądze, które udało mu się przynieść z Madrasu, ale z gry się nie wycofywał. Obserwował bacznie. Na pokrycie dalszych przegranych dawał Franklinowi podpisane odręcznie pokwitowania. Nagle skoczył z miejsca, odtrącając krzesło, które przewróciło się z łomotem. Wygrając palcem partnerowi, zawołał groźnie:

- Oszukujesz, mój panie! Odwołuję moje honorowe długi. Wpierw mnie piekło pochłonie, nim zapłacę ci jedną więcej annę!

Kupiec i bezrobotny kancelista patrzyli na siebie, jak rozzarte psy. Pozostali gracze i kilku kibiców wstrzymało oddech. Któryś ze starszych mężczyzn wmieszał się:

- Dajcie spokój, wy dwaj. Ja zapłacę długi naszego młodego gościa, Franklinie.

Wiedzieli wszyscy, że Basil Franklin istotnie oszukiwał. Ale wiedzieli również, że fechtował się i strzelał wybornie. Woleli zapłacić niż stawiać mu czoła.

- Nie uczyni pan nic podobnego! - Clive zwrócił się do starszego, poważnego mężczyzny. - Ten... ten człowiek oszukiwał!

Basil Franklin pobladł, ale zachował zupełny spokój.

- Dasz mi pan satysfakcję - powiedział. - Proszę wybrać broń!

- Pistolety - odparł bez wahania Clive, jako że nigdy w życiu nie miał szpady w rękę.

Wyniesiono świece na werandę. Krokami odmierzone odległość. Wyciągnięto losy - Clive miał strzelać pierwszy. Jego oponent stanął naprzeciwko niego z wyrazem szyderstwa na bladej twarzy. W migotliwym blasku świec Clive wymierzył spokojnie, uważnie, wystrzelił. Kula minęła nieszkodliwie jego przeciwnika, utknęła w drewnianym słupie na końcu werandy. Franklin roześmiał się, z ulgą i pogardą zarazem. Podrzucił własny pistolet do góry, aż wywinął kozła, złapał go, podszedł do swego oskarżyciela i przyłożył mu do głowy chłodną lufę pistoletu.

- Cofnij oskarżenie - powiedział.

- A jeśli nie cofnę?

- To strzelę.

- Więc strzelaj i niech cię diabli porwą, jak swego. Powiedziałem, że oszukiwałeś. I powtarzam to. A ty wiesz, że to prawda!

- Musisz być szalony! - rzekł Franklin. Cisnął pistolet przez balustradę werandy w krzaki i wyszedł, spuszczaając i zapinając po drodze biały rękaw swojej koszuli.

- Drań z niego - mruknął jeden ze świadków. - O tym jego oszukiwaniu w kartach powinno się zaraportować gubernatorowi. Wszyscy jesteśmy świadkami.

Clive zwrócił się ostro do mówiącego:

- Darował mi życie. Nie zapłacę mu, co wygrał oszukaństwem, ani nigdy więcej nie będę przebywał w jego towarzystwie. Ale też nie chcę mu zrobić nic złego.

Wydarzenia najbliższej przyszłości tak się ułożyły, że Clive nie miał po temu sposobności. W tydzień po aferze z oszukiwaniem i pojedynkiem, znaleziono Basila Franklina w jego łóżku, ze sztyletem wbitym w serce. Jego służący, krajowiec, nad którym znęcał się z wyrafinowanym okrucieństwem za najmniejsze przewinienia, jak ogólnie wiadano - zniknął bez śladu.

Od zajścia z nieudanym samobójstwem, Clive uważał się za wybranego głównego aktora w przedstawieniu, które dopiero miało być odegrane. Tego rodzaju pogład na własną osobę wygodnie zastępuje sumienie.

- Jakaś niewidzialna moc - zauważył po śmierci Franklina - ustrzegła tego oszusta od mojej kuli, aby nie pozbawić godziny zemsty kogoś, kto więcej od niego ucierpiał.

Ale to nie „niewidzialna moc” kierowała ostatecznie przed-stwieniem, w którym Clive zagrał główną i bardzo lukratywną rolę. Dekoracji dostarczyły bajeczne bogactwa Indii, a scenariusz napisała pożądliva chciwość dyrektorów, udziałowców i urzędników Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Rozdział VI

POCZĄTEK WOJENNEJ KARIERY

- Jeśli zechce pan zgłosić się na ochotnika w pilnej potrzebie, panie Clive, otrzyma pan mundur i rangę chorążego i będzie miał sposobność wyróżnić się, czego, o ile zdążyłem się zorientować, pan sobie gorąco życzy.

Tymi słowami zwrócił się gubernator Hinde do młodego „du-bosza” w jakieś cztery tygodnie po jego przybyciu do Fortu Św. Dawida. Clive przyjął propozycję z całą skwapliwością.

„Pilną potrzebę” spowodowała wiadomość, że Dupleix gromadzi w Pondicherry wojska, które miały być wysłane na Kudalur, wyraźnie dążąc do całkowitego usunięcia Anglików z południowych Indii i ustalenie tam niekwestionowanej przewagi Francuzów, ekonomicznej i politycznej. Go prawda, Francuzi nie ponoszą wyłącznej winy za wieloletnie walki, które się wówczas rozpoczęły. Anglicy wyrażali intencje podobne do intencji Dupleixa. W tych krajach samo istnienie cudzoziemskich monopolistycznych kompanii handlowych, nastawionych na zdobywanie największych możliwie zysków, powodowało, że w miarę wzrastania rywalizacji między nimi, każda ze stron usiłowała wszelkimi środkami, nie cofając się przed zagarnianiem władzy politycznej i wszczynaniem wojen, wyeliminować drugą, jak Hiszpanie wyeliminowali rywali z Południowej Ameryki, a Holendrzy z Archipelagu Malajskiego. Przed wyjazdem do Indii, w domu swego ojca, Robert Clive przypominał, że prozes Kompanii Wschodnio-Indyjskiej już pod koniec XVII wieku postulował utworzenie w Indiach dominium angielskiego. Niezależnie od tego, czy zamierzenia kompanii francuskiej sprecyzowano równie wyraźnie, jej przedstawiciel Dupleix osiągnął początkowo sukcesy na drodze do celu, postawionego o pół wieku wcześniej przez Kompanię Wschodnio-Indyjską. I Dupleix szybko zrealizowałby te zamierzenia, gdyby gubernator Hinde nie był człowiekiem ulepionym z twardszej gliny niż Nicholas Morse i gdyby jego młody ochotnik nie wykazał się w ciągu najbliższych pięciu lat niezwykłymi zdolnościami.

Gwałtowna burza nie pozwoliła Francuzom atakować od strony morza. Zaczny gubernator określił ten szczęśliwy zbieg okoliczności w liście do Londynu jako „znak przychylniej opieki opatrznosci”, dodając:

„Chociaż zdaniem naszych oficerów, gdyby Francuzi nadciągnęli, więcej byśmy im czasu zajęli, niż go mają na zbyciu.”

Był to akcent dość lekkomyślnej brawury zważywszy, że garnizon Fortu Św. Dawida składał się zaledwie z dwustu Europejczyków, garstki hinduskich „peonów” (ordynansów i gońców), uzbrojonych w szable i dzidy, oraz setki półkrwi metysów portugalskich w charakterze piechoty. Tych ostatnich łatwo wyćwiczone w musztrze do paradnej defilady, ale trudniej było natchnąć ich odwagą w obliczu ognia artyleryjskiego i karabinowego. Z tymi kiepskimi siłami miano stawić czoła tysiąc siedmiuset Europejczykom, w tym jeździe, sześciu działom polowym i kilkunastu moździerzom, oraz kilku kompaniom krajowców z Madagaskaru. Takie wojsko Dupleix wysłał z

Pondicherry.

Jednakże Fort Św. Dawida niedawno wzmocniono, w magazynach znajdowały się zapasy na sześć miesięcy, a gubernator Hinde potrafił swą pogodną odwagą natchnąć mieszkańców miasta. Tym niemniej, by uniknąć niepotrzebnego ryzyka, Hinde zwrócił się do nababa Arcotu, Anwara-ud-dina, o pomoc. Ponieważ Dupleix nie zapłacił wszystkiego, co przyrzekł w zamian za zgodę na zaatakowanie Madrasu, nabab chętnie przychylił się do życzenia Anglika.

O świcie dnia 9 grudnia Francuzi pod dowództwem wyższego oficera wojsk Dupleixa, majora Bury, zdobyli otoczony murem sad gubernatorskiego „Domu w Ogrodzie”. Nie napotkali właściwie żadnego oporu, bo mniej liczebny garnizon Fortu Św. Dawida wolał pozostać za stosunkowo bezpiecznymi murami twierdzy. Czując się pewni siebie i przekonani, że ich ostateczny atak też pójdzie gładko, Francuzi zabrali się do rozpalania ognisk i szykowania noclegów.

Clive i Maskelyne - który na własną prośbę również otrzymał nominację na chorążego - wraz z innymi przyglądali się z murów fortu tym prawie wzgardliwym zajęciom. Nagle widok się zmienił. Major Bury nie wiedział o niebezpieczeństwie, które mogłoby grozić ze strony nababa. I jego żołnierzy zaskoczył nieoczekiwany widok parotysięcznych wojsk krajowców, pędzących na „Dorn w Ogrodzie” pod wodzą dwóch synów nababa. Clive opisywał to później: „Gnali nie w żadnym wojskowym szyku, lecz hurmem, wrzeszcząc i wymachując bronią; konie w pełnym galopie, chorągwie rozwiane, słonie z donośnym trąbieniem.”

„Francuzi ledwie czas mieli za broń chwycić” pisał Clive, „ale nie zdołali się sformować, a w taką popadli panikę, że zamiast gotować się do odparcia ataku na własnych, z natury rzeczy obronnych pozycjach, wycofali się w kierunku Pondi-cherry w szyku dość nieskładnym, i nie odzyskali przytomności umysłu ani się nie uformowali jeszcze przez następne trzy mile (ok. 5 km). Gdyby ludzie nababa stanowili naprawdę siłę militarną i przypuścili atak, mogliby wyciąć ich do ostatniego...”

Clive pobiegł do gubernatora:

- Uczyńmy wycieczkę, panie gubernatorze! Teraz! Naszym ludziom nic nie grozi, a jeśli ich dopadniemy...

Hinde wysłał starszego oficera z Clivem, Maskelynem, stu pięćdziesięciu Europejczykami i pięćdziesięciu topasami (zwano tak oddziały krajowców w hełmach tropikalnych). Gdy synowie nababa stali ze swymi wojskami beczynnymi, ten nieliczny oddział pośpieszył za uciekającymi Francuzami. Nie zdołano jednak doścignąć ich wcześniej, aż po przebyciu blisko dziesięciu kilometrów, a przez ten czas uciekający, wielokrotnie liczniejsi od pościgu, ochłonęli trochę, sformowali szyk, wysunęli oddział jazdy jako tylną straż. Nie można ich już było zaatakować bez ryzyka poważniejszych strat, na które Anglicy nie mogli sobie pozwolić.

„Bądź co bądź, utracili wielu ludzi od strzałów, chociaż nieskładnych i przypadkowych, piechoty nababa, a także od celniejszego ognia naszych ludzi” ciągnął Clive w swojej relacji. „Francuzi dotarli do Pondicherry mocno wystraszeni i zmęczeni, porzuciwszy wojskowe bagaże, włącznie z kilkunastu skrzyniami muszkietów.”

Tak zakończyła się pierwsza militarna próba Clive’a. Wyniósł z niej mało respektu dla wojennych zalet wojsk indyjskich i ich dowódców, którzy na czele jazdy pozwolili uciec siłom pieszym, w nieładzie, i pięciokrotnie mniej licznym.

- Byli dzisiaj po naszej stronie - powiedział do Maske-lyne’a - ale gdybym kiedyś musiał im stawić czoła, choćbym dowodził siłami dziesięć razy słabszymi, założył się, że zdyscyplinowanie,

musztra i śmiałe dowództwo zmusi ich do ucieczki.

Przez jakiś czas Fort Św. Dawida zażywał spokoju, acz niezbyt pewnego. Cztery okręty marynarki francuskiej zawinęły do Pondicherry. A gubernator Hinde na próżno wypatrywał odsieczy w postaci floty angielskiej. Dupleix skorzystał ze sposobności, by spróbować odciągnąć Anwara-ud-dina od Anglików. Tłumaczył, że Anglicy na nic się nie przydadzą nababowi. Opuścili ich rodacy. Gdy ten argument zawiódł, Dupleix posłał oddział wojsk do Madrasu z rozkazem zniszczenia kilku wsi tak, by wieśniacy nie byli w stanie płacić podatków nababowi. W końcu zapłacił resztę „ceny krwi” za Madras i zaoferował jako ostateczną perswazję dodatkowo pięć lakhów rupii (50 000 funtów szterlingów).

Niełatwo przyszło Anwarowi-ud - dinowi wybierać między Anglikami a Francuzami. Jako spokojni kupcy, płacący daniny, stosujący się do zwyczajów kraju, byli chętnie widziani. Ale gdy swój europejski konflikt przenieśli na terytorium Indii, jedni i drudzy stali się utrapieniem. Postanowił wyciągnąć od jednej i drugiej strony, co się da, popierając tego, który w danej chwili więcej płacił. Ponieważ nadwyżki finansowe z Kudaluru odesłano niedawno do kraju, więc gubernator Hinde nie mógł przelicytować Dupleixa. Nabab wycofał swoje wojska z pozycji, na których broniły Kudaluru. Nie prowadził polityki konsekwentnej ani też szczególnie skrupulatnej. Ale nie wiedział, kto wyjdzie zwycięsko z wojny europejskiej, Francuzi czy Anglicy; natomiast władcy indyjscy zorientowali się już, że „miłujący pokój” kupcy też niewiele przejawiali skrupułów.

Zapewniwszy sobie neutralność nababa, Francuzi przypuścili ponowny atak na Fort Św. Dawida. W pojedynku artyleryjskim obrońcy stracili ośmiu ludzi, atakujący dwudziestu dwóch, aż w końcu przybycie dziewięciu okrętów angielskich pod dowództwem admirała Griffina dało hasło do pośpiesznego i bezładnego odwrotu Francuzów.

Niebawem gubernator Hinde poważnie zachorował. Zabrano go na pokład jeden z fregat Griffina, wysłanej do kraju z depeszami. Hindego zastąpił Charles Floyer, łączący leniwe usposobienie ze zrywami nieprzemysłanej awanturni-czości.

Do Fortu Św. Dawida nadeszły posiłki: stu Europejczyków z Bombaju, stu pięćdziesięciu świeżych rekrutów z Anglii i czterystu sepojów z osady angielskiej na wybrzeżach Malabaru. A admirał Griffin pożyczył pięciuset marynarzy i stu pięćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej dla wzmocnienia garnizonu. Równie cenne było przybycie majora Stringera Lawrence'a, dawniej oficera wojsk królewskich, ostatnio w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, mianowanego dowódcą operacji wojskowych.

Korpulentny i jowialny, Lawrence nie wyglądał na tak wybornego i doświadczonego żołnierza, jakim był. Zdobył sławę wojenną walcząc przeciw Francuzom na kontynencie europejskim i przeciw szalonym atakom szkockich górali w bitwie pod Culloden, gdzie ostatecznie rozwiały się nadzieje Młodego Pretendenta, prawnuka Jana Sobieskiego, na odzyskanie dla swego ojca tronu Stuartów. Lawrence przeżył też немало przygód, wzięty do niewoli przez włoskich piratów, a pogłoski, że sam również trudnił się niegdyś piractwem raczej mu dodawały reputacji w oczach garnizonu Fortu, niż jej szkodziły.

Major Lawrence wykrył spisek wśród oficerów oddziału malabarskich sepojów. Przekupieni przez Dupleixa, mieli oni podczas następnej bitwy przejść na stronę Francuzów, powiesić dwóch przywódców, a resztę oficerów wysłać na banicję na wyspę Św. Heleny. Zlikwidowawszy spisek major zabrał się do zorganizowania całej załogi Fortu Św. Dawida według wymogów dyscypliny wojskowej. Uformowano bataliony i kompanie, zwerbowano oddziały jazdy, a wszystkie poddano

systematycznej musztrze.

- Takiego człowieka nam potrzeba! - oznajmił Clive i oddał się bez zastrzeżeń do dyspozycji majora. - Mam zamiar nauczyć się do niego wszystkiego, co będę mógł, bo według moich przewidywań, w Indiach żołnierz więcej zdziała dla swego kraju i szybciej zdobędzie fortunę od najsprytniejszego kupca.

W czerwcu, roku 1748 admirał Griffin wyprawił się na morze w poszukiwaniu statków francuskich, które, jak doniesiono, miały się znajdować w pobliżu. Dupleix skorzystał ze sposobności i pod nieobecność floty wysłał nową ekspedycję, by zdobyć fort i miasto Kudalur. W biały dzień, ostentacyjnie, major Lawrence wycofał swoje oddziały z miasta, licząc, że szpiegzy doniosą o tym Francuzom; a pod osłoną ciemności, ukradkiem, powrócił znowu do miasta, wydawszy żołnierzom rozkazy, by się ukrywali z nadejściem dnia.

Następnego ranka major Bury zaatakował miasto od strony północnej. Francuzi szli bez zachowania ostrożności, najwidoczniej w przewidywaniu łatwego zwycięstwa. Lawrence trzymał swoich żołnierzy w ukryciu i dopiero gdy Francuzi przystawili drabiny, by się wspiąć na mury, pozwolił wytoczyć działa do przodu. Salwa armatnia, oddana wprost w twarze atakujących, zmiotła ich tuzinami.

Ryk artylerii wstrząsał powietrzem, muszkiety i pistolety podtrzymywały urywany ostry warkot, stal trzaskała o stal, wrzaski rannych i strąconych z murów włączały się do ogólnego harmideru. Clive dowodził obroną odcinka murów. Wystawiał się na pociski, jak później relacjonował Maskelyne, z kompletnym lekceważeniem własnego bezpieczeństwa, zabijał wrogów, dosięgających szczytu murów, własnymi rękoma odpychał drabiny z pół tuzinem ludzi.

Napór ataku zelżał. Wycofano żołnierzy, wspinających się po drabinach. Nagle rozległy się okrzyki, że Francuzi atakują od strony południowej, słabiej ufortyfikowanej i obsadzonej. Lawrence kazał Clive'owi i Maskelyne'owi z ich plutonami pośpieszyć tam z pomocą. Gdy przybiegli na nowe pozycje, Francuzi już z niskiego ziemnego wału spędzali ustawionych tam sepojów. Clive rzucił się w wir walki, wzywając swoich ludzi, biegnących z zapalem w ślad za nim. Jednego z napastników ciał szabłą, drugiemu rozbił nos ciosem pięści. Nie bił się jak żołnierz fachowy, doświadczony, ale bił się tak, jak tego wymagała potrzeba danej chwili. Nie trwało nawet parę minut, a już Francuzi zaniechali ataku i pozostawiając wielu zabitych, porzucając drabiny i spore ilości amunicji, uciekali z powrotem do Pondicherry.

Trzykrotnie ludzie Dupleixa ponawiali ataki na Kudalur, i trzykrotnie odrzucali ich o wiele mniej liczni obrońcy. Lawrence z entuzjazmem oceniał dokonania młodych chorążych, a sam Clive unosił się radością.

- I nareszcie koniec nudy! - wołał. - Pocziwy stary Dupleix! Gdyby nie on, nadal gnuśnielibyśmy nad biurkami, wpisując wyniki transakcji naszych kupców. Nareszcie; możemy działać!

W najbliższej przyszłości miało mu się powiększać pole do działania i do dalszego ćwiczenia w sztuce militarnej.

W pobliże Kudaluru przybył admirał Edward Boscawen, wysłany z Anglii z silną flotą, do której wcielił eskadrę Griffina. Miał królewskie pełnomocnictwo, mianujące go wodzem naczelnym wszelkich operacji przeciwko Francuzom na morzu i lądzie. Chociaż zupełnie się nie znał na operacjach lądowych, w odróżnieniu od morskich, Boscawen bez zwłoki postanowił przystąpić do ofensywy i rozpocząć oblężenie Pondicherry, wbrew zastrzeżeniom majora Lawrence'a, który argumentował, że do tak poważnego przedsięwzięcia brak dostatecznie silnej artylerii, brak też

kanonierów i oddziałów inżynierskich.

Pondicherry było silnie ufortyfikowane, dobrze zaopatrzone i bronione przez liczniejsze siły od tych, jakie atakujący Anglicy mogli przeciw nim wystawić. Miasto założono w roku 1676, gdy Francuzi otrzymali od nababa wieś nadbrzeżną, zwaną Puducheri i zezwolenie na wzniesienie dookoła niej fortyfikacji. Osada prosperowała, rozumny gubernator pobudował solidne domy, magazyny i składy według planu europejskich stolic. Dodał też cytadelę, w której cieniu wkrótce żyło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Pierwotną nazwę przekreślono na Pondicherry.

Od początku źle się wiodło z tym niefortunnie pomyślanym oblężeniem. Boscawen zablokował wybrzeże od strony morza swymi okrętami i wydał rozkaz ataku na Areocopang, ufortyfikowaną wieś o trzy mile od miasta, chociaż, jak później pisał Clive, „gdybyśmy ją po prostu ominęli, nieprzyjaciel widząc nasze wojska oddzielające ich od Pondicherry, opuściłby ją natychmiast.”

W pierwszym ataku na Areocopang, niezbyt silnie zresztą broniony przez sepojów i oddziały francuskiej jazdy, angielscy marynarze i oddziały krajowców uległy panice, a major Lawrence i drugi jeszcze oficer, kapitan Bruce, próbując zawrócić uciekających, dostali się do niewoli. Strata Lawrence'a była poważnym ciosem dla oblegających. Jednakże francuska bateria w Areocopang wyleciała w powietrze, zabijając blisko stu żołnierzy garnizonu; w rezultacie reszta opuściła fort.

Rozpoczęto kopać nasypy w odległości półtora tysiąca metrów od Pondicherry. Francuzi dokonali wycieczki, rekruci angielscy, sepojowie i metysi znowu uciekli. Popłoch skończyłby się niezawodnie ogólną klęską, gdyby pluton Clive'a, złożony z trzydziestu ludzi, nie stał twardo na pozycji i nie zasypał Francuzów tak gwałtownym ogniem, że zabito dwudziestu siedmiu żołnierzy i jednego kapitana, a reszta schroniła się z powrotem za mury.

Jednakże przykład upartej odwagi Clive'a nie wystarczył tym razem, by przeważyć szalę błędów, popełnianych przez innych. Inżynierowie wzniesli nasypy pod armaty za daleko od murów obleganego miasta tak, że gdy tuzin dział 24-funto-wych i dwie baterie moździerzy rozpoczęły ogień, kule padały o wiele za blisko. Dupleix spacerował codziennie z żoną po murach, by ośmielić obrońców, którym zaiste nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ponieważ, jak skarżył się Clive:

„Widok planu tej operacji nasunąłby doświadczonemu oficerowi przekonanie, że to właściwie oblegający byli oblężeni, tak dalece byliśmy wystawieni na ogień doskonale obsługiwanych dział nieprzyjacielskich, dobrze umieszczonych między ich własnymi murami a nami.”

Francuzi z 37 ciężkimi działami niebawem zmniejszyli liczbę dział Boscawena do sześciu. Nadeszła pora monsunów i admirał, którego nieprzemyślany pośpiech przyniósł śmierć z ręki nieprzyjaciół i z powodu chorób, blisko tysiącowi marynarzy i żołnierzy - musiał zaniechać nieudanego oblężenia.

Uwagi Clive'a na temat tej porażki ujawniają jego talent wojskowy; dowodzą też, że potrafił skorzystać z praktyki pod kierunkiem majora Lawrence'a:

„Inżynierowie wybrali dla naszych okopów i nasypów miejsce najbardziej nieodpowiednie. Ponieważ było położone na zachód, więc musieliśmy codziennie posyłać silne oddziały, by eskortować wszystkie nasze dostawy wojskowe na odległość prawie dziesięciu kilometrów do okrętów, gdy Francuzi nie potrzebowali ani połowy tej odległości przebyć, by nasze zapasy przechwycić...Liczbę żołnierzy w naszej dyspozycji do ataków zmniejszało codzienne zatrudnianie ich przy tym eskortowaniu. Gdybyśmy nasze prace ziemne wykonali w kierunku północnym albo nawet na południe, uniknęłyby się tych niedogodności, wszystkie nasze zapasy byłyby pod ręką i można by je sprowadzać na ląd tracąc na to połowę czasu...Powinniśmy byli rozpocząć roboty

ziemne o sześćset lub siedemset metrów od murów, a wówczas działa byłyby tak umieszczone, że można by kulami zniszczyć fortyfikacje...Ocenia się, że jest prawie niemożliwością zdobyć obiekt oblężenia, dopóki siła ognia oblegających nie przewyższy siły ognia obleganych; a ponieważ w naszym wypadku było odwrotnie, nie mogliśmy wygrać w żaden sposób, co powinien był wiedzieć oficer inżynierii, jak i każdy inny, choć trochę znający się na rzeczy.” Na cudzych błędach i porażkach Clive pod Pondicherry nauczył się sporo: że panika szerzy się łatwo, że źle wyćwiczone oddziały muszą mieć dwakroć lepszych dowódców niż oddziały złożone ze starych, doświadczonych żołnierzy; że w operacjach oblężniczych należy starannie planować i energicznie prowadzić atak. W przyszłości, gdy sam będzie dowodził - zarówno na czele obleganych, jak i oblegających - wszystkie te nauki bardzo mu się przydadzą. Na razie należał do tych niewielu, którzy z klęski wynieśli dobrą naukę. Doświadczony oficer wojsk królewskich pisał później, że Clive „dzielnością zachowania, opanowaniem, umiejętnością dowodzenia ludźmi i bystrością oceny ujawnił pierwsze symptomy swego późniejszego ducha bojowego, który miał być sprężyną jego przyszłych poczynań.”

Przygotowania, czynione przez triumfującego, w radosnym uniesieniu Dupleixa do nowego ataku na Fort Św.Dawida zahamowała nagle wiadomość o podpisaniu w Aix-la-Chapelle traktatu pokojowego, który zakończył wojnę o austriacką sukcesję. Jedno z postanowień traktatu przywracało Madras Anglikom - chociaż Francuzi podminowali jego fortyfikacje i ogołocili składy.

Wydawało się, że Clive'owi nie pozostawało teraz nic innego, jak powrót do nudnej i uciążliwej pracy kancelisty. Ale do Fortu Św.Dawida wrócił z niewoli major Lawrence, który wraz z gubernatorem Floyerem zaplanował pierwszą interwencję - wojskową, ale w celach zysków - Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w sprawy wewnętrzne państw indyjskich i ich władców. Stary oficer wciągnął do udziału w tym przedsięwzięciu młodego chorążego, o którym miał już wysokie mniemanie. Skończyła się dla Clive'a harówka kancelisty, choć jeszcze o tym nie wiedział - skończyła się dzięki temu, że ujawnił wrodzony talent militarny, a także dlatego, że dzierżawcy zarówno Madrasu jak i Pondicherry odkryli teraz karty i zapragnęli zyskać dla siebie władzę nad całym Dekanem.

Rozdział VII

MENTOR ROBERTA CLIVE'A

Na południe od Kudaluru, wzdłuż przeszło stu kilometrów Wybrzeża Koromandelskiego, i blisko stu kilometrów w głąb lądu, rozłożyła się prowincja Tanjore. Jej dobrze nawodnione ziemie, ponoć rywalizujące z deltą Nilu pod względem żyzności, dają bogate zbiory ryżu z plantacji, leżących na przemian z olbrzymimi gajami cennych palm kokosowych. Stolica o tej samej nazwie, położona na prawym brzegu rzeki Gauvery, zasłynęła z wyrobu brokatów, dywanów, klejnotów i cennych inkrustacji w metalu.

Na jakiś czas przed nieudaną próbą admirała Boscawena zdobycia Pondicherry, księżę imieniem Shahaji, wnuk założyciela dynastii Mahrattów w prowincji Tanjore, został zdetronizowany przez swega przyrodniego brata, Pratapa Singha. Shahaji zwrócił uwagę na waleczność Anglików, której dowiedli w obronie Fortu Św. Dawida, i uznał, że z ich pomocą mógłby się pomścić na Pratapie Singhu. Poprosił więc Kuda-lur, by mu przysłano oddziały wojsk, a ponieważ Pratap Singh ujawnił swoje sympatie dla Francuzów, posławszy żołnierzy na pomoc oblężonemu Pondicherry, więc gubernator Floyer i admirał Boscawen z całą chęcią wyrazili gotowość dopomożenia wrogowi alianta Dupleixa - oczywiście, za pewną cenę. W razie powrotu na tron, księżę miał oddać Kompanii Wschodnio-Indyjskiej Dewikotę, fort i miasto u ujścia rzeki Coleroon na północ od Karikal. Dewikota *znana*, była z wyrobu pięknych, cienkich płócien lnianych, towaru szczególnie pożądanego przy transakcjach handlowych Kompanii.

Wysłano drogą morską majora Lawrence'a i tylu Europejczyków, ilu się dało, nie osłabiając zanadto własnych sił, włącznie z Robertem Clive i Maskelynem, obecnie w stopniu poruczników, i oddziałem półtora tysiąca sepojów. Wylądowali przy ujściu rzeki Coleroon i przekonali się, że są na wyspie, oddzielonej od fortu Dewikota odnogą rzeki, szerokości jakichś trzystu metrów. Wzniesiono nasyp, ustawiono baterię dział dwucieczestoczwierofuntowych i w ciągu trzech dni uczyniono poważny wyłom w murach. Jednocześnie skonstruowano drewniany prom, zdolny pomieścić czterystu ludzi i w ciemną noc spuszczone go na wodę. Pewien muskularny sierżant, doskonały pływak, przepłynął rzekę z liną, którą przymocował do pnia drzewa i pogrążył pod wodę, by jej przedwcześnie nie dostrzeżono.

Za dnia, posługując się liną do przeciągania promu, cały oddział przeprowił się przez rzekę, choć nie bez strat, spowodowanych ostrym ogniem z murów i z okopów przed murami. Lawrence wezwał na ochotnika kogoś, kto by poprowadził pierwszy atak, zdobył okopy i skoncentrował na sobie ogień nieprzyjacielski, dopóki główne siły nie podeszłyby do przodu.

- Trzeba mi tu zuchwałego śmiałka i z zimną krwią - podkreślił Lawrence. - Niebezpieczne zadanie i nie wiadomo, czy się głowę cało wyniesie.

Clive zgłosił się natychmiast. Przydzielono mu jego własny pluton, trzydziestu Europejczyków oraz siedmiuset sepojów. Licząc więcej na swoich ludzi, których zaufanie już sobie zdobył, niż na

sepojów, na których jako na najemnikach mniej mógł polegać, Clive podprowadził Europejczyków w obręb zasięgu okopów. Sepojom nakazał iść tuż za nimi, nie usłuchali go jednak i zostawili lukę między sobą a plutonem Clive'a. Europejczycy przyklękli, by oddać salwę, ale Pratap Singh od razu dostrzegł i wykorzystał sposobność. Zza narożnika fortu



Stringer Lawrence. Według portretu sir Joshua Reynoldsa

GO wypadł w pełnym galopie oddział jazdy Hindusów, wrzeszczących i wymachujących szablami. Sepojowie stanęli. Jeźdźcy wpadli w lukę na tyłach oddziału Clive'a, otoczyli ich i w ciągu paru minut wycięli prawie wszystkich. Clive ocalił życie, zsuwając się na bok w chwili, gdy hinduska szabla już go prawie dosięgała. Maskelyne mniej miał szczęścia czy też zręczności i odniósł bolesną ranę w udo. Clive, wypełniwszy zadanie w połowie, wraz z sierżantem wyniósł rannego przyjaciela do wyschniętego łożyska potoku o jakieś pięćdziesiąt metrów wstecz, gdzie razem z ociągającymi się sepojami postanowił czekać przybycia Lawrence'a i reszty wojsk.

Zdobyto teraz łatwo okopy przed fortem, a następny atak hinduskiej jazdy odparto regularnymi salwami muszkietowymi. Gdy wmaszerowano przez wyłom, uczyniony ogniem artyleryjskim, zdobywcy przekonali się, że fort jest opuszczony, a rozglądając się z murów, według raportu Clive'a, dostrzegli na równinie kilkutyśne wojska w odwrocie, w większości jazdę. Clive z sarkazmem wyrażał się o ich odwadze, ale stary, doświadczony żołnierz, Lawrence, tylko głową potrząsnął.

- Pratap Singh ma łeb nie od parady - zauważył. - Błędem jest zamykać jazdę w obleżonej fortecy. Konie na nic się nie przydają, a karmić je trzeba.

Radża-uzurpator szybko zorientował się w sytuacji. Dupleix, zajęty gdzie indziej, zignorował jego prośbę o pomoc. Co Shahaji mógł zaoferować, mógł także i on - w zamian za zachowanie uzurpowanego tronu. Dewikota i okolica miały być scedowane Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, koszty całej ekspedycji Lawrence'a zwrócone, a zdetronizowanemu bratu przyrodniemu wypłacane dożywotnie apanaże.

- Shahaji nie był popularnym władcą - rzekł Lawrence. - Trzeba by wydatkować niemało i w

rupiach, i w krwi żołnierskiej, by go utrzymać na tronie.

Tak więc Shahajiego zdradzono i podpisano ugodę z Pra-tapem Singhiem. Z punktu widzenia Kompanii, ludzie z plutonu Clive'a nie zginęli nadaremno. Ale czy wydarcie części terytoriów spod władzy hinduskiego radży i zabezpieczenie wzrostu dochodów dla londyńskich bankierów” kupców i armatorów - to cel wart poświęcenia życia? Dyrektorzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej nigdy nawet nie zadawali sobie takiego pytania. Ich celem, uświęcającym wszystko, był zysk. A. La-wrence i Clive, żołnierze w służbie Kompanii, zbyt byli zajęci gratulowaniem sobie nawzajem. Stary żołnierz oświadczył:

- Tak młodo ujawniony geniusz wojskowy zwracał moją uwagę i przed i podczas oblężenia Dewikoty, kiedy to Clive dowiódł odwagi i orientacji, jakiej trudno się było spodziewać po jego dwudziestu czterech latach...

Tymczasem dalej na północy trwała walka o władzę między rywalizującymi pretendenciami do książęcej godności - przy czym Dupleix rozdmuchiwał płomień, spodziewając się w zamęcie zdobyć dla francuskiej Compagnie des Indes suwerenną władzę nad Karnatykiem. Od chwili podpisania pokoju w Aix-la-Chapelle nie atakował Anglików bezpośrednio, natomiast usiłował instalować na tronach Karnatyku takich władców, których by mógł ugniatać jak wosk w swoich rękach, by za ich pośrednictwem ostatecznie usunąć rywali.

W maju 1748 roku zmarł Nizam-ul-Mulk, subadar Dekanu, wyznaczony następcą swego drugiego z kolei syna Nazira Janga. Wielki Mogoł, cesarz Delhi, Ahmad Sha, nie sprawował już faktycznej władzy nad Dekanem, jednakże zwrócono się do niego o formalne potwierdzenie nominacji Nazira Janga i uzyskano je. Władcy Dekanu rozporządzali wielkimi dochodami i proporcjonalnie do tego znaczną potęgę. Toteż objęcie władzy przez nowego subadara skusilo do wystąpienia przeciw niemu różnych pretendencji, między innymi jego bratanka, a wnuka Nizama-ul-Mulka, imieniem Muzaffar Jang, który był radzą Bidżapuru, prowincji Bombaju, na północnym zachodzie. Ten pretendent sprzymierzył się z Mahrattami i zapewnił sobie poparcie wojowniczego i ambitnego Chandy Sahiba, niegdyś zarządcy Trichinopoli. Ułożono, że gdy Muzaffar Jang usunie Nazira Janga, Chanda Sahib otrzyma w nagrodę tron Anwar-ud-dina, nababa Arkotu i władcy Karnatyku.

Chanda Sahib od dawna kultywował przyjaźń Francuzów, Teraz Dupleix pośpieszył mu z pomocą. Książęta i pretendenci południowych Indii nie orientowali się jeszcze, że ujawniając własną słabość przyjęciem pomocy w zamian za obietnice przyszłych korzyści, wydają się w ręce szantażysty: pomagający, o ile nie jest człowiekiem istotnie szlachetnym, skłonny będzie zwracać się ponownie po dalsze korzyści, grożąc obaleniem tego, co pomógł zbudować. Pod koniec lipca 1749 roku Dupleix, człowiek niekoniecznie szlachetny, wysłał poważne siły na pomoc Muzaffarowi Jangowi i Ghandzie Sahibowi.

W bitwie pod Amburem, w początkach sierpnia, Anwar-ud-din poniósł klęskę i poległ, jego najstarszy syn Maafuz Chan dostał się do niewoli, a drugi z kolei syn, Muhammed Ali, uciekł do Trichinopoli. W pochodzie na Arkot Muzaffar Jang - chociaż Nazira Janga nie zwyciężono, a miał on potwierdzenie nominacji z rąk cesarza - ogłosił się subadarem Dekanu, a Chanda Sahib - nababem Arkotu. Nazir Jang, śpiesząc z odsieczą Muhammedowi Ali, padł w ogniu bitwy, wygranej przez Francuzów, z rąk własnych najemników, których przekupił Dupleix. Tak więc Muzaffar Jang został w posiadaniu godności subadara. Ale wraz z tą godnością przyjął na siebie zobowiązanie w stosunku do Francuzów, których siły rozstrzygnęły bitwę pod Amburem. Dupleix stał się w istocie rzeczą szarą

eminencją subadara.

Aby podkreślić tę sytuację, Dupleix wyprawił uroczystą ceremonię, zwaną durbarem, w Pondicherry, fancuskiej stolicy w południowych Indiach. Muzaffar Jang świadom własnej zależności, nie mógł odmówić uczestnictwa. Wspaniała defilada, jazda i słońce, sztandary i chorągwie, oddziały wojsk europejskich i sepojów, francuska jazda i artyleria; a w samym środku procesji subadar i Dupleix obok siebie w palankinie na słońcu, idącym ulicami Pandicherry przy dźwięku trąb, bębnów i kobz. Pod namiotem olbrzymich rozmiarów, zawieszonym jedwabiami i bogatymi makatami hinduskimi, Muzaffar Jang przystroił swego sprzymierzeńca w książęce szaty, nazwał go nababem wszystkich ziem na południe od rzeki Kistny i nadał mu tytuł „Zafar Jang Vuhadur” - „zawsze zwycięskiego i chrobrego”. Obdarował również Dupłęixa twierdzą Valdore i okolicznymi wioskami, wraz z dodatkowym stale wypłacanym haraczem, zwanym „jagirem”, w wysokości stu tysięcy rupii (10 000 funtów szterlingów) rocznie. Compagnie des Indes otrzymała hojną kontrybucję, a pomniejsze sumy rozdzielono między francuskie wojska. Chanda Sahib, jako nabab Arkotu, podporządkował się władzy Dupłęixa.

Wielki durbar w Pondicherry był ostatnią uroczystością, w jakiej Muzaffar Jang uczestniczył. Gdy udawał się na północ w krótki czas później, napadli na niego i zabili go książęta, dawniej sprzymierzeni z Nazirem Jangiem. Francuzi pomścili się na jego zabójcach, a generał de Bussy, za zgodą Dupłęixa, wyznaczył następcą Salabata Janga, trzeciego syna Nizama-ul-Mulka. Oddziały wojsk francuskich towarzyszyły nowemu su-badarowi w drodze do jego stolicy Hajderabadu i zostały tam, nominalnie w charakterze jego „protektorów”. W rzeczywistości de Bussy, jako zastępca Dupłęixa, naginał Salabata Janga do swoich życzeń.

Takie opowieści o triumfach Francuzów usłyszał Robert Clive po powrocie z Dewikoty. Mało go obchodziły zabójstwa i przelew krwi, wywołany intrygami Dupłęixa, podżegającego hinduskich książąt przeciw sobie nawzajem. Clive zauważył natomiast, że francuski gubernator spełnił swoje najbardziej wygórowane ambicje. Zdobył faktyczną władzę suwerenną w południowych Indiach, umieścił Compagnie des Indes w pozycji niezdobytej na pozór wyższości wobec jej angielskich rywali i zgromadził olbrzymią osobistą fortunę. Clive bacznie obserwował metody Dupłęixa, które przyniosły korzyści jego pracodawcom, opromieniły chwałą, choćby na krótko, jego kraj i wzbogaciły jego samego. Obserwował również posunięcia, które uważał za błędne.

7:!

- Źle uczynił, pozwalając, by go mianowano nababem - mówił Clive. - Powinien był kierować subadarem i innymi książętami z ukrycia, sprawować władzę rzeczywistą, ale zachować pozory. I niechby na innych spadło odium za kłopoty i nierząd. A teraz, jak to zwykle bywa, winą za wszystko jego się będzie obciążać.

Z tym jednym zastrzeżeniem, Dupleix nieświadomie stał się mentorem Roberta Clive.

Młody porucznik wojsk Lawrence'a otrzymał teraz nominację na komisarza oddziałów, stacjonujących w Kudalurze. Przeniesiono go na stałe z listy cywilnych urzędników Kompanii do służby wojskowej w randze kapitana. Do jego nowych obowiązków należało zaopatrywanie w prowiant i furaz oddziałów wojsk Kompanii w Madrasie, Kudalurze i Dewiko-cie, wyszukiwanie bawołów białych, garbatych, z długimi, prostymi rogami, wielbłądów i słoń jako zwierząt pociągowych do transportowania dostaw i dział, oraz wypłacanie żołdu. W tym pomagał mu młody kupiec nazwiskiem Robert Orme, później autor trzytomowej historii operacji wojskowych w Indiach w latach 1745-68 - dzieła, na które do dziś dnia powołują się specjaliści owej epoki. Ta spółka,

Clive i Orme, występowała w charakterze dostawców wobec komisarza Clive'a, który, chociaż niebawem zachorował i lekarze wysiali go na kurację do Zatoki Bengalskiej, zdołał zgromadzić w krótkim czasie blisko 40 tysięcy funtów szterlingów. Wojna domowa w Karnatyku, rozniecana i podtrzymywana przez „miłujących pokój kupców” w przeciwnych obozach, dała szansę zdobycia fortuny młodemu kanceliście, mającemu trzydzieści sześć miesięcy wcześniej pięć funtów dochodu rocznie.

Podobną metodą - dzięki dublowaniu stanowiska w Kompanii z działalnością w charakterze prywatnego dostawcy Kompanii - powstało w Indiach niemało fortun. Wyrok na siebie samych wydawali dyrektorzy, którzy sprzyjali tym praktykom, gdyż dzięki temu nie potrzebowali wypłacać urzędnikom pensji, pozwalających im żyć na poziomie, uważanym za odpowiedni. Clive rozumiał to doskonale. Ale na razie gotów był wyzyskiwać ten nierząd jak i gospodarkę całych Indii, by się szybko wzbogacić. Sposobność łatwych zysków, zwłaszcza gdy uświęcona zwyczajem, nie sprzyja rozwojowi szlachetnych uczuć, czy zwykłej uczciwości u gatunku homo sapiens.

Wróciwszy ze swego zdrowotnego wyjazdu, Clive zastał w Kudalurze zupełnie inną sytuację. Admirał Boscawen odpłynął ze swymi okrętami. Major Stringer Lawrence wrócił do kraju. Przed wyjazdem do Indii otrzymał on ustną obietnicę od dyrektorów Kompanii, że będzie mu wypłacana gaża wyższa od tej, jaką wymieniono w kontrakcie. Tej obietnicy nie spełniono i Lawrence w gniewie zrzekł się komendy. Stratę tego bardzo zdolnego żołnierza po części wynagrodziło przybycie na miejsce Floyera nowego gubernatora, nazwiskiem Thomas Saunders, człowieka o szerokich horyzontach, zdrowym rozsądku, energii i wytrwałości, której nie mógł zachwiać Dupleixa talent do intryg.

Stając do raportu przed nowym gubernatorem, Clive zdecydował się poruszyć sprawę sukcesów Dupleixa.

- Jeśli szanowny pan pozwoli mi wyrazić moją opinię - zaczął, a Saunders mu przerwał:

- Niechaj wszyscy swobodnie wyrażają swoje zdanie. To będzie podstawą słusznej oceny. Co do pana, młody człowieku, słyszałem od naszego nieodżałowanego majora Lawrence'a wiele pochwał o panu. A więc, pana zdaniem...

- O ile nie wyzwiemy, nie osłabimy i ostatecznie nie zlikwidujemy potęgi wpływów francuskich, szanowny panie, to Kompania Wschodnio-Indyjska powinna się po prostu wycofać z honorem, póki czas, bo niebawem będzie to musiała zrobić z hańbą.

- Wycofać się? Po moim trupie! - wykrzyknął Saunders. - Bo rzeczywiście, dyrektorzy Kompanii, pozbawieni zysków z Indii, obdarliby mnie żywcem ze skóry. Ogólnie biorąc, ma pan z pewnością słuszną rację. A co do tego Dupleixa, który podobno się teraz przystraja w książęce szaty i otacza przepychem jakiegoś Dżyngis Ghana czy Akbara - musimy się zatroszczyć o jego niewygodę! Nie można dopuścić do tego, by zgniłe imperium Mogoła zmartwychwstało, przeobrażone w imperium francuskie. Ani pan, ani żaden inny rezolutny Anglik w Karnatyku nie będzie miał powodów narzekać na kunktatorstwo z mojej strony.

- Dobrze to słyszeć, szanowny panie - odparł Clive. - I chyba nie potrzebuję zapewniać, że jestem całym sercem gotów do usług.

Muhammed Ali, dawny nabab Arkotu, zdetronizowany przez Chandę Sahiba, przebywał jako uciekinier w Trichinopoly. Dowiedziawszy się, że Chanda Sahib zamierza zdobyć Trichinopoly i że już ruszył w pochód z wojskiem, liczącym przeszło dwanaście tysięcy jazdy, pięć tysięcy piechoty oraz batalion Francuzów - znaczna część stronników Muhammeda Ali zdezerterowała. Wówczas

dawny nabab zwrócił się o pomoc do Anglików.

Gubernator Saunders nie zawahał się ani chwili. Nie darzył zdetronizowanego nababa większą sympatią, niż innych książąt hinduskich. Ale jego chęć odzyskania władzy w odebranej mu prowincji dostarczała świetnej sposobności pośredniego zaatakowania Francuzów, którzy stali się marionetkowymi władcami: subadarem Salabatem Jangiem i nababem Chandą Sahibem. Przywrócony do władzy Muhammed Ali musi być wdzięczny i gotów do wynagrodzenia swych popleczników przywilejami i nadaniami może dorównującymi tym, które świeżo zyskał Duplex i może - jego kosztem.

Pozbawiony starszych rangą wojskowych, Saunders wysłał cywilnego członka swojej rady, niejakiego Pigota, z Clivem jako komisarzem, na czele ośmiuset osiemdziesięciu Europejczyków i trzystu sepojów, by konwojowali dostawy do zagrożonego miasta. Wywiązawszy się z powierzonego im zadania, w drodze powrotnej do Fortu Św. Dawida Anglicy zostali otoczeni i zaatakowani przez wojska hinduskich zarządców prowincji, którzy korzystali z nieładu w państwie, by na własną rękę rabować i napadać, jak zwyczajni rozbójnicy. Anglicy i sepojowie walczyli, póki im starczyło amunicji; wreszcie piechocie kazano się rozproszyć, co było jedyną metodą ewentualnego uratowania życia, i wracać pojedynczo do Kudaluru, a nieliczni jeźdźcy, z Pigotem i Clivem, uratowali się ucieczką. Rozbójnicy ścigali ich zawzięcie, tak że tylko z trudem zdołali się wymknąć.

Saunders ściągnął zewsząd, ile tylko mógł wojska, by je wysłać na odsiecz Trichinopoly. Chanda Sahib, który rozpoczął oblężenie, skierował przeciw nadciągającej odsieczy silne oddziały Francuzów i Hindusów. Anglicy, pod nieudolną komendą, ponieśli kilkakrotnie porażki, aż w końcu, dzięki wytrwałości i uporowi, osiągnęli cel i nocą weszli do miasta. Zostało ich przy życiu już tak niewielu, że nie wzmocnili właściwie sił obrońców, ale jednak żywienie ich stanowiło uszczerbek skąpych zapasów prowiantu.

Saunders klął, ale nie rezygnował. Wysłał na rekonesans Clive'a z pół tuzinem zaledwie towarzyszy. Miał on zbadać rzeczywistą sytuację pod Trichinopoly i jeśli się uda, wykombinować jakiś sposób zdjęcia oblężenia. Clive z chęcią podjął się tak ważnej, zaiste kluczowej, misji, dowodzącej, jak wielkie zaufanie pokładał w nim gubernator.

Dotarłszy do rozległej równiny, urozmaiconej pagórkami i wąwozami, która otacza Trichinopoly, Clive ukrył swoich ludzi na wschód od miasta, a sam poczołgał się na dość znaczną odległość między zaroślami krzewów mango, wysokich pióropuszy tamaryszku i pięknych zielonych bananów, drzewa uważanego przez Hindusów za święte. Poszarpał na sobie ubranie i pokaleczył ręce, zanim wreszcie mógł przez polową lunetę ogarnąć widok miasta i oblegających.

Trichinopoly miało kształt niezbyt regularnego czworoboku, liczącego w obwodzie około dziesięć kilometrów. Broniła miasta forteca, otoczona podwójnymi murami i fosą, napełnioną wodą; wewnątrz miasta widniała jeszcze ufortyfikowana naturalna skała, wysokości blisko stu metrów, na szczycie któ-

7? rej wzniesiono małą świątynię. Na północ od miasta znajdowała się inna świątynia, otoczona silnymi murami, szczególnie przez Hindusów czczona jako zawierająca wizerunek boga Wisznu, dawcy życia. Clive słyszał, że w tej świątyni mieściły się nieprzebrane skarby: ofiarowywane bóstwu w darze klejnoty, naszyjniki z diamentów, szmaragdów i rubinów, amulety w złotych, wysadzanych drogocennymi kamieniami medalionach, bransolety i pierścionki na palce u nóg, przepięknie wyrabiane. O jakieś dwa kilometry od tej świątyni była jeszcze inna, poświęcona bogu Sziwie, zwanemu „uzdrawiającym i zabijającym”. Na południe wznosiły się na wysokość jakichś

trzydziestu metrów nad równiną skały o mianach Złotej i Głowy Cukru, a bliżej Clive'a prawie niedostępna skała zwana Else-marem, z ufortyfikowaną pagodą na szczycie.

Większa część wojsk Chandy Sahiba rozłożyła się obozem u stóp Skały Złotej i Głowy Cukru. Niezwykły widok roztaczał się przed oczyma Clive'a, który nie widział jeszcze nigdy wielkiej armii krajowców, szykującej się do oblężenia. Setki namiotów, od wspaniałego szkarłatu uzurpatora nababa aż do bawełnianej bieli płócien, rozciągniętych na paru patykach dla osłony przed słonecznym żarem, gdzie chronili się żołnierze niższej kasty; całe miasto namiotów, zamieszkane przez tysiące wojowników, mahutów, poganiaczy wielbłądów, ich kobiety i dzieci.

Armie książęce szły na wojnę z wszelkimi wygodami. Każdy jeździec miał dwóch pachołków - jeden opiekował się wierzchowcem, drugi zdobywał furaz. Nababowi, dowódcom, żołnierzom i pachołkom towarzyszyły haremy, albo przynajmniej jedna żona. Sprzedawcy żywności i innych towarów, często zbytkownych, rozkładali swoje kramy. Słonie, wielbłądy, bawoły i konie przywiązywano między namiotami, gdzie brudziły i od czasu do czasu wzniewały nieprawdopodobne hałasy i zamieszanie. Na krańcach obozowiska ustawiono kryte wozy, w których podróżowały kobiety. Smągłokórzy wojownicy w powłóczystych szatach opatrywali swoje łuki, kołczany, strzały, czyścili lufy strzelb, bardzo prymitywnych, wyrabianych przez miejscowych rzemieślników na wzór broni, kradzionej Europejczykom. Żołnierze oddziałów konnych - w turbanach, z gęstym kruczoczarnym zarostem - polerowali i ostrzyli szable, ćwiczyli się w fechtunku; często wybuchały prawdziwe bójki, aż towarzysze musieli ich rozdzielać. Artylerzyści układali się do snu pod działami polowymi, na których się bardzo mało rozumieli i które nierzadko wybuchały i zabijały własną obsługę, zamiast słać śmiertelne pociski na mury oblężonego miasta.

Clive wyczołgał się wstecz do czekających towarzyszy i ruszył w powrotną drogę, mocno zamyślony.

- W Trichinopoli - zakomunikował gubernatorowi Saundersowi - nie może być teraz więcej, jak sześciuset Europejczyków. Francuzi, jak wiemy, mają dziewięćset żołnierzy. A chociaż nie oceniam zbyt wysoko bojowych zdolności armii Chandy Sahiba, obciążonej służbą, sprzedawcami i kobietami, jednak musi tam być dziesięciu wojowników na jednego wojownika Muhammeda Ali. Przy szturmie te liczby rozstrzygną o zwycięstwie.

- Zwłaszcza - wtrącił Saunders - że w garnizonie roi się od intryg i spisków, jak mi donoszą sami oficerowie. Obrona musi na tym ucierpieć. Jak długo pańskim zdaniem Muham-med Ali wytrzyma oblężenie?

- Miastu grozi wielkie niebezpieczeństwo - odrzekł Clive. - Gdybym nie słyszał od majora Lawrence'a, że wojska krajowców zwykle wolą zamorzyć głodem oblężone miasto, niż przystępować do generalnego szturm, spodziewałbym się, że Chanda Sahib weźmie miasto lada chwila.

- Więc nie mamy czasu do stracenia. A mogę wysłać ledwie trzystu Europejczyków z paruset sepojami i trzema działami polowymi. Z ośmiu oficerów tylko pan i Maskelyne w ogóle wachali proch. Tamci to młodzi kanceliści, którzy zapaleni pańskim przykładem (i fortuną, jaką Clive gromadził, powinien był Saunders dodać) zgłosili się na ochotnika do najbliższej ekspedycji wojskowej.

- Rzeczywiście niewiele - uśmiechnął się Clive. - Ale myślę, że wystarczy.

- Starczy! Na co starczy? - wykrzyknął Saunders.

- Czytałem, że wielcy wodzowie - odpowiedział Clive z niewzruszonym spokojem - gdy ich

najechał nieprzyjacieli, niejednokrotnie obracali grożącą klęskę w triumf, przenosząc wojnę do kraju wroga. Arcot, stolica Chandy Sahiba, pozostała ze stosunkowo nielicznym garnizonem...

Saunders uderzył pięścią w stół.

- Mój Boże! Co za śmiałek! I jak mi mówił Lawrence, nad wiek bystry. Ale, z tą małą siłą, o której mówiłem...?

- Proszę mi pozwolić ich poprowadzić, panie gubernatorze, a ufam, że pan tego nie pożałuje. Pójdziemy spieszonym pochodem pod Arcot. A wtedy Chanda stanie w obliczu dylematu: albo będzie musiał stracić własną stolicę, albo też oderwać od armii oblężniczej pod Trichinopoly poważne siły do obrony Arkot.

Rozdział VIII

SAMODZIELNE DOWÓDZTWO

Gubernator zatwierdziłby śmiały plan Clive'a z tym większym entuzjazmem, gdyby do jego przeprowadzenia miał bardziej doświadczonego oficera. Wiedział dobrze, że choć młody kapitan i komisarz zasłużył się najlepszą opinią, jednakże brak mu było zupełnie praktyki w samodzielnym dowodzeniu. Ale musiał być Clive - albo nikt. Wyzначzył więc Clive'a.

Świeżo upieczony dowódca wyruszył z Kudaluru z Mas-kelynem i stu trzydziestu Europejczykami. W Madrasie jego siły powiększyły się o osiemdziesięciu białych i pewną ilość sepojów. Kilka cięższych osiemnastofuntowych dział, które by opóźniały jego spieszny pochód, miano wysłać za nim oddzielnie. Nadeszła wiadomość, że garnizon w Arcot składał się z tysiąca stu wybranych wojowników Chandy Sahiba - siła niezbyt wielka, ale i tak trzykrotnie przewyższająca liczebnością oddział Clive'a. Dnia 6 września 1751 roku mała grupa z wielkim zadaniem wyprawiała się na przebycie stu kilometrów na południowy zachód od Madrasu.

Od stolicy nababa dzieliło ich pasmo granitowych wzgórz, ale początkowo szli przez równiny, pozbawione prawie osłon przed bezlitosnym tropikalnym słońcem, wycieńczającym, trudnym do zniesienia. Gorące podmuchy wiatru wzbijały pylisty piasek, kłujący jak igiełkami odsłonięte twarze i ramiona mężczyzn.

Bez wytchnienia Clive popędzał swój oddział. Gdy któryś z białych żołnierzy załamywał się ze zmęczenia, sierżanci i oficerowie podnosili go, nieśli jego broń i ekwipunek - i przymuszali do pośpiechu. Mijali złożone z lepiank wioski wśród uprawnych pól, nawadnianych kanałami irygacyjnymi, doprowadzającymi wodę z rzeki Pelar. Wieśniacy w kolorowych, luźnych szatach spoglądali obojętnie na maszerujące oddziały, a ledwie rzuciwszy wzrokiem, wracali do swoich zajęć; pompowali wodę, naprawiali kanały irygacyjne, podsypywali niskie wały, które zatrzymywały życiodajny płyn na kwadratowych poletkach ryżu, odcinali krótkie kawałki trzciny cukrowej, rozkładali do wysuszenia pomarańczowej barwy liście betelu do żucia, paśli długowłose, jasnobrunatne kozy, poganiali bawoły, które chodząc w kółko młóciły ziarno z kłosów...

Takie właśnie wioski, rozrzucone po całej przestrzeni sub-kontynentu, stanowiły w znacznej mierze podstawę bogactw subadarów, nababów i podległych im książąt. Ich ustrój i tryb życia nie zmieniały się, praktycznie biorąc, od wieków. Wieśniacy byli potomkami i spadkobiercami ludzi, których za czasów podboju Aleksandra Wielkiego podziwiali Grecy, sławiąc odwagę mężczyzn, cnotliwość kobiet, dziwiąc się temu, że nigdy nie kłamali i nie potrzebowali niczego zamykać, chwając ich trzeźwość, pracowitość, pokojowe usposobienie, umiejętną uprawę roli i wysoki kunszt rzemiosł. Najeźdźcy przychodzili i odchodzili, waśnie wewnętrzne wybuchały i zamierały, ale wioski żyły po dawnemu.

W wyższych sferach społeczeństwa dawny rozkwit hinduskiej kultury i sztuk pięknych w XVIII wieku już przemijał. Perły architektury, których najeźdźcy nie mogli unieść ze sobą - jak innych

skarbów - przetrwały jeszcze, ale mało co do nich dodawano. I tylko w wioskach trwały dawne Indie z czasów przed rozkładem cesarstwa, przed pierwszą inwazją Mogołów, przed urodzeniem się boga białych ludzi.

Irygacja wymagała wspólnej pracy, więc przed wiekami powstały i ustaliły się komuny wiejskie, oparte na wspólnym posiadaniu ziemi. Każda taka wspólnota produkowała dzięki rolnictwu i rzemiosłom wszystko, czego potrzebowała, dzieląc między pracowników owoce ich trudu. Każda rodzina zajmowała się też tkactwem i przędzeniem. Istniał „pierwszy mieszkaniec”, głowa wsi, łączący funkcje sędziego, szeryfa i poborcy podatków; pisarz, który notował udział w uprawie roli i dystrybucję produktów; nadzorca wód, wydzielający ze wspólnych zbiorników wodę dla irygacji; bramin dla spraw religii; nauczyciele, uczący dzieci pod gołym niebem, na piasku; kowal, stolarz, garncarz i zazwyczaj - poeta. Tych utrzymywano na koszt wspólnoty. Prostota tego ustroju produkcyjnego w samowystarczalnych wspólnotach - które odradzały się, jeśli je przypadkiem zniszczono, a jeśli rozrosły się do nadmiernych rozmiarów, część mieszkańców odchodziła, by założyć nową wspólnotę na ziemi, leżącej odlego, a było jej pod dostatkiem - stanowiła, według Karola Marksa, tajemnicę niezmienności społeczeństw azjatyckich, wbrew nieustannym upadkom i rozkładom wyższych, rządzących władz, zastępowanych nowymi.

Te cechy ustroju wiejskiego w Indiach w teorii wydawały się zbliżać do ideału. Jednakże wioski były ubogie, a raczej wtlaczane w ubóstwo wymaganiami władz, od cesarza i naba-ba począwszy, poprzez poszczególne szczeble drabiny systemu podatkowego w dół, aż do najniższego, wiejskiego „gomzy”, czyli głowy wioski. Drugą pijawką byli bramini, którzy żądali, pod karą reinkarnacji w przyszłym życiu w niższej formie, pieniędzy na każdym etapie życia wieśniaka. Nie mogły się bez nich obyć narodziny, chrzciny, ceremonie związane z rocznicami, zaręczyny, małżeństwo, śmierć, pogrzeb, stypa. Korzystali też z różnych innych okazji, jak pierwsze kroki dziecka, pierwsze postrzyżyny, pierwsze spożycie stałego pokarmu, pierwsza nauka, osiągnięcie dojrzałości. Gdy się zdarzyło zaćmienie słońca albo jakieś inne zjawisko astronomiczne, cała wieś musiała płacić braminowi wysoki haracz.

Hinduski feudalizm nie miał charakteru dworskiego. Ani cesarz, ani subadar, ani podlegli im książęta nie posiadali ziemi na własność. Chłop nie był niczym pańszczyźnianym poddanym, a książęta rzadko kiedy wtrącali się do spraw wsi. Ich władza opierała się na odwiecznym prawie ściągania podatków ze społeczności wiejskich i innych. I o te prawa do ściągania podatków książęta walczyli między sobą. Walka nie obchodziła wieśniaków bezpośrednio, prócz tego, że zwycięzca - książę muzułmański albo hinduski, a w czasach Clive'a i później, europejskie kompanie handlowe - mógł ich cisnąć podatkami więcej od poprzednika.

Urzędników cesarstwa i poszczególnych księstw nie wynagradzano wypłacaniem pensji, lecz przydzielaniem im dochodów z pewnego okręgu. Każdy wyższy urzędnik - od ministra skarbu, czyli „Diwani” w dół - wyznaczał kolejno niższego, by ściągał podatki, a po drodze dokręcił śrubę jeszcze mocniej, żeby i dla niego samego coś zostało. Nie opodatkowywano pojedynczych wieśniaków ani gospodarstw, ale całą wiejską wspólnotę. Z tych dochodów władcy powinni byli utrzymywać system irygacyjny, drogi i inne usługi w prawidłowym stanie użyteczności. Podczas ogólnego chaosu po śmierci Au-rangzeba, wielu z tych, którzy nadal ściągali podatki, nie wywiązywało się wcale ze swych zobowiązań. Mało który z dygnitarzy interesował się wieśniakami pod jego władzą, chyba tylko jako mrówkami, śpieszącymi do pałacu z daniną.

W epoce Akbara jedna trzecia ogólnej produkcji wsi - z rolnictwa i z rzemiosł - stanowiła

zwykły podatek. Później obciążenie wzrastało stopniowo, a w połowie XVIII wieku wynosiło połowę, czasem nawet jeszcze więcej, bo poszczególni poborcy stosowali różne sposoby wymuszeń - dla siebie albo dla wymagającego zwierzchnika. W rezultacie olbrzymia większość hinduskich wieśniaków żyła, jeśli nie w nędzy, to w każdym razie na jej pograniczu.

Zrozumiałe, że stajemy w zachwycie i oszołomieniu w obliczu takich anonimowych cudów architektury i zdobnictwa, jak mauzoleum Taj Mahal w Agrze, wybudowane na rozkaz szacha Jahana w latach 1632/50 ku czci jego zmarłej żony, Mumtaz Mahal; albo jak wspaniałe sklepienie świątyni Tejapahla w Radżputanie, wykonane w roku 1232. Ale zarazem nie zapominajmy, że aby zapłacić za te arcydzieła, wyciskano ostatni dech z piersi hinduskiego wieśniaka i rzemieślnika.

...Dzień 31 sierpnia palił upałem. Żar lał się z nieba, wszelki powiew zamarł, klujące drobiny piasku osiadły, jakby znużone, na rozpalonej ziemi. Na wschodzie, skąd zwykły nadciągać monsunowe ulewy, zbierały się ciężkie, czarne chmury, przecinane jaskrawymi błyskawicami. Grzmoty przetaczały się przez równinę. Sepoje Clive'a, wiedząc dobrze, co nadchodzi, pokładli się na ziemi i pozawijali w swe długie szaty. W głębokiej ciemności, jaka ich niebawem ogarnęła, rozległ się szum. Lunęło, jak z miliona wiader. Równina przemieniła się szybko w masę grząskiego błota, które z kolei pokryła warstwa wody.

- Podnosić ich na nogi! - wołał Clive, starając się przekrzyczeć hałasy burzy, do oficerów, dowodzących sepojami. - Nie możemy się zatrzymać!

Sam szablą płazował leżących, drugą ręką podrywał i stawiał ich na nogi, wystraszonych i oszołomionych.

- On jest więcej, niż człowiekiem - szeptali niektórzy. - Wyzywa nawet boga burzy!

Strzelby, tornistry, buty, plecaki, ładunki. Wojsko z wysiłkiem wlokło się naprzód. Z lepianek w wioskach, które mijali, dobiegały, łącząc się z grzmotami i szumem tropikalnej ulewy, monotonne inkantacje, mające odstraszyć złych bogów burzy.

Clive nie pofolgował swoim ludziom, dopóki nie znaleźli się w odległości dziesięciu kilometrów od murów Arcot. Ulewa ustała. Słońce szybko wypijało wodę z rozmokłej ziemi, na którą biali i brunatni rzucili się pospołu w krańcowym wyczerpaniu. Zasypiali natychmiast. Jeden tylko Clive układał plany szturm na stolicę nababa.

Z pierwszym brzaskiem wojsko ruszyło naprzód, rozestawszy szerokim wachlarzem zwiadowców, którzy podpełzali do każdego pagórka, skały, zarośli. Lada chwila spodziewali się chmury strzał, salwy muszkietowej, napadu hordy jeźdźców na spienionych koniach. Granitowe góry, otaczające z odległości miasto, zamknęły się za nimi, ale z twierdzy nie dochodził żaden znak życia. Clive wezwał zwiadowców i poprowadził wojsko przez wąwóz, którego ujście wychodziło na otwartą przestrzeń tuż pod Arcot. Bał się zasadzki, ale nie miał wyboru: musiał iść naprzód. Cofnięcie się, czy choćby tylko wahanie, zdemoralizowałoby jego żołnierzy, a zwłaszcza sepojów.

Szli wąwozem - na każdym koszuła lgnęła do mokrych pleców, ale tym razem pocili się więcej z napięcia, niż z upału - na otwartą przestrzeń... nadał twierdza milczała, jak wymarła...

Przed zdeterminowanymi napastnikami wznosił się wysoki szaniec, przed nim gruby kamienny mur, liczący prawie pięć mil w obwodzie, z bastionami i pięciu bramami. Wewnątrz miasta - cytadela ufortyfikowana na kształt kwadratu. I to miała zdobyć szturmem garstka ludzi Clive'a? No cóż, jak trzeba, to trzeba. Ale...

Z najbliższej bramy wyszło gęsiego trzynastu Hindusów. Ten na czele niósł białą flagę. Gubernator miasta i najpierwsi mieszczanie... by oznajmić, z dygotaniem łydek, drżącymi z trwogi

głosami, że garnizon opuścił miasto i uciekł. Drżenie i dygotanie łydek nie było wcale spowodowane strachem przed muszkietami. Jak sepojowie Clive'a, tak samo i doborowi wojownicy Chandy Sahiba wraz z mieszczanami uwierzyli święcie, że człowiek, który ośmiela się stawić czoła najgroźniejszym bogom burzy, nie może być zwykłym śmiertelnikiem. Niechybnie grozi im wszystkim jakaś okropna katastrofa, a Clive jest narzędziem niewidzialnych, nadprzyrodzonych mocy. Dlatego załoga uciekła.

Zdumieni, trochę oszołomieni napastnicy maszerowali ulicami miasta, z gubernatorem i jego grupą na czele, w charakterze zabezpieczenia przed ewentualną zasadzką. Dachy świątyń i pałaców mieniły się w słońcu, lśniły i błyszczały. Strwożeni, ale ciekawi mieszkańcy wylegli na ulice i przypatrywali się pochodowi, mruczając pod nosem zaklęcia, na wszelki wypadek. Clive zajął opuszczony fort, gdzie znaleziono znaczne ilości ołowiu do wyrobu kul, prochu, rakiet sygnalizacyjnych. A także, umieszczony tam dla bezpieczeństwa, najcenniejszy dobytek bogatszych mieszkańców, oceniony na pięć lakhów rupii.

- Proszę powiedzieć właścicielom, żeby się zgłosili i pozabierali swoją własność - polecił Clive gubernatorowi. - My nie jesteśmy jakimiś łupieżcami. A również proszę ogłosić wszystkim mieszkańcom, że o ile nie będą molestować moich ludzi, mogą spokojnie pozostać w swoich domostwach i zajmować się zwykłymi zajęciami.

Otrzymawszy wiadomość, że wojownicy z załogi rozbili obozy w kilku punktach w odległości mniej więcej pięciu kilometrów od miasta, Clive zajął się zaopatrzeniem cytadeli w prowiant i wzmacnianiem murów obronnych. Wyprawivszy się, by oblegać, oczekiwał teraz sam oblężenia.

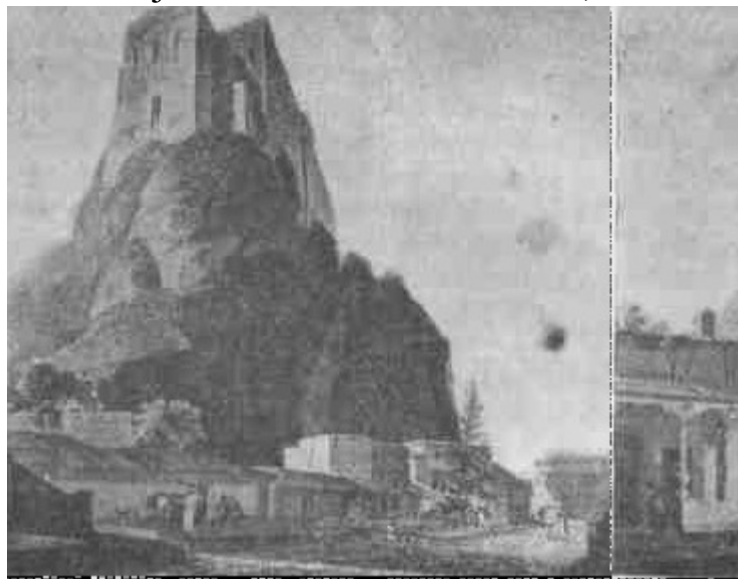
Na razie, aby odwlec ewentualność oblężenia i zyskać na czasie, Clive z częścią swoich sił i czterema lekkimi działami polowymi wyprawił się dwukrotnie, 4 i 6 września, na przeciwnika, obozującego w pobliżu małego fortu zwanego Ti-maree. Maskelyne został w Arcot i pilnował robót. W pierwszym najeździe rozbito pięciuset jeźdźców i trzystu z piechoty Chandy Sahiba po krótkiej, ale ostrej utarczce. Zaraz potem nieprzyjaciel otrzymał posiłki, ponad tysiąc ludzi, ale i w drugim napadzie również rozbito ich, a resztki schroniły się pod osłoną Timaree. Te dwie wyprawy kosztowały życie czterech Europejczyków i tuzina sepojów.

Nababowie i ich dowódcy bywali wojownikami odważnymi, często do zuchwałości, ale nie mieli żadnej znajomości taktyki wojennej. Clive też niewiele umiał, ale przejawiał niezwykle wrodzony talent, dużo skorzystał, praktykując pod wodzą Lawrence'a, a prócz tego studiował z zapałem metody największych wojowników w dziejach świata. Wojskom krajowców brakowało wszelkiej dyscypliny, ich jazda - na koniach nieprzywykłych do ognia artyleryjskiego i muskietowego - pędziła do bitwy hurmem, nie trzymając się żadnego szyku, i ulegała rozproszeniu, spotkawszy się ze zdeterminowanym oporem. Piechota była wyposażona w zbieraninę najrozmaitszych broni, a ci, którzy mieli broń palną, nie byli wyćwiczeni w jej używaniu, nie umieli strzelać regularnymi salwami. Gdy napotykali zdyscyplinowane oddziały, wyćwiczone w regularnym strzelaniu zgodnie z komendą, łatwo popadali w nieład, następnie w panikę i zwracali się do ucieczki. Toteż, jak tego już dowiodły wojska francuskie Dupleixa, dobrze uzbrojeni Europejczycy, rozporządzający pomocą sepojów już wyćwiczonych i dowodzonych przez białych sierżantów i oficerów, mogli stale zwycięzać i zmuszać do ucieczki z pola bitwy wojska, wielokrotnie przewyższające ich liczbą.

Clive i Saunders nie pomylili się, przewidując efekt najazdu na Arcot. Oblężenie Trichinopoly straciło na impecie, bo Chanda Sahib odkomenderował pięć tysięcy żołnierzy i wysłał ich spieszenie na odsiecz stolicy. Przyłączywszy się do pierwotnej załogi garnizonu, wojsko to wysłało chępliwe

posłanie do miasta, oznajmiając, że zamierzają zdobyć szturmem cytadelę i zabić wszystkich, kogo tam znajdują, wraz z tymi mieszkańcami, którzy by współdziałali z najeźdźcami.

I znowu Clive ich ubiegł. W nocy na 14 września poprowadził sześćdziesięciu Europejczyków i setkę sepojów do obozu nieprzyjaciela. Krajowcy czuli się tak pewni siebie, że nawet nie zatroszczyli się o wystawienie wart. Napastnicy byli w środku obozu, między namiotami, zanim Clive wystrzelił w powietrze z pistoletu na znak, by nie ukrywać się dłużej, rozpocząć ogień muszkietowy. Wybuchło pandemonium. Konie, wielbłądy i słonie pozrywały się z uwięzi, tratowały namioty i śpiących pod nimi ludzi. Budzeni z pierwszego snu, wojownicy wyrwali się z objęć swoich kobiet i wybiegali z namiotów, często bez broni, nadziei. Szybko osiągnąwszy swój cel - wzbudzenie paniki, zamieszania, narzucenie przesadnego pojęcia o sile, jaką dowodził - Clive odwołał swój oddział i wrócił do Arcot, nie utraciwszy ani jednego żołnierza.



Wielka Pagoda w Trichinopoiy

Dowiedziano się z kolei, że nieprzyjaciel wysłał dość silny oddział, by zagarnąć ciężkie, osiemnastofuntowe działa, zdążające w ślad za Clivem z Madrasu. Zatrzymawszy w Arcot tylko osiemdziesięciu ludzi przy sobie, Clive rzucił całą resztę swego wojska na ratunek żołnierzom, konwojującym działa pod dowództwem młodego porucznika, nazwiskiem Bulkeley. Pod ich nieobecność oblegający przypuścili szturm. Na szczęście nie mieli pojęcia, jak zdobywać fortece. Zaczęli atak od nieregularnego ognia muszkietowego, następnie dwukrotnie wysłali na zamknięte bramy cytadeli jazdę, która galopowała z tętentem i wrzaskiem, chyba oczekując, że obrońcy poddadzą się z samego strachu na widok liczebności atakujących.

Clive wydał spokojnie rozkaz swej nielicznej garstce obrońców, by strzelać z murów i rzucać ręczne granaty na zmasowaną pod murami jazdę, która niebawem zawróciła i uciekła, tratując po drodze własną piechotę. Szturm przeobraził się teraz w nieregularnie podtrzymywaną strzelaninę. O szóstej rano dostrzeżono z murów powracający oddział Bulkeleya wraz z działami. Hindusi, zamiast zaatakować nadciągający oddział, wycofali się, zostawiając na ulicach miasta wielu swoich zabitych. Bulkeley przyprowadził ze sobą duże stado bydła, liczące trzysta sztuk, które zagarnął w pobliżu Arcot jako bardzo pożądany dodatek do zapasów oblężonych.

Chanda Sahib jeszcze bardziej osłabił oblężenie Trichino-poly, wysyłając znowu przeciw Clive'owi czterystu swoich wojowników i stu pięćdziesięciu Francuzów z działem oblężniczym, pod dowództwem swego syna, Rezzy. Po otrzymaniu tych posiłków oblegający wkroczyli do miasta i zajęli pałac, domy i ulice, przylegające do cytadeli. Jeszcze raz Clive poprowadził wycieczkę, po

której odliczono na straty dwustu nieprzyjaciół, zabitych lub rozproszonych. A sam Clive znowu cudem uniknął śmierci. Porucznik Trenwith dostrzegł w oknie kamienicy krajowca, jak mierzył do jadącego przed nim dowódcy; skoczył, zasłonił własnym ciałem Clive'a - i padł, śmiertelnie ugodzony dla innego przeznaczoną kulą.

Tym razem wycieczka - podjęta wbrew zasadzie, wzbraniającej tego rodzaju eskapad, o ile siły nie są wyrównane - wiązała się z dużym ryzykiem i kosztowała sporo ofiar: piętnastu Europejczyków i trzykroć tyle sepojów. Anglicy ponieśli więcej strat w ludziach, niż mogli sobie na to pozwolić. Ale Clive wierzył, że wycieczki podnoszą żołnierzy na duchu i ujawniają ich własne zdolności do walki.

Rezza dysponował teraz stu pięćdziesięciu Europejczykami, dwoma tysiącami sepojów, trzema tysiącami jazdy i około pięciu tysiącami piechoty - ta ostatnia zupełnie nie wyćwiczona i nie przywykła do bitew. Clive nie miał nawet trzystu ludzi do obrony murów wokół cytadeli, liczących półtora kilometra w obwodzie, a w wielu miejscach już uszkodzonych. Pod niezbyt celnym, ale nieustannym ogniem muszkietowym z okien sąsiednich domów, obrońcy trudzili się naprawą wyłomów i wznoszeniem parapetów. Przy boku Cliv'a podczas jego ciągłych obchodów, padło od kul trzech sierżantów.

Nadal jednak Rezza zwlekał z wydaniem rozkazu do generalnego szturmu. Spodziewał się osiągnąć sukces sposobami, które by mniej narażały jego wojowników. Hinduskie działa oblężnicze strzelały bez przerw. Uszkodzono parę armat polowych obrońców. Październik mijał, w cytadeli zaczynało być głodno. Żołnierze chorowali z niedożywienia, aż w listopadzie zostało tylko osiemdziesięciu zdolnych do władania bronią. Szpiedzy donieśli, że wysłane z Madrasu posiłki, napotkawszy na swej drodze silne oddziały krajowców i Francuzów, musiały zawrócić. Doprawdy, trudno było nie upadać na duchu.

- Jeśli nie potrafimy zmusić Rezzy do szturmu - powiedział Clive - to wezmą nas głodem.

I postanowił posłużyć się fortelem. Wódz Mahrattów, nazwiskiem Morari Rao, nominalnie sprzymierzeniec Muhamme-da Ali, z wojskiem liczącym sześć tysięcy konnicy, rozłożył obóz o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Arcot, przezornie czekając wyniku oblężenia Trichinopoly, zanim się zdecydowanie opowie po tej czy tamtej stronie. Clive posłał do niego wezwanie:

„Moje położenie jest krytyczne. Wzywam ciebie, sprzymierzeńca prawowitego nababa, byś mi pośpieszył z pomocą, jak przystało człowiekowi honoru.”

Wódz Mahrattów przyrzekł natychmiast przybyć na ratunek „bohaterskiemu obrońcy Arcot, który mnie przekonał o tym, o czym dotychczas wątpiłem: że Anglicy potrafią się bić.”

Anglicy wraz ze swymi towarzyszami sepojami istotnie dowiedli, że potrafią się bić. Nikt nie narzekał na trudne warunki egzystencji w oblężonej twierdzy, nikt nie okazywał strachu - cokolwiek by czuł. Wydawało się, że ich wszystkich natchnął własną niepokonaną odwagą, nieznużoną energią, dobrym humorem, pozorną beztróską, pogardą dla niebezpieczeństwa i szybkością decyzji ich młodociany dowódca, którego w istocie rzeczy szczerze radowała sposobność wykazania swych talentów urodzonego wodza.

Znając dobrze marudzenie krajowców, Clive nie miał złudzeń co do określenia „natychmiast”, którego użył Morari Rao. Częste święta, posty, lub inne ceremonie religijne były tylko jednym z bardzo wielu pretekstów, którymi się posługiwały wojska krajowców, by odwlec pochód. Ale - znaleziono sposób przekazania Rezzie treści listu wodza Mahrattów.

- To go zmusi do pośpiechu - mówił Clive. - Przystąpi do szturmu zaraz i zaatakuje nas stu, albo

będzie musiał stawić czoła w otwartym polu sześciu tysiącom Mahrattów.

Rezzę istotnie wiadomość poruszyła, ale, jak Morari Rao, i on żywił niekłamanym respekt dla dzielności obrońców i wolałby ich oszczędzić, gdyby mógł zarazem osiągnąć swój główny cel. Następnego dnia wysłał więc do cytadeli herolda z listem do dowódcy obleżonego garnizonu:

„...Twoi żołnierze, których jak wiem, masz ledwie garść, odejdą bezpiecznie... Ty sam otrzymasz znaczną sumę pieniędzy jako dowód mego uznania dla twojej dzielności... Ale jeżeli odrzucisz moją propozycję, zdobędę szturmem cytadelę i wytnę wszystkich do nogi...”

Nie bez podstaw oskarżano później Clive'a o chciwość, o przyjmowanie od książąt hinduskich „prezentów”; jednakże nigdy nie były one ceną za niedopełnienie obowiązków - zgodnie z tym, jak Clive swoje obowiązki pojmował. Teraz urabiał sobie reputację, tworzył przyszlą karierę. Ufał nawet, chociaż wbrew wszelkim obliczeniom, że potrafi nie dopuścić Rezzy do cytadeli Arcot. Zamierzał pomnożyć sławę sukcesów, odniesionych w Forcie Św. Dawida i pod Devicotą. Z charakterystycznym dla siebie wyczuciem teatralnego gestu, odpowiedział słowami, których by się nie powstydział żaden dramaturg, i z wyniosłą pogardą, godną najlepszego aktora:

- Wasze działa uczyniły dwa wielkie wyłomy w naszych murach obronnych. Obróćcie w gruzy wszystkie nasze fortyfikacje, a my nadal będziemy mieć w pogardzie groźbę waszego szturmu. A co do pieniędzy, które nam proponujecie, to wiedzcie, że honor mój i moich towarzyszy nie jest na sprzedaż. Nie poruszą nas z miejsca ani groźby, ani przekupstwo...

Dnia 24 listopada sepoj, który na ochotnika wykradł się za mury, by obserwować ruchy nieprzyjaciela, powrócił pośpiesznie z wieścią, że oblegający przygotowują się do generalnego szturmu. Obrońcy nie opuszczali swoich stanowisk ani w dzień ani w nocy. Nie było potrzeby dokonywać żadnych zmian w ich rozmieszczeniu. Clive położył się więc, by przespąć parę godzin, uprzedziwszy Maskelyne'a:

- Dopilnuj, by sierżant gwardii obudził mnie z pierwszym alarmem.

Rozdział IX

WALECZNY W BOJU

Alarm - sygnał Rezzy Sahiba do generalnego szturmu - rozległ się na pół godziny przed świtem. Rezza chytrze wybrał dzień ostatecznego szturmu na Arcot. Dla olbrzymiej większości jego ludzi był to dzień święta religijnego, postu i fanatycznego entuzjazmu. Mahometanom, którzy by tego dnia padli w boju, przyrzekano szybkie i pewne przeniesienie do raju. By ich podniecić do jeszcze większej furii bojowej, oficerowie wydzielali, zgodnie z obyczajem, hojne porcje araku i opium.

Żołnierzom Clive'a brakowało takiej podniety, ani też z natury nie cechował ich heroizm, bardzo tego dnia potrzebny. Niektórzy narzekali na beznadziejne położenie, w jakim się znaleźli z powodu tego, co im się wydawało nierozważną ślepotą. Ale w obliczu nadciągających hord Rezzy nie mieli innej szansy, jak stać ramię przy ramieniu i bić się - gdy ich rekrutowano w Anglii spośród najuboższych poddanych króla jegomości, najmniej korzystających z imperialnych sukcesów, sami nie wiedzieli, że tak potrafią się bić - i wierzyć w szczęśliwą gwiazdę ich młodego wodza, cokolwiek by sądzili o „nierozważnej ślepcie”.

Nie ulegało już wątpliwości, że nie mogą liczyć na pomoc przebiegłego Morari Rao, który z sześciu tysiącami jazdy czekał, o parę kilometrów od Arcot, na wynik szturmu tysięcy wojowników Rezzy na garstkę pod wodzą Clive'a.

...Słonie ze spiczastymi taranami, umocowanymi na czole, ruszyły naprzód, by rozwalić masywne bramy twierdzy. Każde zwierzę niosło na swym grzbiecie trzech mahutów, by skoro jeden polegnie, następny mógł zaraz podjąć obowiązek kierowania szalejącym zwierzęciem... gęsto, rojno, szły pułki z drabinami, by wdzierać się na mury... Najwyborniejsi strzelcy angielscy prawie bez przerw strzelali z broni, ładowanej i podawanej im przez sepojów... olbrzymiego wzrostu sierżant stanął na murach, świetny cel, ale jakby cudem unikając kul, chwycił swój muszkiet za lufę i kolbą rozwałił czarne głowy atakujących, gdy dosięgały muru... Clive wydawał się wszechobecny: własnymi rękami odtrącał od murów ciężkie od wspinających się ludzi drabiny, strzelał z pistoletu wprost w twarze pod turbanami, ukazujące się w wylomach, kierował obrońców na bardziej zagrożone odcinki, wystawiał się na strzały, zachęcał odważnych, poganiał tchórzliwych ostrymi słowami, a nawet kopnięciami, zmieniał własnym przykładem w dzielnych żołnierzy ludzi, którzy w Anglii zamiatali ulice.

Hałas ogłuszał, trzask oręża, szabel, dzid., palba muszkietów... huk armat, tych, które oficer artylerii angielskiej, porucznik Revel, zdołał doprowadzić do ładu... ryk słoni, rzenie wierzchowców, krzyki ludzi spadających do fosy wokół fortu, wrzaski poranionych zwierząt... zmieszane modły, przekleństwa, śpiewy, inkantacje...

Revel i Clive osobiście nabijali działa, celowali, strzelali do wroga, tłumnie napierającego ku drabinom... Słonie pod bramami... Chwila folgi od ataków ludzi, wszyscy czekali na rezultat tego dla Rezzy najważniejszego momentu... Clive wezwał wyborowych strzelców na mury nad bramą i

wzniesioną ręką wstrzymywał ogień... W nagłej ciszy potężny łoskot wstrząsnął całą twierdzą... Jeżeli bramy ustąpią, z obrońców nikt nie ocali głowy, białej czy brunatnej...

Bramy zatrzeszczały, ale nie ustąpiły... Mahuci zaczęli wycofywać swoje słonie, by uczynić miejsce dla następnych, idących rozpędem do drugiego ataku... Clive skinął ręką... buchnął ogień armat i muszkietów, ulewa kul, szrapneli... słonie spłoszyły się hukami, celnymi strzałami, ranni mahuci spadali pod wszystko miażdżące nogi własnych zwierząt... Olbrzymie i ciężkie słonie obracały się, gruchocąc, łamiąc, rozgniatając, i ruszyły niepokonanym pędem z powrotem ulicami Arcot... wojowników Rezzy, którzy znaleźli się na ich drodze, zwierzęta w panice deptały, chwytając w mocarne trąby i rozbijały o kamienie murów...

Rezza Sahib, w szatach z królewskiej purpury i złota, usadowiony na największym słoniem opodal twierdzy, usiłował opanować panikę, rozkazywał nowym tysiącom przybywać z drabinami do ataku, z łodziami, by się przeprawić przez fosę... ale już nie odzyskano furii, impetu pierwszego ataku...

Atakujący wycofali się na bezpieczną odległość. Abdul Chan, dowódca sepojów w służbie Rezzy, leżał ranny tuż przy wyłomie w murach... jeden z jego żołnierzy przeprawił się przez fosę, by ratować wodza... czterdzieści muszkietów naraz wzniosło się, wycelowało w niego... Clive podniósł rękę, gestem wstrzymał ogień.

- Bohaterski uczynek zawsze jest bohaterskim, wróg czy swój go dokona - powiedział. - Ten sepoj zasłużył, by żyć.

Nieregularny, dość ospały ogień muszkietowy trwał do trzeciej po południu, ale szturm już nie ponowiono. Nadjechał herold z białą flagą i żądaniem krótkiego rozejmu dla pogrzebania zabitych - bardzo potrzebnego, bo pod tropikalnym słońcem rozkład zwłok postępował w tempie wręcz gwałtownym... O czwartej wojska Rezzy otworzyły znowu sporadyczny ogień, trwający aż do drugiej nad ranem... Ale do murów się nie przybliżano... W ciemnościach słychać było zamieszanie wśród atakujących, różne hałasy... okazało się, że się wycofali, pozostawiając wokół twierdzy w nieładzie działa, broń, kule i proch...

Rankiem pośpieszyli mieszczanie z daninami dla Clive'a, jak dla bóstwa, którego więcej się bali, niż kochali i które należało ułagodzić. Owce, koźleta, orzechy, girlandy kwiatów - i pawie.

- Nas mniej niż trzy setki, a ich było dziesięć tysięcy! - wykrzyknął Maskelyne.
- No, z tych dziesięciu trzy tysiące to jazda, nieprzydatna w oblężeniu - przypomniał Clive. - A reszta bez dyscypliny. Dobrzemy sobie poczynali, ale tak naprawdę, to słonie zdecydowały o naszym zwycięstwie.

Skromność wodza mogła być trochę udawaną, na pokaz. Bo, słonie czy nie słonie, bez nieznużonej czujności Clive'a jego energii, odwagi i zimnej krwi, Arcot niewątpliwie dostałoby się w ręce Rezzy Sahiba, a załogę wycięłyby w pień hordy jego rozjuszonych wojowników.

Chociaż przy szturmie prawie nie dochodziło do walki wręcz, jednakże od ognia dział i muszkietów, a także podczas galopady spłoszonych słoni i w wyniku ogólnego zamieszania atakujący ponieśli znaczne straty, licząc zabitych na setki; natomiast z załogi padło pół tuzina białych, a dwóch sepojów raniono.

Sepojowie zażądali, by tych dwóch rannych leczyli znachorzy z miasta. Hindusi zwykli leczyć się sposobami, spisanyymi w traktatach religijnych sprzed dwóch tysięcy lat, ponoć według wskazówek bogów. Krajowcy uważali, że ich metody leczenia, od tak dawna niezmiennie, uświęcone i starożytne, muszą być lepsze od medycyny europejskiej, ciągle zmienianej. Lekarze hinduscy stosowali zioła - których lecznicze właściwości niejednokrotnie współczesna medycyna potwierdza - ale żądali

również, jako koniecznego dla skuteczności zabiegów, zjednania złych duchów darami i zaklęciami. Istotne dla pacjenta miały być takie sprawy, jak kasta, mowa, odzież i zachowanie posłańca, wysłanego po lekarza, faza księżyca w momencie jego przybycia, kierunek wiatru, i różne inne znaki wróżebne.

Clive polecił wezwać lekarzy hinduskich.

- Nie należy nikomu odmawiać uprawiania zabobonów, które im dodają ducha - argumentował. - Odmowa obudzi wrogość. I tak otaczają nas zewsząd nieprzyjaciele, nie możemy sobie pozwolić na nieprzyjaciół jeszcze w naszych szeregach.

Nieliczna drużyna Clive'a, biała i brunatna, zdumiewała się sama własnym sukcesem. Zdołali odciągnąć dziesięć tysięcy wojowników Rezzy od oblężenia Trichinopoli i ocalili to miasto dla Muhammeda Ali. Co więcej, zdobyli i utrzymali wbrew atakom licznych wojsk Arcot, stolicę uzurpatora Chandy Sahiba. Ale nie zaspokoilo to ambicji Clive'a. Jako samodzielny dowódca, prowadził dotąd tylko operacje defensywne. Musi się wykazać w otwartej bitwie.

Po raz pierwszy od pięćdziesięciu dni nie zagrożona oblężeniem załoga fortecy „swobodnie i bez molestacji” - jak pisał pewien sierżant w swoim diariuszu, opublikowanym później pod tytułem „Opisanie zdobycia i oblężenia Arcot” - „cieszyła się spożywaniem płodów ziemi, których tak długo nie zaznawaliśmy.” Apetytu dodało im jeszcze przybycie bardzo pożądanых posiłków, ponad tysiąca ludzi, Europejczyków i scpo-jów, pod dowództwem kapitana Jamesa Kilpatricka. Były to te same, wysłane niegdyś z Madrasu oddziały, które raz pokonano i zmuszono do chwilowego odwrotu. Gdyby przybyły o dwadzieścia cztery godziny wcześniej, jazda Rezzy na równinie rozniosłaby ich na szablach. Teraz Clive powitał ich z radością. Zabrał się bez zwłoki do wykorzystania takiego wzmocnienia swoich sił.

Pozostawiwszy w Arcot mały garnizon pod dowództwem Kilpatricka, wybrał się z dwustu Europejczykami, siedmiuset sepojami i trzema działami polowymi w mocno spóźniony pościg za Rezzą. Następnego dnia zajął Timaree, o parę kilometrów od Arcot. Tu - nareszcie! - przyłączyło się do niego tysiąc jeźdźców, osobiście dowodzonych przez Morari Rao, którego bogate podarunki i kwieciste komplementy Clive słusznie uznał za znak, że hinduski wódz ostatecznie postanowił popierać Muhammeda Ali i Anglików. Połączone wojska udały się w stronę Arni, silnej twierdzy, położonej o jakieś trzydzieści kilometrów na południe.

Odnaleźli Rezzę wraz z jego całym wojskiem, wzmocnionym jeszcze przybyciem batalionu Francuzów, obozującego na równinie u stóp Arni. Clive kazał się zatrzymać zaledwie o trzysta metrów przed nieprzyjacielem, ale na dobrej pozycji: od przodu zalane pola ryżowe, przecięte wąską groblą, od prawego skrzydła wioska, od lewego palmowy gaj.

- Pech, że tu jest ta grobla - zauważył Maskelyne. - Tędy Rezza ma szansę dostać się do nas, jeśli mu starczy odwagi.

- Wcale nie pech - odparł Clive. - Groblą może iść nie więcej jak trzech ludzi w szeregu. Ledwie się ważyć mieć nadzieję, że Rezza właśnie tego spróbuje!

Rezza spróbował. Gdy Clive ustawiał swoją małą baterię, syn Chandy wysłał oddział jazdy na wioskę, a drugi, by zaatakować Morari Rao i jego Mahrattów w gaju palmowym. Gdy oba skrzydła wojsk Clive'a związały się już w walce, główne siły nieprzyjacielskiej piechoty, z Francuzami na czele, ruszyły groblą. Revel otworzył ogień dopiero na bardzo krótki dystans. Bliższy baterii koniec grobli natychmiast zatarasowały ciała rannych i zabitych. Dalsze szeregi zawahały się, a gdy następna salwa je zdziesiątkowała, uległy panice. Ludzie zeskakiwali z grobli w prawo i w lewo, na zalane

poła ryżowe, a utknąwszy w błocie, stanowili tak dogodny cel, jakiego rozentuzjzmowany Revel jeszcze nigdy nie miał.

Walka na obu skrzydłach, o wieś i o gaj palmowy, toczyła się z całą zażartością. Wykorzystując niepowodzenie ataku frontowego, Clive spiesznie poprowadził swoje główne siły przez groblę i zaatakował sam środek wojsk nieprzyjaciela. Muszkietów francuskich, nie przygotowanych do odparcia tak szybkiego kontrataku, wybito do nogi, zanim zdążyli się sformować. Panika, która wybuchła na polu ryżowym, najpierw rozszerzyła się wstecz, ogarniając główne siły wojsk Rezy, a później na oba walczące skrzydła. Clive puścił się w pogoń

!!!) za uciekającym nieprzyjacielem, ale - według diariusza sierżanta - Mahrattowie, nie dbając o niczyje rozkazy, zwrócili się w bok, na fort Arni, który splądrowali i oddalili się ze swymi łupami.

Europejczycy pod rozkazami Clivea nie ponieśli strat, natomiast wśród jego sepojów było tuzin zabitych. Straty Rezy obliczano na ponad dwie setki ludzi. W swojej relacji Clive skrytykował zachowanie francuskiej piechoty: chwila zawahania się na grobli kosztowała ich pięćdziesięciu zabitych i doprowadziła do paniki, a gdyby parli zdecydowanie naprzód, musieliby przeważającymi siłami zdobyć baterię Revela. Z drugiej strony chwalił dzielność sepojów Rezy, których determinacja i celny ogień muszkietowy, gdy zaatakowali jazdę Morari Rao, kosztowały Mahrattów pięćdziesięciu zabitych.

Następnego dnia, gdy Clive jadł śniadanie, do jego obozu pod twierdzą Arni powoli przybliżyła się kawalkada z białą flagą: dwudziestu mężczyzn, ciemnookich chudych i muskularnych, o groźnym wyglądzie, w jasno niebieskich powłóczystych szatach i szkarłatnych turbanach, na wierzchowcach czarnych jak smoła, ognistych i niespokojnych, o długich powiewających grzywach i ogonach - otaczało olbrzymiego słonia, z wielkim klejnotem umocowanym na czole, z bogato przozdobionym palankinem na grzbiecie, w czapraku z jedwabiu, wysadzonym rubinami, który mu spadał aż do kolan.

Kawalkada zatrzymała się i dwaj jeźdźcy, jeden z białą flagą, podjechali bliżej.

- Przywozimy najwaleczniejszemu kapitanowi Clive dary i posłannictwo poddania się jego ekscelencji, keladara (komendanta) Arni.

Clive najpierw przezornie kazał odebrać osypanego klejnotami słonia i dwa tysiące rupii w gotówce, poczym zapytał:

- Czyją zwierzchność uznaje i proklamuje keladar?

- Jego wysokości Muhammeda Ali, prawowitego nababa Karnatyku. I niechaj gniew bogów spadnie na uzurpatora Chandę.

- Przekażcie keladarowi moje podziękowania za dary - oznajmił Clive. - Przekażcie również usprawiedliwienie, ponieważ będąc zdała od mojej bazy, nie mogę mu się odwzajemnić. Powiedzcie keladarowi, że przyjmuję jego posłanie i jego hołd w imieniu nababa, ale jeśli bym się kiedykolwiek dowiedział o jego niewierności wobec Muhammeda Ali, powrócę tu, każę go powiesić na murach, a potem całą jego twierdzę zrównać z ziemią.

Jeźdźcy pokłonili się i odjechali galopem, a Maskelyne rzekł ze śmiechem do Clive'a:

- Twoja wdzięczność, mówiąc tutejszym stylem, podobna jest do skorpiona: na końcu jadowite ukłucie!

Pomiędzy Arcot a Madrasem znajdowała się wielka pa-goda Kanchipuram, silnie ufortyfikowana. Dupleix obsadził ją francuskimi żołnierzami, którzy mogli stąd czynić wypadki i przechwytywać konwoje z prowiantem, wysyłanym do tych dwóch miast. W takich wypadkach wzięli do niewoli dowódcę artylerii Clive'a, porucznika Revela i drugiego młodego oficera, porucznika

Glassa, którzy, sami nieco poturbowani w ostatnich walkach, odprowadzali do Madrasu rannych sepojów.

- Mam *tego* dość! - wybuchnął Clive, usłyszawszy tę wiadomość. - Jeszcze jedno zadanie przed nami i zabieramy się do niego bez żadnej zwłoki!

Skierował wojska prosto na Kanchipuram. We wsi, którą mijali, zobaczyli biegnącego kozła, a za nim tłum wieśniaków. Zaciekawiony, Clive zaczął rozpytywać mahuta swego słonia - bo jechał na podarowanym zwierzęciu - i usłyszał w odpowiedzi, że wieśniacy z pewnością potrzebują nowej studni. Ale w którym miejscu zacząć kopać? Od tysiąca i więcej lat praktykowano znany i uświęcony sposób. Należy chlusnąć wiadrem wody na kozła: gdy ucieka, biec w ślad za nim i kiedy pierwszy raz przystanie, by się otrząsnąć z wody, w tym właśnie miejscu, choćby to było w środku drogi, bogowie sobie życzą, aby powstała nowa studnia.

Inny widok, często spotykany, nie potrzebował objaśnień.

Już wielokroć Clive widywał tuziny krów, z zawieszonymi na szyjach kolorowymi paciorkami - błękitnymi, różowymi lub czerwonymi - wędrujących z wolna ze wsi i miasteczek na wspólne, przeznaczone dla nich pastwiska. Kiedy indziej obserwował bydło swobodnie spacerujące po lasach i zagajnikach. Wiedział już, jak każdy prawie Europejczyk, który zaledwie postawi stopę na ziemiach Indii, o głęboko zakorzenionej u Hindusów czci dla świętego zwierzęcia - krowy. Przed setkami, lub może tysiącami lat bramini, w zrozumieniu powszechnej użyteczności krowy - dawczynie mleka i masła, dostarczycielki siły pociągowej, nawozu, używanego jako opału, a także do wylepienia ścian domostw - wznieśli ją do roli świętego zwierzęcia, by ją ocalić od zaspakajania tego głodu, który można zaspokoić tylko raz - głodu mięsa. Uznano, że krowa posiada nieśmiertelną duszę. Musi być obecna przy śmierci - w tym celu przywiązywano ją do legowiska ciężko chorych - aby umierający mógł ją trzymać za ogon. Przypadkowe zabicie krowy karano najsurowszą pokutą, trwającą nieraz całe życie.

Pięć zasadniczych produktów, dostarczanych przez krowę - mleko, przetopione masło (zwane „ghee”), twaróg, nawóz i mocz - umieszczano w naczyniach, ustawionych rzędkiem, modlono się nad nimi, następnie mieszano razem. Mieszaninę, zwaną „panchagavią”, połykano, celem oczyszczenia duszy, gdyż miała ona moc zmywającą nawet świadomy grzech. Zmywanie twarzy i głowy moczem krowy oczyszczało z brudu zewnętrznego.

Porucznik Bulkeley, jadący razem z Clivem, pokpiwał z tych wierzeń. Dowódca skarcił go surowo. Jak tego dowiedział w sprawie rannych sepojów, Clive respektował, choćby tylko w dobrze zrozumianym własnym interesie, praktyki kultowe i tradycje innych ludów.

- My mamy nasze obyczaje - mówił - które mogą się wydawać im równie zabobonne, bałwochwalcze i heretyckie, jak ich obyczaje nam.

Jak przenikliwe i słuszne było jego rozumowanie dowiodły wydarzenia XIX wieku, kiedy to następcy Clive'a w Indiach, upierając się przy „chrystianizacji i cywilizowaniu” Hindusów, wzniecili ogień krwawego buntu sepojów, którzy, dopóki respektowano ich praktyki religijne, byli lojalnymi i wspaniałymi żołnierzami.

Przybywszy pod mury Kanchipuram, Clive wezwał francuskiego komendanta załogi do poddania twierdzy. Nie mając w otoczeniu nikogo, kto by znał język angielski, Francuz rozkazał swemu więźniowi, dobrze mówiącemu po francusku porucznikowi Revelowi, napisać list z groźbą, że jeżeli Clive ośmieli się zaatakować, on wystawi obu jeńców na mury, by pierwsi padli ofiarą ognia własnych rodaków. Revel, dodając sobie odwagi przekonaniem, że żaden Francuz nie popełniłby tak

podlego czynu, dołączył od siebie prośbę, by szantaż ten nie powstrzymał Clive'a od spełnienia jego zamierzeń.

Clive również ufa! w rycerskość Francuzów. Uznawszy groźbę tylko za podstęp, zgodnie z życzeniem Revela rozkazał otworzyć ogień armatni na mury, otaczające pagodę. Obleżeni, nie mając dział, odpowiedzieli celnymi strzałami muszkietowymi, zabijając kilku żołnierzy, nazbyt skłonnych do lekkomyślności po zwycięstwach pod Arcot i Ami. Tego dnia znowu opatrność czuwała nad Clivem. Gdy razem z Bulkeleyem przybliżył się do murów, by je obejrzeć, zwrócił na siebie uwagę francuskiego wyborowego strzelca. Padł strzał - i kula trafiła w głowę Bulkeleya, zabijając go na miejscu.

Nie widać było ani Revela ani Glassa, wystawionych na ogień artyleryjski. Jednakże Clive nie był pewien, co by się z nimi stało, gdyby nakazał szturm. Postanowił więc poczynić przygotowania pod osłoną nocy, zamierzając zaskoczyć Francuzów atakiem tuż przed świtem, by uprzedzić ewentualne złe zamiary wobec uwięzionych jeńców. Zbyteczna przezorność. Clive wykorzystał osłonę ciemności, a Francuz również. Gdy skradając się po cichu, w mroku szarzejącego świtu, atakujący wspięli się na mury fortyfikacji - znaleźli Kanchipuram w posiadaniu dwóch tylko ludzi, Revela i Glassa, którzy z białą flagą w ręku czekali światła dnia, by nią pomachać z murów.

Wysławszy stu Europejczyków i czterystu sepojów do Arcot, by wzmocnić garnizon pod dowództwem Kilpatricka, Clive poprowadził teraz resztę swoich wojsk do Fortu Św. Dawida. Odbił zwycięską kampanię i chyba jeszcze przewyższył cele, jakie sobie postawił w rozmowie z gubernatorem Saundersem. Prawie całą prowincję Arcot zmusił do uznania zwierzchności Muhammeda Ali.

Gdy Clive, radośnie i hałaśliwie witany, wjeżdżał do Fortu Św. Dawida, w obozie pod Trichinopoly Chanda Sahib, zawiedziony w swoich ambicjach, widząc, jak mu się wymyka z rąk uzurpowana korona, niespokojnymi krokami przemierzał swój namiot. Znikła jego dawniejsza chępliwa pewność siebie, a w jej miejsce pojawiło się trwożne niezdecydowanie. Załamywał ręce, przygryzał wargi, wrywał sobie włosy z głowy: Arcot w nieprzyjacielskim ręku, Trichinopoly nadal nie zdobyte.

- A wszystko z powodu jednego jedyne białoskórego szczeniaka? Niemożliwe! - jęknął. Jego irracjonalny umysł, nie mogąc się pogodzić z własną klęską, szukał irracjonalnych powodów. - Ten Clive musi być więcej, niż człowiekiem. Sami bogowie go chronią, walczą po jego stronie, dodają jego żołnierzom nadludzkich sił!

Rodacy Chandy przyznawali mu rację. Ale choćby z irracjonalnych przyczyn, później postępowali logicznie: kilkuset sepojów, wyćwiczonych w robieniu bronią przez Francuzów, zdezerterowało spod Trichinopoly.

W Forcie Św. Dawida do Clive'a przybyło poselstwo od Muhammeda Ali. Bohaterowi Arcot przywieziono w darze złoto i klejnoty, które miały pomnożyć jego rosnącą fortunę. I w imieniu nababa nadano mu tytuł: „Sabat Jung Bahadur” - Waleczny w boju.

Rozdział X

CZYŻBY PAN HYDE I DOKTOR JEKYLL?

Usposobienie Clive'a i j'ego organizm składały się na naturę, dla której okresy intensywnej działalności, wojennej czy administracyjnej, były podniętą, korzystnie wpływającą na jego zdrowie i energię. Ale gdy tylko nacisk aktywności się zmniejszał, ogarniało go fizyczne znużenie, a wraz z nim napady głębokiej, na pozór nieuzasadnionej melancholii. Tak też się stało po powrocie do Fortu Sw. Dawida. Ani pochwały, którymi go obsypywali zarówno angielscy zwierzchnicy, jak też hinduscy kupcy z Kudaluru, widzący w nim zbawcę ich mienia, ani dobre nowiny, przyniesione przez Roberta Orme o niebagatelnych dochodach ich spółki, nagromadzonych ostatnio podczas nieobecności Clive'a, nie wyrwały go z apatii, nie uśmierzyły dokuczających mu bólów, ani nie mogły przeważać efektów opium, do którego zaczął się uciekać. Był niemniej nieszczęśliwy od Chandy, chociaż z innych przyczyn.

Najbystrzejszym, najbardziej przenikliwym lekarzem Clive'a okazał się człowiek, który nie miał nic wspólnego z medycyną, europejską czy hinduską. Gubernator Saunders miał niezwykłą intuicję, chociaż jego kuracja raczej łagodziła objawy, niż leczyła przyczyny. Odgadł, że dla człowieka pokroju Clive'a najlepszym lekarstwem na to, co uważał za jego hipochondrię, będzie wyzwanie do nowego ryzyka, nowego sukcesu.

- Trzeba przyjść z pomocą Trichinopoly i skończyć z oblężeniem - nalegał.
- Z tak małymi siłami, jakie mamy do dyspozycji, to nie do pomyślenia - odrzekł bohater spod Arcot, teraz znużony, niechętny, pesymistyczny.

- Zaciągi z Anglii będą tu lada dzień - upierał się mądry gubernator, obrzuciwszy Clive'a przenikliwym spojrzeniem. - Jeśli pan nie obejmie dowództwa, będzie z nich niezdyscyplinowana, nic nie warta hałastra. Natomiast samo nazwisko pana jako wodza przekształci ich w wojsko, skore do walki, pełne zapału i odwagi.

Z ociąganiem się, Clive przyjął wreszcie narzucone mu zadanie, ale wciąż nie powracała dawna werwa i entuzjazm. Czekał przybycia nowych zaciągów, nadal nic nie robił, pogrążony w apatii. Saunders tym się nie przejmował. Poznał już Clive'a do gruntu. Wiedział, że gdy nadejdzie chwila działania, Clive odzyska dawną energię. I nagle optymizm gubernatora okazał się usprawiedliwiony. Elektryzujące wieści nadeszły z Vandalore, miasta położonego o 40 km na południe od Madrasu. Jakby prąd przeleciał żyłami Clive'a, pobudził krew do szybszego krążenia. Bóle przestały mu dokuczać. Melancholię zrzucił z siebie niczym zużyta odzież. Opium leżało nietknięte. Bezwładną apatię zastąpiła dynamiczna energia. Od świtu do nocy - plany, organizacja, przygotowania...

Nie tylko Chanda Sahib niepokoił się o przyszłość podjętych wspólnie z Francuzami projektów zawładnięcia Karnaty-kiem. Ktoś inny również niespokojnymi krokami przemierzał tam i z powrotem szerokość i długość, tylko że nie namiotu pod Trichinopoly, lecz komnaty w pałacu w Pondicherry, urządzonej według wschodnich kanonów przepychu, wśród ciemnoskórych, cicho stąpających,

bijących niskie pokłony sług. Ten inny nie gryzł warg, nie załamywał rąk, nie wrywał sobie włosów z głowy. Nie ogarnęło go zniechęcenia ani trwoga. Nie leżało to w jego naturze. Arogancki w chwili triumfu, w obliczu przeszkody mobilizował się do jeszcze większych wysiłków. Tak więc, gdy upokorzony Chanda lamentował, a zwycięzca Clive poddał się apatii, płodna pomysłowość i energia Josepha Dupleix rodziła nowe plany.

- Ten amator wojaczki z mlekiem pod nosem mógł przez małą godzinę grać pierwsze skrzypce w prowincji Arcot - rozmyślał - ale to nie jest dyrygent orkiestry Karnatyku!

Dupleix od dawna nakłaniał swych francuskich oficerów do szturm na Trichinopoli, choćby i bez pomocy samozwańczego, a wiecznie wahającego się nababa. Ale ci zawodowcy nie chcieli narażać się na tak wielkie ryzyko klęski i utraty własnej reputacji. Upierali się, aby miasto wziąć głodem, dobrze zresztą wiedząc, że oblężeni mają znaczne zapasy prowiantu, a prócz tego po kryjomu, przy pomocy przekupstwa, dalsze dostawy napływały wciąż do miasta. Gubernator groził dymisją oficerom, ale nie miał pod ręką nikogo bardziej rezolutnego na ich miejsce.

- Nie ulegnę tchórzom - zdecydował Dupleix. - Clive odciążył napór na Muhammeda Ali, maszerując na Arcot. Ja pogrążę Muhammeda Ali, zawstydzę Chandę i moich oficerów, pokażę hinduskiemu księżętom, kto tutaj dyktuje - maszerując na Madras.

Darami i obietnicami Dupleix nakłonił Rezzę do przyprowadzenia nowej armii, do której dodano czterystu żołnierzy francuskich z dziewięcioma działami. Siły te pomaszerowały do Kanchipuram, gdzie przede wszystkim naprawiono szkody w murach obronnych, wyrządzone przez Anglików. Rezza, dowiedziawszy się, że wódz, który go rozgromił pod Arni, siedzi beczynnie w Forcie Sw. Dawida, założył warowny obóz i zajął się grabieżą okolicznych wsi i ściąganiem kontrybucji od mieszkańców. Rozpaczliwe głosy krajowców dosięgły Anglików wraz z informacjami od szpiegów w Pondicherry o planach Dupie'ego marszu na Madras. Tak sensacyjne wieści wyrwały z letargu Clive'a, który oznajmił:

- Musimy wyprawić się, ale nie pod Trichinopoli, lecz przeciwko Rezzie i rozgromić go!

Saunders zatarł ręce z radości na widok młodego kapitana, powracającego do zdrowia, i sam zakrzętnął się z nie mniejszą energią. Wysłał nagłe wezwanie do angielskiej faktorii w Bengalu, by ściągnąć stamtąd wojska, ile tylko się da, do Madrasu. Clive rozkazał Kilpatrickowi w Arcot wysłać cztery piąte załogi twierdzy do tego samego punktu zbiorczego, dokąd i sam się udał z Maskelynem i tyłu angielskimi żołnierzami i sepojami, ilu można było zabrać z Fortu Sw. Dawida. Z Bengalu nadciągnęło tylko stu Europejczyków, ale wraz z nimi i z weteranami spod Arcot i Arni, Clive dnia 22 lutego ruszył w pochód. Prowadził ze sobą łącznie trzystu osiemdziesięciu Anglików, tysiąc trzystu sepojów i sześć dział polowych. Spieszył się, poganiał ludzi, bo otrzymał wiadomość, że Rezza zamierzał zaatakować teraz słabo bronione Arcot. Nie spodziewając się napotkać żadnych poważniejszych sił nieprzyjacielskich, dopóki nie dotrze pod Arcot, Clive tym razem zaniedbał wysłania zwiadowców.

W okolicach tych utrzymanie pochodu wojsk w tajemnicy utrudniali wędrowni żebracy i włóczędzy, gotowi zawsze sprzedawać informacje obu wojującym stronom, bez różnicy. Rezza dowiedział się o nadciąganiu wojsk Clive'a równie szybko, jak poprzednio Clive o jego poruszeniach; obmyślił więc zasadzkę. O 16 km na wschód od Arcot, koło Kaveripak, zajął dogodną pozycję. Na lewo od gościńca, którym nieprzyjaciel musiał nadciągnąć, rósł gęsty gaj drzew mangowych, z dwóch stron otoczony rowem i wałem. Łatwo go było przekształcić w zaimprovizowaną redutę, frontem do drogi. Tam Rezza umieścił francuską baterię dział i silny

oddział muszkieterów. Z prawej strony dotykało gościńca wyschnięte łożysko rzeki, dość głębokie, by żołnierze mogli podejść osłonięci przed ogniem nieprzyjaciela. Na końcu tego wąwozu, położonym dalej od drogi, Rezza zgromadził całą resztę swojej piechoty, a jazdę, również dobrze schowaną, zatrzymał w rezerwie. Ale i on popełnił błąd, a francuscy oficerowie nie wytknęli mu tego: nie wysłał nawet jednego oddziału do ochrony tyłów gaju mangowego ani wąwozu.

Zaledwie dokończono przygotowań, gdy nieprzyjaciel wynurzył się z lasu, ukrywającego zakręt gościńca. Była godzina szоста wieczorem, pora, gdy ludzie, którzy maszerowali cały dzień, niecierpliwie wyglądali postoju i posiłku. Rezza trzymał swoich wojowników w ukryciu. Prosto gościńcem szło wojsko Clive'a, nie podejrzewając pułapki. Skoro tylko minęli bliższy gościńca kraniec wyschniętego łożyska, działa francuskie ukryte w gaju otworzyły ogień, a piechota w wąwozie ruszyła do ataku na zaskoczonych Anglików i Sepojów. Dobrze, że Rezza nie mógł usłyszeć rozpaczliwego okrzyku Clive'a:

- Na Boga! Zastawił pułapkę, a ja się w nią wpakowałem!

Jednakże wódz hinduski zaobserwował, jak szybko i składnie Anglicy ustawili swoje działa do strzału na środku gościńca, w jakim idealnym porządku ich muszkieterzy natychmiast zeszli do wąwozu, by zatrzymać nieprzyjaciela, a zarazem samym znaleźć się poza zasięgiem ataku jazdy, która niewątpliwie musiała czekać gdzieś w pobliżu.

Działa francuskie wyrządziły o wiele więcej szkód, mając odkryty cel przed sobą, niż angielskie, strzelające w gaj. Piechota Rezzy, chociaż spotykała się z bohaterskim oporem, naciskała coraz mocniej w stronę drogi. Clive pojął, że o ile nie stworzy dywersji, jego ludzie zostaną zgnieci między artylerią a piechotą nieprzyjaciela.

- Za żadną cenę nie wolno do tego dopuścić! - zawołał. Maskelyne wyraził głośno myśl, która tłuła się w głowie każdego:

- Nic nie poradzimy, Robercie. Nie możemy im przeszkodzić w zatrzaśnięciu pułapki. Musimy się wycofać, dopóki można. To jedyna rozsądna decyzja.

- Co, wycofywać się w obliczu nieprzyjaciela, który trzyma w pogotowiu tysiące jazdy, by ją rzucić za nami i kazać nas wyciąć w pień? Nie, przyjacielu! Rozsądną decyzją będzie tylko śmiała decyzja. Zachęcaj ludzi, niech się trzymają do ostatka!

Wysłał sierżanta na czele sepojów, by zbadali punkty możliwego kontrataku. Nim minęło pół godziny, Rezza, śledząc cały czas przebieg bitwy, dostrzegł Clive'a, jak z innym oficerem poprowadził około dwustu Europejczyków z czterema kompaniami sepojów z powrotem gościńcem, wciąż bronionym z uporem rozpaczy, w stronę lasu na zakręcie. Syn Chandy uznał, że zamierzają stamtąd osłaniać odwrót swoich towarzyszy. Jego dowódca jazdy prosił, by mu pozwolono puścić się w pogoń, ale Rezza osądził, że jeszcze nie czas, natomiast ponaglał swoją piechotę do gwałtowniejszych ataków. Nie bez skutku. Wódz hinduski patrzył z satysfakcją, jak oficerowie, których Clive zostawił przy gaju i w wąwozie, nie mogli pohamować swoich ludzi, najwidoczniej zwracających się do ucieczki. W tym momencie Rezza zrozumiał znaczenie obecności Clive'a, przekształcającej w bohaterów żołnierzy, którzy z chwilą, gdy tej obecności zabrakło, ujawniali zwykłą ludzką słabość.

Nagle Clive sam pojawił się wśród zamieszania, w jakie popadło jego wojsko. Rozległ się dwukrotny wystrzał z pistoletu. Angielski kapral i sepoj, którzy zachęcali towarzyszy, by się ratować ucieczką, padli. Ten postępek, na który nie mógł się zdobyć Maskelyne, bo mu zabrakło bezwzględności, zahamował ucieczkę. Żołnierze, więcej się bojąc gniewu dowódcy od armat i

muszkietów wroga, zawrócili raz jeszcze do walki. Gdy wieść o tym rozeszła się w Anglii, gdzie mało kto stawiał w swym życiu czoła pięciokrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi, niektórzy rodacy Clive'a zgorszyli się i oburzyli.

Krzyki i palba strzałów muszkietowych doleciały z gaju. Działa francuskie zamilkły. W mgnieniu oka Rezza pojął swój błąd. Oddział, który Clive osobiście poprowadził z powrotem gościńcem, zawrócił pod osłoną lasu i okrążył gaj, by zaatakować Francuzów od tyłu. Wysłana poprzednio grupka zwiadowców odkryła, że z tamtej strony nikt nie strzegł baterii dział. Piechota Rezzy w suchym wąwozie wydała okrzyk rozpacz. Ich strzelanina osłabła, zaczęli się mieszać i cofać, głusi



Joseph Dupleix na krzyki i przekleństwa swoich oficerów tak samo, jak niedawno żołnierze Clive'a pod jego nieobecność.

Rezza zareagował na krytyczną sytuację inaczej, niż jego główny adwersarz. Dosiadł konia i uciekł, nie oglądając już więcej bitwy, która przy odrobinie przezorności mógł tak łatwo wygrać, a jednak tak sromotnie przegrał.

Clive pośpiesznie poprowadził pozostałych przy życiu żołnierzy z gościńca do gaju, gdzie oddział oskrzydający walczył zażarcie. Padł jego dowódca, porucznik Keenex. Teraz, wzięci w dwa ognie, Francuzi się poddali. Była już blisko jedenasta godzina przez północą.

- Teraz już nic więcej nie wskóramy - zdecydował Clive. - Ale gdy się tylko rozwidni...

Jeńców wzięto pod straż, rozstawiono warty dookoła całego gaju, a reszta żołnierzy rzuciła się na ziemię w krańcowym wyczerpaniu. Jednakże bliskość wąwozu i możliwość ataku z tamtej strony nie zezwalała spokojnie zasnąć.

Z pierwszym brzaskiem Clive kazał grzebać poległych, a sam poprowadził żołnierzy do wąwozu, w którym panowały cisza i pustka. Tylko ciała zabitych świadczyły o rozegranej tu walce. Po raz czwarty „amator wojaczki z mlekiem pod nosem” okazał się lepszy od Dupleixa.

- Musimy poszukać tego Rezzy w forcie Kaveripak - rzekł Clive.

Ale i stamtąd ptaszki już uleciały, nie złożyły też pokaleczonych skrzydeł, dopóki nie schroniły się do Pondicherry. Tam Rezza usiłował usprawiedliwić porażkę, ale nie znalazł sposobności:

obejrzał tylko szerokie plecy Dupleixa, który wpadł w pasję na wiadomości o niepowodzeniu swego planu, o tym jak Rezza zajął się grabieżą prowincji Arcot, zamiast bez zwłoki zaatakować osłabiony garnizon angielski, i o rozbiciu wojska, zgromadzonego z takim trudem i wysłanego w nadziei zdobycia Trichinopoli przez zdobycie Madrasu.

W Kaveripak Clive ujawnił nowy aspekt swoich militarnych talentów. Wpakował się w pułapkę, to prawda. Ale rzadko kiedy jego zimna odwaga miała tyle pola do popisu, jego opanowanie w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, jego zasada „rozważaną decyzją jest śmiała decyzja”. Gdyby przeciwnikiem jego był dowódca bystrzejszy, bardziej pomysłowy i stanowczy od Rezzy, bitwa pod Kaveripak mogła się łatwo skończyć katastrofą Anglików. To jednak nie zmienia faktu, że w sytuacji, w której większość ludzi uznałaby się za pokonanych, Clive nie tylko wydostał z kłopotów siebie i większość swego wojska, nie tylko dodał otuchy żołnierzom, chwilowo załamany - Clive obrócił nieuniknioną na pozór klęskę w piękne zwycięstwo.

Oto, co donosił w lakonicznym sprawozdaniu gubernatorowi Saundersowi:

„Jeden major, 39 Francuzów i 18 Topassów wzięci do niewoli, także wszystkie ich działa, osiem podwód z amunicją, ponad dwieście beczulek z prochem, pewną liczbę bawołów pociągowych i wszystko, co mieli ze sobą - wpadło w nasze ręce. Gdyby nie późna pora, żaden człek by nie uszedł. Główny Jemidar (dowódca) jazdy Chandy Sahiba, wysłany razem z Rezzą, padł od kuli, gdy próbował wyciągnąć Francuzów z gaju...”

Poległo ogółem około pięćdziesięciu Francuzów, nieznaną ilość krajowców z wojsk Rezzy; trzystu z nich raniono. Z ludzi Clive'a zabito czterdziestu Anglików i trzydziestu Sepojów. „Nie pomniejszając sukcesów Roberta Clive z punktu widzenia czysto militarnego - pisze jeden z historyków hinduskich - nie należy zapominać, że powodem tego przelewu krwi była rywalizacja dwóch europejskich kompanii handlowych, z których każda dążyła do zmonopolizowania we własnym ręku wszystkich naturalnych bogactw ludności obcego kraju.”

W powrotnym pochodzie do Madrasu, Clive natrafił na miejsce, gdzie w roku 1749 Nazira Janga, ówczesnego subada-ra Dekanu, w przełomowej chwili toczącej się bitwy, zamordowali jego własni żołnierze najemni, przekupieni przez Dupleixa. Dla uczczenia zwycięstwa, które pozwoliło francuskiemu gubernatorowi wprowadzić na tron subadarski marionetkę, wzniesiono na polu bitwy wspaniałe hospicjum dla podróżnych. Dookoła oczywiście prędko powyrastały chaty i powstała wieś.

Na widok tej budowli-pomnika, Clive nachmurzył czoło, zacisnął wargi. Maskelyne tylko roześmiał się i powiedział:

- A więc to jest planowane miejsce przyszłego miasta, które ma się nazywać Duplebt-Fateabad (miasto zwycięstwa Dupleixa), z wielką kolumną w samym środku i oczywiście pompatycznymi napisami po francusku i w różnych językach orientalnych.

Ze złością Clive kopnął kamień, leżący koło jego nogi.

- Niech piekło pochłonie te plany! - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Do stu tysięcy diabłów! Każ tu przynieść baryłki z prochem. Prędzej! Zrównam jego przekłete pomniki z ziemią! - Z gwałtownym gestem dokończył: - Obrażają mój wzrok.

Maskelyne uniósł brwi. O wiele mniej uzdolniony od przyjaciela, ale zacny i łagodny, zgorszył się tą nieokiełznaną gwałtownością.

- Dlaczego cię obrażają? I czemu chcesz je zrównać z ziemią?

Clive potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć dokuczliwej wizji i powiedział:

- Aby wyryć w umysłach mieszkańców tej prowincji świadomość, że Anglicy mają moc i władzę by zniszczyć nieczne zamierzenia swoich wrogów.

- Cięgi, które zadałeś przeważającym liczebnie wojskom, zrobiły to o wiele skuteczniej, niż burzenie hospicjum i pozbawianie wieśniaków dachu nad głową. A zresztą, czy zamiary Francuzów są bardziej „nieczne” od naszych własnych?

Sprzeciw, krytyka, tylko rozogniły złość Clive’a.

- Zetrę z powierzchni ziemi nazwisko Dupleixa!

- Dlaczego? Sam kiedyś powiedziałeś, że gdyby nie on, ty byłbyś wciąż jeszcze kancelistą, w najlepszym razie młodszym kupcem, i siedziałbyś za biurkiem w Madrasie. Być może Dupleix cierpi na manię wielkości, ale to słabostka, z której raczej śmiać się wypada. A w stosunku do zwierzchników i ojczyzny wypełnia swój obowiązek tak, jak go pojmuje, przy sposobności zbijając fortunę dla siebie. Akurat tak, jak ty. Nie znajdując odpowiedzi, Clive nagle przypomniał:

- Dupleix doprowadził do śmierci Nazira Janga, bez skrupułów przekupując najemników, którzy go zdradzili!

- Co nie jest niczym nowym w obecnym chaosie, panującym w Indiach - przerwał mu Maskelyne.

Niebawem miał nadejść czas, kiedy Clive, bez szczególnie widocznych skrupułów, zniżył się do zdrady nie mniej nikczemnej, niż Dupleix. Ale teraz, poniesiony niewytłumaczalną pasją, nie chciał słuchać żadnych argumentów. Maskelyne, wbrew całej swej przyjaźni dla przyjaciela i dowódcy, nie chciał być świadkiem postępuku, który uważał za haniebnym. Obrócił się i odszedł.

Hospicjum dla podróżnych wysadzono w powietrze. Pod ścianami lepianek wiejskich poukładano stosy chrustu i beczułki z prochem. Wieśniacy, między nimi kobiety z dziećmi na ręku albo ciężarne, stali obok, płacząc i rozpaczając. Niektórzy pobiegli jeszcze z powrotem do domów, by ratować skromny dobytek. Gdy pierwszy wybuch wysadził kilka chat, Clive nakazał ruszyć w dalszy pochód. Wieśniacy, którzy nie zginęli w wybuchu albo w płomieniach, lamentując powędrowali w przeciwną stronę przez płaskowyż.

Ludzie, ulepieni ze zwykłej gliny, którzy nie zapisują swoich nazwisk na kartach historii, muszą podzielić oburzenie Maskelyne’a wobec tego aktu wandalizmu, który żadnego wrażenia nie wywarł na francuskim gubernatorze, a skrzywdził jedynie niewinnych wieśniaków i jakichś nieokreślonych podróżnych, pozbawiając ich noclegu. Jednakże potępienie moralne, choćby słuszne i usprawiedliwione, nie zawsze pozwala zrozumieć motywy. Co skłoniło Clive’a do takiego postępuku? Czy nie był to moment, odsłaniający jego podświadomość, może nawet ujawniający powody owych napadów melancholii, które w ciągu całego jego życia, gdy tylko nie był zajęty gorączkową aktywnością, regularnie go obezwładniały?

Współczesny mu genialny autor i pierwszy angielski leksy-kograf, dr Samuel Johnson, cierpiał na podobne ataki, gdy nie zajmował się działalnością przez siebie ulubioną: przepędzaniem czasu w dobranej kompanii, rozmawiając, pouczając, poprawiając innych. Dr Johnson przypisywał swoją melancholię wyrzutom sumienia, dręczącym go, jak twierdził, z powodu lenistwa, zamiłowania do trunków i jedzenia, skłonności do rozpusty.

Posługując się tą analogią, czy nie można przypuścić, że Clive, stojąc przed pierwszym budynkiem przyszłego miasta Dupleix-Fateabad, zobaczył w nim własny wizerunek, własne ambicje, zamierzenia, deklarowane jeszcze przed wyjazdem z Anglii, przy pożegnalnym obiedzie w domu rodzinnym, a także wizerunek zwierzchników, bezwzględnych wyzyskiwaczy, w służbie których prostytuował swoje zdolności? Czy nie dostrzegł i w tym wszystkim rozjaśniającym oka mgnieniu nie

zniechęcił tego wizerunku, a zmiotając go z powierzchni ziemi, czy nie chciał może nie tyle zetrzeć wizerunek, ile zagłuszyć sumienie, które mu ten wizerunek przywołało? Czy wysadzenie w powietrze Duplex-Fateabad nie było formą masochizmu?

Akt wandalizmu nie zdołał oczywiście ani zniszczyć wizerunku, ani stłumić głosu sumienia. Ale czy melancholia, która torturowała go w okresach beczynności, nie wypływała z tego samego źródła - wstrętu do samego siebie - co i ten impuls do bezsensownego niszczenia? Można by sobie bez trudu wyobrazić w Robercie Clive dwie osobowości: nikczemnego pana Hyde, który nie mógł się oprzeć wezwaniu do bitwy, jak pies gończy nie potrafi pohamować się, gdy poczuje zająca, a w tych okresach frenetycznej działalności był zdolny nie tylko do postępów - jak zastrzelenie dwóch własnych żołnierzy - oburzających jego rodaków, ale również, jak to ujawnią dalsze jego dzieje, do uczynków, które kazały jego rodakom wstydzić się za niego; i szlachetnego doktora Jekylla, który w ciszy i beczynności ulegał wyrzutom sumienia, gdy mu przed oczyma stawały, jak demony, wspomnienia własnych uczynków, a także wizje zamierzeń jego zwierzchników i w którym, według słów Montaigne'a „sumienie nie uspione, zadawało nieustannie rany, niewidoczne lecz głębokie”?

Są to rozważania czysto abstrakcyjne, jakimi muszą być z konieczności próby zgłębienia charakteru wielu postaci historycznych, zwłaszcza ludzi czynu, próby wytłumaczenia pobudek ich działania. Ale może nawet takie rozważania mogą wnieść nowy punkt widzenia przy osądzaniu dalszej meteorycznej kariery, głośnych sukcesów, zarzucanej mu perfidii i tragicznego kresu życia Roberta Clive.

Rozdział XI

MIŁOŚĆ I ZWYCIĘSTWO

Na pokładzie statku, który właśnie zawinął do portu w Madrasie, Edmund Maskelyne przedstawiał:

- Moja siostra Małgorzata, kapitan Clive; i ufam, że wkrótce będziecie dla siebie, jak dla mnie, Peggy i Robertem.

Clive uściśnął rękę drobnej, jasnowłosej dziewczyny o szerokim czole, ciemnych brwiach, zamyślonych oczach, ustach stanowczych, ale wargach czerwonych, pełnych. Miniatura, którą Clive widział na biurku Maskelyne'a - i zachwycił się - nie schlebiała jej. Małgorzata Maskelyne była rzeczywiście bardzo ładna, choć jakby nieświadoma własnej urody. Pod jego uważnym spojrzeniem zarumieniła się, a gdy wymawiała grzecznościową formułkę, jej głos, łagodny i niski, zdradzał odcień podniecenia:

- Cieszę się, że mogę pana poznać. Nie tylko od brata wiele o panu słyszałam!

Trudno się dziwić podnieceniu, skoro przedstawiono jej człowieka, którego czyny uczyniły go bohaterem w oczach rodaków. A wygląd jego cechowała determinacja i surowa energia. Wzrostu niewiele ponad średniego, wydał jej się jednak wcieleniem męskości.

Razem z Peggy przyjechało, owego lata 1752 roku, siedem innych młodych panien. Wszystkie wybrały się na poszukiwanie mężów. Jakie inne perspektywy miała w XVIII wieku dziewczyna ze średnich lub wyższych sfer, jeśli nie czekanie albo polowanie na męża? Edmund sam napisał do siostry, nalegając, by do niego przyjechała, „gdyż w tym kraju łatwo dobrą partię znaleźć, znacznie korzystniejszą od mariaży, jakich można się spodziewać w Europie.” Nie sprecyzował, na czym to polega, ale wolno przypuszczać, że miał na myśli szybkość, z jaką dobrze urodzeni młodzi ludzie bez grosza przy duszy zbijali fortuny w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Peggy, córka wyższego urzędnika państwowego, miała stryja, który służył w Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i zmarł na Sumatrze. Jedna z jej ciotek wyszła za mąż w Forcie Św. Jerzego, druga w Kalkucie. Wyjazd więc z Londynu na Wschód należał w pewnym stopniu do rodzinnej tradycji. Nie wiedziała jeszcze, że pisząc o „dobrej partii”, Edmund miał na myśli konkretnego kandydata. Gdyż właśnie na prośbę Roberta, który często spoglądał na jej miniaturę i przysłuchiwał się odczytywaniu jej korespondencji, Peggy dostała ów list, namawiający ją do przyjazdu na Wschód.

Robert nie ukrywał swego zanierosowania dziewczyną. Od kiedy przed ośmiu laty przybył do Indii, by się przekonać, że normalny tok życia w Forcie Św. Jerzego jest rozpaczliwie monotony - przyjechało tu wiele rodzin i pomimo ciągłych zamieszek, rozwinęło się życie towarzyskie. Europejczycy mieszkali w warunkach luksusu, współzawodniczących z przepychem pałaców hinduskiej szlachty. Ubierali się olśniewająco. Na licznych balach i przyjęciach mężczyźni rozwijali wielką galanterię, tańczyli menueta, flirtowali, a czasem pojedynkowali się o względy jakiejś

piękności. Ale żadna z tych piękności nie poruszyła do tej pory serca Roberta Clive.

Obecność w Madrasie bohatera spod Arcot, Arni i Kaveri-paku stała się dodatkowym pretekstem wspaniałych i ostentacyjnych przyjęć. Na cześć Clive'a wyprawiano coraz nowe bale, rauty, kolacje. Gdy wchodził do salonów, szeleściły jedwabie na każdej prawie damie, zwracającej się ku niemu z nadzieją, albo przynajmniej ciekawością. Jego własne spojrzenie miało wszystkich obojętnie, dopóki nie odnalazło siostry Edmunda. Gdy musiał odbyć obowiązkowe tańce z innymi paniami, czynił to ze źle ukrywaną niecierpliwością. Tylko gdy tańczył z Peggy, zachwyt malował się w jego spojrzeniu, a każdy krok i ruch wyrażał kurtuazję, podobną do wyrafinowanej pieśczoży.

Peggy, chociaż w ślad za nią szły westchnienia niejednego młodego urzędnika Kompanii, najwyraźniej nie pozostała obojętna na atencje Roberta. Nie mogło być inaczej, skoro bohater dnia oblegał swoją wybrankę z niemniejszą determinacją, niż przywykł dotąd oblegać fortece.

Edmund im dokuczał. Gdy na balu dostrzegł, że Robert podchodzi do Peggy, pośpiesznie przyprowadzał jej kogoś innego, przedstawiał i puszczał parę w taniec, gdy jego przyjaciel stał z nachmurzoną brwią. Spotykając siostrę i przyjaciela, spacerujących w jakimś ogrodzie, z głowami pochylonymi ku sobie, Edmund wpychał się pomiędzy nich, ujmował oboje pod ramię i żartował:

- Muszę was ratować przed wyraźną nudą wzajemnego towarzystwa!

I rozpoczął opowiadanie jakiejś przydługiej anegdoty, ani dbając o ich ledwie ukrywane zniecierpliwienie.

„Wszystko to było urocze i pełne wdzięku, dopóki trwało. Ale nie mogło trwać długo: Muhammed Ali nadal tiwił w Tri-chinopoli, oblegany przeważającymi siłami. Stringer Lawrence, załatwiwszy swe osobiste sprawy z Kompanią, przyjechał w randze pułkownika, wraz z nowo zaciągniętymi oddziałami wojsk. Do Clive'a powiedział:

- Pewno nie będzie ci się to podobało, mój młody przyjacielu, ale będziesz musiał się pogodzić ze stanowiskiem zastępcy wodza!

Na dobro Clive'a należy zapisać, że zstąpił ze szczytu bez cienia zawiści czy niechęci.

- Po wszystkim, co pan dla mnie uczynił i czego mnie pan nauczył - powiedział do Stringera - byłbym ostatnim niewdzięcznikiem, gdybym ze szczerą radością nie przyjął jego dalszej nauki.

Istotnie, tego wielkodusznego starego żołnierza, który nie znał, co zazdrość i często naradzał się ze swym młodym podwładnym na temat taktyki i rozmieszczenia wojsk, Robert Clive darzył nieomal synowskim przywiązaniem, szczerze odwzajemnionym.

W wilię wyprawy nowych wojsk na odsiecz Trichinopoli Thomas Saunders, teraz gubernator Fortu Św. Jerzego, wydał wielki bal. Uznano, że będzie to odpowiednia sposobność podania do publicznej wiadomości nowiny, nikogo nie zaskakującej, a przyjmowanej z dużą dozą satysfakcji przez wielu Hindusów i całe towarzystwo europejskie - wyjąwszy może paru zakochanych młodzieńców, którzy, chociaż bez żadnych nadziei, ośmielali się jednak marzyć.

Ani rodzeństwo Maskelynów, ani Robert Clive nie pokazali się tego wieczoru aż do chwili, gdy polecono przerwać tańce i napełnić kieliszki szampanem. Wówczas weszli na salę, Peggy zarumieniona i promienna, pod rękę z Robertem, trochę sztywnym i zdenerwowanym. Za nimi Edmund, zabawnie naśladowający na przemian dziewicze tęskne westchnienia i po męsku wyciągnięte opiekuńcze ramiona.

- Chciałbym wznieść toast - zaczął gubernator - za zdrowie młodej pary, którą wszyscy tu pokochaliśmy...

Ale resztę przemówienia zagłuszyły oklaski i wiwaty, wraz ze śmiechem, wywołanym minami

Edmunda. Następnego ranka, Peggy stała na murach Fortu Św. Jerzego, powiewając koronkową chusteczką na pożegnanie odjeżdżającego narzeczonego, jak dama i jej rycerz w romantycznym średniowieczu.

W uwolnieniu Trichinopoli od oblężenia Clive, chociaż oficjalnie był podwładnym, odegrał najważniejszą rolę. Nie tylko prowadził decydujące ataki na wojowników Chandy i Francuzów, ale jego głowa decydowała o ogólnej taktyce zwycięstwa. Przytoczywszy już dość przykładów metody i praktyki wojennej Clive'a, nie będziemy się tutaj zagłębiać w szczegółowy opis tej kampanii. Niech wystarczy jeden incydent, ujawniający nowe aspekty talentów Clive'a.

Na północ od Trichinopoli od rzeki Cauvery oddziela się odnoga, zwana Coleroon. Pomiędzy dwoma równoległymi, płynącymi na wschód strumieniami leży Seringam, bardzo wydłużona wyspa, którą zajęli Francuzi. Większe wojska mogły się tam dostać jedynym dojściem, tuż przy wiosce Samiavaram. Clive z czterystu Anglikami, około siedmiuset sepojami i oddziałem jazdy Mahrattów doszedł forsownym marszem do wioski Samiavaram, by odciąć wyspę od dostaw.

Clive układa się do snu w karawanseraju za mniejszą z dwóch obronnych palisad, pod osłoną których rozłożyli się jego żołnierze... Śpiącego budzą strzały muszkietowe, jedna kula zabija spoczywającego na podłodze hinduskiego sługę, druga roztrzaskuje szkatułkę w nogach łóżka Clive'a... Wypadłszy z karawanseraju do jednej z pagod, Clive wzywa swoich ludzi... formuje około dwustu w oddział obok znaczniejszej liczby sepojów, którzy bez przestanku strzelają na oślep we wszystkie strony... wymyśla sepojom - ich brunatne twarze nie do rozpoznania w mroku - za beładną strzelaninę, każe im zaprzestać... jeden z sepojów rzuca się na niego z szablą, przecina mu policzek... ignorując ranę, znowu najsurowiej rozkazuje zaprzestać strzelania... sześciu ludzi podchodzi od tyłu do niego, rozkazuje mu się poddać... po francusku...

Clive orientuje się, że strzelający na oślep sepojowie nie są jego żołnierzami... w istocie rzeczy, cały środek obozowiska jest w rękach nieprzyjaciół... bez wahania odpowiada Francuzowi:

- Sami się poddajcie! Czyż nie widzicie, że jesteście otoczeni? - Rozpaczliwy podstęp, bo już teraz wiedział, że jest na odwrót...

Francuzi, speszeni, wahają się... Clive uskakuje w bok i pędzi do drugiej pagody, by tam zgromadzić większą liczbę swoich ludzi... Sepojowie w służbie francuskiej wolą się wyróżnić dyskretną przezornością raczej, niż odwagą... ale jednak są jeszcze w posiadaniu pierwszej pagody... próba wypędzenia ich nie udaje się, ze stratą angielskiego oficera i tuzina żołnierzy, ponieważ brama jest tak wąska, że nawet dwóch ludzi naraz przejść nie mogło... Clive rozstawia strażę dookoła pagody, żeby nikt nie próbował przyjść z odsieczą...

Francuski oficer z otoczonej pagody próbuje prowadzić wycieczkę, ale pada wraz z kilku towarzyszami... Clive, osłabiony utratą krwi, wsparty na ramionach dwóch ludzi, woła, by ktokolwiek dowodzi pagodą, poddał się natychmiast... W bramie pojawia się Anglik, nazwiskiem Kelsall, który niedawno zdezerterował i przeszedł do Francuzów... nie odpowiada ani słowem, tylko podnosi muszkiet i strzela do Clive'a... chybia, ale zabija dwóch podtrzymujących go ludzi... reszta żołnierzy w pa-godzie poddaje się... jazda Mahrattów wypędza francuskich sepojów z obozowiska i wycina ich do nogi...

Gdy mu zatamowano płynącą z policzka krew i opatrzono ranę, Clive dowiedział się wreszcie, jakim sposobem on sam i jego ludzie nieomal nie zostali pozabijani podczas snu. Francuski dowódca Seringam, nie wiedząc, że Samiavaram już zajęto, wysłał osiemdziesięciu Europejczyków, włącznie z Kel-sallem i innymi angielskimi dezertkami oraz siedmiuset sepojów, by zająć wioskę. Gi szybko

się zorientowali w rzeczywistej sytuacji. Kelsall i jego ludzie śmiało podeszli do wartowników sepojów i po angielsku oznajmili, że prowadzą oddział, przysłany przez pułkownika Lawrence'a w charakterze posiłków dla kapitana Clive'a. Wartownicy, słysząc kilku żołnierzy rozmawiających po angielsku, dali się łatwo oszukać, nie zapytali o hasło, a jeden nawet poszedł, by ich zaprowadzić do karawanseraju, gdzie spał człowiek, za zabicie którego Kelsall z pewnością otrzymałby hojną nagrodę od Ghandy i od Du-pleixa. Szczęściem dla Clive'a tego dnia opatrność, której był nadal, jak się wydawało, szczególnym ulubieńcem, nie wypisała na żadnej kuli jego imienia. Kelsalla i dwóch jego kompanów-dezertów powieszono.

Nigdy lepiej, niż wtedy pod Samiavaram, Clive nie wykazał jasności umysłu, błyskawicznej oceny sytuacji, umiejętności obrócenia na własną korzyść położenia pozornie bez wyjścia. Thomas Carlyle, wybitny angielski historyk i autor, niewiele przesadził, gdy opisywał Clive'a jako „człowieka, który ostrym spojrzeniem zmierzywszy obiekt, przenikał go i zdobywał: gdyż posiadał intelekt, wolę i siłę ponad innych ludzi”.

Zdjęto wreszcie długotrwałe oblężenie Trichinopoli. Ci spośród oblegających, którzy się znajdowali pod dowództwem francuskim, poddali się: trzydziestu pięciu oficerów, siedmiuset dwudziestu pięciu Europejczyków innego stopnia, sześćdziesięciu chorych i rannych oraz ponad dwa tysiące sepojów. Resztki watah Chandy Sahiba i jego Syna Rezy rozproszyły się i puciekały do domów.

Na piękny sukces militarny, jakim niewątpliwie było oswobodzenie Trichinopoli, padł cień haniebnego i kompletnie niepotrzebnego uczynku. Jeszcze zanim Francuzi się poddali, Chanda Sahib, stary i chory, wiedząc, że przegrał sprawę, zwrócił się z prośbą do swoich współwyznawców Mahrattów, którzy pod wodzą Morari Rao współdziałali z Lawrence'em i Clivem. Prosił, aby mu pozwolono udać się pod eskortą do francuskiej faktorii. Młody książę Monakji, dowodzący częścią Mahrattów, zaprzysiął na szablę i sztylet spełnić żądanie Chandy - a gdyby tego nie dopełnił, oby jego własna broń zwróciła się przeciw niemu. Najświętsza to przysięga, na jaką zakląć się może hinduski wojownik. Ale gdy tylko Chanda Sahib przybył do kwatery Monakjia, zakuto go w kajdany.

Następnego dnia Muhammed Ali, Morari Rao, Monakji i pułkownik Lawrence zwołali radę wojenną, by zdecydować o losie byłego nababa Arcotu. Wszyscy się zgodzili, że nie można oddać Chandy w ręce Francuzów, ale każdy z książąt rościł sobie prawo do opieki nad nim.

- W takim razie my, Anglicy, zabierzemy go i umieścimy w jednym z naszych fortów - zaproponował Lawrence.

Nie przypadło to do gustu książętom i narada zakończyła się na niczym.

- Jeśli będę nalegał - powiedział Lawrence do swego młodego zastępcy - nie ośmielą się sprzeciwiać. Muszą nam go wydać.

Pan Hyde-CHve - wzruszył ramionami:

- Opieka nad Chandą przysporzy nam trudności. Muhammedowi Alemu i Morariemu Rao dosyć już przyczynił kłopotów. Będą nam mieli za złe wtrącanie się do ich tradycyjnych zwyczajów. Na zakończenie polowania, psy gończe mają prawo posmakować krwi.

Więc Lawrence nic nie zrobił.

Gdyby do rąk Kompanii dostał się Dupleix, nikomu by nie przyszło do głowy go zamordować. Ale Chanda miał skórę brunatną, i nie stał za nim potężny rząd, który by go pomścił. Anglicy dowódcy, jeden niezdecydowany, drugi w nastroju okrutnej obojętności, powinni byli nalegać na zabezpieczenie życia człowieka starego, złamanego i chorego. Gdy oni zawiedli, stało się to, co się

stać musiało. Psy gończe posmakowały krwi. W dwa dni po radzie wojennej, Lawrence dowiedział się, że skutego Ghandę jeden z wojowników Monakjiego, wypraktykowany oprawca, najpierw przebił sztyletem, a następnie odciął mu głowę.

Dupleix żył, ale może byłby wolał umrzeć. Poddanie wojsk francuskich i śmierć Chandy - rezultat działań wojennych, które od kilku już lat zamieniały dochody „pokojoych kupców” w straty - przekonały ostatecznie Gompagnie des Indes, że imperialne sny ich gubernatora są zbyt kosztowne. Co więcej, rząd francuski kazał położyć kres wszelkim imperialnym machinacjom Dupleixa. Compagnie des Indes była pod bezpośrednią kontrolą rządu - której to sytuacji uniknęła Kompania Wschodnio-Indyjska - i nie mogła wskutek tego prowadzić bez zastrzeżeń własnej polityki. Jej działalność musiała być zawsze zsynchronizowana z ogólniejszymi problemami polityki europejskiej, dotyczącymi Francji. Zagrozała wojna z Prusami i Anglią. Rząd francuski zdecydował więc, że nie pora na podejmowanie na Kamatyku awanturniczych przedsięwzięć, wiążących wojska i fundusze. Dupleixa odwołano w niełasce. Po wielu latach daremnego dopominania się od swoich zwierzchników, władz francuskich i sądów nie tylko uznania za swoją służbę, ale choćby restytucji jego własnej fortuny, którą wydał w interesie swoich pracodawców, były gubernator zaapelował w otwartym liście o sprawiedliwość:

„Mes services sont traites de fables; ma demande est de-noncée comme ridicule; je suis traitee comme l’etre le plus vile du genre humain; je suis dans la plus deplorabile indigence; la petite propriete qui me restait vient d’etre saisie...”

Muhammed Ali miał teraz zapewniony, przynajmniej na jakiś czas, tron nababa Karnatyku. Jednakże był on, praktycznie biorąc, wasalem Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i nie mógł odmówić tym, którzy wzniosłszy go na wyżyny, mogli go również obalić, żadnych przywilejów, danin ani uprawnień handlowych, jakich by im spodobało się zażądać. A Clive zapamiętał wskazaną przez Dupleixa metodę intronizacji i de-tronizowania książąt.

Gdy tylko powracający Clive zbliżył się do Fortu Św. Jerzego, biała chusteczka Peggy Maskelyne powiała ku niemu z murów, zupełnie, jakby narzeczona czekała tam na niego cały czas. Uniesień radosnego powitania bynajmniej nie ochłodziła świeża blizna przez policzek. Pułkownik Lawrence wyraził nie tylko swoje własne uczucia, gdy pisał: „Jeśli ta szrama szpeci Twoją twarz, to w zamian podnosi Twoją reputację, boś ją zdobył w służbie ojczyźnie”.

Istotnie, o sławie Clive’a nie można było wątpić. Gubernator Saunders odczytał mu list od rady nadzorczej Kompanii, w którym dyrektorzy wyrażali:

„...wielkie uznanie dla zasług kapitana Clive’a, gdyż głównie dzięki jego odwadze i roztropności sprawy nasze przybrały ostatnio tak pomyślny obrót; kapitan Clive może być pewnym, iż powzięliśmy wysokie mniemanie o zaletach jego usług...”

Wysokie mniemanie dotyczyło Clive’a jako żołnierza. Gdy mu powierzono polityczną i administracyjną działalność, londyńska rada nadzorcza miała powziąć o nim inną opinię.

Po bitwie pod Arcot, ojciec Clive’a przyznał z niejakim zdziwieniem, że „coś w tym smarkaczu jednak było”. Teraz pisał z dumą, że na oficjalnym przyjęciu wzniesiono zdrowie jego syna, jako „naszego wielkiego wodza”.

Nie podlega dyskusji, że zimna krew i odwaga Roberta Clive’a, jego desperacka śmiałość - która kazała go porównywać, cokolwiek schlebiająco, do OHvera Cromwella - uratowały Kompanię Wschodnio-Indyjską co najmniej\))d radykalnego zawężenia strefy „handlowych” operacji, a prawdopodobnie od ostatecznego wypędzenia z Indii przez Dupleixa i jego marionetkowych książąt.

Łaskawy dla Clive'a los zdarzył, że w tym samym czasie, gdy on dostał szlify oficerskie, artyleria europejska ulegała przeobrażeniu. Udoskonalone działa oddawały salwy coraz szybciej i dzięki temu równoważyły wyższość liczebną wojsk, prowadzonych do bitwy przez lokalnych książąt. Niewielkie oddziały dobrze wyćwiczonej, zdyscyplinowanej piechoty, wspartej skutecznym ogniem artyleryjskim, mogły rozpraszać w panice wielokrotnie liczniejszą jazdę nieprzyjacielską.

W niewiele lat później Napoleon powie, że aby być dobrym wodzem, trzeba mieć także łut szczęścia. Tego właśnie zabrakło Dupleixowi, skądinąd doskonałemu strategowi. Gdyby młody kancelista Kompanii Wschodni-Indyjskiej nie przeobraził się właśnie wtedy w niezwyciężonego dowódcę, Dupleix byłby zbudował dla Francji w Indiach imperium, które przypadło Anglii.

Natomiast Robertowi Clive fortuna wyraźnie sprzyjała. Po wielokroć wyniósł cało głowę z najgorszych opresji tylko dzięki szczęściu, a nieraz jego ocalenia wydawały się wręcz cudowne. Reputacja, że kule go się nie imają, pomogła mu bardzo na Wschodzie, gdzie umysły ludzkie łatwo opanowuje zabobonny strach. Po nocnej przygodzie pod Seringam Muhammed Ali pisał do Clive'a, który niechybną porażkę zmienił w niespodziewane zwycięstwo: „Z łaski Boga jedyne szczęście ci sprzyja we wszystkich poczynaniach; a jako wszystkie twoje ekspedycje spotykały się z nadzwyczajnymi sukcesami, wierzę, iż opatrność jest ci szczególnie łaskawa...”

Clive również mocno w to wierzył od chwili, gdy pistolet, przy pomocy którego chciał popełnić samobójstwo wkrótce po przybyciu do Indii, zastrajkował mu w rękę. Trudno się też dziwić, że nadzwyczajne pochwały, jakimi go zasypywano, nie pozostały bez wpływu. W takim właśnie nastroju otrzymał wiadomość o tym, jak Francja potraktowała swego byłego gubernatora Pondicherry.

- Dupleix dostał to, na co zasłużył - orzekł Clive. - Kompanie handlowe nie nagradzają tych, którzy je doprowadzają do bankructwa, a narody tych, którzy je doprowadzają do upokorzenia.

Clive miał się w przyszłości przekonać, że kompanie handlowe, dążące do zysku za wszelką cenę i narody, wzbogacające się cudzym kosztem, aby uciszyć własne niewygodne sumienie, potrafią postawić w stan oskarżenia dawnego bohatera, „jak złodzieja owiec”, chociaż nawet karmił kompanię złotem, a naród rozszerzaniem dominiów i potęgi.

Rozdział XII

ŁATWO PRZYSZŁO, ŁATWO POSZŁO

Pałac przy Queen Square, obok Parku St. James', w najwytworniejszej dzielnicy Londynu. Godzina siódma wieczorem. Powozy i lektyki, nieustannie przybywające: damy w kunsztownych fryzurach, włosy upudrowane i ozdobione klejnotami, toalety z brokatów i jedwabi, głębokie dekolty, przysłonięte na razie powiewnymi szalami; eskortujący panowie w perukach i trójgraniastych kapeluszach, długich frakach bez kołnierzyków, kamizelkach haftowanych i aksamitnych, krótkich, obcisłych spodniach do kolan. Parowie królestwa, sekretarze stanu, generałowie, admirałowie, bogate wdowy i słynne piękności, modni malarze, paru lepiej prezentujących się przedstawiciele literatury - cały modny świat metropolii.

Wewnątrz, za szerokimi, podwójnymi drzwiami u szczytu schodów, panowie oddawali kapelusze i płaszcze dwóm Hindusom w turbanach, a lokaje - biali - w liberiach czerwono-czarno-złoty prowadzili damy do wykładanego lustrami buduaru. Z niewzruszonym spokojem stali u stóp i u szczytu wspaniałych schodów, wznoszących się z obu stron wielkiego holu, kamerdynerzy w jeszcze bogatszych liberiach. U góry schody zbiegały się i łączyły, tworząc ceremonialne wejście. Tu marmurowe nimfy odsłaniały swe wdzięki, a amorki, niebezpiecznie balansując na wielkim palcu prawej nogi, mierzyły z łuków w sufit.

Na jednym końcu salonu, wielkiego jak maneż, oświetlonego kryształowymi świecznikami, zawieszonymi u sufitu z wymalowaną sceną zalotów Venus i Adonisa, pan i pani domu przyjmowali śmietankę londyńskiej socjety. Każdego z gości anonsował majordomus tak wytworny, że niejeden z nowobogackich gości popełnił gafę podając mu rękę. Jedyne ślad powściągliwego dobrego smaku można było dostrzec w postaci pani domu: Peggy miała na sobie toaletę z najcieńszego, bladożółtego jedwabiu, z krynoliną liczącą siedem metrów w obwodzie, ale bez żadnych ostentacyjnych ornamentów, ani przyćmiewających bogactwem klejnotów: tylko sznur skromnych pereł na szyi i wschodni wachlarz w ręku. Pan domu uznał za najwłaściwszą maskę wystudiowanej, żołnierskiej prostoty: frak popielaty, wojskowego kroju, bez żadnych żabotów ani koronek, obuwie wzorowane na butach kawalerzysty, ale dość lekkie, by się nadawało do tańca, a zamiast modnych wielkich peruk z lokami, mała peruczka z harcapem, jak przystało człowiekowi czynu.

W Pondicherry Dupleix naśladował przepych dworów orientalnych książąt. W niewiele mniej ostentacyjnym stylu żył teraz w Londynie skromnego pochodzenia młody człowiek, który przed dziesięciu laty wyprawił się do Indii z gażą pięciu funtów rocznie.

- Czy nie moglibyśmy raczej zamieszkać w nie za dużym, skromnym domu pod Londynem, z ogrodem? - prosiła Peggy, gdy układano plany osiedlenia się w Anglii. - Wolałabym małe, zaciszne gniazdko, intymne przyjęcia tylko dla przyjaciół. Nie lubię grać roli wielkiej damy. A prócz tego, niedługo będziemy mieli dziecko...

Mąż Peggy wykpił jej nieśmiałość i odparł:

- Człowieka ocenia się według stopy, na jakiej żyje. Jeśli będziemy żyć skromnie, pozostanę nieznany. Dla mojej kariery, a i dla przyszłej kariery naszego syna, którego, jak ufam, dasz mi za parę miesięcy, powinienem podejmować odpowiednich ludzi w odpowiedni sposób, prowadzić dom otwarty, wywierać wrażenie...

Tak więc romantyczne marzenia Peggy o „miłości w skromnej chatce” rozbiły się o determinację, której nawet Dupleix w swoim czasie nie zdołał nadwerężyć. „Wrażenie”, jakie wywierał Clive, różniło się oczywiście bardzo, w zależności od tego, czy jego goście sami byli ludźmi kulturalnymi, czy też należeli do sfer filistyńskiej plutokracji.

Przy Queen Square czarujące damy i dzielni kawalerowie tańczyli lub grali w karty, zależnie od wieku i inklinacji. Wiele osób zjadało niezwykle potrawy, owoce i orientalne smakołyki z taką energią, jakby nie jedli od tygodni. Spijali wykwintne trunki, szampan i cenne wina całymi skrzynkami. Niektórzy podchodzili do Clive’a, by mu bezwstydnie schlebiać:

- Bohater naszych czasów...
- Wódz z nieba zesłany...
- Wspaniałość tego domu dorównuje prestiżowi jego właściciela...
- Tak wyborny gust w urządzeniu i ornamentyce wnętrza... A za plecami Clive’a ci sami często szydzili:

- Cóż za wulgarny przepych, jakim się otacza ten syn zubożałego szlachecki...
- Nadęty pychą szczupak... a ledwie przed paru laty był płotką, którą fale wyrzuciły na brzeg Indii...

Kiedy w Madras ucichły pierwsze zachwyty i gratulacje, związane z triumfalnym zakończeniem oblężenia Trichinopoli, Peggy po raz pierwszy się dowiedziała, jak wyglądają ataki melancholii, którym podlegał jej narzeczony. Pan Hyde, który świadomie i celowo wydał Chandę Sahiba w ręce siepaczy, padł ofiarą oskarżeń i zarzutów ze strony doktora Jekylla. Dręczyły go migreny i napady febry. Peggy, nie orientując się lepiej od lekarzy, ani też od samego Clive’a w przyczynach tej dziwnej choroby, pielęgnowała z całym oddaniem narzeczonego. Poila go chłodzącymi napojami, ocierała jego czoło wonnymi chusteczkami, zmieniała mokre od potu nocne koszule. Zgorszone protesty starszych dam nie powstrzymały jej od czuwania przy nim całymi nocami i spania na polowym łóżku, rozstawianym w sypialni Roberta.

Do Edmunda, który próbował przynieść ulgę i pacjentowi i pielęgniarkę, zmuszając siostrę do odpoczynku, gdy on sam ją zastępował przy łóżku chorego, Peggy powiedziała z rozpaczą:

- Nic mu nie lepiej, żadne leki ani kuracje nie pomagają!
- Ale twoja pielęgnacja, twoja czuła opieka i troskliwość przynoszą mu ulgę.

Peggy westchnęła.

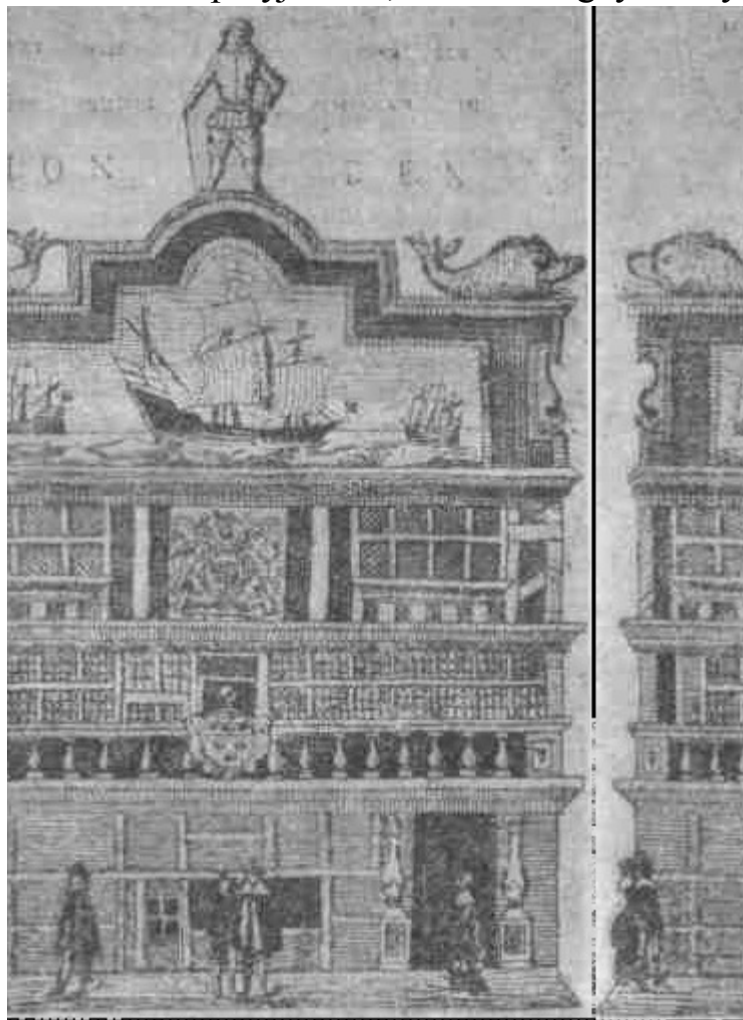
- Wydaje się taki zamknięty w sobie, odległy! Nie jestem pewna, czy mnie w ogóle słyszy. Nie umiem przedostać się do jego świadomości. Gdy jak wyzdrowieje, również nie będę mogła mu pomagać, dzielić jego zmartwień, ulżyć w troskach?

- Nie dręcz się, będziesz cudowną żoną, na pewno!
- Chciałabym być, ale czy on mi pozwoli? Chwila milczenia, wreszcie Edmund zaczął:
- Ja nawet mam nadzieję, że ty... - Przerwał.
- Dokończ! Co chciałeś powiedzieć?

- Może to nie jest odpowiednia chwila. Ale... widzisz, jestem mu przyjacielem, szczerym i prawdziwym, i podziwiam go głęboko. Jednakże mnie to nie zaślepia. I ty z czasem będziesz

wiedziała, że Robert ma pewien rys jakby okrucieństwa, dzikości. Może nawet niektórzy z nas rozwijali w nim te cechy, ignorując je raczej, niż się im przeciwstawiając. A prowadzą go one chwilami do niegodnych jego samego postępków. Mam więc nadzieję, że ty, którą on prawdziwie kocha, będziesz mogła wpłynąć na niego, złagodzić tę surowszą stronę jego charakteru...

Szlachetna nadzieja, ale płonna. Clive sam zdolny był do uczuć szczerzej przyjaźni i głębokiej miłości. Ale ani przyjaciele, ani żona nigdy nie byli w stanie wpłynąć na niego, a już



„India House” - siedziba Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Londynie z pewnością nie umieli odkryć motywów jego postępowania. I nawet dr Jekyll, choćby w głębi ducha potępiał pana Hyde, nie umiał nad nim zapanować.

Clive wrócił do zdrowia i zdecydował poprosić o urlop. Stale kierował się przysłowiem „kuj żelazo, póki gorące”.

- Dobrze będzie, jeśli pojedę do Londynu teraz, kiedy wszyscy mają w świeżej pamięci moje sukcesy - mówił do Peggy. - Bardzo to pięknie, że dyrektorzy „powzięli wysokie mniemanie” o moich zasługach. Niechaj dadzą temu mniemaniu konkretny wyraz. Tutaj nie jestem na ich oczach i prędko o mnie zapomną. W Londynie mogę się upominać o moje sprawy i może uzyskać poważniejsze stanowisko w Kompanii.

- Niczego więcej nie chcę, jak znaleźć się teraz w Anglii - zgodziła się Peggy. - Powinniśmy poznać nawzajem nasze rodziny. I w Anglii możemy założyć nasz prawdziwy dom. Tutaj domy są jakieś nierzeczywiste. Za wiele na pokaz, a za mało serca.

Jeszcze nie wiedziała, jak zupełnie odmienne są ich pojęcia „domu”. Nie dodała też, że szukając w myślach przyczyn niewytłumaczalnej choroby Roberta, obawiała się dla niego szkodliwego wpływu tropikalnego klimatu, a także bliskości pobojuwisk, które może narzucały mu się krwawymi

wspomnieniami.

Gubernator Saunders nie zawsze znajdował satysfakcję w tym, że blask jego stanowiska przyćmiewała sława dwu-dziestoośmioletniego kapitana. Toteż natychmiast udzielił mu urlopu, co do którego Peggy po cichu żywiła nadzieję, że może się zamieni w stały pobyt w Anglii. Dnia 23 marca Edmund Maskelyne żegnał na pokładzie „Bombay Castle” siostrę i przyjaciela, państwa Clive, którzy przed miesiącem wzięli ślub. Zabierali ze sobą do Anglii pół tuzina hinduskich służących i dwóch Mahrattów, dostarczonych przez Morari Rao.

Przed samym wyjazdem Clive dostał od Muhammeda Ali „w dowód uznania walecznych usług” prezent w wysokości czterdziestu tysięcy rupii, równowartość czterech tysięcy funtów szterlingów, stanowiących tylko ułamek fortuny, jaką młody małżonek - realizując swe dawniejsze przechwałki - już posłał do kraju. W Madrasie zostawił jeszcze pięćdziesiąt tysięcy rupii, polecając agentowi, nazwiskiem Levi Moses, zainwestować tę sumę w diamentach.

Robert miał zwyczaj spacerować codziennie po pokładzie w najgorszą nawet pogodę i pewnego razu, gdy wyszedł w burzę, zostawiwszy Peggy w kajucie, przyłączył się do niego wielebny Sydney Huddleston, pastor, który przed rokiem przybył do Madrasu, by zająć się duchowymi potrzebami europejskiej kolonii. Huddleston rozpoczął rozmowę:

- Znalazł pan zapewne zadowolenie w służbie Kompanii, jak na razie.

- Mam wszelkie powody do zadowolenia - odparł Clive. - Ale wielebny ojciec, o ile słyszałem, rezygnuje z tej służby.

- Ze strony urzędników Kompanii spotkałem się ze wszelkimi względami i gościnnością, choć może nie dostrzegłem wielu oznak troski o sprawy duchowe - rzekł pastor. - Natomiast Kompania jako taka, wcale nie jest wyłącznie handlowym przedsięwzięciem, jak mi dano do zrozumienia. Sumienie mi nie pozwala przyjmować pensji, choćby żebraczej, od rady dyrektorów, zmierzającej do zagarnięcia w niewolę narodu i nie wahającej się przelewać krwi w tym celu. To nie jest po chrześcijańsku.

Clive był zaskoczony. Od chwili, gdy rozmawiał z Thomasem Mounsellem za stołem w jadalni rodzicielskiego domu podczas pożegnalnego obiadu, nie słyszał nikogo, kto by takim tonem mówił o Kompanii.

- Powiedziane bez ogródek - zauważył. - Ale chyba wielebny ojciec nie orientuje się, że ostatnie walki wywołał Dupleix, dążąc do założenia w Indiach francuskiego monopolu handlowego - a może i imperium.

- Owszem, wiem, że taki punkt widzenia przedstawia gubernator Saunders, bardzo zdolny człowiek, ale może nie zawsze całkiem szczerzy. W istocie rzeczy, mój młody przyjacielu, pan właśnie jest człowiekiem, na którego Kompania Wschodnio-Indyjska czekała od lat. Miałem ostatnio sporo wolnego czasu i studiowałem w bibliotece dokumenty, dotyczące historii Kompanii.

- I ja się po trochu z tym zaznajomiłem - mruknął Clive z odcieniem ironii. - Jednakże chciałbym usłyszeć interpretację wielebnego ojca i dowiedzieć się, dlaczego ma to mnie tak szczególnie dotyczyć.

Huddleston wspomniał o sprawach, które Clive dobrze znał. Mówił o tym, jak pod koniec XVII wieku Sir Josiah Child nieostroźnie ujawnił zaborcze intencje Kompanii Wschodnio-Indyjskiej; jak, na długo przedtem, nim można było winę zwalić na Dupleixa, przedstawiciele Kompanii toczyli krwawe walki z hinduskimi książętami, którzy uznawszy, że Kompania nazbyt agresywnie dąży do rozszerzania swoich terytoriów, chcieli ją usunąć z osad i faktorii; jak po wybuchu wojny o sukcesję

austriacką, Anglicy odrzucili propozycję Francuzów uznania neutralności Madrasu i Pondicherry i zaatakowali flotę, francuską.

- A w tej godzinie - ciągnął pastor - pojawił się człowiek, którego Kompania potrzebowała. I muszę tu powiedzieć, że po dłuższym wahaniu się, wzdraganiu i rozważaniu, doszedłem do przekonania, że Kompania jest agencją złą. A więc pojawił się człowiek, który dowiódł, że posiada zdolności i jak sądzę - proszę mi wybaczyć, jeżeli się mylę - również wolę i chęć zrealizowania aspiracji Sir Josiah, nigdy nie poniechanych, tylko dotąd ukrywanych.

Cisza. Clive wiedział, że ma wolę i chęć, które mu pastor przypisywał; że nie jest jedynie ślepym wykonawcą cudzych rozkazów. Zanim jeszcze wyprawił się do Indii, oznajmił przecież: „Jestem pewien, że Sir Josiah Child miał słuszość”. Clive nie zmienił zdania.

Pastor przerwał tok jego rozmyślań słowami: - Oczywiście, zrozumiałe jest, że młody człowiek pragnie zdobyć fortunę. Ale są fortuny dobrze zdobyte i fortuny źle zdobyte. Zastanawiam się, czy pan zważył wszystko, co się wiąże ze zdobywaniem fortuny w Indiach.

- O ile o mnie chodzi, wszystko jest jasne i uczciwe, niczego nie mam do ukrywania - odparł Clive z gniewnym uniesieniem. - Robię pieniądze na transakcjach handlowych, na które Kompania zezwala. Otrzymałem hojne prezenty od hinduskich książąt i kupców za niemałe usługi, jakie im oddałem. Nic w regulaminie Kompanii, ani też w tradycyjnych zwyczajach hinduskich nie zabrania przyjmowania podarunków.

- Wypłacając swoim urzędnikom śmiesznie niskie gaże, Kompania, praktycznie biorąc, zmusza ich do grabieży... przepraszam za to określenie. Ale czy pan się zastanowił, że fortuny Anglików w Indiach, prezenty, jakie otrzymują, zyski, przypadające Kompanii, z handlu czy z *wymuszeń*, są w ostatecznym rozrachunku ściągane od ludności, której olbrzymia większość żyje w tragicznej nędzy...

- Wielebny ojciec tak mówi, jakby hinduscy kupcy nigdy nie handlowali, zanim myśmy tu przyszli - zaprotestował gorąco Clive. - A przecież handlowali od tysięcy lat i ciągnęli zyski!

- To ich sprawa - odparł Huddleston. - Gdy mnie tu wysyłano, z gażą tak niską, że gdybym pozostał, musiałbym również splamić się grabieżą, ostrzeżono mnie wyraźnie, abym nie mieszał się do etycznych i duchowych spraw krajowców. Zyski hinduskich kupców, podarunki, przechodzące z rąk do rąk między krajowcami na różnych szczeblach drabiny społecznej - wszystkie te dobra w każdym razie pozostają w ich kraju. Nie są zrabowane, tak, powtarzam, zrabowane, całemu narodowi i wywiezione do Anglii: złoto, diamenty, towary. Ale to jest tylko początek. Może pan nie pomyślał o tym, że pana zwycięstwa, pana wojenny geniusz, i krew przez pana przelana kładą fundamenty pod coś znacznie większego, niż spółka handlowa.

- Mam szczerą nadzieję, że tak będzie - odrzekł Clive z zapalem. - Wierzę w przyszłą potęgę i wielkość Anglii.

- Amen i - zgodził się Huddleston. - Z tym jednym zastrzeżeniem: nie kosztem życia i wolności innych narodów, zwłaszcza uboższych.

- Uboższych? - powtórzył Clive. - A gdzież w Anglii zobaczy pastor taki przepych, takie ostentacyjne bogactwa, jak w Indiach?

- Bogactwa, zabierane warstwom najniższym, tworzą nędzę - tłumaczył pastor. - Ale dopóki te bogactwa pozostają w Indiach... Zbyt to łatwo, zbyt obłudnie udawać, że Kompania nie zdaje sobie sprawy, iż jej rozwój musi pociągać za sobą wyzyskiwanie słabszych dla materialnych korzyści silniejszych.

Zirytowany, Clive dał się ponieść do gniewnego wyznania wiary.

- Co do mnie, niechaj Anglia będzie wielka i potężna, a czym kosztem, o to nie dbam. I musi mi wielebny ojciec wybaczyć, jeśli dodam, że chyba tropikalne słońce padło ojcu na mózg.

Huddleston tylko się uśmiechnął i przystanął, nim zeszli pod pokład.

- A pan musi mi wybaczyć - odrzekł - gdy wyrażę, co jest moim obowiązkiem: przekonanie, że pana najbardziej obchodzi własna sława, władza i fortuna i że dla nich poświęci pan chyba wszystko inne. Nie winię pana tak bardzo. To Kompania Wschodnio-Indyjska jest tym szatanem, jest tą zbrodniczą ręką, która stworzyła sposobność i popchnęła pana do działania. Może według pana jestem narwany, mój młody przyjacielu, ale to nie tropikalne słońce wypędza mnie z tego kraju. Wyjeżdżam, bo nie chcę być nawet świadkiem tego, co się na długo nie odwlecze, zważywszy, czym jest Kompania i jacy są ludzie pana pokroju.

Clive wpadł do kajuty z wybuchem:

- Bezczelność! Nigdy nie zrozumiem... Ale Peggy spała mocno.

Nowo zaślubiona para dotarła w końcu do Anglii. Jak się wydawało, rozplenili się tu przestępstwa, gwałty i zbrodnie: w podawanych do publicznej wiadomości drukowanych informacjach można było wyczytać jednego i tego samego dnia:

„Paszkwilant, piszący pod pseudonimem „Johnathan” został wczoraj skazany na zakucie w dyby za obrazę majestatu”...

„Po szczególnie zręcznym wykonaniu profesjonalnej czynności na człowieku skazanym za ukradzenie kurczaka dla swojej rzekomo głodującej rodziny, kat został wczoraj w Tyburn nagrodzony wiwatami przez tłum...”

„Szlachetnie urodzona Arabella Lowndes, znana z urody dama najwyższych sfer, padła ofiarą rozbójników, którzy ją obrabowali na gościńcu do York, zabierając kasetkę z klejnotami i sakiewkę. Z dwóch forysiów, którzy jej towarzyszyli, jednego raniono wystrzałem z pistoletu, drugiego ogłuszono mocnym ciosem, gdy zmagał się z napastnikami...”

„Wędrownego kaznodzieję, który usiłował wygłosić kazanie we wsi Lancashire, podjudzeni przez miejscowego pastora wieśniacy wrzucili do stawu, gdzie tylko z trudem uniknął zatonięcia...”

„Najmłodszy syn Lorda Rochdale grał w karty z trzema nieznanymi współpodróżnymi w dyliżansie zdążającym do Barn. Wygrał, ale nie zdołał dowieźć swej wygranej do celu podróży. Trzej współpodróżni pobili go, obrabowali i uciekli, zagroziwszy pocztylionowi, że go uduszą sznurem...”

„Sędziego Bentona zaatakowano wczoraj, gdy udawał się w drogę do sądu, by wydać wyrok na człowieka, uznanego winnym zabicia strażnika. Przypuszcza się, że atakujący byli współnikami zabójcy. Stan zdrowia sędziego, który odniósł ranę w głowę, budzi poważne obawy...”

„Powieszono dziecko za kradzież jabłek...”

Clive, odczytawszy tego rodzaju wiadomości Peggy, zauważył nie bez słuszności:

- Wydaje się, że w tym kraju, gdzie ponoć panuje ład i pokój, człowiek nie mniej bywa narażony na niebezpieczeństwo, niż my w Indiach, gdy walczymy z tubylcami i żołnierzami francuskimi.

Dyrektorzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej wydali wielki bankiet na cześć bohatera spod Arcot i uchwalili ofiarować mu „w dowód estymy i wysokiego mniemania o wielkich zasługach, jakie położył dla Kompanii na Wybrzeżu Koroman-delskim”, szpadę wysadzaną diamentami. W tej sprawie Clive pokazał się z najlepszej strony. Odrzekł, że nie przyjmie zaszczytu, o ile taki sam dar nie zostanie wręczony pułkownikowi Stringerowi Lawrence'owi. Po pewnej dyskusji nad kosztami, dyrektorzy ostatecznie zgodzili się przyjąć ten warunek.

Clive okazał szczodrobliwosć nie tylko wobec dawnego zwierzchnika. Za namową Peggy spłacił dług hipoteczny, obciążający Styche, majątek jego ojca; zapisał dożywotnio swym rodzicom kwotę, która zdjęła z ich ramion wszelkie troski finansowe na stare lata i rozdał wcale niemałe sumy różnym niezamożnym krewnym. Wiadomości o tych hojnych gestach wobec rodziny szybko się rozeszły, a wystawny sposób życia młodych Clive'ów widoczny był dla każdego. Przywieziona z Indii fortuna stała się oczywiście tematem częstych pogawędek i nie zawsze dokładnych plotek kawiarnianych:

- Ładną sobie wybrał żonkę, jak malowanie! Widziałem ich właśnie wczoraj, jak jechali zaprzężonym w cztery srokacze powozem, i z dwoma ciemnoskórymi forysiami, przybranymi na białą, jakby w koszule nocne.

- A ja ich widziałem na czarnych jak smoła wierzchowcach, zabranych ponac jakimś hinduskiemu księciu, nazywał się Ghanka, czy jakoś tak. I dwaj strzelcy za nimi, czarnuchy, ale sprawnie końmi powodowali, trzeba im przyznać, a tak mi się wydali, że przeciąć człowiekowi gardło to pewno dla nich nie pierwszozna! Tylko coś im nasz zimny wiatr do gustu nie przypadał...

- Słyszałem, że kazał całym miastom wypłacać kontrybucję, bo jak nie, to by je spalił i z ziemią zrównał...

- Zgarniaj póki może. Ponoć wszystko, złoto, klejnoty, perły...

- I do domu wiezie, by się pokazać. Z taką fortuną będzie mógł sobie kupić nie tylko powozy i domy, a pewno także i paru polityków...

- Tyikom ciekaw, na jak długo mu pieniędzy starczy, jeśli tak będzie szastać, jak teraz? Co łatwo przyszło, łatwo pójdzie...

Clive poświęcił niebagatelne sumy na przekupienie wyborców w jednym z okręgów w Kornwalii. Ale w przekupstwie inni go przewyższyli i Clive nie dostał się do parlamentu. Gdy wyjeżdżał w sprawie owych wyborów, Peggy, znowu brzemienna, szukała wytchnienia od męczącej wystawnosci życia w ich domu przy Queen Square, odwiedzając swego ojca w Chiswick, tuż pod Londynem. Mieszkał w wygodnym piętrowym dworku murowanym z wysokim szpiczastym dachem, skromnym w porównaniu ze zbyt wielkim i przeładowanym ornamentyką domem, który wybrał jej mąż. Wypoczywając na soczyscie zielonym gazonie, otoczona różami i kwitnącymi krzewami, Peggy odnajdywała pogodny spokój, który jej odpowiadał.

- Przez dwadzieścia lat - powiedział jej ojciec - musiałem oszczędzać i odkładać, nim uzbierałem dość, by kupić sobie to zacisze. W dwakroć krótszym przeciągu czasu Robert zebrał w Indiach wielokrotnie więcej.

- Tylko nie wiem, czy jest tak zadowolony, jak ty, ojcie - odrzekła Peggy. - Ale może to różnica usposobień. Nie wyobrażam go sobie ciułającego grosz do grosza, oszczędzającego z regularnej pensji.

- Ale ty jesteś z nim szczęśliwa, wszak prawda, moja droga?

- Bardzo. Może nie zawsze mi się podoba wszystko, co on robi, a przy tym nie zawsze nawet o wszystkim wiem. Ale widzisz - uśmiechnęła się do ojca - ja go kocham.

szczęśliwie się dla niej złożyło, że kochała swego męża. W XVIII wieku kobieta nie miała możliwości osobistej kariery, mogła tylko pomagać w karierze swego męża, o ile to było możliwe. Robert również szczerze i głęboko kochał swoją Peggy. Ale życie kobiety - w kraju czy na obczyźnie - koncentrowało się w jej domu. Działalność męża - zwłaszcza w wypadku Roberta, który włączał się w sprawy o znaczeniu państwowym - często leżała poza zasięgiem żony. Chwilami Peggy czuła, że naprawdę wie o jednej tylko stronie życia Roberta, że zna go tylko jako kochanka i męża. Aspekty

jego charakteru jako żołnierza i męża stanu wymykały się jej - ciemne, nieprzeniknione.

Tymczasem przedstawiciele Compagnie des Indes, którym awanturnicze przedsięwzięcia Dupleixa nie przynosiły spodziewanych zysków, próbowali nawiązać przyjaźniejsze stosunki z dyrektorami Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Rokowania wlokły się żółtym krokiem. Utrudniał je brak szczerości z obu stron. Przedstawiciele obu kompanii wiedzieli już, że istnieje konkretna i zyskowna możliwość dublowania handlowych metod politycznymi. Chwilowo wyczerpane działaniami wojennymi, obie strony pragnęły momentu wytchnienia, by zastanowić się nad przyszłością, wzmocnić swoje pozycje przymierzami z hinduskimi książętami albo pretendentami. Wreszcie podpisano traktat. Francuzi ustąpili z ostatnio uzyskanych terytoriów, które mogłyby zagrażać interesom angielskim. Zgodzili się nawet uznać Muhammeda Ali, marionetkę Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, prawowitym nababem Arcot. Ale Charles Godeheu, następca Dupleixa w Pondicherry, ujawnił skryte intencje obu stron pertraktujących, pisząc do swego głównego militarnego doradcy, generała de Bussy:

„Nie trzeba się przejmować żadnymi paragrafami tego traktatu. Podpisaliśmy go tylko po to, by zyskać na czasie...”

Godeheu orientował się doskonale, tak samo, jak Saunders, de Bussy, Clive, dyrektorzy Compagnie des Indes i Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, że w południowych Indiach nie było miejsca na dwie organizacje „handlowe”, z których każda zmierzała do hegemonii, jeśli nie do monopolu.

Po zapłaceniu należności, związanych z niefortunną kampanią wyborczą, Clive przekonał się, że rozszastał fortunę o wiele szybciej nawet, niż ją zdobył. „Łatwo przyszło, łatwo poszło”. Tego rodzaju „informacje” zawsze się prędko rozchodzą. Bale, uczyty i przyjęcia przy Queen Square wyprawiano nadal. Jeszcze trwał nienaruszony zewnętrzny przepych, Hindusi stali na swoich stanowiskach z obojętnymi twarzami, służba w liberiach kręciła się tłumnie. Ale w sali balowej i w salonach do gry w karty, pod kryształowymi żyrandolami i między ozdobnymi kolumnami, gości bywało coraz mniej. Nadszedł dzień, kiedy nimfy, amorki, Venus i Adonis spoglądali na nieomal opustoszałą dżunglę splendorów. Apetyty kilku pieczeniarczy, którzy przychodzili, by się najęść, nie o wiele zmniejszyły góry mięsiwa, wschodnich przysmaków, win i owoców. Jedząc, nieliczni goście tręcili się łokciami i kpili sobie z nachmurzonego oblicza pana domu:

- Jeszcze udaje, ale jego fortuna już znikła. Wszyscy o tym wiedzą. Sekretarze, służba, zawsze gadają.

Peggy, po szczęśliwie przebyłym drugim połogu, zachowywała zupełną pogodę ducha. Wcale nie była jej niemiłą myśl, że przepych i splendory muszą się skończyć. Miała nadzieję, że teraz z mężem i dwoma synkami będzie pędziła życie w idyllicznej sielance, na wsi, może we dworze Styche, opuszczonym przez rodziców Clive'a, którzy przenieśli się do Londynu. Senne marzenia. Ponoć sny spełniają się w rzeczywistości właśnie odwrotnie. Istotnie pewne aspekty charakteru Roberta były dla Peggy „ciemne i nieprzeniknione”.

Wojna między Anglią a Francją wisiała w powietrzu. Jasne było, że zawarty „dla zyskania na czasie” traktat między dwiema kompaniami handlowymi nie przeżyje wybuchu wojny. Zawód wojskowy, któremu dzięki zbiegowi okoliczności poświęcił się były kancelista, wszedł mu w krew - i przypadł do przekonania panu Hyde. Gdy Peggy śniła i marzyła, w kieszeni jej męża już spoczywała nominacja na pułkownika królewskiej piechoty w Indiach Wschodnich, a także list od dyrektorów Kompanii, mianujący go komendantem Fortu Św. Dawidai zapewniający mu stanowisko gubernatora Madrasu po oczekiwanej wkrótce dymisji Thomasa Saundersa. Pod jego zwierzchnością mieli się

znaleść ludzie, którzy, gdy młody kancelista pierwszy raz wylądował w Indiach, byli już starszymi kupcami i członkami rady zarządzającej. Clive skutecznie „upominał się o swoje sprawy” i zdobył dla siebie rzeczywiście „poważniejsze stanowisko”.

Dom przy Queen Square sprzedano, część jego umeblowania również. Cenniejsze trofea pozostawiono pod opieką teścia Clive’a. Dnia 23 kwietnia 1755 roku z londyńskiego portu wyszedł na morze okręt „Stretham” wraz z dwoma innymi, wioząc pod komendą nowo mianowanego pułkownika trzy kompanie artylerii i czterystu żołnierzy innych broni, wszystko z armii królewskiej, co świadczyło, że przyszłe operacje militarne nie będą już wyłącznie przedsięwzięciem Kompanii.

Peggy nie zawahała się w lojalności i oddaniu. Nie zgodziła się, aby Robert, potrzebujący jej obecności i opieki w atakach tajemniczej choroby, wyprawił się bez niej. Może przypomniawszy sobie i o tym, że w pewnych kręgach europejskiego towarzystwa w Indiach łamano niejedno z dziesięciu przykazań. Ale serce jej krwawiło i łzy się tłoczyły do oczu z powodu konieczności rozstania z dwoma małymi synkami.

Ta sama konieczność zaciążyła dużo lżej na radosnym optymizmie Clive’a. Powracał na scenę swoich triumfów, z intencją dodania nowego blasku do dawnej chwały, zdobycia nowej fortuny i zapewnienia Kompanii Wschodnio-Indyjskiej definitywnej supremacji nad rywalami.

Ale dr Jekyll-Clive nie przeczuwał jeszcze, że pan Hyde-Clive jedzie na podbój Indii, jedzie tworzyć imperium.

Część druga
NAD GANGESEM

Rozdział XIII

SUBADAR W OPAŁACH

Z początkiem roku 1756 nieprzeliczone mnóstwo żebrzących braminów podążało do Murshidabadu, głównego miasta trzech prowincji: Bengalu, Biharu i Oryssy. Stary subadar, Alivardi Khan, który przed dwudziestu czterema laty zdobył mieczem tron, leżał umierający. Przybycie wielu tysięcy jego poddanych na ceremonie pogrzebowe będzie żniwem dla czczonych przez ludność wędrowców. Ofiarowanie im jałmużny zapewniało nagrodę w przyszłym życiu. Żebrzący bramini, prawie nadzy, posypani popiołem, z wiechami niestrzyżonych włosów, spłowiałych od słońca, siadali w kucki wzdłuż brzegów Bhagirathi, uświęconego tradycją starego koryta Gangesu. Każdy miał ze sobą ucznia, który mu towarzyszył w wędrówkach po kraju, nosił miseczki na żywność i upominał się o jałmużnę dla swego mistrza.

Murshidabad było niewielkim miasteczkiem, wzniesionym do obecnej godności zaledwie przed pięćdziesięciu laty. Nie szczyliło się arcydziełami architektury, wspaniale przyozdabiającymi inne stolice Indii. Dopiero niedawno dworzanie i bogaci kupcy zbudowali tu dwory; niewiele też lat liczył sobie pałac królewski, w którym swemu ulubionemu wnukowi i mianowanemu następcy, dziewiętnastoletniemu Siraj-ud-Daulowi, umierający subadar w ostatnich słowach udzielał fatalnych napomnień.

Przed komnatą czekał wysokiego wzrostu dygnitarz, o rysach twarzy ostrych, ale ustach słabych, zmysłowych, ostentacyjnie wystrojony w barwne szaty z najcieńszego jedwabiu. Jego turban, palce, pas, głównia szabli - lśniły od cennych klejnotów. Był to Mir Jafar, głównodowodzący wojsk subadara, ożeniony z jego siostrą.

Młodociany następca tronu zasłynął, jak do tej pory, z zamiłowania do polowań, jazdy konnej i hulanków. Nie zdradzał zainteresowania sprawami państwowymi. Toteż Mira Jafara, który planował, że będzie władcą we wszystkim, prócz nazwy, spotkała niemiła niespodzianka, gdy w parę godzin po śmierci Alivardiego, nowa odpowiedzialność dziwnie odmieniła młodego subadara. Zaczął od razu od rozmowy na tematy państwowe:

- Mój dziad w ostatnich słowach przestrzegał mnie przed niebezpieczeństwem, jakim są Europejczycy w naszym kraju. Przytaczał jako przykład południowe prowincje, gdzie ci ludzie wykorzystali prywatne waśnie między książętami, by zagarniać ziemie i dobytek. A zwłaszcza ostrzegał mnie przed Anglikami, którzy są potężni. Jeśli będę pozwalał im nadal budować fortyfikacje i utrzymywać wojsko, mój kraj nie będzie moim. Tak powiedział.

- Możesz te wszystkie sprawy spokojnie pozostawić w moim ręku - odparł Mir Jafar z pobłażliwą wyższością. - Anglików najlepiej pokonać chytrą i oczywiście złotem. Łatwo przekupić ich wyższych urzędników i dowódców. Mam w tym doświadczenie, mam sposoby i słabości tych cudzoziemców. Młodzi mają inne...

Siraj-ud-Daula przerwał mu, prostując swą potężną postać do pełnej wysokości:

- Zechciej pamiętać, mój drogi i wielce poważany wuju, że jestem subadarem. Będę nakłaniał ucha do rad, ale wybiorę własną drogę, która nie prowadzi przez ciemne zakamarki i błotniste odory podstępów, chytryści i przekupstwa, ale przez jasne wyżyny, gdzie czyny są każdemu widoczne i wyraźne.

Mir Jafar drgnął, jakby od uderzenia. Ale nie brak mu było chytryści. Poczekaj. Niepożądane nastroje jego siostrzeńca nie przetrwają uroku nowej tancerki. Tak przypuszczał.

Prócz politycznych motywów, kryjących się za radami Ali-vardiego, były jeszcze motywy ekonomiczne. W początkach XVIII wieku Kompania Wschodnio-Indyjska, która miała podówczas faktorie w Hugli, Kalkucie i Kazimbazarze w prowincji Bengalu, oraz w Patnie w prowincji Bihar, uzyskiwała od Wielkiego Mogola „firman”, czyli przywilej, zwalniający od obowiązku płacenia cła od towarów przywożonych, wywożonych i tranzytu na lądzie i wodzie. Przedstawienie w każdym urzędzie „dastaku”, czyli dokumentu, podpisanego przez wyższego angielskiego urzędnika, pozwalało przewieźć bez opłat rogatkowych wszelkie towary, w „dastaku” wymienione. Ali-vardi Khan przekonał się, że jego skarb ucierpiał nie tylko bezpośrednio dzięki takiemu uprzywilejowaniu cudzoziemców, ale i pośrednio z powodu nadużyć. Urzędnicy Kompanii okradali go, sprzedając podpisane „dastaki” kupcom hinduskim. Alivardi postanowił więc wymóc na Anglikach płacenie wszelkich należności - a gdyby odmówili, zamierzał ich wypędzić z ziem, którymi władał. Złożony śmiertelną chorobą, upominał swego młodocianego następcę:

- Tego zadania ty teraz musisz dopełnić!

Po wstąpieniu na tron, młody subadar potrzebował doradców mniej bezinteresownych od Mira ‘Jafara, gdyż zewsząd otaczali go wrogowie. Jego owdowiała siostra, Ghasilia Begam i jej kochanek Rajballah knuli spiski, chcąc koronę trzech prowincji włożyć na skronie jej syna, Shaukata Janga. We trójkę ułożyli plan, i skoro tylko ceremonie pogrzebowe dobiegły końca, a wędrowni bramini rozpięchli się po kraju, wysłali do Kalkuty syna Rajballaha imieniem Kissendas, ze szkatułką, zawierającą klejnoty Ghasitii Begam. W Kalkucie Kissendas zatrzymał się w domu niejakiego Omichanda, bogatego hinduskiego kupca o dość wątpliwej reputacji, z którym jednak stary Alivardi utrzymywał przyjacielskie stosunki dlatego, że on i jego wspólnik, bankier Sagath Jeth, gotowi byli zawsze wygodnie pożyczką, gdy skarb subadarski zaświecił pustkami. Ucieczka Kissendasa w połączeniu z wiadomością, że gubernator Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Kalkucie, William Drake, bardzo kordialnie podejmował tego zdeklarowanego wroga subadara, obudziły czujność młodego Siraj-ud-Daula.

- Anglicy zechcą tu powtórzyć taktykę, jaką zastosowali na południu - powiedział do swego wuja. - Będą popierali Shaukata Janga przeciw mnie. Ale ja im pokażę, że ze mną nie pójdzie im tak łatwo!

Mir Jafar wiedział od Omichanda, że Anglicy w Kalkucie mieli zaledwie trzystu żołnierzy i słabe fortyfikacje. Gdyby jego siostrzeniec teraz ich zaatakował, odniósłby pewne zwycięstwo. A to by go jeszcze umocniło w jego samowoli i przekonaniu, że może rządzić sam, bez przelania władzy i odpowiedzialności na swego głównodowodzącego. Lepiej go odwieść od tego zamiaru.

- Powinieneś najpierw rozprawić się z Shaukatem Jangiem - podpowiedział. - Aby podczas twojej nieobecności w Murshidabadzie nie podlegał tutaj do jakichś rozruchów.

Siraj-ud-Daula nie wyrzekł się swoich intencji.

- Najpierw pokażę Anglikom, kto tutaj jest panem! - oznajmił.

I bez zwłoki wysłał do Kalkuty żądanie zwrotu skarbu Ghasitii i Kissendasa, z pewnością

przeznaczonego do sfinansowania rebelii. Jego posła, choć był dygnitarzem, gubernator Drake przyjął z kpinami i odesłał z odpowiedzią:

- Kissendas jest gościem w angielskim mieście Kalkucie. Będziemy go bronić przed wszelkimi próbami zamachów na jego wolność i na jego własność.

Posel zakomunikował również, że gubernator wzmacnia fortyfikacje wokół Fortu Williama i nakazał okopać go wokoło rowami. Siraj-ud-Daula wpadł w pasję, posłał po Mira Jafara i wydał rozkaz:

- Postaw armię na nogi! Maszerujemy natychmiast, by dać lekcję tym Anglikom. Jeśli im pozwolę ufortyfikować ich faktorie, to samo zrobią Francuzi, i Holendrzy, a w końcu moi własni gubernatorzy w Biharze i w Oryssie. I wtedy rzeczywiście, jak ostrzegał mój dziad, nie będę mego kraju mógł nazwać moim!

Mir Jafar doradzał cierpliwość i dyplomatyczne manewry, tłumacząc:

- W Europie znów wybuchła wojna. Bez wątpienia angielska rada w Kalkucie żyje w obawie ataku Francuzów z Chan-dernagore. - Była to główna kwatera Compagnie des Indes w prowincji Hugli, położona o jakieś pięćdziesiąt kilometrów powyżej Kalkuty. - I dlatego się fortyfikują.

- Ja sam będę ich bronił w razie ataku - odparł suba-dar. - Nie pozwolę na wojny między cudzoziemcami na moim terytorium. I przysięgam na wielkiego Allaha i jego proroka, że Anglicy zrównają z ziemią własne fortyfikacje, a także zaniechają wystawiania „dastaków” kosztem mojego skarbu. Bo jeśli nie, to wypędzę ich z granic Bengalu.

Wuj zapalczywego młodzieńca, starając się zyskać na czasie, namówił w końcu, by przynajmniej wysłał najpierw kategoryczne żądanie zniszczenia fortyfikacji i zakaz wznoszenia nowych. Odpowiedź Anglików była znowu wyzywająca. Jednocześnie przyszła wiadomość, że Omichanda, którego podejrzewano o kontakty z Siraj-ud-Daulą, Anglicy wtrącili do więzienia. Tej zniewagi kupiec nie miał im zapomnieć.

Gubernatorowi Drake'owi nie zbywało na odwadze, gdy pisał listy i nakazywał aresztować kupca, który, jak sądził, nie potrafi się obronić. Ale kiedy subadar i jego naczelny wódz stanęli z wojskiem przed murami Kalkuty, gubernator razem z najstarszym rangą oficerem, kapitanem Minchenem, uciekli na pokład okrętów, stojących na kotwiczowisku i pożeglowali w dół rzeki Hugli, zostawiając ich własnemu losowi sporą liczbę Anglików, za których bezpieczeństwo byli odpowiedzialni.

Załoga w Kalkucie, pozbawiona dowództwa, walczyła dzielnie, ale nie miała szans przeciw licznym wojskom Siraj-ud-Dauli. Hindusi zdobyli miasto bez własnych strat i częściowo je spalili. Mir Jafar, wiedząc, jak przydatni bywają różni nikczemnicy nawet wysoko postawionym dygnitarzom, namówił siostrzeńca, by uwolnił Omichanda z więzienia. Ale i tak subadar obraził kupca, bo nie zgodził się, by ta pokraczna figura - Omichand był niski, obleśnie usłużny, o małych oczkach, obwisłych wargach i torsie tak samo wypaczonym, jak jego umysł - wzięła udział w uroczystościach, wyprawianych w Forcie Williama dla uczczenia zwycięstwa.

Wziętymi do niewoli Anglikami zaopiekowano się starannie, a przed udaniem się na spoczynek tej nocy Siraj-ud-Daula wydał rozkazy, by się z nimi dobrze obchodzić. Ale gdy niektórym angielskim żołnierzom strażnicy dali araku, zaczęły się hałasy i burdy. Oficerowie nie wiedzieli, co z nimi począć. Omichand poszedł do kwatery Mira Jafara.

- Anglicy nie wypuszczą bez protestu ze swych rąk Kalkuty - powiedział. - Sprowadzą posiłki z południa. Jeżeli by wówczas mieli powód żywić nienawiść do subadara, to byś się chyba nie

pogniewał, jak sądzę.

W krótki czas po tej rozmowie, angielskich jeńców umieszczono na noc w kamiennej budowli, używanej poprzednio przez Anglików jako więzienie dla angielskich żołnierzy, skazanych za różne przestępstwa, i popularnie zwanej Czarną Jamą. Liczyła ona sześć na pięć metrów powierzchni i miała jedno wąskie okienko. Jeńców, kobiet i mężczyzn, których tam wtłoczono, było stu czterdziestu sześciu.

Rankiem, po nocy w tropikalnym upale, nocy niewypowiedzianych męczarni dla nieszczęsnych ofiar, tylko dwudziestu trzech żywych wydostało się z Czarnej Jamy, wpełzając spomiędzy trupów towarzyszy. Omichand zemścił się za swoje uwięzienie. I razem z Mirem Jafarem, we dwóch na zawsze oczernili imię Siraj-ud-Dauli. Pobłażliwość, często posunięta do nieostrożności, cechowała wszystkie poczynania młodego subadara. John Holwell, zastępca Williama Drake'a i jeden z tych, którzy przeżyli noc grozy w Czarnej Jamie, w pismach swoich stwierdził, że młody subadar był głęboko wstrząśnięty tym, co zaszło. Wszyscy Anglicy w Bengalu składali winę na Omichanda. Jednakże niektórzy historycy i biografowie Roberta Clive'a na podstawie zbrodni Czarnej Jamy zaklasyfikowali Siraj-ud-Daulę jako „potwora”. Zdecydowali zignorować fakt, że gdy Mir Jafar i inni dworzanie nalegali, by skonfiskować majątek Holwella i innych Anglików, subadar nie chciał o tym słyszeć.

- Jeśli mu jeszcze coś ocalało, niechaj to zatrzyma - rzekł. - Wielkie były jego cierpienia. Niechaj odejdzie swobodnie i niczego mu nie zabierajcie.

Tak się też stało.

Oszustwa i zdrady Omichanda nie miały granic. Nie zdobywszy łaski subadara, spróbował wkręcić się w łaski Anglików. Znalazł metodę skontaktowania się z gubernatorem Drake'iem i innymi, którzy schronili się w Fulcie. A pretendent Shaukat Jang nie potrzebował długich namów, by pod nieobecność Siraj-ud-Dauli w stolicy ogłosić się władcą.

Niebawem Omichand - błyskając kunimi oczkami, pulchne ręce zacierając z satysfakcji - przypatrywał się wymarszowi do Mursihabadu subadara, jego naczelnego wodza i większości wojsk. W Kalkucie pozostawiono załogę pod dowództwem generała Manikchanda. Nikt z Hindusów nie wiedział jeszcze o tym, o czym doniesiono Omichandowi: że admirał Charles Watson z silną flotą wypłynął już z Madrasu, wioząc transport wojsk pod dowództwem sławnego pogromcy Dupleixa i Chandy Sahiba, budzącego trwogę w sercach, pułkownika Roberta Clive.

- Jeśli ten jego siostrzeniec pobije naszego młodego przyjaciela, to i dobrze - chichotał sam do siebie Omichand. - Jeśli nie, no to bez trudu mi chyba przyjdzie upewnić się, aby Anglicy wykończyli Manikchanda. W każdym bądź razie, zwycięzca będzie moim dłużnikiem. Może jednak Shaukat Jang nie zostanie subadarem... ale wówczas można by pomyśleć o Mir Jafarze, który, jak widzę, wcale nie jest zadowolony ze swojej obecnej roli...

Shaukat Jang nie został subadarem. Poniósł klęskę i padł w bitwie, a Siraj-ud-Daula powrócił w triumfie do Murshida-badu. Tam się dowiedział, że jego skarbnik, Rai Dulab, i bankier hinduski Jagat Seth, obaj namawiali Shaukata Janga do buntu i zaopatrzyli go w pieniądze. Wezwał ich przed swoje oblicze i w pasji wybuchnął:

- Wybaczę wam przez pamięć mojego dziada, któremuście służyli, i zostawię was na waszych stanowiskach, chociaż wątpię, czy on by tak postąpił. Ale za pierwszym cieniem nielojalności pozbawię was i wasze rodziny wszystkiego!

Skarbnik wylewał krokodyle łzy, wyrażał wielką skruchę, żałował, ponieważ „dał się innym do

złego namówić” i złożył pokorny hołd.

Natomiast Jagat Seth upierał się przy swojej niewinności, aż subadar krzyknął na niego:

- Kłamiesz! Wiesz sam, że kłamiesz. Mogę dowieść, że kłamiesz. Opuść mój dwór, a jeśli byś kiedykolwiek stopę tu postawił, każę cię obrzezać!

W oczach Hindusa taka groźba była śmiertelną zniewagą, której nie mógł nigdy zapomnieć. Mir Jafar zachował milczenie i tylko obserwował, jak szeroko Ghasitia zarzuciła swoje sieci, ile wręczyła łapówek, ilu ludzi przekupiła - i jak jego siostrzeniec pogłębił nienawiść niechętnych mu ludzi swoim publicznym wybuchem gniewu.

Wielu pomniejszych urzędników i dworzan, wmieszanych w spisek Shaukata Janga i jego matki, zastąpiono ludźmi, którym młody władca, jak sądził, mógł zaufać. Chanda Sahib, Mo-rari Rao, może nawet Robert Clive, żaden z nich nie zawahałby się przed skazaniem na śmierć ludzi, którzy go zdradzili. Ale Siraj-ud-Daula nie był okrutny. W danych warunkach, przy większej bezwzględności, może by dłużej utrzymał się na tronie - i przy życiu. Jego pobłażliwość źle mu się wypłaciła. Ci, których oszczędził, przyjęli miłosierdzie za słabość - i kopali coraz głębsze nory intryg. Niejeden z nich później opuszczał nocą tajemnym przejściem pałac Mir Jafara.



Admirał Watson. Według portretu T. Hudsona

Sprawy osądzania i oczyszczania dworu zajęły sporo czasu. Aż nadeszły nowiny, że admirał Watson i pułkownik Clive przybyli do ujścia rzeki Hugli.

- Manikchand ma pod dostatkiem sił, by odeprzeć zakusy Anglików na Kalkutę - gładko zapewniał Mir Jafar. - Nie rna potrzeby, byś sam się tam znowu wyprawiał. Jesteś zajęty tutaj, w Murshidabadzie.

I ponieważ Siraj-ud-Daula chciał dokończyć reorganizacji rządu w stolicy, usłuchał swego wuja.

Być może Manikchand rzeczywiście posiadał dość sił, by się rozprawić z Anglikami. Ale zabrakło mu chęci. Dnia 29 grudnia 1756 roku pułkownik Clive z ośmiuset siedemdziesięciu

Europejczykami i tysiącem dwustu sepojami zaatakował trzytysięczne wojsko hinduskie koło miejscowości, zwanej Baj-Baj. Właśnie w chwili, gdy bitwa zdawała się przeważać na korzyść Hindusów, Manikchand bez żadnego widocznego powodu nakazał odwrót, pozostawiając Anglikom drogę do Kalkuty otworem.

Ale powód postępuku Manikchanda był widoczny dla Siraj-ud-Dauli.

- Ci perfidni Anglicy przekupili go! - pieniał się ze złości.

Prawdopodobnie tak było. Przed bitwą Omichand nawiedzał główną kwaterę Manikchanda, a także wysłał do pułkownika Clive'a obleśnie pochlebny list, witając go w Bengalu: „...najszcześniejszy los przypada tym, którzy Ci służą... rozumiem, że chwilowo nie znajduję łaski w Twoich oczach z przyczyny jakichś złośliwych donosów... gdy stanę przed Tobą, przekonasz się o mojej niewinności...”

W trzy dni po bitwie pod Baj-Baj, pułkownik Clive wszedł na czele swych wojsk do Kalkuty. Zanim gubernator Drake lekkomyślnie wyzwiał subadara, a potem uciekł, Kalkuta była rozległym, katastrofalnie niehigienicznym ale prosperującym miastem, liczącym 50 tysięcy mieszkańców. Rozwinęła się tak od roku 1690, kiedy to Kompania Wschodnio-Indyjska wzięła w dzierżawę małą wioskę, zwaną Kalikata, położoną na wschodnim brzegu Hugli, z dogodnym kotwicowiskiem. W rezultacie niewczesnej arogancji Drake'a, Kalkuta, do której wkroczył Clive, zaledwie istniała. Niektóre dzielnice padły pastwą ognia, wzdłuż nabrzeży portowych trwała martwa cisza, wielkie magazyny i składy stały puste, pozamykane.

Subadar, zdecydowany za wszelką cenę wypędzić Anglików, zaczął gromadzić armię, liczącą 40 tys. ludzi. Mir Jafar nie był tchórzem. Miał jednak swoje powody, dla których wolał dać się poznać Anglikom raczej darami, niż mieczem. Zaproponował więc:

- Lepiej nie pozbywać się ich tak radykalnie. Będą wracali z coraz liczniejszym wojskiem i zechcą się zainstalować siłą. Poślij mnie do Kalkuty z pełnomocnictwem rokowania o traktat...

Siraj-ud-Daula odtrącił te rady.

- Mój dziad wiedział, co mówi! - oznajmił. - Ruszamy w pochód. I wtrącimy tych niewiernych do morza.

Po przybyciu pod Kalkutę dnia 3 lutego 1757 roku subadar ostro zganił Manikchanda za klęskę pod Baj-Baj, ale znów nie skorzystał ze sposobności ukarania zdrajcy tak, by stanowiło to odstrasżające ostrzeżenie dla innych w jego otoczeniu.

Wojsko subadara odparło nocny atak, podczas którego Clive, zmyliwszy w ciemnościach drogę, znalazł się w środku nieprzyjacielskiego obozu i poniósł znaczne straty: pięćdziesięciu siedmiu zabitych, w tym jego adjutant i osobisty sekretarz, obaj przy jego boku, i stu pięćdziesięciu rannych.

Opatrzność, która z taką pozorną bezstronnością obdarza swymi łaskami raz człowieka sprawiedliwego, to znowu nikkczemnika, wybrała ten moment, by uśmiechnąć się, jak już kilkakrotnie, do Roberta Clive - a odwrócić od Siraja-ud-Dauli. Trudno zaiste wyobrazić sobie, jak potoczyłyby się dzieje Bengalu i dalsza kariera Roberta Clive, gdyby subadar nie otrzymał przysłanych umyślnym gońcem z Murshidabadu alarmujących wieści. Afgańczycy, groźni wrogowie, którzy w ostatnich latach rozszerzyli swoje królestwo na zachód prawie aż do

Morza Kaspijskiego, a na wschód do Pendżabu i Kaszmiru, ruszyli znowu na wschód, deklarując swoje intencje splądrowania i złupienia bogatych ziem Bengalu.

- Tym razem musisz mnie usłuchać - powiedział Mir Jafar. - Trzeba koniecznie dojść do jakiegoś porozumienia z Anglikami. Oczywiście, będziesz mógł zerwać traktat, skoro tylko nie będzie ci

dłużej potrzebny.

Siraj-ud-Daula rzeczywiście nie miał wyboru.

- Jeślibym został, by walczyć z Anglikami, Afgańczycy mogą mi zająć stolicę - przyznał. - Ale gdy zawrę traktat z Anglikami, będę przestrzegał jego postanowień, dopóki oni będą przestrzegali.

Wykorzystując trudną sytuację subadara, admirał Watson i pułkownik Clive dobili korzystnego dla siebie targu. Wprawdzie zobowiązali się nie wprowadzać swoich wojsk poza określone granice wokół Kalkuty bez zgody Siraj-ud - Dauli, a także dostarczyć mu pomocy militarnej, gdyby jej zażądał, przeciw każdemu nieprzyjacielowi; ale odzyskali wszystkie swoje osady i faktorie, wszystkie towary, zagarnięte w Kazimbazar i w Kalkucie, wraz z odszkodowaniem za straty, poniesione przez Kompanię i jej urzędników. Zatrzymali też „firman”, prawo wystawiania „dastaków”, wyłączających towary od opłat.

Gorzką pigułkę musiał przełknąć młody subadar, tak gorąco usiłując wypełnić ostatnią wolę dziada i samodzielnie władać na wszystkich odziedziczonych ziemiach. W posępnym nastroju prowadził wojska na wschód. A ciemnoskóry Omi-chand mógł swobodnie kontynuować swoje machinacje, nie wiedząc, że w knuciu intryg biali ludzie okażą jeszcze mniej skrupułów, niż on sam.

Rozdział XIV

KORUPCJA, SPISKI, INTRYGI

- Traktat, jaki z nimi zawarłem, przyznał im wszystko, czego żądali. I jeszcze im mało! - pienił się Siraj-ud-Daula, wymachując listem od admirała Watsona i pułkownika Clive'a. Anglicy nie tylko zażądali zezwolenia subadara na zaatakowanie głównej kwatery francuskiej w Chandernagore, ale na dokładkę oczekiwali jeszcze, aby hinduskie wojska, stacjonujące w tej okolicy, wzięły udział w operacjach militarnych. Suba-dar doskonale rozumiał, że chodziło o wywarcie wrażenia, jakoby to raczej jemu, a nie Anglikom, zależało na wypędzeniu Francuzów z Bengalu.

- A jeśli naprawdę Francuzi stąd pójdą - dokończył subadar własnych myśli - to Anglikom będzie się wydawało, że jestem zdany na ich łaskę i niełaskę!

Natychmiast poinformował Clive'a, że chociaż nawet Francja i Anglia wojują w Europie, on nie zgadza się na rozszerzenie działalności wojennej na teren jego subadarstwa.

„Francuzi są moimi gośćmi tak samo, jak wy nimi jesteście. Dopóki zachowujecie się, jak goście, będziecie jako goście traktowani. Będę dążył do przeszkodzenia każdej stronie w próbach interwencji militarnej w sprawę i osiedla drugiej strony. Wasz atak na Chandernagore uznam za pogwałcenie uroczystego traktatu, jaki podpisaliście.”

Jednocześnie subadar wysłał rozkaz do Nuncomara, gubernatora Hugli i dowódcy wojsk w pobliżu Chandernagore, aby wystąpił w obronie Francuzów na wypadek ataku ze strony Anglików, i podobnie: gdyby Francuzi okazali się agresorami, miał dopomóc Anglikom.

Trudno się dziwić, że Siraj-ud-Daulę cała ta sytuacja mocno niepokoiła. Nie miał przy sobie doradców, na których lojalnej bezinteresowności mógłby polegać. Subadar był odważny, stanowczy, a w porównaniu z wielu innymi wschodnimi książętami swojej epoki - uczciwy i szczerzy. Być może zanadto uczciwy i szczerzy, by mieć szansę w stosunkach z ludźmi, którzy go otaczali. Chodził niecierpliwymi krokami po komnatach, coraz boleśniej świadomy swej samotności w chwili, gdy zewsząd zagrażali mu wrogowie.

- ...przygotowania do wyprawy przeciw Afgańczykom - rozmyślał - wiązą mnie jak wierzchowca do pnia drzewa. Nie mogę osobiście udać się do Chandernagore. A ten Clive ma złe zamiary, i to niejednego rodzaju. Powinienem mieć go na oku... jest sposób... sposób nikczemny, sposób podstępny, przeciwny moim inklinacjom, mojej stałej polityce... niechętnie nim się posłużę... ale nie widzę innego. A jeśli się zgodzi, ocaliłoby to Francuzów...

Postanowił napisać do Clive'a:

„Przednie oddziały Afgańczyków są już o niecałe sto mil od granic mego subadarstwa i wyprawiam się na północ do Patny, stolicy Biharu... Jeżeli pułkownik Clive z siłą nie mniejszą od tysiąca ludzi przyłączy się do mnie w tej wyprawie, będę mu wypłacał przez okres, kiedy będzie pozostawał przy mnie, sumę jednego lakha rupii (10 000 funtów szterlingów) miesięcznie na utrzymanie wojsk...”

Do Mira Jafara, jego siostrzeniec powiedział:

- Według traktatu, jaki podpisali, Anglicy winni mi pomóc w razie niebezpieczeństwa. No, teraz zobaczymy, co ich słowo jest warte...

Niewiele. Honorowanie traktatów, zawieranych z hinduskimi książętami, nie spędzało snu z powiek Clive'a. Odmawiając przyłączenia się do wyprawy przeciw Afgańczykom i maszerując zamiast tego przeciw Francuzom, Clive złamał dwa paragrafy traktatu z Siraj-ud-Daulą: ten, w którym przyrzekał pomoc subadarowi przeciw jego nieprzyjaciołom i ten, w którym zobowiązał się do nie przekraczania określonej granicy wokół Kalkuty. W kilka dni później garnizon - o wiele mniej liczny od wojsk angielskich - poddał Chandernagore. Nunco-mar nie wydał żadnych rozkazów i nawet palcem nie ruszył, by pomóc obleżonym. Za pośrednictwem Omichanda przyjął od Clive'a za zdradę swego subadara sumę błahą w porównaniu do jego dochodów jako gubernatora Hugli: ledwie trochę ponad półtora tysiąca funtów.

Siraj-ud-Daula wpadł w pasję, tym bardziej, że czuł się bezsilny. Mógł tylko ofiarować na swym dworze azyl uciekinierom z Chandernagore, między innymi temu Janowi Law, który był jednym z oficerów Dupleixa w czasie oblężenia Tri-chinopoly.

Listy, które podówczas Clive wysyłał do Murshidabadu, były tylko kamuflażem, służącym do zamaskowania sieci intryg, zaciskanej z każdym dniem mocniej wokół młodego subadara. Siraj-ud-Daula, acz z trudem starał się panować nad sobą, i na arogancki ton listów odpowiadał dyplomatycznie, a czasem pod gładkimi słówkami ukrywał żądło złośliwości. Na przykład gdy Clive zażądał jego zgody na zagarnięcie przez Kompanię Wschodnio-Indyjską francuskiej faktorii w Kazimbazar, podając jezuickie usprawiedliwienie, że gdy Compagnie des Indes będzie ostatecznie zdławiona, subadar nie zazna więcej kłopotów z powodu waśni cudzoziemców na swoim terytorium. Siraj-ud-Daula odpisał w gładkich słowach:

„Możecie zabrać francuską faktorię, i owszem. Tyle, ile oni wpłacali do mojego skarbcza z tego tytułu, musicie płacić i wy; i możecie trzymać faktorię w waszym posiadaniu. Ale okazałbyś się pan człowiekiem wielkodusznym, gdybyś zostawił tę faktorię Francuzom, by mogli handlować, jak dawniej.”

Traktat przewidywał, że przedstawiciel Kompanii Wschodnio-Indyjskiej będzie akredytowany przy dworze w Murshidabadzie. Przybył tam teraz William Watts, doświadczony starszy urzędnik. Podróżował razem z Omichandem, którego Mir Jafar zaprosił, by zamieszkał w jego pałacu. Odtąd chytry kupiec codziennie podszeptował naczelnemu wodzowi zatrute myśli, spodziewając się zebrać w zamian zatrute żniwa.

Siraj-ud-Daula nadal zabawiał się w dyplomację, chociaż coraz bardziej go złościły arogancja Anglików i natręctwo wieszających się przy nich Hindusów. Watts, otrzymując prawie codziennie instrukcje od Clive'a, bombardował subadara na przemian obietnicami i groźbami; żądał odesłania ze dworu uciekinierów z Chandranagore i wypędzenia wszystkich Francuzów z subadarstwa. Wreszcie, doprowadzony do pasji Siraj-ud-Daula kazał mu opuścić pałac, wykrzykując cokolwiek patetycznie:

- Zniszczę Kompanię Wschodnio-Indyjską i jej ludzi! Tymczasem rzeczywiście odesłał kilku ważniejszych spośród uciekinierów, ale niezbyt daleko, bo tylko do Patny.

Wreszcie nastąpiła, jak się zdawało, zmiana na lepsze w jego posępnym położeniu. Prawie jednocześnie z informacją, że Clive, zamierzając osobiście zmusić do wygnania francuskich uciekinierów, planował marsz na Patnę, nadeszła wieść, że Afgańczycy, znużeni długotrwałą

wyprawą i oddaleniem od własnego kraju, zmusili swych wodzów do zaniechania planu najazdu na Bengal. Całe ich wojsko już zawróciło na północ.

Gdy to groźne niebezpieczeństwo znikło, subadarowi wróciła dawna otwarta stanowczość.

- Gdyby tylko te wieści nadeszły wcześniej - mówił do swego wuja, Mir Jafara - nigdy bym nie podpisał traktatu z Anglikami. No, ale co się stało, to się nie odstanie. Muszę się teraz trzymać tego traktatu. Ale oni także. Ostrzegę ich, że jeśli zechcą maszerować w tę stronę, naruszą postanowienia traktatu, a wówczas i ja będę miał rozwiązane ręce i nie zawaham się wyprawić przeciw nim z tymi pięćdziesięciu tysiącami wojowników, których przygotowałem na wojnę przeciw Afgańczykom.

Znowu Mir Jafar doradzał zwłokę, chytrą:

- Nie śpiesz się. I nie groź im, bo wówczas Anglicy, dla zachowania prestiżu, będą musieli przyjąć twoje wyzwanie. Niebawem admirał i pułkownik z okrętami i żołnierzami wrócą do Madrasu, bo jak wiadomo, w Karnatyku znowu Anglicy i Francuzi walczą, popierając rywalizujących książąt. Graj na zwłokę...

Siraj-ud-Daula był zapalczywy, wybuchnął popędliwie, nieprzemyślanymi, raniącymi słowami:

- Co! Ja miałbym pozwolić Anglikom przypuszczać, że się ich boję? Nigdy. A jeśli z ciebie taki tchórz, to nie zabiorę cię ze sobą na wyprawę. A w ogóle, zawieszam cię w pełnieniu twoich obowiązków! I precz stąd, niech cię tu więcej nie widzę!

Napisał do Clive'a, jak zapowiadał, jednocześnie wysyłając Raia Dulaba na czele piętnastu tysięcy wojowników, by zajęli stanowisko w miejscowości zwanej Plassey, nad rzeką Hugli, między Kalkutą a Kazimbazarem. Następnego ranka, spędziwszy niespokojną noc, po rozmyśleniach i zastanowieniu się, przywrócił wujowi stanowisko naczelnego wodza.

Wiadomość o pogardliwym potraktowaniu Mir Jafara przez jego siostrzeńca, subadara, rozeszła się po całym dworze - w hinduskich pałacach każda makata ma uszy - i on sam czuł się dotkliwie upokorzony. W dramacie, jaki rozgrywał się w subadarstwie, Mir Jafar występował w coraz ważniejszej roli. W tym samym dramacie Omichand dostrzegł możliwości zdobycia bogactw dla siebie; bankier Jagat Seth chciał się zemścić za zniewagę, jaką była zapowiedź subadara, że go każe obrzezać; Rai Dulab, złożony z urzędu skarbnika i inni pozbawieni godności dygnitarze oczekiwali, że znów będą się pławić w słońcu łask nowego władcy i sięgać złodziejskimi rękoma do skarbcza; Robert Clive, choć go w szkole uczono - tylko, że pewno nie słuchał - potępiał zdradę spiskowców, którzy w 1605 roku próbowali wysadzić prochem w powietrze króla Anglii, Jakuba I, widział tylko zasługę w tym, że sam chciał zdradą położyć kres panowaniu i życiu hinduskiego księcia. Tenże sam Robert Clive, chcąc wraz z innymi łowcami złota z „handlowej” kompanii o imperialistycznych zamysłach zdobyć rzeczywistą władzę w Bengalu, a przekonawszy się, że obecny subadar nie będzie marionetką, zabrał się do reżyserowania dramatu, wypychając aktorów na scenę i z budki suflera podpowiadając kwestie tym, których nerwy zawodziły.

...William Watts na nieustannych naradach z Omichan-dem... posłańcy w przebraniu kupców codziennie z całym pośpiechem wyruszają z Murshidabadu do Chandernagore. gdzie Clive jeszcze stoi z całym wojskiem... inni, na pozór niewinni gońcy, codziennie przybywają do stolicy... Omichand przekazuje propozycje, decyzje, kontrpropozycje, aprobaty od Wattsa Mir Jafarowi i od Mir Jafara Wattswi... Pewnego wieczoru na dziedzińcu przed pałacem Mir Jafara przybywa szczelnie zakryta lektyka, taka, jakiej używają zamożne kobiety maho-metańskie i do jakiej żaden mężczyzna nie ośmiela się zajrzeć... zakwefiona postać spieszy podążyć do komnat naczelnego wodza... Mir Jafar każe sobie podać Koran, dotyka nim swojej głowy, swojej ręki i głowy swego

syna, przysięgając uroczyście dopełnić wszystkiego, co obiecał... tej nocy Watts w towarzystwie Omichanda potajemnie opuszcza Murshidabad...

Siraj-ud-Daula otrzymał wiadomość, że dnia 13 czerwca pułkownik Clive z sześciuset żołnierzami europejskiej piechoty, stu siedemdziesięciu kanonierami, dwoma tysiącami sepojów i dwudziestu działami wyruszył w pochód przeciw wojskom, stacjonującym koło Plassey pod dowództwem Rai Dulaba. Od Nuncomara, jeszcze jednego podwójnego zdrajcy, subadar usłyszał jakieś nieokreślone ostrzeżenia, że coś się szykuje, ale nie zdołał wyciągnąć nazwisk żadnych dworzan, którzy byliby w spisek wmieszani. Subadar posłał po Mir Jafara i zapytał bez ogródek:

- Wuju, czy mogę liczyć bez zastrzeżeń na twoją lojalność? Bardzo mi potrzeba wiernych przyjaciół.

A wódz naczelny odparł z wielkim uniesieniem:

- Chętnie oddałbym wszystko co posiadam dla sprawy wnuka Alivardiego Chana. Możesz być spokojny. Tak samo, zaręczam, są ci bez zastrzeżeń wierni Rai Dulab i cały twój dwór. Będziemy stać ramię przy ramieniu, wypędzimy przeklętych Anglików, oswobodzimy cały Bengal od ich zgubnego wpływu...

Kazał sobie podać Koran, jak podczas sekretnej wizyty Watta, i poprzysiągł wierność młodemu subadarowi. Bo ostatecznie, Mir Jafar nie mógł być pewien wyniku nieuniknionej już teraz bitwy. Po czym udał się do swego pałacu i wysłał list do pułkownika Clive'a, donosząc o rozmowie z siostrzeńcem, wyjaśniając, jak i dlaczego on sam tak się zachował i kończąc list słowami:

„Zgodnie z kondycjami chwili, uważałem, że tak postąpić należało.”

Siraja-ud-Daulę nie przekonały tak w zupełności zapewnienia i przysięgi jego wuja. Zdrada wisiała w powietrzu. Ale i on napisał do Clive'a, śmiało wyrażając pogardę dla nielicznego wojska, które przywiódł przeciw niemu i wyraźnie obciążając odpowiedzialnością za wybuch działań wojennych tego, kogo należało:

„Dziękuję Allahowi, że z mojej strony nie naruszyłem wiążącego nas traktatu, a jako, że został tak uroczyście zaprzysiężony w obliczu Allaha i jego proroka, nie wątpię, że tego Allah pokarze, kto pierwszy go pogwałcił.”

Wiara Siraj-ud-Dauli nie znajdzie potwierdzenia za jego życia. Ale może subadar słyszał powiedzenie: „Młyny boże mielą powoli, ale mielą bardzo dokładnie.”

Odpowiedź Clive'a była właściwie wypowiedzeniem wojny, a po niespodziewanej szybkości, z jaką doszła do rąk subadara, który już z Mir Jafarem ruszył z Murshidabadu, można się było zorientować, jak blisko znajduje się nieprzyjaciel. Anglicy maszerowali tak szybko, że było widoczne, iż nie spotkali się z żadnym oporem.

- Komendantów moich garnizonów w Hugli i Katwie oczywiście przekupiono! - wykrzyknął subadar. - Na Allaha! A ilu jeszcze z tych, którzy mi przysięgali wierność aż do śmierci?

Miał się niebawem przekonać.

Siraj-ud-Daula i Mir Jafar zbadali pozycje koło Plassey, od paru tygodni zajmowane przez Rai Dulaba i jego piętna-stotysięczną armię. Była to dobrze wybrana i umocniona pozycja, z rzeką Bhagirathi osłaniającą jedno skrzydło, a okopami, prawie pięciokilometrowej długości, otaczającymi obóz końcem wspartym o rzekę. Subadar odczuł pewną ulgę, dochodząc do przekonania, że przynajmniej Rai Dulab był mu wierny, i udał się na rekonesans równiny, rozciągającej się przed ufortyfikowanym obozem. W odległości nieco ponad kilometra na południe od okopów znajdował się rozległy gaj mangowy, otoczony niskim wałem ziemnym, a mniej więcej w pół drogi między obozem

a gajem - dwie studnie. Siraj-ud-Daula uznał, że należałoby umieścić żołnierzy w gaju, aby nie dopuścić tam Anglików, gdy nadciągną i w ten sposób postawić ich przed alternatywą: albo musieliby zająć pozycje na otwartej równinie, albo w ogóle się wycofać. Chciał także umieścić działa przy każdej ze studni i stamtąd ostrzeliwać nieprzyjaciela. Mir Jafar sprzeciwił się obu propozycjom dowodząc, że lepiej nie rozdzielać sił. Ostatecznie, Siraj-ud-Daula ustąpił wobec wielkiego doświadczenia bojowego swego naczelnego wodza, chociaż nadal nie był zupełnie pewien jego lojalności.

Podobne wątpliwości niepokoiły Clive'a. Ułożono, że Mir Jafar będzie z nim w stałym kontakcie podczas pochodu do Plassey. Tymczasem żadne wieści od współ-spiskowca nie nadeszły. Clive zdecydował więc, gdy jeszcze znajdował się w pewnej odległości od Plassey, po naradzie ze swymi oficerami, nie wdawać się w bitwę i jeśli to możliwe, dojść do przyjacielskiego porozumienia z Siraj-ud-Daulą, może nawet ujawnić zdradę jego niewiernych dworzan. Ale gdy później otrzymał list od Mira Jafara z potwierdzeniem jego obietnic i informacją, że armie - stanowiące ponad połowę całego wojska subadara - które oddano pod komendę jego i Rai Dulaba, nie wezmą udziału w żadnym ataku, Clive odwołał decyzję i ruszył w dalszy pochód.

Subadar miał wszystkiego około pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, z czego osiemnaście tysięcy jazdy. Piechota, niewyćwiczona i niezdiscyplinowana, uzbrojona była bardzo rozmaicie: od prymitywnych strzelb skałkowych i szabli do dzid i łuków. Artyleria liczyła około pięćdziesiąt dział, umieszczonych na platformach, które ciągnęły woły - po czterdzieści w zaprzęgu - i słonie. W obozie, zwykłym u Hindusów zwyczajem, roiło się od ludzi, towarzyszących wojsku i utrudniających operacje militarne: pachołków, służby, muzykantów, kobiet.

O pierwszej nad ranem dnia 23 czerwca 1757 roku subadara obudzono wiadomością, że Anglicy zajęli gaj mangowy, ten sam, do którego nie chciał ich dopuścić. Jednakże Siraj-ud-Daula wydawał się ufny i pewien siebie.

- Nie będzie walki przede dniem - odrzekł, obrócił się i zasnął z powrotem.

Tymczasem Mir Jafar niespokojnie kręcił się po swoim namiocie. Od wyniku tej bitwy zawisła jego przyszłość a - bodaj jego głowa.

Rankiem Anglicy się nie ruszali. Subadar rozkazał swoim wojskom wyjść przed okopy. Na czele szedł niewielki oddział francuski z czterema lekkimi działami polowymi, dowodzony przez pana St. Frais, byłego członka rady Compagnie des Indes w Chan dem agorę. Ci zajęli stanowisko przy studni, bliżej gaju mangowego. Za nimi w takiej odległości, aby mogli ich wspierać, stanęło siedem tysięcy piechoty i jazdy pod dowództwem

Mir Madan a, najzaufanego dowódcy i ulubieńca subadara. Pozostałe wojska rozciągnęły się zakolem, oparte prawym skrzydłem o wzgórze tuż przy okopach i dalej gęstymi kolumnami piechoty i jazdy zachodząc wokół Anglików, ujętych jakby w obcęgi i przypartych do rzeki. Środek zajął Rai Dulab z piętnastu tysiącami wojska, a lewe skrzydło - Mir Jafar z dwudziestu pięciu tysiącami.

Bitwa rozpoczęła się o szóstej rano. Działa pana St. Frais tak skutecznie ostrzelały kompanię, którą Clive wysunął z gaju mangowego, że trzeba ją było pośpiesznie wycofać z powrotem pod osłonę drzew. Pojedynek artyleryjski rozdzierał powietrze hałasem wybuchów i salw. Ludzie Siraj-ud-Dauli większe ponosili straty, ponieważ Mir Jafar umieścił ich na stanowisku odsłoniętym, a Anglików częściowo skrywały zarośla. Z tego samego powodu nieokryta amunicja subadara ucierpiała od nagłego ulewnego deszczu, trwającego przeszło godzinę, co zwolniło później szybkość ognia artyleryjskiego.

Z kolei jazda Mir Madana poszła do ataku, ale napotkała na celny ogień muszkietowy, który opróżnił wiele siodeł. I tu Siraj-ul-Daula poniósł ciężką stratę. Mir Madan, jeden z dwóch dowódców, w którym pokładał pełne zaufanie, padł od kuli. Subadar posłał po Mir Jafara.

- Złożyłeś mi przysięgę - przypomniał, a rzucając swoje nakrycie głowy na ziemię, pod nogi wuja, dodał: - Tego turbanu musisz bronić!

- Do ostatniej kropli mojej krwi! - odparł Mir Jafar. Ledwie odjechał, przypadł Rai Dulab oznajmiając, że jego ludzie ustępują pod ciężkim ostrzałem angielskiej artylerii i muszkietów, więc trzeba wydać rozkaz wycofania się do okopanego obozu.

- Wódz naczelny był innego zdania - odrzekł subadar i dobył szabli. - Przysięgnij, że będziesz walczył dalej, bo jak nie, to cię tu na miejscu przetnę na pół!

Rai Dulab udał, że kapituluje.

Subadar zaobserwował teraz, że porucznik Mir Madana, Mohanlal - drugi z niewątpliwie wiernych przyjaciół - walczy zażarcie: jego działa strzelały skutecznie, a piechota, znalazłszy osłonę za krzewami, zasypywała Anglików celnym ogniem muszkietowym. Odpowiednia sposobność. Decydujący atak zmasowanej jazdy, a będzie po wszystkim. Siraj-ud-Daula wysłał gońca do Mir Jafara. Ale wódz naczelny nie wydawał rozkazu swoim wojownikom. Patrzył obojętnie, nieporuszony, na rozpaczliwe wysiłki Mohanlala. Rai Dulab wycofał swoich ludzi poza zasięg ognia muszkietów angielskich.

Subadar nie miał innego wyboru, jak nakazać Mohanlalo-wi odwrót. Ta samotna walka musiała się skończyć klęską. Odniesiono mu bohaterską odpowiedź Mohanlala:

- Nie czas na odwroty. Rozkaż, ekscelencjo, by cała armia ruszyła do ataku - a zwycięstwo będzie twoje!

Ale rozkazów Siraj-ud-Dauli już nie słuchano. I w końcu Mohanlal, chociaż z żalem, musiał się cofnąć. To zniechęciło całe wojsko, które rozpoczęło odwrót ku okopom obozu, najpierw zresztą w ładzie i szyku. Nagłe dostrzeżono, że niektóre oddziały uciekały całym pędem - w istocie rzeczy z rozkazu Mir Jafara i Rai Dulaba. Wybuchła panika. Zamiast kierować się do obozu - na który wycelowane działa angielskie szerzyły teraz swymi salwami zamieszanie, nieład, krzyki - całe oddziały hinduskie pogalopowały i uciekły z pola bitwy. Mohanlal padł z ręki syna Rai Dulaba, zabity ciosem sztyletu w plecy. Tylko dzielna grupa Francuzów walczyła jeszcze, aż wreszcie, w obliczu wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, opuścili i oni swoje pozycje.

W końcu Siraj-ud-Daula pojął prawdę. Rai Dulab i Mir Jafar sprzedali swój honor. Wódz naczelny za największą łapówkę ze wszystkich: obietnicę subadarskiego tronu, na którym miał być co prawda tylko marionetką, ale i tak mógł pofolgować zamiłowaniu do przepychu i hołdów.

Podczas gdy Anglicy w okopanym obozie, teraz opuszczonym przez wszystkich prawie, prócz służby i przerażonych kobiet, rabowali olbrzymie masy bagażu, wozy taborowe, ekwipunek wojskowy, konie i bydło - Siraj-ud-Daula dosiadł szyb-konogiego wielbłąda i z paru wiernymi sługami ocalił się ucieczką. W Murshidabadzie dworzanie i dygnitarze, którzy czuli spisek i zostali przekupieni obietnicami posad i synekur, potraktowali go teraz bez żadnego respektu. Macki spisku rozeszły się szeroko i głęboko. Ze swoją ukochaną żoną, Lutf-un-Nisą i jedynym sługą subadar schronił się na północ, do Bi-haru. Ucieczkę opóźniał palankin Lutf-un-Nisy, więc doścignął go syn Mira Jafara i sprowadził z powrotem do stolicy, gdzie poniósł śmierć. Pułkownik Robert Clive palcem nie ruszył, by go ratować.

W Anglii, tego lata 1757 roku przed oczyma Williama Pitta, nowo mianowanego ministra wojny,

roztaczała się posępna panorama. Wojna z Francją - znana później pod nazwą Wojny Siedmioletniej - przybrała zły obrót. Ekspedycja wojskowa, wysłana celem zdobycia Quebecu, prowadzona marudnie, jeszcze nie przysięła żadnego ataku. W Indiach Zachodnich i przy wybrzeżach kolonii amerykańskich Francuzi odnosili zwycięstwa na morzu. Łupieskie napady angielskich korsarzy na neutralne statki tak zirytowały Hiszpanię, iż zagroziła wypowiedzeniem wojny. Syn króla, książę Cumberland, poniósł we Francji poważną klęskę. A sprzymierzeniec Anglii, hojnie opłacany Fryderyk pruski, został pobity przez Austriaków pod Kolinem w Czechach i stracił w tej jednej bitwie dwadzieścia tysięcy ludzi.

W parę tygodni później, jaśniejszy promień padł na tę ponurą panoramę. W Bengalu, uważanym za drugorzędną scenę wojenną, angielski dowódca skromnej rangi, ale wysokiej reputacji, dowiodł przykładowo, jak można wygrywać bitwy przeciw wielokrotnie liczniejszym nieprzyjaciołom i zastąpić własnymi marionetkami niegdyś potężnych książąt. W Karnatyku przed kilku laty Robert Clive odnosił zwycięstwa dzięki świetnej taktyce, natchnionemu dowództwu, zimnej krwi w obliczu trudnej sytuacji, ogromnej odwadze osobistej. Ale by osiągnąć zwycięstwo w bitwie pod Plassey posłużył się - o czym jeszcze nie wiedzieli jego rodacy - metodami, których nie ma w żadnym wojskowym podręczniku, ani księgach traktujących o sztuce militarnej... Metodami, które zyskiwały bez zastrzeżeń aprobatę dyrektorów Kompanii Wschodnio-Indyj-skiej tak długo, jak długo im to odpowiadało... Metodami, dzięki którym William Pitt w mowie wygłoszonej w Izbie Gmin, nazwał Roberta Clive „z nieba zesłanym generałem”... Metodami chytrego przekupstwa, spisków z najczarniejszymi zdrajcami i szantażystami, podstępnej, tajemnej intrygi...

Rozdział XV

ZDRADA, OSZUSTWA I PODSTĘP

„Gratuluję spełnienia Twoich planów... Zajmuję stanowisko na brzegu jeziora, czekając wyrażenia Twoich życzeń...”

Tak pisał Mir Jafar do pułkownika Clive’a natychmiast po bitwie pod Plassey. Słowa: „...spełnienia Twoich planów” wyraźnie stwierdzają, kto ponosił główną odpowiedzialność za spisek, mający na celu detronizację i zamordowanie Siraj-ud-Dauli. A owo „czekając wyrażenia Twoich życzeń” wydaje się świadczyć, że Mir Jafar już wówczas pojmował sytuację, którą Clive później, w Anglii miał określić: „wielcy książęta zależni od mego skinienia”. Albowiem „wielki książę” był i nadal miał pozostać tylko narzędziem w realizacji imperialnych planów Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i jej energicznego głównego przedstawiciela.

Clive odpowiedział, że udaje się do Daudpur, wsi położonej o jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Murshida-badu, aby roztasować wojska na nocleg. Proponował - taktownie nie używając zwrotu „rozkazuję” - swoim współspis-kowcom, by tam się z nim spotkali nazajutrz rano.

Mir Jafar odłożył list Clive’a z westchnieniem ulgi, podwójnej ulgi. Rad był, że ma przed sobą kilka godzin względnego spokoju, nim spotka się z człowiekiem, którego bezwzględności zawdzięczał spełnienie tego, o czym zaledwie śmiał marzyć. Spadł mu też ciężar z serca, gdy ostatecznie spisek przebiegł szczęśliwie, gdy nie stało się to, czego wszyscy się obawiali - że któryś ze spiskowców nawet w ostatniej minucie, nawet na polu bitwy, zdradzi współników i wyda ich na krwawą śmierć. Czy sam Clive, gdyby walka obróciła się przeciw niemu, nie wyjawiłby spisku Siraj-ud-Dauli?

Mir Jafar postanowił zostać pod Plassey na noc, a zaraz po świcie wyjechać do Daudpuru. Ale nie znalazł spodziewanej satysfakcji w odpoczynku i rozważaniach. Źle też spał, przypominając sobie zdarzenia, które doprowadziły do jego teraz już bliskiej intronizacji.

Organizacja spisku była dość prosta. Ale gdy pierwszy raz chytry Omichand zbliżył się z propozycjami pułkownika Clive’a do wodza naczelnego - ten się zawahał. To, co usłyszał, odpowiadało jego żądzy przepychu, hołdów. Ale - osiągnąć to przy pomocy cudzoziemców? Czy nie wyda się w ten sposób w ich ręce? Omichand argumentował cierpliwie, sprytnie:

- Krok za krokiem. Wykorzystaj tych Anglików. Niech cię osadzą na masnudzcie. Wtedy zgromadź siły i wyrzuć ich z kraju.

Mir Jafar wciąż się wahał. Blask korony magnetyzował go. Ale ile za to trzeba będzie zapłacić? Jakiej ceny zażądają Anglicy, którzy, widział to dobrze, nigdy nie dają niczego za darmo? Do Omichanda powiedział:

- Niech Watts dostanie od pułkownika Clive’a szczegóły jego propozycji: ile pieniędzy zażąda, ile ziem, jakie traktaty będzie chciał zawrzeć!

Odpowiedź Anglików nadeszła szybko. Mir Jafar zatwierdzi wszystkie przywileje, wymuszone

na Siraj-ud-Dauli. Przekazał wszystkie ziemie na południe od Kalkuty i zobowiązał się, że nie będzie wznosił żadnych fortyfikacji poniżej miasta Hu-gli. Obie układające się strony miały wzajemnie się wspomagać militarnie w razie jakiegokolwiek zagrożenia wojennego. (Chytrze wsunięto ten paragraf do umowy: miał on w przyszłości pozwolić Anglikom na utrzymywanie znacznych wojsk, oczywiście w interesie subadara). Olbrzymie sumy, jakich żądano, opierały się na kalkulacjach Watta, który obliczył - bez żadnych konkretnych danych - zawartość skarbcza murshi-dabadzkiego. Kompania Wschodnio-Indyjska miała otrzymać milion funtów szterlingów, angielskie wojsko i flota w Indiach do podziału w zależności od stopnia - pół miliona, pułkownik Clive - trzysta tysięcy, Watta sto tysięcy, inni oficerowie i urzędnicy stosunkowo mniejsze kwoty, dochodzące łącznie pół miliona funtów szterlingów.

Clive nazwał te fantastyczne sumy „podarunkami” od Mir Jafara i usprawiedliwiał przyjęcie ich tradycyjnie obowiązującym w Indiach obyczajem ofiarowywania „podarunków” w nadziei uzyskania jakichś korzyści albo jako wyraz wdzięczności. Jednakże te olbrzymie kwoty nie były w żadnym sensie „podarunkami”. Były wymuszeniami. Clive sam, w imieniu Kompanii, określił ich wysokość: tyle a tyle trzeba zapłacić, aby kupić pomoc Anglików w detronizacji i zamordowaniu Siraj-ud-Dauli. I ustalał je, wiedząc jasno, że ostatecznie będą one bez pardonu ściągnięte z najuboższych warstw hinduskich przez poborców na wszystkich szczeblach, od suba-darskiego „diwana”, czyli skarbnika, aż do wioskowego „gom-zy”.

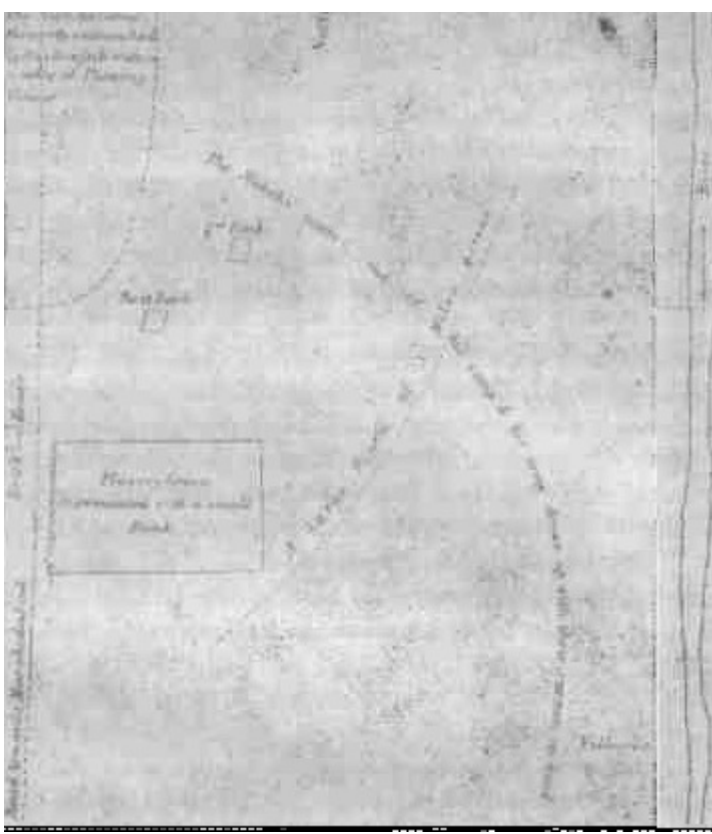
Te niewiarygodne, oburzające warunki powinny były oświecić Mir Jafara co do natury jego partnerów, tej cudzoziemskiej „handlowej” kompanii i jej urzędników, dążących do wyciskania ostatniej kropli krwi z żył mieszkańców Bengalu; cudzoziemskiej „handlowej” kompanii, która chciała zostać arbitrem swobód i warunków życia ludności Bengalu, rzeczywistym władcą, skrytym za marionetkowym księciem.

Głos rozsądku, pojmującego to, odezwał się teraz do Mir Jafara. Ale inny głos, pożądający korony, podszeptował w ślad za Omichandem:

- ...nie trzeba będzie płacić wszystkiego od razu. A tymczasem zbierzesz wojska i wypędzisz Anglików. Krok za krokiem...

Głos rozsądku nie dał się uciszyć od razu:

- ...Anglicy są potężni. Sprowadzą więcej okrętów, przy-



Szkic bitwy pod Plassey, przypisywany Robertowi Clive wiozą więcej żołnierzy morzem, którego są panami. Nie dadzą się wypędzić. Będą ci rozkazywać...

Ale głos, pożądający korony, kusił znowu:

- ...zasiądziesz na tronie... szlachta, bankierzy, bogaci kupcy będą się ubiegać o twoje łaski... nigdy więcej popędliwy siostrzeniec nie znieważy cię pogardą, nigdy więcej nie będziesz potrzebował poniżać się, by ci coś dano - odwrotnie, przed tobą będą się płaszczyć, poniżać, schlebiać ci, zdobywać twoją przychylną cennymi podarkami, złotem, klejnotami, dziełami sztuki. Jak dumny byłby twój szlachetnie urodzony ojciec z takiego syna...

Głos rozsądku cichł, zanikał, ledwie się dawał słyszeć, a głosy pożądania rozlegały się coraz donośniej...

Początkowo wszystko szło gładko, dopóki Omichand, wiedząc o fantastycznych korzyściach, jakie wytargowali dla siebie spiskowcy angielscy, nie zażądał za swoje usługi pięciu procent od całego skarbcza subadara. A gdy Clive, obojętnie przechodząc do porządku dziennego nad własną chciwością, zaprotestował przeciw temu żądaniu jako „nieokiełznanemu zdzierstwu”, obleśny kupczyk bezwstydnie poinformował Wat-tsa, że o ile nie włączy się do umowy jego należności, on doniesie o spisku Siraj-ud-Dauli. Watts ostatecznie wytargował jego zapłatę do tej samej sumy, co Clive'a. Wreszcie złożono podpisy na dokumencie traktatu, którego dotrzymać Mir Jafar dodatkowo przysiągł na Koran.

Wciąż przewracając się bezsennie na łożu, Mir Jafar przesunął dłonią po spoconym czole i rzekł głośno:

- Stało się. Wszystko już się stało. Pozostaje tylko zasiąść na masnudzie. Wtedy zadecyduję o mojej dalszej polityce. Krok za krokiem...

Zapadł wreszcie w krótki, niespokojny sen i śniło mu się, że istotnie zasiadał na tronie, ale nie mógł się poruszyć, bo zewsząd zagrażały mu końce szabel, trzymany o parę cali od jego ciała przez ludzi, których oczy, chciwe złota i władzy, błyskały ku niemu z twarzy brunatnych i białych.

Z małym poczem Mir Jafar o świcie wyjechał do Daud-puru. Znał dobrze okolice, przez które

przejeżdżali - urodzajne ziemie środkowego Bengalu, równinne, poprzecinane wielu rzekami i strumieniami. Ani jedna góra czy wzgórze nie wznosiło się ponad horyzont. Właśnie ta płaskość powiększała jeszcze niezwykłą żyzność ziemi. Rzeki płynęły leniwie, a gdy w porze deszczowej wezbrały, przelewały się przez płaskie brzegi, zostawiając osad bogatego mułu na niskich polach ryżowych. Tysiące kilometrów kwadratowych wzbogacały się w ten sposób corocznie, zmniejszając do minimum potrzebę uprawy. Z rolą, którą przyroda nieustannie odnawiała, współdziałał klimat gorący, wilgotny, czyniąc tę prowincję jedną z najurodzajniejszych na kuli ziemskiej.

Wydawało się, że przyroda jakby żałowała chwilami, iż tak hojnie swymi darami obsypała Bengal. Dla wyrównania zsyłała wówczas cyklony, które niszczyły całe wioski, zabijały mężczyzn, kobiety i dzieci setkami, a było tysiącami. Ludzie nie narzekali. Wielbili bogów za żyzność swojej ziemi, pokornie przyjmując cyklony jako dzieło niewidzialnych, miłosiernie karzących rąk. Przyjmowali również, wszyscy od najniższej do najwyższej kasty, jako wyrok bogów - ich wola niezbadana, ale ich miłosierdzie nie kwestionowane - różne formy dziesiątkowania ludności, w rzeczywistości spowodowane ludzką ignorancją i obskurantyzmem.

Od wieków każda nowo powstająca wioska czerpała glinę do lepienia chat z jednej glinianki, wokół której mieszkało. Z pierwszymi deszczami glinianka napełniała się wodą i odtąd zmieniała się w wiejski staw, wprędce ocieniony palmami i zarośnięty wodną roślinnością. W tym stawie ludzie się kąpali, prali odzież, myli naczynia, a tuż obok załatwiali naturalne potrzeby. Z tego samego zbiornika czerpano wodę do przyrządzania potraw i do picia - do gaszenia tropikalnego pragnienia człowieka i zwierzęcia. Stagnacja rodziła zarazki, roznoszone przez milion płodnych insektów, których ukąszenie niosło śmiertelną truciznę. Za choroby, epidemie i śmierć składano odpowiedzialność znowu na te same niewidzialne, nieodgadnione, ale miłosierne moce. Gdyby zapytać matkę, dlaczego położyła niemowlę obok stawu na trawie, brzęczącej od insektów, by je zaraziły lub po prostu żywcem zjadły, odpowiedziałyby takimi samymi słowami, jakie usłyszała od wioskowego bramina:

- Nie jest dobrze chcieć wiedzieć lepiej od bogów, jak się dziećmi opiekować. Można wzbudzić zawiść bogów, a wówczas ześlą nam nieszczęście.

Mir Jafar, podjeżdżając do wsi Daudpur rozmyślał, że okazał cierpliwość, przezorność, wyczekiwał stosownej chwili, nie próbował wymusić na swym siostrzeńcu, by mu dał większą władzę - i oto jego cierpliwość i roztropność są wynagrodzone, ponad wszelkie oczekiwanie. Gdyż oślepiiony wizjami królewskiego przepychu, uciszony przestraszający go głos rozsądku, Mir Jafar uważał subadarstwo za wspaniałą nagrodę. Czas okaże.

W obozie Anglików Mir Jafar zsiadł ze swego słonia. Żołnierze, wyciągnięci długim szeregiem, sprezentowali broń. „Honor oparłszy na hańbie” - według słów starej pieśni angielskiej - Mir Jafar wyprostował majestatyczną postać i wysoko podniósł głowę, podchodząc do swego współnika, człowieka krwi, łupieżcy bogatej krainy i jej ludu - Roberta Clive’a, któremu dochował niesłusznej wiary. Clive uściskał go i odstąpiwszy o krok, zawołał:

- Cześć i chwała jego ekscelencji subadarowi Bengal, Biharu i Oryssy!

Pierwszy to raz powitano Mir Jafara takimi słowami. Rozkoszował się ich brzmieniem. Żołnierze posłusznie wzniesli wiwaty. Oddano salut armatni i salwę z muszkietów na cześć nowego subadara. I dwaj triumfatorzy weszli do gigantycznego namiotu, gdzie czekała ich ucza. Nad stołem, zastawionym wyszukаныmi potrawami i kosztownymi winami, rozmawiali przez godzinę, wreszcie Clive podsumował:

- Wasza ekscelencja niechaj śpieszy do Murshidabadu, odnajdzie siostrzeńca i rozprawi się z nim, następnie obejmie władzę nad dworem i miastem oraz zabezpieczy skarbiec przed ewentualną grabieżą.

Dla Clive'a wypełnienie tego ostatniego zalecenia było najważniejsze. Od zabezpieczenia skarbcza zależała realizacja tych postanowień traktatu z Mir Jafarem, które obwarowały cenę krwi - i honoru.

Gdy nowy subadar usiadł z powrotem w swoim palankinie, Clive zawołał doń jeszcze:

- Skoro tylko będę mógł, przybędę do boku waszej ekscelencji z całym moim wojskiem, by go popierać w razie potrzeby. Ale muszę najpierw zająć francuską faktorię w Kazim-bazarze.

Było to przypomnieniem, że nie tylko Mir Jafar, ale i Francuzi również muszą zapłacić Anglikom za jego tron.

Rankiem dnia 29 czerwca, nowy subadar oczekiwał w swojej stolicy przyjazdu człowieka, którego talent do spisków odniósł taki sukces. Na czele dwustu Europejczyków i trzystu se-pojów Robert Clive wjechał do Murshidabadu, o którym miał później powiedzieć, że kryje w obrębie swych murów mieszkańców nieskończenie bogatszych od najbogatszych Londyńczyków. Wąskie, kręte uliczki wysypano kwieciami, domy udekorowano sztandarami i cennymi makatami. Ale ludność przypatrywała się kawalkadzie w czujnym, nieufnym milczeniu. Obawiano się tego cudzoziemskiego „Sabata Junga Bahadura” - Walecznego w Boju.

„...miasto zdane na moją łaskę i niełaskę...”

Clive rezydował w przygotowanym dla niego pałacu, wojsko rozłożyło się obozem w obszernych ogrodach. Tu przybyli do niego z hojnymi darami i jeszcze hojniejszymi propozycjami, Jagath Seth i kilku innych, najważniejszych spośród uczestników spisku.

„...bankierzy o krociowych fortunach rywalizujący o moje względy...”

Może to posłużyć za wskazówkę, jakiego pokroju ludźmi byli współnicy Clive'a - jednego dnia związani wspólną przysięgą, a następnego rywalizujący między sobą, usiłując przelicytować jeden drugiego nie zdolnościami lub zasługami, lecz tylko pieniędzmi, aby uzyskać stanowiska, które by im pozwoliły, przy pomocy wymuszeń i ucisku, wzbogacić się więcej.

Nadejdzie czas, gdy Clive powie brytyjskiej Izbie Gmin, że przy tej właśnie sposobności:

- ...przekładając dobre imię narodu angielskiego nad względy finansowe, odrzuciłem wszelkie propozycje, jakie mi czyniono...

Niezupełnie, niezupełnie!

Słowa Clive'a nie zawierały całej prawdy. Bo w kilka godzin po hołdowniczej wizycie hinduskich kupców, Clive przyjął osobisty dar w oszałamiającej sumie stu sześćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów od innego człowieka: następcy i zabójcy Siraj-ud-Dauli. A co z „dobrym imieniem narodu angielskiego”? Jak Clive to rozumiał, miał się niebawem przekonać Omichand.

Po południu w dzień przyjazdu Clive'a do Murshidabadu syn Mir Jafara, Miran, przybył, by uroczyście zaprowadzić gościa do pałacu królewskiego, gdzie czekał subadar, jego radzowie i najwyżsi dygnitarze dworu - wszyscy, którzy raz już zdradzili i gotowi byli, za odpowiednią cenę, zdradzać znowu. W głębi, za nimi, w wielkiej sali tronowej widniał „masnud”. Przywitawszy się z tymi ludźmi, z których każdy, obrazowo mówiąc, nosił ukryty w rękawie sztylet, Clive wskazał tron ręką. Mir Jafar udawał, że się wzdraga. Clive ujął go za rękę i poprowadził do stopni tronu.

Następnie Clive złożył pokłon subadarowi i jak wszyscy obecni dygnitarze, ofiarował mu parę sztuk złota na znak, że gotów byłby poświęcić mu swoją fortunę. Na zakończenie tego tradycyjnego

przedstawienia Clive wygłosił mowę. Jego słowom wielokrotnie w przeszłości i jeszcze wiele razy w przyszłości miały zaprzeczyć jego uczynki:

- ...Anglicy nie wyznają zasady zwalczania rządu... podobało się Bogu (czyżby też należał do spiskowców?) obalić tyrana Siraj-ud-Daulę... nie będziemy w żadnej formie mieszać się do spraw subadarstwa... dopóki interes subadara będzie tego wymagał, nasze wojska będą w pogotowiu, później wrócimy do Kalkuty, by zajmować się wyłącznie handlem, co jest naszym właściwym zadaniem i jedynym celem w tych stronach...

Czas miał pokazać, że ta oracja była jednym z najdoskonalszych w historii przykładów zakłamania.

Mir Jafar z kolei, z wielką dumą, zaprowadził osobiście Clive'a do skarbcza - tego skarbcza, dla którego intrygowano, spiskowano, zabijano. Jego zawartość miała dostarczyć subadarowi upragnionej możliwości roztaczania przepychu i ceremoniału; Kompanii Wschodnio-Indyjskiej - której właściwym zadaniem i jedynym celem, jak powiedział Clive, był handel - olbrzymiego, nie zarobionego bezpośrednio dochodu; a głównym przedstawicielem Kompanii w Bengalu sporej fortuny każdemu - „bez czego” dodał Clive w liście do jednego z londyńskich dyrektorów, „miałbym wielkie trudności z przeprowadzeniem ostatniej chlubnej ekspedycji!” Innymi słowy, urzędnicy i oficerowie Kompanii zgodzili się na zamianę subadarów, połączoną z zabójstwem, tylko z żądzą złota.

Gościa sprowadzono w dół, szerokimi kamiennymi schodami do podziemnych korytarzy, z których prowadziły potrójnie zamykane ciężkie drzwi.

„...szedłem podziemiami, otworzonymi tylko przede mną, po prawej i lewej stronie tłoczyły się stosy złota i klejnotów...”

Wszystko bardzo melodramatyczne, ale w rzeczywistości ocena Watta o wartości skarbcza w Murshidabadzie okazała się przesadzona. Prócz tego, pewien urzędnik, zorientowawszy się, że Siraj-ud-Daula będzie zdetronizowany, zdołał okraść skarbiec i zbiec z cennym łupem. Nie można było od razu wypłacić sum, przyrzeczonych według umowy spiskowców Anglikom, bez sparaliżowania rządów nad prowincją i tradycyjnego ceremoniału jej nominalnego władcy. Uzgodniono, że dwie trzecie należnych Anglikom sum wypłaci się zaraz, resztę w późniejszych terminach. Nawet i tak, następnego dnia dwieście hinduskich statków - każda z ładownych barek otoczona innymi, w których siedzieli uzbrojeni sepojowie - opuściło Murshidabad, by rzeką Hugli popłynąć w dół do Kalkuty z ładunkami złotych monet, złotych sztab tak ciężkich, że jeden człowiek nie mógł ich unieść, diamentów i klejnotów.

„...zdumiewała mnie moja własna powściągliwość...”

Mir Jafar przypatrywał się ładowaniu statków. Odpychano je od przystani rzecznej, rozwijały żagle, odpływały. Westchnął, rozmyślając:

- Czy to było konieczne, abym za mój tron zapłacił tak wysoką cenę? Czy sztylet w ciemnościach nie spełniłby zadania równie dobrze - i za parę tysięcy rupii? I mógłbym władać niezagrożony angielskimi muszkietami... No cóż, stało się. Nim trochę czasu upłynie, będę mógł pomyśleć o usunięciu tego, czego nie lubię... Krok za krokiem...

Gdy flotylla ze skarbem podpłynęła do kresu podróży, „przyłączyły się do niej” - zanotował Luke Scrafton, starszy urzędnik Kompanii i uczestnik spisku, „okręty i szalupy z eskadry bojowej; a wszystkie razem utworzywszy flotę trzystu jednostek, płynęły przy dźwiękach muzyki, werblach bębnow, z łopocącymi na wietrze chorągwiami...” Tak łatwo zdobyte łupy zaiste zasługiwały na

radosne powitanie.

Tak więc wyglądał handel, „nasze właściwe zadanie i jedyny cel” - od którego odejście przed rokiem rozgniewało Siraj-ud-Daulę, przypominało o ostrzeżeniach jego dziada i doprowadziło do wojny, zdrady, uzurpacji i zabójstwa.

Wykonawszy rozkazy Clive’a co do nominacji i nagród pieniężnych dla różnych hinduskich uczestników spisku, między innymi dla Jagata Setha, któremu udzielono zezwolenia na złu-pienie składów towarów zabranych Francuzom - dwaj zwycięzcy mieli jeszcze jedną sprawę do załatwienia, oczekując po niej osobistej satysfakcji. Subadar z Clivem stojącym tuż obok, a Wattsem i Rai Dulabem o parę kroków przed nimi, przyjął kupca Omichanda. Otyły, pokraczny - wszedł na salę oblesnie uśmiechnięty, zacierając ręce. Nawet dla tego bogatego łajdaka, trzysta tysięcy funtów było sumą nie do pogardzenia, a spadła, jak manna z nieba. Przedstawiała też w umyśle Omichanda pewną formę zwycięstwa nad nowym subadarem i angielskim pułkownikiem, których zadowolenie było tak widoczne... W kilka minut później szantażystę, który nie wydawał się już tak chytry jak niegdyś, wyniesiono z sali audiencjonalnej zemdlonego. Omichand trafił na lepszego od siebie w podstępnych oszustwach.

Gdy Omichand zagroził, o ile mu dobrze nie zapłacą, wydać spiszek Siraj-ud-Daulowi, Clive wykombinował oszukańczy podstęp. Kazał przygotować dwie wersje traktatu z Mir Jafa-rem: jedną na białym papierze, drugą na różowym. Druga wersja zawierała paragraf o wypłaceniu Omichandowi sumy trzystu tysięcy funtów i po podpisaniu tę właśnie mu pokazano. Ale prawdziwy traktat, bez tego paragrafu, sporządzono i podpisano na białym papierze. Ani Clive, ani Mir Jafar nie okazali najmniejszych skrupułów w związku z podpisaniem obu wersji traktatu. Jednakże admirał Watson nie mógł zmusić się do tego, by zstąpić tak nisko. Odmówił podpisania fałszywego traktatu na różowym papierze. Wobec tego Clive albo sfingował podpis admirała na dokumencie, albo też polecił to uczynić komuś z podwładnych - później, podczas dyskusji z krytycznie usposobioną Izbą Gmin Clive oznajmił, że nie pamiętał jak to załatwił.

Rewelacja o sfalszowaniu traktatu, arcydzieło oszustwa, wstrząsnęła Omichandem tak bardzo, że zemdlął i trzeba go było wynieść z sali audiencjonalnej.

Mało który z biografów Clive’a próbował poważnie usprawiedliwić haniebny podstęp, którego ofiarą padł Omichand. Ale paru usiłowało dowodzić, że skoro Omichand sam był szantażystą, zasłużył na to, co go spotkało. Tak zresztą brzmiała obrona własna Clive’a, pana Hyde’a-Clive’a, który jeszcze dodał, że w podobnych okolicznościach zrobiłby drugi raz to samo. Nie ma usprawiedliwienia dla łajdactw, jakie popełniał Omichand. Ale jeśli one mają rozgrzeszyć haniebne oszukanie samego Omichanda i sfalszowanie podpisu, to można będzie rozgrzeszyć okradzenie złodzieja, sprzeniewierzenie własności malwersanta, krzywoprzysięstwo przeciw krzywoprzysięzcy. Jeden z największych mówców angielskich, Edmund Burke powiedział w roku 1794:

- Ktokolwiek by się powoływał na zbrodnie tyranów i rozbójników - a z pewnością także oszustów - jako na precedens, próbuje pogwałcić najgłówniejsze fundamenty sprawiedliwości i położyć kres wykonywaniu prawa, próbuje odrzucić jedyną straż, jaka nas chroni przed złymi ludźmi...

A Kompania Wschodnio-Indyjska i jej urzędnicy stale i uparcie usprawiedliwiali własne przekupstwa i przestępstwa dowodząc, że należą one do tradycji tyrańskich władców mahometańskich i hinduskich.

Hinduscy poplecznicy spisku byli bankierami i kupcami. Jagata Setha zwano „Bankierem świata”.

Omichand był jednym z najbogatszych kupców w Bengalu. Rai Dulab należał do kasty wysokich urzędników.

Nie wiedząc o tym, ci najmoźniejsi w społeczności hinduskiej przygotowywali własną mściwością, żądzą władzy i bogactwa historyczną klęskę swojej sfery. W normalnej społecznej i ekonomicznej ewolucji, hinduscy bankierzy i kupcy wznieśliby się dzięki kontrolowaniu gospodarki kraju na szczybel klasy rządzącej. Ale spisek przeciw Siraj-ud-Dauli, do którego na oślep się przyłączyli, przekazał rzeczywistość, tylko formalnie zamaskowaną władzę w Bengalu przedstawicielom o wiele bardziej dalekowzrocznej i rozwiniętej burżuazji europejskiej, wyposażonej w wyższą technikę, siłę zbrojną, współdziałanie społeczno-polityczne, a zarazem bardziej wyrafinowanej w bezwzględności i braku skrupułów.

Burżuazja, która przejęła władzę po załamaniu hinduskiego feudalizmu, nie była więc bengalska, ani hinduska. Była to burżuazja cudzoziemska, siłą narzucona z jednej strony pozostałościom dawnej struktury dworskiej, a z drugiej nałożona na ustrój wiejski. Hinduski bankier, kupiec, wyższy urzędnik i wojskowy został w Bengalu, a później również w innych prowincjach, zepchnięty na okres trwania władzy brytyjskiej do roli podwładnego, wypełniającego wolę zwierzchników. Był to jeden z najpoważniejszych rezultatów bitwy pod Plassey. Aby to osiągnąć, Kompania Wschodnio-Indyjska i Robert Clive posłużyli się głównymi przedstawicielami tej samej bengalskiej burżuazji, którą zamierzali zepchnąć, opanować i zubożyć.

Podbój Bengalu - który właściwie rozstrzygnął się na polu bitwy pod Plassey - i intronizacja marionetkowego subadara były przedsięwzięciem, z którego mało kto wyszedł z honorem. Mir Jafar i inni w otoczeniu wnuka Alivardiego Chana okazali się zdrajcami, którzy podle i bezwstydnie wyparli się najświętszych przysiąg. Robert Clive splamił się przekupywaniem i nikczemnym oszukaństwem. Dyrektorzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej aprobując, dopóki im to odpowiadało, wszystkie te haniebne poczynania, stali się współnikami przestępstw. Jediną postacią na tej scenie, obdarzoną pewnym rysem szlachetności, był młody Siraj-ud-Daula, który dążył do zachowania tronu dziada dla następców jego krwi. O wiele mniej od gniazda żmij, które go zamordowały, mógł się obawiać dnia sądu ostatecznego.

Rozdział XVI

WIĘZIEN W ZŁOCONEJ KLATCE

„...aby szlachta, bankierzy, możni kupcy ubiegali się o moje łaski... być źródłem wszelkich promocji, być tym, którego się wychwala, słucha bez szemrania, zasypuje bezcennymi podarkami...”

Mir Jafar wmawiał sam sobie, że tron wart był poświęcenia honoru i zamordowania własnego suwerena i siostrzeńca. Przekonał się wkrótce, że jego pozycja jako subadara bardzo odbiegała od jego wyobrażeń. Spiski bywają zaraźliwe. Ludzie, którzy w nadziei osobistych awantazy, dopomagali w obaleniu jednego księcia, jeśli coś ich nie zadowoli, z łatwością okażą nielojalność w stosunku do następcy. Uzurpator bywa zwykle szczególnie narażony, ponieważ sam jest żywym dowodem na to, że władcę można zastąpić innym. Toteż, niepewnie siedząc na tronie, jeśli chce się na nim utrzymać, musi być sprawiedliwy i wspaniałomyślny wobec swych stronników, a stanowczy i bezwzględny w stosunku do dawnych nieprzyjaciół i nowych zdrajców.

Mir Jafarowi brakowało tych cech charakteru. Za młodych lat był odważnym żołnierzem i dobrym dowódcą. Ale folgowanie sobie pod różnymi względami, rozwiązłość i używanie narkotyków pozbawiło go, nim doszedł zaledwie średniego wieku, dawnej energii, stanowczości, wiary we własne siły. Warunki, na jakich zdobył swój subadarski tron, postawiły go w obliczu trudności, którym nie umiał sprostać.

Detronizacja Siraj-ud-Dauli przy pomocy potężnych współ-spiskowców uniemożliwiła praktykowanie rządów absolutnych, jak za czasów Alivardiego Chana. Wielu arystokratów ze starych muzułmańskich rodów pogardzało Mirem Jafarem za to, że wezwał na pomoc obcych, białych ludzi. Jako właściciele wielkich obszarów bengalskich ziem, przynoszących znaczne dochody w podatkach, obawiali się przykrych niespodzianek, które Anglicy, posługując się marionetkowym subadarem jako narzędziem, mogli im zgotować w przyszłości. Rozgniewał ich również fakt, że zdrada pod Plassey spowodowała haniebną porażkę wojsk subadarskich, w których znajdowały się ich własne oddziały, zwyciężone przez przeciwnika dziesięciokrotnie mniej licznego.

„Poddani Mir Jafara” - zapisał historyk muzułmański nie ustalonego nazwiska, autor „Seir Mutaaherin” - „niebawem zaczęli wspominać Siraj-ud-Daulę z żalem i wstydem; dawniejsza niechęć do niego przeobraziła się we współczucie; co dzień go wychwalali; i było to powszechne, zarówno wśród ludzi oświeconych, jak i prostaczków, zarówno publicznie, jak i w domowym zaciszu...”

Zdobywszy tron zdradą, Mir Jafar podejrzewał każdego o nielojalność, a zwłaszcza własnego syna, Mirana, młodzieńca rozumnego i energicznego, bardzo popularnego w wojsku, ponieważ nienawidził Anglików, ale okrutnego, lubiącego się w egzekucjach; i Rai Dulaba, który miał wielu popleczników, a jako minister skarbu, czyli „diwan”, mianowany przez Cli-ve'a, trzymał w swym ręku sprawy finansowe. Subadar doszedł do przekonania, że Rai Dulab zagarnia zbyt wielką władzę, a zazdroszcząc bogactw Jagatowi Sethowi i innymi możnym hinduskim bankierom i kupcom, planował konfiskatę ich majątków. Nie ufał im wcale, w czym zresztą miał rację, ponieważ bogaci

Hindusi szybko zorientowali się, że im się nie opłaca popieranie angielskiej „handlowej” Kompanii w zdobyciu w subadarstwie dominującego politycznie stanowiska, które pozwalało na zgarnianie śmietanki przedsięwzięć handlowych.

Nic więc dziwnego, że w bezsenne noce Mir Jafar rozmyślał:

- ...za wysoką cenę zapłaciłem Anglikom... za wiele im przyznałem złota, za wiele władzy. Myślałem, że pozbędę się ich stopniowo, krok za krokiem... Ale nie odważę się na to. Może później, gdy Francuzi albo nawet Holendrzy będą silniejsi... teraz potrzebuję Clive'a i jego wojsk, by bronić mego tronu, jeśli mogę go nazwać moim..

Clive oczywiście przewidział z całą dokładnością, że tak właśnie ułoży się sytuacja po przewrocie. Zanim wyniósł go na subadarstwo, Clive zgłębił charakter Mir Jafara, chwiejnego i słabego, gdy Siraj-ud-Daula był stanowczy i samodzielny. I Clive dopilnował, aby warunki na dworze w Murshidaba-dzie ułożyły się tak, by subadar stale odczuwał swą zależność.

Po powrocie do Kalkuty, Clive zabrał się do budowy silnych fortyfikacji na terenach, świeżo wydartych dżungli. Powiększył też liczebność swych wojsk. Utworzył europejski Batalion Bengalski, dwie kompanie artylerii, i dodawsowy! ata-lion sepojów. Ten ostatni zorganizował według metody, jakiej go nauczył Lawrence Stringer, mianowicie mianował oficerów krajowców, ale europejskich podoficerów. Tłumacząc londyńskim dyrektorom konieczność utworzenia tych dodatkowych oddziałów, Clive, może nieświadomie, wyjaśnił zasadę stosunku Anglików do ludności subadarstwa:

„...jedyną pewną metodą zachowania ich przyjaźni jest trzymanie w gotowości tak silnych wojsk, by zerwanie z nami zagrażało im wyraźnym niebezpieczeństwem..”

Terror może zastraszyć, ale Clive zapomniał, że terror nie bywa podstawą dobrej woli we wzajemnych stosunkach.

Trudności Mir Jafara stale rosły. Zraził do siebie swoich poddanych, bogatszych i uboższych, ponieważ uciekał się do metod wymuszania pieniędzy, by spłacać Kompanię Wschodnio-Indyjską i jej urzędników. Przysporzył sobie wpływowych nieprzyjaciół akcją usuwania gubernatorów prowincji i wyższych urzędników w miastach i w okręgach, by zastąpić ich własnymi krewnymi i różnymi sykofantami.

Rai Dulab, któremu przyrzeczono 5% wszystkich wypłat ze skarbu, a który zamiast tego jeszcze musiał z własnej kieszeni płacić kontrybucje, mocno urażony, opuścił dwór i zamknąwszy się we własnym pałacu, rozpoczął tajne narady z innymi współspiskowcami, pomagającymi w obaleniu Siraj-ud-Dauli. Odmówił też wszelkiej komunikacji z subadarem. Radża Purnii i nabab Biharu, Ram Narain, namówieni przez klikę Jagata Setha, przygotowywali rebelię w swoich prowincjach. Jednocześnie zwrócono się przez posłów do żyjącego na wygnaniu w Dakce, na północnym wschodzie od Kalkuty, potomka starożytnej dynastii władców Bengalu, wygnanej podczas przewrotu w roku 1742 przez Alivardiego Chana, z propozycją powrotu na tron.

W desperacji Mir Jafar zapytywał sam siebie:

- Mój siostrzeniec wezwał Anglików na pomoc; czemu ja nie miałbym postąpić tak samo?

Zapomniał, że Siraj-ud-Daula wezwał Anglików, by przyłączyli się do jego wyprawy przeciw najazdowi Afgańczyków w nadziei, że w ten sposób przeszkodzi im zaatakować tych innych gości w jego kraju, Francuzów. Tymczasem Mir Jafar chciał pomocy przeciwko zagrożeniu ze strony własnych poddanych.

Odpowiedź Clive'a nadeszła bardzo szybko. Nie zamierzał pominąć sposobności ciaśniejszego zamknięcia subadara w klatce, wyraźniejszego podkreślenia jego zależności od Kompanii

Wschodnio-Indyjskiej. W listopadzie 1757 roku, z czterystu Anglikami i tysiącem trzystu sepojami, wyprawił się do Murshida-badu, załagodził spory Mir Jafara z Rai Dulabem i radzą Purnii, a następnie, dołączywszy do swoich wojsk jeszcze dwustu pięćdziesięciu Europejczyków pozostawionych w Kazimbazarze, pomaszerował razem z subadarem i jego wojskiem, by udzielić nauzki, jeśli zajdzie potrzeba, Ramowi Narainowi i tym, którzy w buntowniczych celach gromadzili się wokół niego w stolicy Bihar. Nim jednak doszli do Patny, Clive nakazał postój w miejscowości zwanej Rajmahał, a gdy Mir Jafar ponaglał do pośpiechu - odkrył karty.

- Żaden z moich żołnierzy nie pójdzie ani kroku dalej - oznajmił - dopóki nie zawrzemy ostatecznej umowy o spłacie wszystkich zaległych sum, należnych Anglikom według traktatu podpisanego przed twoim wstąpieniem na masnad i o ile nie będą zrealizowane wszystkie postanowienia tego traktatu.

Mir Jafar był zaskoczony. Gdy Anglicy się zgodzili, po bitwie pod Plassey, na przyjęcie dwóch trzecich uzgodnionych sum, a reszty później, nikt sobie nie wyobrażał, że „później” nastąpi tak prędko. Subadar spodziewał się nawet, jeszcze niezupełnie się orientując, z jakiego pokroju ludźmi ma do czynienia, że może to „później” nie nastąpi nigdy. Już i tak wzbudził niechęć dawnych współspiskowców, wymuszając od nich kontrybucje. A tutaj ten pułkownik szantażował go, żądając natychmiastowej zapłaty sum, których spora część miała pójść do jego własnej kieszeni.

- Ale ja nie mam pieniędzy - zaprotestował bezsilnie subadar. - Wiesz sam, że nie mam. Organizowanie administracji, nagradzanie moich stronników (nie mówiąc o przekupywaniu nowych, by zastąpili tych, co uciekli) - kosztowało bardzo wiele. A wydatki na dwór...

Te ostatnie były istotnie bardzo wysokie. Mir Jafar kochał się w przepychu. Łatwo go winić z tego powodu, ale trzeba pamiętać, że dla uzurpatora ważne jest wrażenie, jakie wywiera on sam i jego dwór, na odwiedzających go nababach, radzach i gubernatorach. Prostota, oznaki oszczędności - mogłyby być poczytane za słabość i tylko kusić do rebelii. Clive wolał to wszystko ignorować. Przedstawiciel kompanii, której „właściwym zadaniem i jedynym celem” był handel, tym razem nie tyle żądał gotówki, ile praw terytorialnych.

- W takim razie możesz przelać na nas prawa ściągania podatków - odrzekł gładko.

- Ależ jeśli się wyrzeknę dochodów, to jak mam...? - zaczął subadar.

Clive przerwał mu bezceremonialnie. On tu rozkazywał i nie zamierzał bawić się w argumenty.

- Proszę bardzo, decyzja należy do ciebie. Zrobisz, jak ci powiedziałem, albo też jutro rano odmaszeruję z moim wojskiem do Kalkuty. Możesz wtedy sam się rozprawić z Ramem Narainem i jego kliką, jak uznasz za stosowne.

Mir Jafar nie miał wyjścia. Tak, potrzebował pieniędzy, ile tylko mógł zebrać. Ale - jego tron, ceremoniał, wspaniałość, pozory władzy... Skapitulował. Dochody z prowincji Burdwan, Kishangar i Hugli zostały obciążone należnością w sumie dziesięciu i pół lakhów rupii natychmiast, a dziewiętnastu lakhów w kwietniu 1758 roku. Wszystkie ziemie na południe od Kalkuty, przyrzeczone Kompanii umową spiskowców, zostały teraz przekazane formalną cesją, wraz z ich całkowitymi rocznymi dochodami. Prócz tego, aby Clive nie wracał do Kalkuty bez ładunku złota i klejnotów, otrzymał zezwolenie na zabranie ze skarbcza subadarskiego równowartości dwunastu i pół lakhów, które miały mu być wydane w powrotnej drodze przez Murshidabad.

Surowy i bezwzględny Clive, skoro zapewnił dla siebie i swoich współpracowników wypłatę reszty wynagrodzeń za zdradę Siraj-ud-Dauli, zmienił się z powrotem w usłużnego przyjaciela. Rama Naraina steroryzowano samym widokiem potężnej armii, wkraczającej do Patny pod wodzą

człowieka, którego otaczała nieomal legendarna sława wojenna. Jednakże Mir Jafar nie był w pobłażliwym i przebaczącym usposobieniu. Ani też nie czuł szczególnej przyjaźni do Anglików, chociaż to ich właśnie obecność stłumiła bunt. Powiedział do Clive'a:

- Na miejsce Rama Naraina mianuję mego szwagra, Mir Kasima.

Ale Clive, który już się postarał o to, by związać Rama Naraina obietnicami i wciągnąć go do przyszłej współpracy z Kompanią, a wiedząc dobrze, że Mir Kasim nie kochał szczególnie Anglików, od razu powrócił do swego dyktatorskiego tonu:

- Nie zrobisz nic podobnego. Zatwierdzisz w urzędzie Rama Naraina, o ile nie życzysz sobie jako wrogów twoich najlepszych przyjaciół: mnie i Kompanię Wschodnio-Indyjską.

Mir Jafar miał własne poglądy co do tego, kto jest naprawdę jego najlepszym przyjacielem. Ale Mir Jafar nie był Siraj-ud-Daulą. Był łatwym do zastraszenia słabeuszem.

Posłużwszy się dla osiągnięcia swych celów metodami, które już stały się rutyną-szantażem, przekupstwem, dwulicowością - Clive mógł dnia 10 lutego 1758 roku z zadowoleniem donieść radzie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Kalkucie:

„Wszelkie wewnętrzne waśnie szczęśliwie rozstrzygnąwszy, subadara o tyle umocniłem na jego tronie, że przy odrobinie rozwagi i przeczności powinien się teraz na nim utrzymać. Co do nas, fortuna nam sprzyjała... zdołaliśmy związać z naszymi interesami najznamienitsze osobistości w subadarstwie... a o naszą przyjaźń ubiegają się zewsząd... Ta ekspedycja, bez przelewu krwi, ukoronowała wszelkie korzyści i sukcesy, jakich mogą sobie życzyć zarówno subadar, jak i Kompania...”

Jeśli Clive istotnie wierzył w to, co pisał, ujawnił w tym wypadku szczególny brak przenikliwości. Subadar wcale nie był „umocniony na tronie”. Przeciwnie, otaczali go zewsząd ludzie, którzy tylko czyhali na okazję, by skorzystać z jego słabości. Jednocześnie, chociaż przekupiono Rai Dulaba i Rama Naraina, jednakże wiele „najznamienitszych osobistości” w Bengalu i w Biharze - przede wszystkim Miran i Mir Kasim - wcale nie było, jak niebawem miało się okazać, „związanych” z Anglikami. Kompania i jej urzędnicy bez wątpienia odnieśli wiele korzyści z ekspedycji. Ale co do „korzyści i sukcesów” subadara, to wbrew chwilowemu załagodzeniu radźów Biharu, Mir Jafar znalazł się teraz w jeszcze gorszej sytuacji, ponieważ coraz bardziej był zdany na łaskę Anglików.



Ani też Clive nie przestał zwać na głowę swojej marionetki i ofiary niekończących się upokorzeń i różnej formy wymuszania.

W ciągu trzy miesiące trwających pertraktacji w sprawie nowego żądania, przyciśnięty do muru Mir Jafar wykręcał się i zwlekał jak tylko mógł. Ale Clive trzymał się twardo. Subadar był w złej sytuacji. Żołnierze angielscy stali, praktycznie biorąc, tuż za drzwiami sali konferencyjnej. A subadar wiedział dobrze, że pozorna lojalność Rama Naraina będzie trwała tylko tak długo, jak długo zechce

Clive. Gdyby doszło do zbrojnego starcia, wojska zgromadzone przez nababa i radżów, a jeszcze nie rozpuszczone, stanęłyby bez wątpienia po stronie Anglików. Trudno oprzeć się współczuciu dla tego człowieka, chociaż zdrajcy, którego żądza władzy i splendoru wydała w ręce „miłujących pokój” kupców z Kompanii „handlowej” i mistrza intryg o żelaznych nerwach.

Tak więc subadar na próżno się wykręcał, próbując odrzucić dalsze koncesje bez urażenia protagonisty, co by mogło się fatalnie skończyć. Clive z zimnym spokojem blokował każde wyjście i bez niecierpliwości czekał chwili, gdy uwięziony ptak przestanie bić skrzydłami o pręty klatki i będzie śpiewał wyuczoną melodię. Tymczasem on sam, jego angielscy oficerowie i cywilni doradcy zwiedzali, chociaż dosyć powierzchownie, miasto, które było stolicą Biharu od roku 1541. Patnę wybudowano na miejscu starożytnego grodu Pataliputra, o którym w roku 302 p.n.e. Megasthenes, poseł Babilonu, donosił, iż liczy 40 km w obwodzie i posiada pałac królewski o niezrównanym przepychu. Miasto skurczyło się i zubożało od tych dawnych, dumnych czasów, ale jeszcze szczyliło się resztkami splendoru.

W meczecie, zbudowanym w roku 1499 z rozkazu szacha Husaina, Clive wszedł na dziedziniec o posadzce wykładanej glazurowanymi kaflami i podziwiał świątynię, także wykładaną takimi kafelkami z zewnątrz i od wewnątrz. W świątyni Sikhów oglądał egzemplarz „Grantha” - świętej księgi tej sekty bramińskiego hinduizmu, która głosiła, że wszyscy ludzie są równi i nie uznawała podziału na kasty. Być może Clive odczuwał pewien respekt dla Sikhów, ponieważ z początkiem drugiej połowy XVII wieku Teg Bahadur, główny teoretyk sekty, przepowiadał, że Europejczycy, którzy nadejdą najpierw z towarami do wymiany, a później ze zbrojnymi ludźmi, zniszczą imperium Wielkiego Mogoła.

Najpiękniejsze budowle Patny, jak i wielu innych starożytnych miast Indii, były dziełem minionych pokoleń. Przed inwazją Mogołów, władcy hinduscy, a później mahometańscy wydawali fantastyczne sumy na arcydzieła architektury. Ich twórcami i dekoratorami byli anonimowi rzemieślnicy, którym, jak budowniczym średniowiecznych kościołów w Europie, nie tyle chodziło o estetyczną satysfakcję, sprawianą ludziom, ile o to, aby dzieła ich rąk stanowiły ofiarę dla bóstwa. W anarchii, jaka zapanowała w Indiach w wieku XVIII, coraz mniej było takich rzemieślników i coraz mniej władców, o tyle pewnych własnego tronu, aby wznosić wielkie arcydzieła architektury. To pokolenie nie pojmowało chwały dawnej kultury i użytkowało wspaniałe starożytne budowle, nie umiając ich należycie docenić. Również i Clive nie miał ani usposobienia, ani dostatecznej wiedzy, by się na nich poznać, jak to czynili archeologowie i historycy sztuki, którzy później tłumnie odwiedzali takie miasta jak Patna, Allahabad, Hayderabad i Delhi. Clive zwiedzał, oglądał, ale mało pozostawił w swej skądinąd bardzo obszernej korespondencji świadectw, aby go głęboko poruszyły geniusz artystów i zapał religijny, które złożyły się na powstanie tych arcydzieł sztuki.

W Europie w wieku XVIII higiena i publiczna troska o zdrowie były wciąż jeszcze w powijakach. Pomimo tego angielscy oficerowie i urzędnicy mogli stracić apetyt do następnego posiłku po zwiedzeniu bazarów w Patnie. Długimi szeregami wznosiły się otwarte kramy z bawełną, tkaninami, wyrobami z brązu, obrazami treści religijnej, haftami, jedwabiami i biżuterią. Poniżej mieściły się niskie, prymitywne platformy zbite z desek, na poziomie przejść dla kupujących. Na tych platformach, o parę cali od przechodzących bosych stóp i otwartych rynsztoków, używanych do wylewania wszelkich nieczystości, a także jako latryny, leżały stosy żywności: ryb, placków ryżowych, ugotowanych potraw z przyprawą curry, lepkich słodczy. Dzieci z zaropiałymi oczami i wrzodami na skórze bawiły się i tarzały między żywnością, w którą również wtykały mokre nosy psy,

krowy i owce. A jeśli przypadkiem wystrojony Clive otarł się o mur domu, musiał spieszenie wracać do siebie, by się przebrać. Bo z otworów w ścianach domostw spywały ludzkie ekskrementy, uryna i pomyje z wyższych pięter do rynsztoku, płynącego środkiem ulicy.

Po takim złowonnym spacerze po bazarach i po południowej sjeście, Clive wieczorem szukał świeższego powietrza na przejażdżce konnej po pięknej, otwartej okolicy, w górach Raj-gir na południe od Patny. Tu, zgodnie z tradycją, w V wieku p.n.e Budda, twórca religii i założyciel systemu kastowego, przebywał i nauczał. Gridhrakuta, czyli Sępi Szczyt, była ulubioną przez niego miejscowością. Wieża na wzgórzu, zwana Baibhar, w której Budda mieszkał, jest czczona jako świętość, jak również podziemia u jej stóp - miejsce spotkań po jego śmierci uczniów, którzy spisali zasady wiary, przez niego głoszonej.

W Nalandzie, słynnej siedzibie wiedzy i kultury buddyjskiej, mieściły się niektóre z najpiękniejszych arcydzieł rzeźby hinduskiej. Clive i jego towarzysze tylko patrzyli w niemym podziwieniu. Dopiero w wiele lat później archeologowie mieli je określić jako pochodzące z pierwszych wieków naszej ery, a niektóre nawet o dwa i trzy tysiące lat wcześniej, umieszczając je dokładnie w odniesieniu do dynastii i ideologii.

W górach Rajgir znajdują się również ruiny starożytnego miasta - Rajagriha. Jego zewnętrzne fortyfikacje - z olbrzymich, nie ciosanych kamieni, kładzionych bez zaprawy na grubość sześciometrowego muru - można nawet dziś prześledzić na grzbietach górskich. Od czasów Clive'a poczyniono próby określenia wieku tych ruin, ale nawet najwybitniejszy z archeologów w Indiach, Sir John Marshall, potrafił jedynie „przypisać je jakiejś epoce przed brzaskiem historii i zaliczyć je do największych cudów, jakie nam pozostawił człowiek pierwotny”.

Wreszcie Mir Jafar nie mógł już znaleźć dalszych sposobów odwlekania. Prowincja Bihar była z dawna ośrodkiem produkcji saletry. Clive zażądał dla Kompanii Wschodnio-Indyjskiej przywileju wydawania licencji fabrykantom saletry i agentom, którzy ją rozsprzedawali. Clive dobrze wiedział, czego żąda - wiedział również Mir Jafar. Saletra była jednym z najważniejszych towarów w handlu i niezbędnym składnikiem przy wyrobie prochu strzelniczego. Zawładnąwszy jej produkcją i rozsprzedażą, Anglicy nie tylko trzymali rękę na pulsie całej gospodarki Bihar, ale mogli także zabronić dostaw saletry obecnym i potencjalnym nieprzyjaciołom Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, Francuzom i Holendrom. Na to dalsze ustępstwo musiał się teraz Mir Jafar zgodzić.

Prawie równocześnie zdarzył się incydent, który chociaż miał tylko formalny charakter, początkowo złagodził trochę zranioną ambicję Mir Jafara. Wielki Mogoł, cesarz w Delhi, był teraz właściwie bezsilnym figurantem, o niewielkim wpływie na teoretycznie mu podlegających władców, jednakże nadal każdy z subadarów i nababów po wstąpieniu na tron - jakimikolwiek sposobami by ten tron zdobył - zgodnie z tradycją zwracał się z prośbą o „sunnud” cesarski, czyli potwierdzenie jego władzy. Cesarz wydawał „sunnud” zawsze, bez zastrzeżeń, po wpłaceniu pięćdziesięciu lakhów rupii. Teoretycznie „sunnud” był zalegalizowaniem istniejącego stanu rzeczy. Wiązało się z nim jednoczesne formalne zaliczenie w poczet książąt cesarstwa, szczególnie pożądane przez tych, którzy doszli do tronu, mówiąc łagodnie, krętymi ścieżkami.

Gdy Mir Jafar był jeszcze z Clive'em w Patnie, przysłano mu od cesarza „sunnud”, jako dla subadara Bengalu, Bihar i Oryssy. Spiski, uzurpacja, zabójstwo - zostały więc zalegalizowane kosztem iluś tam rupii.

Co prawda zadowolenia Mir Jafara nie pogłębił fakt, że jednocześnie z „sunnudem”, cesarz przyznał formalnie Clive'owi rangę „mansab dara” imperium, czyli dowódcy jazdy. Taki dygnitarz

stawiał się jednym z magnatów Indii i miał prawo do otrzymywania trzystu tysięcy rupii rocznie. Zwyczajowo zamiast tej sumy w gotówce, przyznawano mu „jagir”, czyli prawo ściągania podatków z odpowiedniej ilości wiosek. Dygni-tariat ten nie pociągał za sobą żadnego obowiązku pod postacią werbowania albo utrzymywania wojsk, ale przyjęcie jego oznaczało uznanie się sługą cesarstwa... Podanie o przyznanie Clive'owi tego zaszczytu wystosował do cesarza Jagath Seth. A cesarzowi albo jego wezyrowi wydało się bez wątpienia pożądane, aby człowiek, który detronizował i intronizował subadarów, uznawał formalną władzę państwa, choćby w ówczesnych Indiach takie uznanie lojalności stało się pustym dźwiękiem.

Clive zatarł ręce na wiadomość o dodatku trzydziestu tysięcy funtów szterlingów do swego dochodu, bez potrzeby wysilania się, by je zarobić. To, co uczynił, i jeszcze miał uczynić, było w interesie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i jego własnym. Interesy jakiegokolwiek państwa hinduskiego nigdy go nie obchodziły. Teraz widział się tak bogatym, iż mógł się czuć niezależnym zarówno od Wielkiego Mogoła, jak i Kompanii.

Przekupstwa, szantaże, potajemne intrygi - dobrze się wyplącały.

Ale jak na razie ów „jagir” był abstrakcją. W teorii miał go wypłacać subadar, na którego terytorium „mansabdar” rezydował. Tak więc dodatkowy dług obciążył - teoretycznie - skarbiec Mir Jafara. Clive będzie miał sporo trudności, nim wydobędzie jeszcze trzydzieści tysięcy funtów rocznie. I przyczyni mu to niemało kłopotów.

Tymczasem Wielki Mogoł, świadomie, czy też przypadkiem, dał do rąk Clive'a jeszcze jeden atut w stosunkach z Mir Jafarem.

- Jeśli on teraz zechce mnie usunąć - rozmyślał subadar - wystarczy mu oznajmić, że działa jako sługa cesarza i w interesie cesarstwa. Zaczynam go już znać, tego Anglika!

Splendory i ceremoniał wydały mu się za drogo nabyte i dodał:

- O, wielki Allachu! Dlaczego dałem się skusić? Ten tron jest dla mnie tylko złoconą klatką...

Nareszcie myśli Clive'a i Mir Jafara zbiegły się w jednym punkcie: użyli tej samej, powszechnie znanej i dość już wytartej metafory.

Rozdział XVII

MARIONETKA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Powrót Rai Dulaba na jego dawne stanowisko w Murshidaba-dzie nie przypadł do gustu subadarowi, czemu trudno się dziwić. Żaden władca nie może się łatwo zgodzić, aby mu głównych urzędników mianował ktoś, kto udając przyjaźń, wyraźnie dąży do dominacji. Toteż Mir Jafar aż nadto chętnie nakłaniał ucha do oskarżeń przeciw swemu ministrowi. A oskarżyciel znalazł się pod ręką.

Nuncomar, były gubernator Hugli, ten sam, który za angielskie złoto nie usłuchał rozkazów Sirajud-Dauli i nie przyszedł z pomocą Francuzom oblężonym w Chandernagore, przybył na dwór w Murshidabadzie i dostał odpowiedzialne zadanie finansowej reorganizacji subadarstwa. Znał dokładnie wszelkie tajniki ściągania podatków i był równie pozbawiony skrupułów, jak Omichand - albo jak ci, którzy Omichanda przechytrzyli.

Otóż Nuncomar potajemnie zaproponował Clive'owi, że będzie go informował o sprawach finansowych subadarstwa i o stanie skarbcza, a również, że będzie ściągał dochody, wyznaczone Kompanii Wschodnio-Indyjskiej przez Mir Jafara. Clive obie propozycje przyjął, a Nuncomar zorganizował cały system korupcji, wyzysku i zdzierstwa, mając na celu, pod pokrywką oskarżeń na ministra skarbu, oszukiwać zarówno subadara, jak i Kompanię. Łatwo mu było oszukiwać urzędników Kompanii, nie obeznanych ze sprawami lokalnej administracji. Ale trudniej poszło z Rai Dulabem, który - cokolwiek można powiedzieć o jego lojalności - znał się doskonale na finansach. Nuncomar, udając nienawiść do Anglików, wkradł się w łaski syna Mir Jafara, Mirana. W ten sposób powstał jeszcze jeden podwójny spisek, godny szatańskiej pomysłowości samego Omichanda - albo Clive'a.

Do Mir Jafara, który nie ukrywał swej niechęci do Rai Dulaba, Nuncomar powiedział:
- Minister skarbu jest bajecznie bogaty. Bogatszy od Waszej Eksceleencji.
- Nietrudno być bogatszym ode mnie - mruknął subadar, wzruszając ramionami. - Każdy sięga do mego mieszka i zabiera, ile chce. A przede wszystkim Anglicy.

- Z Anglikami nic się nie da zrobić - na razie. A z pewnością, dopóki urzęduje obecny minister skarbu, to on donosi o każdym poruszeniu Waszej Eksceleencji do Kalkuty. Ale z Rai Dulabem można by... - Nuncomar udał, że wstrzymuje się w rozpędzie. - Ale ja za wiele mówię. Minister jest moim przyjacielem...

- Wydajesz mi się życzliwie do mnie usposobiony - powiedział Mir Jafar. - Moim pragnieniem jest... Powiedz mi, co można by...

Nuncomar odwracał się, ale spod oka bacznie obserwował efekt swoich słów.

- Ekscelencjo, proszę na mnie nie nalegać. Zawsze byłem lojalny wobec tych, którym winienem wdzięczność.

- A mnie? Czyż nie jesteś mi winien wdzięczności? Więcej, niż...

- Jeśli Wasza Ekscelencja nalega... - Nuncomar westchnął bardzo ciężko.

- Nalegam. Tak. Wiedz, że jeśli mnie obrazisz, mogę cię wtrącić do lochów, z których nikt żywy nie wychodzi.

- To jest miejsce dla ministra, nie dla tych, którzy są wierni po grób Waszej Ekscelencji - krygował się Nuncomar. - Powiem wszystko. Rai Dulab jest defraudantem. Widziałem dowody. Ale nie mogę ich tu przynieść. Rai Dulab trzyma księgi rachunkowe pod kluczem w swoim własnym pałacu.

- Bez dowodów niczego nie przedsięwzię.

- Mam sposób, Ekscelencjo.

- Mów prędko.

- Syn Waszej Ekscelencji, szlachetny Miran, ma doradcę, Rai Buluba, człowieka mądrego i szczerze oddanego Waszej Ekscelencji. Doskonale się zna na finansach. Proszę wydać polecenie ministrowi, aby przekazał mu dla kontroli spisy dochodów subadarstwa.

Nuncomar wiedział doskonale, że księgi rachunkowe Rai Dulaba są prowadzone bez zarzutu. Ale wiedział też, że Rai Dulab jest człowiekiem bardzo nerwowym, łatwo wpadającym w panikę. Wskazawszy drogę Mir Jafarowi, Nuncomar z kolei zabrał się do zaalarmowania Jagata Setha, którego subadar często pytał o zdanie, zwłaszcza w sprawach dotyczących skarbu państwa. Mir Jafar nie wiedział, że i bankier także utrzymywał tajną korespondencję z Clive'm i że to on właśnie zwrócił się do Wielkiego Mogola z prośbą o nominację Clive'a na mansabdara.

- Minister defrauduje znaczne sumy - podszeptał Nuncomar Jagatowi Sethowi. - Jest twoim partnerem. Przypadkiem wiem, że jeśli subadar wykryje nadużycia w swoich finansach, to do ciebie się zwróci, byś je pokrył.

To wystarczyło, by się upewnić, że Jagat Seth, który kochał złoto jak szatan kocha grzeszników, podszeptał odpowiednie słówko w odpowiednim czasie i miejscu.

Rai Dulabowi nie tylko rozkazano przekazać księgi rachunkowe. Usunięto go również ze stanowiska na rzecz Rai Buluba. Straciwszy łaskę dworu, Rai Dulab zamknął się w swoim pałacu, drżąc, że go każdej chwili przyjdą aresztować albo zabić. Przedstawiciele Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Murshida-badzie, Watts i Scrafton, dostrzegli, co się święci i zaczęli się niepokoić, czy Miran i jego klika nie zagrażą interesom Kompanii.

„Nuncomar jest nikczemnym intrygantem - pisali do Cli-ve'a, uznawszy za właściwe zapomnieć, że Clive sam najskuteczniej intrygował no dworze subadara. - Faworyzowanie Rai Buluba za poduszczeniem Nuncomara może źle się odbić na naszych wpływach na dworze. Nasi nieprzyjaciele z dnia na dzień zyskują na znaczeniu. Rai Dulab jest poważnie zagrożony.”

Tak poważnie zagrożony, że zorganizowano mu ucieczkę z Murshidabadu, a później ukryto go w Kalkucie.

Jeszcze przed tymi wydarzeniami, subadar otrzymał zaproszenie od Clive'a, którego właśnie mianowano prezesem rady Kompanii w Bengalu, by złożył oficjalną wizytę w Kalkucie. Mir Jafar zaproszenie przyjął bardzo skwapliwie, nie zwracając uwagi na impertynenckie zlekceważenie protokołu dyplomatycznego. Teoretycznie przedstawiciel „handlowej” kompanii, nie reprezentujący wcale swego suwerena, a w dodatku po formalnym objęciu władzy przez subadara, złożywszy mu hołd, nie powinien był przysyłać mu zaproszenia, jak równy równemu. Teraz afera z Rai Dulabem rozżłościła Clive'a. Jednakże na razie ukrył gniew i nie cofnął przygotowań do książęcej wizyty. Tak się bowiem złożyło, że w danej chwili nie mógł ryzykować zerwania z Mir Jafarem.

Francuzi - otrzymawszy znowu posiłki, zorganizowani pod wojskową komendą i cywilną władzą zdolnego i energicznego gubernatora, hrabiego de Lally - usiłowali odzyskać dawną dominującą pozycję w Karnatyku. Gubernator Madrasu nalegał na Clive'a, by przysłał mu na pomoc wojsko, a jeśli tylko możliwe, przybył również sam.

Clive nie mógł udać się na południe osobiście. W Bengalu szerokim echem rozchodziły się pogłoski o wydarzeniach w Karnatyku. Gdyby w takiej chwili prezes Kompanii opuścił Kalkutę, nieprzychylni radzowie w Bengalu i Biharze mogliby skorzystać ze sposobności i pod wodzą Mirana spróbować odzyskać utraconą niezależność. W odpowiedzi na apel z Madrasu, Clive doradzał:

„Dobrze by było opłacić duży oddział Mahrattów, by zniszczyli, spalili i zrównali z ziemią całą okolicę tak, aby żadnych podatków nie dało się ściągnąć z tych ziem. Bengal jest niewyczerpanym źródłem bogactw i możecie być pewni, że będę was stąd zaopatrywał w żywność i pieniądze w obfitości; a tymczasem, co się stanie z Francuzami, jeśli znikąd nie będą mogli dostać prowiantu ani pieniędzy na opłacenie żołdu? Będą musieli rozpuścić sepojów, a Europejczycy sami od nich uciekną”.

Ten przedstawiciel Kompanii, której „jedynym celem i właściwym zadaniem był handel”, okazywał istotnie niewyczerpaną pomysłowość w sposobach niszczenia organizacji różnych prowincji Indii i zapędzania w nędzę ludności, która najbardziej musiała ucierpieć od „niszczenia, palenia i równania / ziemią”.

Rada w Madrasie nie była tak bezwzględnie nieludzka i nadal upominała się o przysłanie wojsk - jak oni sami posłali pomoc w żołnierzach i okrętach w krytycznej sytuacji Kompanii w Bengalu. Clive nie miał wyboru. Wysłał jednego ze swoich starszych oficerów, pułkownika Francisa Forde'a z pięciuset Europejczykami, dwoma tysiącami sepojów i artylerią. Forde kolejno pokonał różne francuskie oddziały, zdobył fortece i zapewnił Anglikom decydujący wpływ na subadara Dekami w Hayderabadzie - wpływ, poprzednio sprawowany od dłuższego czasu przez francuskiego generała de Bussy. Zwycięska kampania Forde'a zapoczątkowała obalenie francuskiej władzy i prestiżu politycznego, zakończone w roku 1761 zdobyciem przez majora Eyre Coote głównego miasta Francuzów w Indiach - Pondicherry, a w roku 1769 ostatecznym rozwiązaniem Compagnie des Indes.

Pod nieobecność Forde'a i jego wojsk, Clive uznał, że chwila nie jest odpowiednia, by jawnie okazywać urazę z powodu dymisji Rai Dulaba.

Dnia 6 sierpnia 1758 roku Mir Jafar opuścił Murshidabad na pokładzie barki udekorowanej z ściągnięciem królewskim przepychem, całej w jedwabiach, dywanach i klejnotach. Postanowiwszy zaimponować Anglikom splendorem i uznawszy, że lepiej nie polegać zanadto na służbie i gwardzistach, dostarczonych przez Kompanię Wschodnio-Indyjską, Mir Jafar zabrał ze sobą, oprócz świty dworzan, niezliczonych wojowników, szambelanów, kucharzy, służbę. Płynęła cała flotylla statków, na których znajdowały się również jego cztery żony i kilka ponętnych, młodych konkubin.

Clive nie ustępował subadarowi w zamiłowaniu do ostentacyjnej wspaniałości. Wizyta trwała kilka dni. Odbывały się defilady wojskowe i inne ceremonialne uroczystości. Subadar obejrzał biura zarządu Kompanii, zwiedził Fort William, urządono dla niego przedstawienia teatralne, wyprawiono bal. O wszelkich porach dnia i nocy rozlegały się nieustannie dźwięki trąb, rogów i bębnow, anonsujące nadejście lub odejście książęcego gościa, początek lub zakończenie jakiegoś bankietu, czy innej uroczystości na jego cześć. Gdy wreszcie wszystko się skończyło, Lukę Scrafton pisał do przyjaciela:

„Tak nas wszystkich absorbowwały bale, bankiety, orkiestry i podejmowanie jego ekscelencji, że

zupełnie zanieśliśmy sprawy Kompanii... Sekundy czasu nie miałem, stale przy nim, jako ten wieczny interpret, w gotowości na każde skinienie jego i jego niewiast, bo i na dwadzieścia kroków nigdzie się nie ruszył bez tych bab. Sądzę, że odjechał dość zadowolony i rad z siebie...”

Jeśli niekoniecznie rad i zadowolony, to w każdym razie pełen nadziei - z pewnego określonego powodu. Mir Jafar w ciągu swego pobytu w Kalkucie zabawiał się nawiązaniem intrygi, której, bez współnika kalibru Roberta Clive'a, nie miał ani sprytu, ani energii uwieńczyć pozytywnym skutkiem.

Nie zapisano w gwiazdach, iżby Mir Jafar miał w spokoju cieszyć się swoim tronem. Ledwie powrócił do Murshidabadu, zagroziło mu nowe niebezpieczeństwo. Syn Wielkiego Mogoła, Shahzada, buntował się przeciw ojcu i wygnano go z Delhi.

Zebrał wokół siebie pewną liczbę wojska i zaczął się rozglądać, gdzie by najprędzej mógł zdobyć łupy, a zarazem przysporzyć kłopotów ojcu i wzniecić zamieszki na nominalnie cesarskich ziemiach w północnych Indiach. Sąsiad Mir Jafara od północnego zachodu, nabab Oudh, zwrócił uwagę Shahzady na sytuację w Bengalu i Biharze. Nababa poprzednio prosili o pomoc w obaleniu subadara dwulicowy Jagat Seth i niektórzy niezadowoleni radzowie. Shahzada łatwo dał się namówić. Razem z nababem Oudh ruszył na Patnę.

Mir Jafar znowu się znalazł w obliczu dylematu. Do granic jego państwa podchodziły wojska liczące blisko trzydzieści tysięcy wojowników. Wiedząc o szerzącym się wśród własnych radzów niezadowoleniu i o tym, że nie może polegać na swoich dworzanach i oficerach, subadar na gwałt szukał sposobów umocnienia ich lojalności i woli oporu wobec niebezpieczeństwa.

- Mahrattowie mogliby się rozprawić z tą bandą najeźdźców, o ile bym ich dobrze opłacił - rozważał. - Znają się na rzemiośle wojennym i gdy raz rozpoczną kampanię... ale są chciwi. Nim się ich potem pozbędę, cały skarbiec mi opróżnią...

W bezsenne noce wysilał swój niezbyt sprawny umysł, szukając alternatywy wobec tego rozwiązania, które wciąż mu się nasuwało, jako jedyne wyjście - chociaż wiedział, że jego klatka stanie się jeszcze ciaśniejsza, jeszcze dokładniej pozamykana...

- Ostatnia rzecz, jakiej chcę... Anglicy...

Prawie równocześnie z apelem o pomoc od Mir Jafara, Clive otrzymał list od Wielkiego Mogoła, wzywający go, jako wiernego (czyżby?) mansabdara, by wyprawił się przeciw zbuntowanemu rebeliantowi, Shahzadzie. Clive miał pod dostatkiem powodów, by działać bez zwłoki. Po pierwsze, nie życzył sobie, aby jakiś Shahzada czy nabab Oudh wciskali się do prowincji, w której Kompania Wschodnio-Indyjska zajmowała dominującą pozycję. Po drugie, chętnie korzystał ze sposobności wzmocnienia swoich wpływów w Murshidabadzie, nieco zachwianych wzrastającym znaczeniem Mirana i Rai Bulupa. A wreszcie, szantażyści rzadko poprzestają na jednym razie. Mir Jafar nie wypłacił mu „jagiru”, przyznanego przez Wielkiego Mogoła w sumie trzydziestu tysięcy funtów rocznie. W rzeczywistości, tego rodzaju „jagiry” nie bywały w Indiach wcale realizowane. Mansabdarowie nie miewali dość siły, by zmusić subadarów i nababów do płacenia. Tradycyjnie już nominacja ta stawała się czysto honorowa. Ale Clive nie cenił sobie honorowych nominacji, a potrafił wymuszać zapłatę i obecnie nadarzyła się idealna sposobność. Powiadomił subadara, że gotów jest przyjść mu w sukurs pod jednym warunkiem - że zobowiąże się na piśmie do wypłacania „jagiru” od chwili, gdy wojska zagrażające Patnie zostaną przy pomocy oddziałów angielskich pokonane i zmuszone do wycofania się poza granice subadarstwa.

Mir Jafara zaskoczyło to żądanie. Sprzeciwiało się ono wszelkim tradycyjnym zwyczajom, chociażby nawet było zgodne z literą cesarskiego prawa, którego przecież od dawna nikt nie

respektował. W każdej innej sytuacji, nawet najsłabszy subadar byłby się sprzeciwił.

- A może lepiej bym zrobił - pytał Mir Jafar Jagata Setha - gdybym zaproponował Shahzadzie jakiś okup?

Zwlekał przez parę dni z odpowiedzią w sprawie „jagiru”, ale nagle otrzymał od Clive’a list, dowodzący, że ściany pałacu w Murshidabadzie miały uszy:

„Dowiaduję się właśnie, że Wasza Ekscelencja rozważa ewentualność zaproponowania pewnej sumy tytułem okupu cesarskiemu synowi. Jeśli to uczynisz, Mahrattowie i różni inni będą najeżdzać twoje ziemie z żądaniami okupu, aż całkowicie opróżnią skarbiec...”

Clive miał bez wątpienia słuszość. Prócz tego nie życzył sobie, by ktokolwiek inny prócz niego sięgał do subadarskiego mieszka.

Otoczony wrogami, albo egoistycznymi przyjaciółmi, Mir jafar z westchnieniem rozpacz podpisał zobowiązanie, którego żądał Clive jako warunku przyprowadzenia wojsk na odsiecz. A uczyniwszy to, rozłożył w desperacji ręce, wołając:

- Czy nigdy nie będzie końca zdzierstwom tego Anglika?

Rozdział XVIII

STRACONA SPOSOBNOŚĆ MIR JAFARA

Gdy Clive z oddziałem czterystu pięćdziesięciu Europejczyków i dwoma tysiącami świeżo zwerbowanych sepojów dotarł w końcu do Murshidabadu, subadar odczuł tak - głęboką ulgę, że na chwilę zapomniał, ile go ta pomoc kosztuje w złocie i upokorzeniu.

- Shahzada stoi przed bramami Patny! - wykrzyknął dramatycznie i nie bez przesady. - Musimy maszerować natychmiast! Nie mamy ani chwili do stracenia!

Clive dość miał na razie pośpiechu.

- Moi ludzie muszą przez noc dobrze odpocząć - odparł. - Od kiedyśmy opuścili Kalkutę, nie zazналиśmy dość snu, aby mieć siły do walki.

Istotnie, Clive nie marnował czasu - gdy już dostał do rąk zobowiązanie w sprawie „jagiru”.

- Obyśmy nie przybyli za późno! - jęknął subadar.

- Nie ma obawy. Odpędzimy od bram Patny tych rebeliantów, buntujących się przeciw władzy cesarskiej i twojej. Każcie dać jeść, Ekscelencjo, bośmy wygłodnieli!

Podczas posiłku Mir Jafar kręcił się niespokojnie.

- Nie przyprowadziłeś ze sobą tak znacznych sił, jak się spodziewałem - narzekał.

- Dość, by zrobić, co trzeba! - odparł Clive. - Miałem mniej, niż pięciuset żołnierzy, i to bardzo niejednolitej siły, gdy zdobyłem Arcot i obroniłem twierdzę przed tysiącami. Od



Lady Margaret Clive. Według portretu, nieustalonego malarza, w posiadaniu rodziny Maskelynów tej pory moje nazwisko stanie za pięć tysięcy żołnierza w każdej bitwie.

Kiedyś bywał skromniejszy. Ale w tym wypadku chępliwość miała szczególne powody. Clive dobrze wiedział, ale oczywiście nie zamierzał tego zdradzać subadarowi, że zabierając nawet to nieliczne wojsko, zostawił Kalkutę, praktycznie biorąc, bez obrony.

Ostatecznie, Clive zdobył swój „jagir” bez większych wysiłków. Ani chwiejne wojsko subadara, ani wzmacniające odwagę wojowników oddziały angielskie nie miały dużo do roboty. Gdy Shahzada i nabab Oudh przybyli pod Patnę, Ram Narain udał się osobiście do ich obozu, złożył formalny hołd, wręczył zwyczajowe hojne podarunki cesarskiemu synowi, którego próżność znacznie przewyższała jego rozsądek. Ten gest przypadł do gustu Shahzadzie. Zaproszony, by ceremonialnie wkroczył do Patny, młodzieniec od razu oddał się przedwczesnej radości, orgiom i hulankom - kobiet i wina Ram Narain nie żałował - trwającym kilka dni i nocy. W ten sposób Ram Narain sprytnie zyskał na czasie, a wojska subadara i Clive'a mogły zdążyć z odsieczą.

Wreszcie Shahzada gotów był wkroczyć do miasta. Całe towarzyszące mu zbiorowisko wojowników, kobiet i służby - wszyscy trochę zmęczeni hulankami - wraz ze słoniami i taborem, pojawiło się przed bramami, rozciągnięte daleko na równinie, w nastroju świątecznym i zupełnie nie przygotowane do walki. Bramy miasta pozostały zamknięte, a gdy wspaniale przystrojony Shahzada, przypuszczając, że Ram Narain chce wyreżyserować odpowiedni ceremoniał, zażądał uroczystości ich otwarcia, otrzymał od nababa nieoczekiwaną odpowiedź:

- Winienem ci być, jako cesarskiemu synowi, dary i hołd, czego dopełniłem. Ale to wszystko. Gdyż nie uznaję innego pana, jak tylko subadara Bengalu. Jeśli ci moja odpowiedź nie przypadnie do smaku, możesz przedsięwziąć, co zechcesz. Znajdziesz obrońców Patny gotowych do przyjęcia w

odpowiedni sposób rebeliantów, którymi jesteście.

Rozwścieczony młodzieniec rzucił swoje wojska do szturm, przypuszczał atak za atakiem. Obrońcy dzielnie je odpierali. Atakujący ponieśli ogromne straty, a gdy posłyszeli, że odsiecz, którą prowadzi groźny pułkownik Clive, jest już tylko o piętnaście kilometrów odległości od Patny - odstąpili pośpiesznie i bezładnie. Nie było dla Shahzady triumfalnego wkroczenia do Patny, stolicy Biharu. To przypadło w udziale Clive'owi i Mir Jafarowi, chociaż właściwie na triumf zasłużyli wojownicy Ram Naraina.

Natychmiast po ceremoniach, Clive puścił się w pogoń za rebeliantami, zdecydowany doścignąć ich, zanim jeszcze ochłoną z paniki. Chciał również przypomnieć radzom Bengalu i Bihar, którzy popierali Shahzadę, że Anglicy, chociaż sami mistrzowie intryg, nie zezwolą nikomu konspirować przeciw intro-nizowanemu przez nich władcy. Zadanie wypełnił ze zwykłą swoją energią i w parę tygodni później mógł już zakomunikować, że cesarski syn „w wielkiej rozterce tuła się z paru zaledwie ludźmi, nie wiedząc, dokąd się udać, ani komu zaufać”.

Z powrotem w Murshidabadzie rozstrzygnięto bardzo zręcznie kwestię „jagiru”. Kiedy ziemie na południu od Kalkuty subadar oddał Kompanii, cesja obejmowała tenetę dzierżawną płatną do jego skarbcza w wysokości 30 000 funtów szterlingów rocznie. Nowy minister skarbu, za poradą Jagata Seta, zdecydował, że ten czynsz dzierżawny Kompania ma w przyszłości wpłacać nie do skarbcza w Murshidabadzie, lecz Robertowi Clive'owi, cesarskiemu mansabdarowi. Mir Jafar i tak był dłużnikiem Kompanii, która z całą pewnością nie płaciłaby mu żadnego czynszu, dopóki by nie uregulował wszystkich należności. Tak więc skarb subadara nic nie tracił na tym, że renta miała być wpłacana Clive'owi.

Mansabdar nie był zachwycony takim załatwieniem sprawy, słusznie przewidując, że Kompania nie zgodzi się łatwo na przyjęcie pozycji, formalnie biorąc, podległości w stosunku do własnego urzędnika. Ale tym razem nie mógł nic na to poradzić. Gdyby zaprotestował, rzucałoby to cień wątpliwości na uczciwość Kompanii w regulowaniu podjętych zobowiązań. W rzeczywistości dyrektorzy londyńscy na razie nie wnikli zastrzeżeń co do tej transakcji. Im też nie zbywało na sprycie. Uznali, że gdy odpowiednia chwila nadejdzie, łatwiej będzie zaprzestać wypłacania czynszu dzierżawnego Clive'owi, niż subadarowi.

Powróciwszy do Kalkuty, Clive odetchnął z głęboką ulgą - wcale nie mniejszą od tej, jakiej zaznał Mir Jafar w Murshida-badzie na widok przyprowadzonych przez Clive'a wojsk dla odpędzenia Shahzady. Clive, zanim jeszcze opuścił Kalkutę, musiał wysłać połowę swoich najlepszych oddziałów pod dowództwem pułkownika Forde'a. Resztę - wszystkich żołnierzy prócz garstki inwalidów i chorych - zabrał ze sobą na ekspedycję do Patny. Tak więc faktorie, biura i mieszkańcy Kalkuty zostali właściwie na łasce jakichkolwiek wojsk, europejskich czy tubylczych, które by zechciały wykorzystać sytuację.

Ryzyko się opłaciło. Ci, którzy chcieliby skorzystać z takiej okazji, nie byli przygotowani. Ale i tak trzeba tu zauważyć, że „zaufania godny” Clive naraził Kalkutę na olbrzymie niebezpieczeństwo, głównie po to, by zabezpieczyć dla siebie roczny dochód w sumie 30 000 funtów i właściwie można go było oskarżyć o zaniedbanie obowiązków. Ale w ludzkich oczach sukces często zacierza błędy, a jak pisał przed sześciu laty Mu-hammed Ali z Trichinopoły: „Z łaski Wszechmocnego sprzyja ci szczęście we wszelkich przedsięwzięciach”.

W ciągu czterech lat, od kiedy wyjechał z Anglii, Clive sposobami uczciwymi i mniej uczciwymi zdobył fortunę, która stawiała go w jednym szeregu z najbogatszymi poddanymi jego suwerena. W

jakim stopniu wpłynęło to na jego przekonanie, że jest obecnie chory, musi opuścić swoje stanowisko w Kalkucie i wrócić do Londynu - można tylko się domyślać. Wydarzenia jednakże kazały mu odłożyć jeszcze ten wyjazd, dowodząc zarazem, że człowiek, który się uważał za wyczerpanego fizycznie i psychicznie, ujawnił zwykłą swoją energię i talent w rozprawieniu się z krytyczną sytuacją.

Podczas swojej oficjalnej wizyty w Kalkucie przed rokiem, Mir Jafar otrzymał list od Alfreda Bisdoma, kierownika niegdyś prosperującej faktorii handlowej Holendrów w Chinsu-rah, o jakieś 30 km w górę rzeki Hugli od Kalkuty. Bisdom skarżył się i uprzedzał:

„Nasza faktoria powstała tutaj na długo przedtem, zanim Anglicy i inne narody weszły do tego królestwa... Teraz obserwujemy, jak nasze wpływy, przedsięwzięcia i dochody z dnia na dzień maleją, a inne narody zyskują na tym... Z tego więc powodu, jak również dla zabezpieczenia naszych posiadłości i na usługi Waszej Ekscelencji, zażądałem przysłania naszych wojsk do tego kraju...”

Główną przyczyną niezadowolenia Holendrów był monopol na handel saletrą, przyznany Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, oraz dwa postanowienia traktatu, zawartego z Anglikami przez Mir Jafara: pierwsze, dające prawo kontrolowania i rewidowania wszystkich statków, płynących w górę Hugli i drugie, nakazujące, aby angażowano tylko angielskich pilotów celem wprowadzania statków. Te dwa postanowienia szczególnie utrudniały życie Holendrom, ponieważ nabab Oudh pozwolił im na założenie faktorii w swojej prowincji, a jedyne dojście do Oudh prowadziło przez Bengal, drogą wodną po Hugli i Gangesie. Wydaje się, że Holendrzy istotnie chcieli rywalizować z Anglikami tylko w stosunkach handlowych. Ale więzy polityczne, nałożone na Bengal i Bihar przez imperialistycznie nastawioną Kompanię Wschodnio-Indyjską kazały Bisdomowi zażądać przysłania wojsk - albo wyrzec się wszystkiego.

Subadar, chociaż w chwili otrzymania listu od Bisdoma korzystał z gościnności Clive'a, zareagował od razu na dyskretnie sformułowaną ewentualność, kryjącą się w słowach „na usługi Waszej Ekscelencji”.

- Byle tylko pozbyć się Anglików. Uwolnić się wreszcie od ich dominacji, natręctwa i szantaży. Ci Holendrzy mogą się jeszcze okazać moim ratunkiem...

Odpisał, zachęcając Bisdoma w jego planach, a w miesiąc po powrocie do Murshidabadu zawarł porozumienie, na mocy którego Holendrzy mieli przysłać ze swojej głównej wschodnio-indyjskiej kwatery w Batawii na rzekę Hugli flotę i wojska dość liczne, by wypędzić Anglików z Bengalu, a subadar miał w największej tajemnicy przygotować armię, która by z nimi współdziałała. Przez parę miesięcy dotrzymywano sekretu, co było zdumiewające. Przedstawiciele Clive'a na dworze w Murshidabadzie niczego nie przewąchali.

Wkrótce po wyjeździe Clive'a z Murshidabadu - z dokumentem, zatwierdzającym wypłatę jego „jagiru” w kieszeni.

- Mir Jafar otrzymał od Holendrów wiadomość, że ich plany zbliżają się do realizacji. Z ich punktu widzenia spóźnili się z wykorzystaniem najlepszej szansy - chwili, gdy Kalkuta była zostawiona bez obrony. Mniej więcej w tym samym czasie Clive posłyszał, że silna ekspedycja wojskowa Holendrów przygotowuje się do wypłynięcia z Batawii i zawiadomił o tym suba-”dara, przypuszczając, że nowina będzie dla niego wielką niespodzianką. Holendrom, donosił, Anglicy dadzą opór; przypomniał zarazem, że subadar zobowiązał się traktatem uważać wszystkich nieprzyjaciół Kompanii za własnych nieprzyjaciół.

Sytuacja zbyt się skomplikowała, jak na możliwości Mir Jafara. Próbował podwójnej gry, ale

zabrakło mu śmiałości, którą w takim położeniu okazywał Clive. Subadar chciał ułagodzić Clive'a i zachęcić Holendrów jednocześnie. Posłał Cli-ve'owi odpisy swoich rozkazów do Holendrów, zabraniające im sprowadzać wojska do subadarstwa, a jednocześnie wysłał sekretne instrukcje do Holendrów, by zignorowali jego rozkazy. Przyjął również - co było niefortunnym posunięciem, ponieważ Watts i Scrafton bezzwłocznie donieśli o tym do Kalkuty - na swoim dworze przedstawiciela holenderskiej kompanii handlowej, obdarowując go hojnymi prezentami.

Rai Bulubowi subadar wyjaśnił taktykę swego postępowania.

- Niechaj Holendrzy przybywają, nie będę się im przeciwstawiał, ani też im pomagał. Niech Anglicy z nimi wojują. Im też ani nie zabronię, ani nie pomogę. Jeśliby tylko Holendrzy dorównali Anglikom, przeważę szalę, opowiadając się po ich stronie i razem pozbedziemy się tych gnębieli. Ale jeśliby Anglicy okazali się silniejsi, to im pomogę.

Mir Jafar był zachwycony własną chytryością i wcale go to nie obeszło, gdy Rai Bulub zupełnie rozsądnie zapytał, czy subadar jest pewien, że w razie zwycięstwa Holendrzy nie okażą się również gnębielami. Mir Jafar odparł lakonicznie, słowami zapożyczonymi od Omichanda:

- Nie od razu, krok za krokiem...

Rai Bulub mógł żywić wątpliwości, ale istotnie Mir Jafar mniej miał powodów do obawiania się Holendrów, których potęga na morzu już przemijała, niż Anglików, władających morzami. Bisdom nie był Dupleixem ani Clive'm, ani też nie mieli Holendrzy nikogo tego kalibru na Wschodzie. Gdyby Mir Jafar i nabab Oudh wspólnie uzgodnili poparcie dla Holendrów, jasno określwszy warunki zapewnienia im później wyłącznie handlowych przywilejów, takie przymierze mogłoby przekreślić angielską supremację, nie dopuszczając Holendrów do korzystania z ledwo zamaskowanej suwerenności. Jednakże nabab Oudh nie ufał Mir Jafarowi, który istotnie nie miał cech ani męża stanu, ani wodza i nie umiał wykorzystać nadarzającej się sposobności.

Do Murshidabadu nadeszły z Kalkuty wiadomości, że Clive'a nie onieśmieliła zagrażająca inwazja, ani też nie wytrąciła z równowagi chwiejność subadara. W rzeczy samej nie powinien był narzekać. Właśnie dlatego, ponieważ Mir Jafar był niezdecydowany i słaby, Clive sam wprowadził go na masnud subadarski. Tym razem nie można się było posłużyć żadnymi z tych intryg, spisków, przekupstw i zrad, które splamiły nazwisko Roberta Clive'a. Dawny kancelista musiał polegać na własnym talencie militarnym i nieustraszonej odwadze w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, dzięki którym zdobył swoją wcześniejszą reputację na Karnatyku.

Mir Jafar otrzymywał przez swoich szpiegów regularne wiadomości z Kalkuty:

„Holendrzy przybyli do Hugli... cztery okręty o 36 działach, dwa o 26 i jeden z szesnastu działami... siedmuset Europejczyków i ośmuset Malajczyków... W Ghinsurah pięćdziesięciu Europejczyków werbuje oddziały krajowców... Anglicy - tylko trzy okręty 30 działowe i kilka małych, słabo uzbrojonych statków z Falty... w okolicach Kalkuty mają tylko trzystu pięćdziesięciu Europejczyków i tysiąc dwustu sepojów...”

- Oto nasza sposobność! - nalegał Miran. - Nigdy nam się taka druga nie trafi. Poślij mnie z silnym wojskiem, by zaatakować Kalkutę od tyłu...

Ale subadar wolał śledzić przebieg spraw. Tymczasem Gli-ve, posądzając tym razem Mir Jafara raczej o tchórzostwo, niż o zdradę, zdecydował polegać tylko na własnych siłach.

„Wezwano angielskie oddziały z innych faktorii Kompanii Wschodnio-Indyjskiej... werbuje się lokalną milicję; uformowano mały oddział ochotniczej jazdy i kompanię piechoty; na kluczowych punktach na rzece postawiono dwie baterie dział; trzy wielkie okręty wysłano w górę rzeki Hugli tuż

przy Forcie Williama, gdzie wciąga się na wały dodatkowe działa...”

Clive, chociaż o tym już subadarowi nie doniesiono, wydawał się wszechobecny, własną energią i odwagą umiał natchnąć innych. Jego organizacja, dysponowanie siłami militarnymi były świetne, ale:

- Nie ma dość ani okrętów, ani ludzi - radował się Mir Jafar. - Nie da rady. Bądź gotów do marszu, Miranie, ale nie ruszaj z miejsca, dopóki Holendrzy nie pokażą co są warcii...

Ale nadeszły gorsze - dla subadara i Holendrów - wieści. „Pewien jestem, że fortuna ci sprzyja” - tak Muhammed Ali zapewniał niegdyś Clive’a. Rzeczywiście, wydawało się, że tak jest nadal.

„Pułkownik Forde i jego wojsko powróciło z południa” - nadeszła wiadomość z Kalkuty.

- W takim razie dobrze, że nie posłałem Mirana na pomoc Holendrom - pogratulował sobie Mir Jafar.

„Holendrzy zaatakowali i zdobyli siedem małych statków angielskich z Falty... zdarto angielskie flagi... parę dział i różny sprzęt wojenny przeniesiono na okręty holenderskie... cała flota posuwa się teraz w górę Hugli, pomału, ponieważ brak im pilotów...”

- Puść mnie! - błagał znowu Miran. - Jeśli zwiążę angielskie wojska, okręty holenderskie dokonają reszty...

Ale wydaje się, jakby magnetyczna siła osobowości Clive’a paraliżowała Mir Jafara.

„Wojska holenderskie lądują... zamierzają zapewne maszerować na Chinsurah... pułkownik Forde wyruszył, by im przeszkodzić... komandor Wilson, dowodzący trzema wielkimi okrętami, zaatakował flotę holenderską i w ciągu dwóch godzin zdobył lub zatopił sześć jednostek...”

Angielski komodor i jego ludzie stoczyli i wygrali jedną z najbardziej bohaterskich utarczek w historii angielskiej marynarki.

Mir Jafar otrzymał od holenderskich wojsk, maszerujących na Chinsurah wezwanie, by im przybywał z pomocą.

Jeszcze raz Miran zaklinał, by go posłać.

- Holendrzy zaatakują Anglików od przodu, my od tyłu. To będzie po prostu masakra!

Ale porażka holenderskiej floty odjęła Mir Jafarowi resztkę odwagi.

- Teraz Anglicy zwyciężą - odrzekł.

Prawdopodobnie dzięki niezdecydowaniu subadara - Forde rzeczywiście zwyciężył. W bitwie około wsi Biderra jego wojska położyły trupem, raniły lub wzięły do niewoli całą armię holenderską, prócz sześćdziesięciu Holendrów i dwustu pięćdziesięciu Malajczyków.

- Teraz - powiedział Mir Jafar do swego syna - możesz poprowadzić swoją jazdę do pułkownika Clive’a. Powiedz mu, że zgodnie z naszym traktatem, przybywasz, by mu dopomóc w zlikwidowaniu jego holenderskich nieprzyjaciół.

Miran, wściekły na ojca, zaznał jeszcze upokorzenia od Clive’a i powrócił, przekazując ironiczne doniesienie:

„Dzięki składam Waszej Ekszelencji za jego życzliwą ofertę pomocy. Holendrów już pogromiliśmy na lądzie i na morzu tak, że nie będą więcej zagrazać ani Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, ani Waszej Ekszelencji, zawsze wiernej swoim zobowiązaniom.”

Miran wcierał sól w rany:

- Gdybyś mi pozwolił iść, kiedy chciałem, zrobić, co chciałem, bylibyśmy teraz wszyscy oswobodzeni od tych...

Traktat pokojowy z Holendrami podyktował Clive. Mieli wycofać z Indii wszystkie okręty i

wojska, prócz stu dwudziestu pięciu żołnierzy piechoty. Zobowiązali się nigdy nie sprowadzać ani nie werbować wojsk. Ale wolno im było nadal handlować w Chinsurah, Kazimbazarze i Patnie. W ten sposób Anglicy pozostali wyłącznymi panami Bengalu i Biharu - i przepadła ostatnia szansa Mir Jafara na odzyskanie niepodległości.

Żołnierskie instynkty, pozostałość z młodzięcych lat, kazały Mir Jafarowi podziwiać bojowe wartości angielskich żołnierzy i marynarzy, a także odważną zaradność Clive'a w rozstrzygnięciu sytuacji maksymalnego zagrożenia dla Kompanii Wschodnio-Indyjskiej - do którego to zagrożenia subadar sam się walnie przyczynił.

Ale stracił sposobność przejścia do historii jako zbawca, który wyratował z drapieżnych rąk nie tylko subadarstwo, ale ewentualnie również cały kraj. Gdyby wspólnie z Holendrami przepędził Kompanię Wschodnio-Indyjską z Bengal, gdyby odmówił swoim dręczycielom bogactw, stanowiących fundament ich przyszłych podbojów dalszych prowincji - może nigdy by nie było angielskiej cesarzowej Indii. Przeznaczeniem słabego i chwiejnego Mir Jafara była porażka. A ponieważ on zawiódł, później inni nababowie, subadarowie, i nawet sam Wielki Mogoł bezskutecznie bili skrzydłami o pręty klatki.

Część trzecia

ODEJŚĆ CZY POZOSTAĆ?

Rozdział XIX

GDY WŁAMYWACZ ZOSTAJE POLICJANTEM

Styczeń roku 1760. Peggy Clive przewracała się bezsennie na łóżku, chociaż temperatura o tej porze roku w Kalkucie rzadko wznosiła się ponad 20° w cieniu, w porównaniu z 30° i stałą, męczącą wilgotnością powietrza w okresie od czerwca do października. Miała pod dostatkiem tematów do rozmyślań:

...lepiej by było z każdego punktu widzenia, gdybyśmy wrócili do Anglii”, coś jest w tym kraju, co ile wpływa na jego usposobienie... już dawniej tak przypuszczałam.. te okropne napady melancholii, wobec których jestem bezradna... a w ostatnich tygodniach podagra przyprawiała go o męczarnie... częściowo odziedziczona, jego ojciec też na nią cierpi... ale częściowo także z przepracowania... to już blisko dwa lata jestem w Kalkucie, od kiedy przyjechałam z Madrasu, gdzie mnie początkowo musiał zostawić... a naprawdę tak mało byliśmy razem.. Robert w Murshidabadzie, Robert w Pa tnie, Robert zajęty przygotowaniami do odparcia Holendrów... tak mało mogłam mu pomóc... tak wiele dzieje się w jego umyśle, do czego ja nie mam dostępu... może byłoby lepiej, gdybym została w Anglii z dziećmi... chociaż wtedy bym się niepokoiła cały czas o niego...

Dr Jekyll-Clive był dobrym mężem, o ile mu na to pozwalały jego zawodowe obowiązki. Kochał żonę. Peggy ze swojej strony odpowiadała namiętnością na jego namiętność, była doskonałą panią domu, lubianą zarówno w kołach towarzystwa europejskiego, jak i wśród Hindusów wyższych kast w Kalkucie. Clive cenił żonę, troszczył się o nią, powracał chętnie z podróży po Bengalu i Biharze - do niej. Nigdy cień skandalu w plotkującej kolonii europejskiej nie związał jego nazwiska z żadną inną kobietą. Ale był jeszcze ten pan Hyde, w którego życiu Peggy nie miała udziału. Jej mąż bał się przed nią ujawnić tę stronę swego charakteru, aby Peggy nie odwróciła się i nie odeszła od niego. Odgadywała więc tylko istnienie tych ciemnych zakamarków, słysząc o godnych pożałowania wydarzeniach i dziwiła się, jak ten czuły małżonek mógł nie tylko przyzwalać na nie, ale nawet być ich inicjatorem, nie dając jej szansy, by mogła go od udziału w takich sprawach odwieść.

...w każdym razie wydaje się, że teraz naprawdę zdecydował wracać do Anglii... oby tylko nic nie przeszkodziło... i obyśmy już nigdy więcej nie wyjeżdżali raję...

Przyjemne perspektywy nareszcie sprowadziły upragnioną senność. A tymczasem w sąsiedniej sypialni, za otwartymi drzwiami, Robert staczał własne wewnętrzne walki, którym nie miało być końca, dopóki...

- Czy Siraj-ud-Daula zagrażał ziemi angielskiej, wolności ludu angielskiego?
- Zagrażał angielskim osadom. Już był winien śmierci wielu Anglików.
- Więc jeśli Anglicy, jak się wydaje, nie są w tym kraju pożądanymi, czy nie byłoby lepiej, gdyby się z godnością wycofali?
- A ja miałbym ponieść porażkę w wypełnianiu zleconej mi misji?

- Czy jeżeli własny sukces można osiągnąć tylko zabójstwem, wówczas trzeba zdobyć sztyletu?
- Nikogo nie zamordowałem...
- Zaraz, zaraz! Kto sprowokował śmierć wnuka Alivardiego Chana? A mówiąc nie tylko o przelewie krwi: jak z Omi-chandem?
- Ten łajdak!
- Doprowadziwszy do śmierci Siraj-ud-Dauli, zyskałeś fortunę...
- Rzecz uboczna. Siraj-ud-Daula musiał umrzeć w interesie Kompanii.
- Czy Omichand postąpił o wiele gorzej, wywierając pewną presję, by zdobyć fortunę?

Oszukując go, przypieczętowałeś los Siraj-ud-Dauli.

- Gdybym go nie oszukał, a właściwie mówiąc, gdybym się nie upewnił, że spodziewa się tych pieniędzy, poświęciłbym życie wielu ludzi, nie jednego - Mir Jafara, Jagata Setha, Rai Dulaba, i jeszcze innych.

- Czy nie można było kupić milczenia Omichanda, dając mu te trzysta tysięcy z milionów, które dostała Kompania i jej urzędnicy? A prócz tego, sprawa Mir Jafara.

- Przecież ma, czego chciał!

- O, przepraszam. To, czego chciał, a to, co mu rzekomo dałeś, to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Czy to moja wina, że Mir Jafar jest bezwolnym głupcem?

- Wybrałeś go dla swoich celów dlatego, ponieważ był bezwolnym głupcem i nie mógł się zorientować, aż było za późno, że siądzie na swoim masnudzcie w angielskich kajdanach.

- Miałem zadanie do wykonania, odpowiedzialność, obowiązek wobec Kompanii, z którego nie mogłem się wycofać...

- I szansę zdobycia fortuny dla siebie i twoich przyjaciół... Ty byłeś czymś więcej, niż tylko bezwolną szablą w rękach Kompanii... Ty byłeś w stanie powiedzieć „To uczynię” albo „Tego nie uczynię”, a oni by musieli twoje słowa przyjąć. Bywali już przed tobą ludzie, którzy przeciwstawili się tak zwanym obowiązkom, odpowiedzialności, jeśli nakazywała im popełnienie zdrady, korupcji, oszustw, morderstw. Z pewnością, większa jest wina Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, sięgającej po dochody, ziemie, władzę polityczną dla podparcia potęgi ekonomicznej. Ale co do ciebie - czy kapitan statku, przewożące niewolników z Afryki do Nowego Świata nie jest winien przestępstwa dlatego, że go zaangażowali kupcy z Liverpoolu?

- Och! Co się stało, to się nie odstanie! Dlaczego nie dajesz mi zasnąć?

Podając jako powód zły stan zdrowia - ten sam zły stan zdrowia, który momentalnie się poprawił w obliczu groźby ataku Holendrów - Clive oznajmił o swoim bliskim wyjeździe z Bengalu do Anglii. Jak w roku 1753, gdy był bohaterem spod Arcot i Trichinopoly, chciał pośpieszyć z zebraniem w ojczyźnie owoców swoich triumfów. Zamierzał również wpływać na przyszłą politykę Kompanii, a nawet, jeśli chodziło o Indie, rządu. Co więcej, trzeba było zainwestować fortunę, zgromadzoną w ciągu czterech lat w Bengalu, powiększoną niemałymi zyskami z jego nadał istniejącej spółki handlowej z Robertem Orme.

Clive wiele dokonał dla Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Zastosował i - po raz pierwszy w ciągu istnienia Kompanii na tak obszernej terytorium - zrealizował dyrektywy londyńskiej rady dyrektorów, wysłane do ich zamorskich przedstawicieli jeszcze w roku 1689:

„Zwiększenie stałych dochodów jest przedmiotem naszej troski; one to zachowują naszą potęgę, gdy dwadzieścia incydentów może przeszkodzić interesom handlowym; one to uczynią z nas naród w Indiach; bez nich jesteśmy tylko pewną liczbą intruzów, złączonych licencją jego królewskiej mości,

zdolnych do handlowania, gdy nikt silniejszy nie zdecyduje się tego zabronić; i z tej samej przyczyny mądrzy Holendrzy, we wszystkich ogólnych zaleceniach, do których mieliśmy wgląd, zajmują się w dziesięciu paragrafach sprawami rządu, polityki cywilnej i wojskowej, operacji militarnych i zwiększenia stałych dochodów, a tylko jeden paragraf poświęcają sprawom handlowym..”

„Stale dochody”, czyli uzyskane terytoria, z których można ściągać podatki: „potęga”, „naród w Indiach”, „siła”, „polityka cywilna i wojskowa”, „operacje militarne”. A więc bynajmniej nie „handel - nasza właściwa sfera zainteresowań i nasz jedyny cel”, ale zdecydowany imperializm, realizowany częściowo odwagą i energią, ale również, a może przede wszystkim - czynami hańbiącymi.

Osiągnięcie celu i hańbiące czyny w rezultacie przyczyniły się do coraz mocniejszego dokręcania śruby, by wymuszać od najuboższych mieszkańców Bengalu i Biharu pieniądze na zaspokojenie żądań Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, jej urzędników, pomagających jej angielskich żołnierzy i marynarzy. Ci wieśniacy byli bezbronnymi ofiarami, między młotem Kompanii a kowadłem poborców podatkowych subadara.

Clive zasiał również ziarna, które miały wzejść zamieszkami w subadarstwie i wzrastającą korupcją w służbie Kompanii.

Mir Jafar niecierpliwił się w żelaznym uścisku narzuconych mu przez Clive'a kajdan i nieudolnie spiskował z Holendrami, by się oswobodzić. Jednakże wiedział, że dopóty zasiada na tronie, dopóki podwładni mu dygnitarze i radzowie żyją w trwodze przed angielskim pułkownikiem. Wojowniczy radzowie Bihar nienawidzili zależności od cudzoziemca, pragnęli znaleźć i osadzić na tronie władcę, któremu mogliby zaufać i który by zarządzał subadarstwem i jego dochodami w sposób zgodny z dawną tradycją. Lukę Scrafton, jeden z bardziej lojalnych i uczciwych przyjaciół Clive'a, spędziwszy długi czas na dworze subadara, pojmował, jak niepewnie Mir Jafar panuje nad prowincjami. Gdy po raz pierwszy, jeszcze przed atakiem Holendrów, Clive zamierzał zrezygnować ze swego stanowiska, Scrafton pisał:

„Gdy pułkownik wyjedzie z Indii... zaklinam się na moje życie, niedługo to potrwa, a będziemy mieli nowy zatarg z rządem..”

W roku 1760 Mir Jafar sam, w strachu o własną, niewiele wartą, głowę, upokorzył się i błagał Clive'a, by ten odłożył jeszcze swój powrót do Anglii.

W kręgach Kompanii Wschodnio-Indyjskiej Clive rządził żelazną ręką, jednakże nie potrafił ani wykształcić odpowiedzialnych następców, ani też stworzyć organizacji zwartej i zdolnej do utrzymania potencjalnie bogatego, ale chwiejnego systemu, który zbudował. Jeszcze większe zagrożenie stanowił fakt, że realizując rzeczywiste, imperialistyczne intencje tak zwanej „handlowej” Kompanii, Clive dał przykład chciwości i intryg w celach zysków osobistych, szkodliwy dla reputacji Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, a także - co było o wiele ważniejsze - dla sytuacji ekonomicznej najbogatszej prowincji Indii. Nawet sam Clive ostrzegał Henryka Vansittarta - wezwanego z Madrasu, by zajął jego miejsce jako gubernator - że głównymi niebezpieczeństwami, którym będzie musiał stawić czoła, są korupcja i łapownictwo. Takie ostrzeżenie z ust takiego człowieka cokolwiek przypomina włamywacza, który się przeobraził w policjanta.

Istotnie, od chwili, gdy postanowił powrócić do Anglii, w charakterze Clive'a zaszła dostrzegalna zmiana. Niektórzy podówczas mówili brutalnie, że zdobywszy fortunę i wcale nie zamierzając się jej wyrzec dlatego, że zdobył ją po większej części przekupstwem, Clive chciał świadomie zatrzaskać przed innymi drzwiami do „podziemi, zapełnionymi na lewo i na prawo złotem i

klejnotami”. Przyjemnie pomyśleć, że może było inaczej; że w ciągu nocnych zmagania z sumieniem doktora Jekylla, pan Hyde odczuł w pewnym przynajmniej stopniu jakąś skruchę, że zaczął żałować niektórych swych czarnych postępów, chociaż nie mógł się zdobyć na odwagę moralną tej jedynej decyzji, która by położyła kres przyszłym rabunkom innych i zyskała dla niego samego rozgrzeszenie potomności: zwrócenia źle zdobytych bogactw tym, komu zostały wydarte. Ale późniejsze wydarzenia nie potwierdzają takiego bardziej miłosiernego wytłumaczenia.

W każdym bądź razie Clive zdawał sobie sprawę, że po podboju Bengalii udziałowcy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej będą się ubiegać o kontrolę w zarządzaniu i o lukratywne stanowiska za granicą dla siebie i swoich protegowanych. Powstaną przymierza między ludźmi w Londynie i ludźmi w Indiach, aby defraudować Kompanię na rzecz jednostek.

Dwoma sposobami, rozważał Clive, można by zapobiec stratom Kompanii. Drugi sposób - zdobyć dla siebie absolutną władzę w radzie dyrektorów, taką, jaką sprawował w radzie w Bengalu - Clive zamierzał zastosować tylko w razie, gdyby pierwszy sposób zawiodł. A pierwszy sposób opierał się na założeniu, że jeśli Anglicy chcą - a z pewnością tak - zapewnić sobie stałą eksploatację zasobów subadarstwa, nie powinni dłużej marnować czasu i pieniędzy na podpieranie tronów książąt z resztkami władzy.

Clive napisał do Williama Pitta, sekretarza stanu w rządzie słynnego z bogactw księcia Newcastle - kombinacja, o której mówiono, że „minister robi wszystko, premier daje wszystko”. Od pierwszych słów Clive uderzył w pełny, imperialistyczny ton:

„...konieczność wysłania i stałego utrzymywania takich sił militarnych, które by nam umożliwiły wykorzystanie pierwszej nadarzającej się sposobności powiększenia stanu naszego posiadania; a ośmielam się przypuszczać, że... taka sposobność nadarzy się wkrótce.”

Stwierdziwszy, że Mir Jafar będzie się trzymał związku z Anglikami tylko tak długo, „jak długo nie będzie miał poparcia skądinąd”, a poza tym, że jest już posunięty w latach i po nim wstąpi na masnud Miran „tak wyraźny nieprzyjaciel Anglików, iż byłoby doprawdy niebezpieczne powierzyć mu władzę”, Clive proponował, aby Anglicy objęli absolutną władzę w Bengalu, Biharze i Oryssie. Wyrażenie „objęli” było oczywiście eufemizmem, mającym oznaczać: „wzięli siłą, zdradą albo przekupstwem”. Nominalnym subadarom i nababom pozostawiono by tylko cień autorytetu. Radzów, którym by ta sytuacja nie przypadła do gustu, należało sterroryzować utrzymywaniem silnej armii Anglików i sepojów.

Co do wieśniaków, zamieszkujących Bengal, Clive bezczelnie oznajmił, iż „ucieszą się z tak szczęśliwej zmiany rządów”. Nie mógł sam w to wierzyć. Wolął po prostu ignorować fakt, o którym musiał wiedzieć, że każdy naród woli władców własnej krwi, choćby surowych i despotycznych, ale panujących zgodnie ze starożytnymi obyczajami i tradycją, od rządów cudzoziemskich, choćby sprawnych, a nawet łagodnych.

„Ale tak wielka suwerenność mogłaby przekraczać możliwości handlowej kompanii” pisał dalej Clive, sugerując następnie, aby korona brytyjska, a nie Kompania Wschodnio-Indyjska, przejęła suwerenność subadarstwa. Chwiejący się na swym tronie w Delhi Wielki Mogoł, zubożony, ponieważ nie miał sił wymagać od feudalnych wasali, by mu płacili należne daniny, chętnie odstąpił subadarstwo, twierdził Clive, w zamian za piątą część dochodów rocznie. List zakończył:

„Pozostawiam teraz panu, panie ministrze, do osądzenia, czy dochód wynoszący rocznie ponad dwa miliony funtów szter-lingów (wpływy netto z subadarstwa) wraz z posiadaniem trzech prowincji, zasobnych we wszelkie bogactwa, zasługuje na rozważenie; i czy warto, by naród podjął

odpowiednie kroki w celu zapewnienia sobie takiego nabytku, który będzie źródłem bogactw dla całego królestwa.”

Z punktu widzenia ekspansjonistycznej Anglii XVIII wieku, list Clive’a - z którym zgodziło się wielu ówczesnych urzędników Kompanii w Kalkucie - stanowił cenną propozycję polityczną. Ale wizje zdobywcy Bengaluru były przedwczesne. Minie jeszcze blisko sto lat, i wybuchnie bunt w Indiach, zanim imperialistyczna Wielka Brytania przekona się, że organizacja ukonstytuowana jako spółka handlowa i angażująca ludzi, którzy gromadzili osobiste fortuny, nie mogła rządzić z korzyścią dla całej Anglii olbrzymimi terytoriami i milionami poddanych.

W roku 1760 członkowie rządu brytyjskiego uznali, że są



Karykatura Gilraya z końca XVIII w. Król angielski (u dołu po lewej stronie), królowa (na podłodze) oraz dygnitarze kościelni i państwowi dobijają się o rupie zbyt zajęci toczącą się nadal wojną siedmioletnią, by rozważyć na serio propozycje Clive’a. W tym przekonaniu utwierdzili ich jeszcze - nie tylko słowami - dyrektorzy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, zaalarmowani i oburzeni śmiałością Clive’a.

Skoro więc upadła jego pierwsza koncepcja przyszłej administracji Bengaluru, Biharuru i Oryssy, Clive zdecydował, że po przybyciu do Londynu spróbuje zrealizowania drugiej koncepcji - osobistego zawładnięcia londyńską radą dyrektorów.

Rozdział XX

WAŚNIE I PANIKA W „INDIA HOUSE”

„Jednogłośnie uchwalono przekazać od niniejszego zgromadzenia podziękowanie dla pułkownika Roberta Clive’a i pułkownika Stringera Lawrence’a za rozliczne i znamienite usługi, jakie oddali Kompanii”.

Tak postanowiła dnia 4 września roku 1760 generalna rada dyrektorów i udziałowców Kompanii Wschodnio-Indyjskiej na walnym posiedzeniu w londyńskim „India House”, głównej siedzibie Kompanii. Wobec tego, że dzięki operacjom Clive’a w Bengalu Kompania zyskała podwyżkę rocznego dochodu - według jego własnych obliczeń - o dwa miliony funtów szterlingów, trudno o powściągliwiej wyrażoną wdzięczność. Zwłaszcza, że jednocześnie Kompania wszczęła dysputę co do praw Clive’a do sławetnego „jagiru” w wysokości trzydziestu tysięcy funtów szterlingów.

Właśnie jego sukcesy, o których nie wyrażał się ze szczególną skromnością, przysporzyły Clive’owi nieprzyjaciół wśród dyrektorów londyńskich. A jego list do Williama Pitta, napisany bez konsultacji z pracodawcami i doradzający rządowi objęcie suwerennej władzy w Bengalu, był uznany za cios sztyletem w plecy tejże Kompanii, w służbie której Clive sam zdobył fortunę. Dyrektorzy i udziałowcy chcieli mieć dla siebie te dwa miliony rocznego dochodu z podatków. Dlaczego, zapytywali, miano by z nich uczynić prezent rządowi? Gdyby zrealizowano propozycje, wyrażone w liście do Pitta, Kompanii pozostałby w Indiach rzeczywiście tylko handel jako „właściwa sfera zainteresowań i jedyny cel”, oraz podporządkowanie gubernatorowi generalnemu, odpowiedzialnemu bezpośrednio wobec rządu, co by mocno ograniczyło możliwości zbijania prywatnych fortun urzędnikom Kompanii, mianowanym na lukratywne stanowiska w Indiach. Co prawda, rząd nic nie uczynił, by zastosować się do rad Clive’a. Ale myśl była rzucona i kto wie, kiedy przyniesie rezultaty?

Kilku członków rady dyrektorskiej Kompanii szczyliło się wpływami politycznymi - przeważnie zdobytymi metodą tak jawną, że nie potrzeba jej precyzować. Ci dopilnowali, aby uznanie rządu dla osiągnięć Clive’a ograniczyło się do skromnego, irlandzkiego parostwa, pustego zaszczytu, nie związanego z zasiadaniem w Izbie Lordów. Odtąd nosił nazwisko barona Clive’a of Plassey, nadawszy zakupionemu przez siebie majątkowi w Irlandii miano tej bitwy, która, choć otworzyła przed nim skarbiec w Murshidabadzie, mniej od innych zwycięstw świadczyła o jego militarnych talentach. Z tym tytułem, atakiem podagry i poczuciem krzywdy, Clive wycofał się do uzdrowiska Bath, gdzie pił lecznicze wody i uprawiał hazard. Peggy, uszczęśliwiona odzyskaniem rodziny, została w Londynie.

Jak po poprzednim powrocie do kraju, Clive okazał się bardzo hojny w stosunku do całej rodziny. Namówił również, chociaż z niemałym trudem, Stringera Lawrence’a do przyjęcia rocznego dochodu w sumie pięciuset funtów. Należy na jego dobro zapisać ten szczodry gest wobec dawnego dowódcy. W stosunkach ze Stringerem Clive zawsze ujawniał najlepsze cechy swego charakteru.

Lawrence był bez grosza. Ci, którzy mieli epitet „grabieżcy” za komplement, pokpiwali z Lawrence jako z durnia, ponieważ wracając z Indii nigdy nie przywoził w żołnierskim plecaku ładunku klejnotów, kosztowności ani złota i miał zerowe konto w banku. W jednym z najbardziej skorumpowanych okresów w historii Anglii, Stringer był chyba unikatem na żołdzie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej: absolutnie wierny swoim zasadom, odwracał się od łapówek, odmawiał przyjmowania książęcych podarunków za pełnienie tego, co uważał za swój obowiązek i nie zarobił w ciągu swojej służby ani szylinga ponad skromny żołd. Był jurgielnikiem, ale nie gangsterem i nie zniżył się nigdy do metod gangsterskich.

Kiedy Clive siedział w Bath, jego londyńscy wrogowie ostrzyli noże. Na czele adwersarzy stanął niejaki Lawrence Sullivan, który sporo lat spędził w służbie Kompanii w Bombaju i tam dorobił się wielkiego majątku. Wróciwszy do kraju, dzięki sprytowi i ogromnej pewności siebie wepchnął się na stanowisko prezesa rady dyrektorskiej Kompanii i znany był teraz jako despota z „India House”. Kiedy Clive przebywał w Indiach, Sullivan wyrażał się o nim i o jego sukcesach z największą admiracją. Ale Clive w Anglii - to inna sprawa. Stanowił zagrożenie dla władzy Sullivana. Wobec znanych aspiracji Clive’a, zażarta walka była nieunikniona. Czy Clive miał rządzić Kompanią, czy Kompania Clive’em?

Sullivan nie zaatakował jeszcze Clive’a wprost, ale pośrednio, wysyłając do Vansittarta w Bengalu instrukcje, dotyczące tych urzędników, którzy zgodzili się z treścią listu Clive’a do Pitta. Mieli być:

„...natychmiast zwolnieni ze służby w Kompanii; i proszę osobiście dopilnować, aby pod żadnym pozorem nie pozostawali w Indiach, lecz odesłać ich do Anglii pierwszym statkiem...”

Równocześnie Sullivan w liście do pułkownika Eyre Goote’a w Madrasie wspominał o „zdziczałej Kalkucie”, o „niewdzięcznych łajdakach, przybyłych z Bengalu”, którzy „wzbudziły moje oburzenie”.

Kompania pod rządami swego despoty udawała, że nie chce podbojów, ale chciwie zagarniała wszystko, co jej ofiarowała „zdziczała Kalkuta” Clive’a. Jawnie drapieżna pantera stanęła oko w oko z chciwymi tygrysami, paradującymi w przebraniu domowych kotów.

Tymczasem Clive odzyskał w Bath zdrowie i energię, nie straciwszy bynajmniej poczucia krzywdy. Najpierw spróbował wpłynąć na czynniki rządowe i nakłonić ministrów do swoich projektów bengalskich za pośrednictwem Izby Gmin. Normalnie w owym czasie stosowaną metodą korupcji kupił sobie fotel poselski. Ale ta droga prowadziła donikąd.

W październiku 1760 roku zmarł król Jerzy II i na tron wstąpił jego syn, Jerzy III, który wkrótce mianował premierem swego dawnego gubernera Lorda Butę. Pitt miał dla nowego premiera tak mało respektu, że odmówił pełnienia funkcji ministra w jego rządzie.

Rezygnacja Pitta stanowiła dotkliwą stratę dla Anglii. W ciągu sześciu miesięcy sprawowania urzędu ministra wojny, Pitt upokorzył tradycyjnego nieprzyjaciela w Europie, Francję: oderwał od niej jej kolonię Kanadę i wyspy na Karaibach, dzięki poczynaniom Clive’a przekreślił jej aspiracje w Bengalu i zdławił resztki jej władzy na Kamatyku... Clive był tak głęboko przywiązany do Pitta i tak szczerze go podziwiał, że przyłączył się do niego w opozycji.

Król i Butę od razu zdecydowali, że trzeba zakończyć wojnę, która od lat wyczerpywała oba państwa. Clive, razem z Pit-tem i kilku innymi, bezskutecznie głosowali przeciwko warunkom traktatu pokojowego, między innymi zwracającego Francji Pondicherry, zdobyte przez Anglików w roku 1761. Butę zirykował się opozycją tak słynnych nazwisk i Clive wprędce pojął, że zrobiwszy

sobie takiego wroga, nie ma po co kontynuować kampanii w Izbie Gmin. Powrócił więc do poprzedniej koncepcji zagarnięcia w swe ręce władzy wewnątrz Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Członkowie rady dyrektorów sprawowali urząd przez cztery lata i później mogli być ponownie obrani dopiero po roku przerwy. W roku 1762 Sullivan musiał się na rok wycofać, a gdy w roku 1763 zgłosił znowu swoją kandydaturę, Clive postanowił nie dopuścić do wybrania go za żadną cenę. Przewidywał zaciętą walkę o zachowanie swego „jagiru” i dobrze wiedział, że Sullivan będzie w radzie dyrektorów jego najzawziętym, najbardziej bezwzględny antagonistą.

Rada udziałowców Kompanii, która wybierała radę dyrektorów, składała się ze wszystkich, posiadających akcje na sumę co najmniej pięciuset funtów szterlingów. Ale udziałowiec, który miał akcji tylko za pięćset funtów, posiadał tak samo prawo głosu, jak i akcjonariusz, dysponujący pakietem za pięć tysięcy funtów. Clive wobec tego zakupił akcji za sto tysięcy funtów - wskazuje to na rozmiary jego majątku - i rozdzielił akcje gratis między dwustu osobników, zobowiązując ich do głosowania według podanych wskazówek. Jednym z tych współników był jego szwagier, Edmund Maskelyne, od kilku już lat przebywający w Anglii.

- Wasze głosy - mówił Clive do Edmunda - razem z głosami członków wolnych zawodów, opowiadających się zwykle za mną, a także głosami wielu z tych, którzy służyli w Indiach, wystarczą, by nie dopuścić Suiivana do rady dyrektorskiej.

- Może masz słuszość - odrzekł Maskelyne. - Ale wiesz, ja widziałem „despotę” w akcji. Ma przyjaciół wśród najbogatszych kupców i bankierów w Londynie. Czy przypuszczasz, że oni także nie potrafią wyprodukować akcjonariuszy z głosami?

Potrafili i uczynili to. Sullivan i jego poplecznicy, kandydujący do rady dyrektorskiej, zostali wybrani dość znaczną większością głosów. Przechodząc teraz do jawnego ataku, Sullivan wysłał do Vabsittarta w Kalkucie instrukcje, aby nie wypłacać Lordowi Clive dalszych sum, należnych mu z tytułu „jagiru” i przesłać do Londynu zestawienie sum już wypłaconych. Instrukcja kończyła się bardzo znacząco:

„Pretensje jego lordowskiej mości do rzeczonoego «jagiru» zostaną rozstrzygnięte tutaj.”

Z niemalą satysfakcją Sullivan posłał kopię tej instrukcji Clive'owi. Wiedząc dobrze, że z dyrekcją Kompanii niczego nie wskóra, dopóki Sullivan będzie w siodle, jego lordowska mość w odpowiedzi bezzwłocznie wszczął postępowanie sądowe w celu zapewnienia sobie dalszych wypłat z tytułu tenut dzierżawnych za ziemię, scedowane przez Mir Jafara. Scena była przygotowana do dramatycznej walki. Ale zanim prawnicy zapoznali się ze swymi rolami, zaszła radykalna zmiana.

Dnia 4 lutego 1764 roku statek „Lapwing” przywiózł z Madrasu alarmujące depesze.

Rewolucja w Bengalu... przedajność urzędników Kompanii w Kalkucie... dochód Kompanii, dwa miliony rocznie - zagrożony...

Panika w „India House”.

Dwunasty marca. Nadzwyczajne posiedzenie rady udziałowców Kompanii Wschodnio-Indyjskiej uchwala, iż:

„...życzeniem naszym jest zwrócić się do Lorda Clive z prośbą o przyjęcie nominacji na gubernatora Bengalu i na dowódcę sił militarnych, tam stacjonujących...”

Szesnasty marca. Rada dyrektorów, listem podpisanym przez Lawrence'a Sulivana, poinformowała Clive'a:

„...jednogłośnie zapewniamy, że z największą skwapliwością zgadzamy się podjąć kroki, potrzebne do realizacji uchwały generalnej rady udziałowców, a także do przygotowania

najdogodniejszego przejazdu...”

Jego lordowska mość, widząc w trudnej sytuacji Kompanii dobrą dla siebie sposobność, nie odpowiedział.

Dwudziesty pierwszy marca. Na drugim posiedzeniu rady udziałowców poproszono Clive'a, by wyraził oficjalną zgodę na natychmiastowe objęcie stanowiska i obowiązków gubernatora oraz głównodowodzącego w Bengalu. Ale Clive'owi nie leżały na sercu interesy Kompanii i sprawa przywrócenia ładu w Bengalu tak dalece, by go odwieść od wykorzystania szansy zadania ciosu swemu głównemu wrogowi.

- Nie mogę podjąć się tych obowiązków - oznajmił - dopóki pan Sullivan pozostaje na czele rady dyrektorów.

Na to Sullivan z wielkim naciskiem zapewnił, że będzie współdziałać z Lordem Clive w sposób najbardziej przyjazny i rzetelny. Ale Clive poprosił o czas do namysłu. Przed Edmundem Maskelyne zdradził swoje powody:

- Sullivan i jego klika wyzyskali tę sposobność, aby się mnie pozbyć z kraju, a przez ten czas przekupią sądy i zagarną mój „jagir”... Pamiętaj, że chodzi o trzydzieści tysięcy rocznie... Ale to jest i dla mnie sposobność zapewnienia sobie „jagiru” raz na zawsze... Bengal i rewolucja... z tym się rozprawię we właściwym czasie.

Może się zaraził od Omichanda jego taktyką, określoną prostą maksymą: „Nie wszystko od razu. Krok za krokiem...” A najpierw to, co dla niego samego był najważniejsze.

Dwudziesty ósmy marca. Clive napisał do rady dyrektorów, że rozważywszy rzecz całą obiektywnie, po należytych namyśle:

„Nadal jestem zdania, że jeżeli Udziałowcy uważają za konieczne, aby pan Sullivan kontynuował kierownictwo sprawami Kompanii, ja nie mogę podjąć się pełnienia służby; ale jeśli Udziałowcy zdecydują, że to nie jest konieczne, będę gotów... Mam zastrzeżenia co do jednego człowieka, decydującego o sprawach Kompanii; wielokrotnie i publicznie deklarowałem, że nigdy nie będę mu ufał.”

Edmund zaklinał swego szwagra, by nie wysyłał takiego listu.

- Oni zapewne na jakiś czas usuną Sulivana - tłumaczył. - Ale prędzej czy później Sullivan się zemści. To nie Indie. Jego następca na tronie nie może go bezkarnie kazać zamordować.

Złośliwość Edmunda podkreśliła istotnie podobieństwo między walką o władzę w Indiach a walką o władzę w „India House”. Ale Clive nie zwracał na nic uwagi.

- Niech Sullivan próbuje. Pokonam go teraz, a jeśli zbierze siły od nowa, pokonam go jeszcze raz.

Trzynasty kwietnia. Podczas corocznych wyborów przewodniczącego w radzie dyrektorów odrzucono Sulivana, a wybrano jednego z przyjaciół Clive'a, pana Rousa. Sullivan przyjął porażkę ze spokojem, sugerującym, że włamywacz Clive, przemieniony w policjanta, przysporzy sobie w Indiach wrogów, których można będzie później wykorzystać przeciw niemu.

Dziewiętnasty kwietnia. Clive przykręca śrubę jeszcze ciaśniej.

„Byłoby bardzo niewłaściwe - pisze do dyrektorów - gdybym wyjechał do Bengalu w czasie, kiedy postępowanie prawne w sprawie mojego „jagiru” jest w toku...”

Piąty maja. Generalna rada udziałowców uchwała kompromis: proponuje, aby Lord Clive otrzymywał należności z tytułu „jagiru” przez dziesięć lat, albo do swojej śmierci, gdyby nastąpiła wcześniej. Clive się zgodził.

- To będzie trzysta tysięcy, jeżeli przeżyję dziesięć lat - powiedział do Edmunda. - Lepiej, niż się

procesować, co pociągnie ogromne koszty i będzie się wlokło w nieskończoność, a przez ten czas Sullivan będzie mnie obrzucał wszelkim błotem, jakie tylko wynajdzie.

Raz jeszcze niesnaski i bunty w Bengalu dobrze mu się przysłużyły.

Czwarty czerwca. Lord Clive i towarzyszące mu osoby na pokładzie wschodnioindyjskiego statku „Kent” odpływają z Portsmouth. Od kiedy „Lapwing” przywiózł złe wieści z Indii, minęły cztery miesiące, sytuacja w Bengalu tragicznie się pogorszyła, a przez cały ten czas ambitni chciwcy, deklamując o poświęceniu sprawom Kompanii, wyklócali się o własne, egoistyczne interesy.

Clive’owi towarzyszył jako adiutant Edmund Maskelyne, jako sekretarz osobisty Henryk Strachey i jako lekarz - dr Ingham. Prócz tego jechało z nim trzech służących, kilku młodych aspirantów do indyjskich fortun i czterech muzykantów, jako zaczątek orkiestry gubernatorskiej w Kalkucie. Na statek wsiedli również: panowie Sykes i Smmner, dwaj członkowie komitetu specjalnego z czterech, mianowanych doradcami; dwaj pozostali, generał Gamac i Pan Verelst, znajdowali się już w Bengalu. Ci czterej, jedyni z personelu Kompanii w Kalkucie, poinformowani w całości o projektach Clive’a, mieli rzekomo dopilnować, aby Clive nie sprawował despotycznej władzy. W rzeczywistości, Clive wybrał ich sam, jako ludzi, którzy prawdopodobnie nie będą kwestionowali jego decyzji ani poczynań.

Dla gubernatora i głównodowodzącego Bengalu ważniejszą osobą od wszystkich, które z nim jechały, była ta jedna, pozostawiona w Anglii. Peggy była w zaawansowanej ciąży i uznano, że nie może ryzykować długiej i trudnej podróży morską. Gorzkie to było dla obojga rozstanie, chociaż Robert optymistycznie zapewniał, że będzie z powrotem w Anglii z końcem roku 1765.

Zanim „Kent” rozwinął żagle, sekretarz Strachey otrzymał od Lady Clive drobiazgowy instrukcje. Miał opiekować się czarnym sługą, który ze swym panem wracał do Indii; popierać w miarę możliwości pewnego młodzika nazwiskiem Riseley „wyuczony na drukarza, pisze tak pięknie, kaligraficznie, i jest synem bardzo zacnej kobiety, dla której Lady Clive ma wiele szacunku”. Peggy wyszczególniła gaże, jakie mają być wypłacane muzykantom, i mocno upominała Stracheya, aby „pilnował zeszytów z partyturą, aby się nie zarzuściły ani nie zniszczyły, gdyż Lady Clive chciałaby je dostać z powrotem”. Dalej instrukcje w sprawie awansowania paru młodych urzędników i oficerów, których Clive zgodził się zabrać ze sobą przez wzgląd na kogoś z przyjaciół Peggy. Charakterystyczne to było dla niej, że nie zaprzętała głowy swego męża tymi drobnostkami, lecz obciążała nimi jego sekretarza. I wreszcie:

„Pan Strachey zechce pamiętać, aby pisywać do Lady Clive, zawiadomić ją, jak mija pobyt milorda w Portsmouth i później tak często, jak tylko się nadarzy okazja.”

Ogólne instrukcje, jakie otrzymał Clive od rady dyrektorów, zawierały po pierwsze polecenie uregulowania stosunków w subadarstwie Bengalu, Biharu i Oryssy w taki sposób, aby zapobiec dalszym zamieszkom. Po drugie, miał zaprowadzić porządek i dyscyplinę w administracji Kompanii w Kalkucie. Od chwili jego wyjazdu z Bengalu, Lord Clive miał bez ustanku powody do narzekania na niesubordynację tamtejszych urzędników Kompanii - ignorowanie dyrektyw z Londynu i dawanie pierwszeństwa interesom osobistymi przed interesami Kompanii. Temu wszystkiemu Clive miał położyć kres, reorganizując administrację tak, by zapobiec na przyszłość zaniedbaniom i nadużyciom.

Przyjąwszy dość szczególną pozycję Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w subadarstwie, i odkładając na chwilę kwestionowanie jej moralności, ludzkich praw czy też metod zastosowanych do zdobycia tej pozycji - nie można było mieć zastrzeżeń co do takich dyrektyw. Ale słuszność polityki bywa ograniczona charakterem organizacji, która ją wytycza, jak również cechami tego, kogo

wybrano jako główne narzędzie jej realizacji. Gdyby Kompania Wschodnio-Indyjska była przedsiębiorstwem o uczciwszych, bardziej wartościowych celach i gdyby Lord Clive posiadał szlachetniejszą przeszłość - można by jego misję określić jako zasługującą na uznanie. Ale tutaj zgraja gangsterów w maskach obłudnej cnoty wśród kłótni i intryg wybrała włamywacza, zmienionego w policjanta. Trudno sobie wyobrazić, by tego rodzaju kombinacja przyniosła trwałe, zadowalające rezultaty czy to urzędnikom Kompanii, czy też krajowcom w Indiach.

Clive sam, zdając sobie sprawę, że pan Hyde podczas poprzedniego okresu jego służby w Indiach świecił negatywnym przykładem, dobrowolnie oświadczył przed radą dyrektorów, że tym razem nie będzie zajmował się interesami na własną rękę, ani też dodatkowymi sposobami nie wzbogaci się podczas pobytu w Bengalu. Pozornie, ta deklaracja mogła zadźwięczeć bardzo szlachetnie. Nie sygnalizowała ona jednak definitywnego triumfu doktora Jekylla. Była po prostu zdrową polityką osobistą.

Przebywając w Anglii, Clive stał się jednym z największych udziałowców Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i aspirował do stanowiska prezesa. Minęły więc dla niego czasy szukania książęcych darów i „jagirów”. Teraz dążył do zwiększenia dochodów z eksploatacji ziem i mieszkańców Bengalu dla Kompanii, a zmniejszenia przepływu tego potoku złota do prywatnych kieszeni. Włamywacz, przekształciwszy się w policjanta, zamierzał uczynić swoją nową profesję równie lukratywną, jak dawna.

Rozdział XXI

GRABIEŻ Z NIEOGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

- Kogo wyznaczyć następcą Mir Jafara na murshidabadzkim tronie?

Henryk Vansittart, gubernator Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w Kalkucie, zadał to pytanie swojej radzie w sierpniu 1760 roku, w jakieś pięć miesięcy po wyjeździe Clive'a.

- W każdym razie powinien to być człowiek energiczny, silny, zdolny do sprawowania rządów - powiedział major John Caillaud, jedyny wojskowy wśród obecnych, i jedyny nieprzekupny. - Większość kłopotów w Bengalu i Biharze wynikała ze słabości Mir Jafara.

Członek rady nazwiskiem Peter Amyat wtrącił:

- Jeżeli silny, to przyszły subadar musi być bez zastrzeżeń oddany naszym interesom. Niechaj będzie silny świadomością naszej siły, nie swojej własnej.

- I silny w mieszku, także! - dorzucił Vansittart, mrugając na kolegów.

Wszyscy członkowie rady, prócz jednego Caillauda, parsknęli śmiechem, znaczącym gestem pocierając palce jednej ręki o dłoń drugiej. Caillaud zacisnął wargi i bębnił palcami po stole.

Posiedzenie zwołano dlatego, ponieważ syn i następca su-badara zginął pewnej nocy w swoim namiocie od uderzenia piorunu. Mirana znano z niechęci do Anglików, więc rada nie wylewała łez z powodu jego śmierci. Ale Mir Jafar zestarzał się ponad swój wiek, a jego następny prawowity syn miał zaledwie trzynaście lat. O sile żelaznego uchwytu, w jaki Anglicy pochwycili subadarstwo świadczy, że bez aprobaty Kompanii nawet radzowie, dążący do oswobodzenia się od obcej dominacji, nie wazyli się mianować następcy tronu.

Nie tylko Anglicy w radzie zastanawiali się nad tym, kto obejmie masnud po Mir Jafarze. Kandydat znalazł się sam, gotów upomnieć się o swoje prawa i doskonale poinformowany, jak się przekonuje Vansittarta i jego kolegów. Mir Kasina, zięć subadara, przyjechał do Kalkuty rzekomo jako oficjalny przedstawiciel i wysłannik Mir Jafara, i został dopuszczony do udziału w posiedzeniu rady. Był to człowiek zdolny, zręczny, wymowny, ambitny, a jednocześnie prawdziwy patriota. Potrafił być w razie potrzeby bezwzględny, gardził niezdecydowaniem swego teścia, i wcale się nie uchylał przed dyplomatyczną obłudą dla własnych celów.

Te jego własne, osobiste cele, a wcale nie sprawy Mir Jafara, sprowadziły Mir Kasima do Kalkuty. Razem z nim przyjechał stary przyjaciel i doradca zmarłego Mirana, Rai Bulub. Po pierwszym posiedzeniu rady, Mir Kasim powiedział do niego:

- Mogę kupić ich wszystkich, prócz tego majora Gaillauda, ale on nic nie wskóra przeciw takiej większości. Za parę tygodni zostanę subadarem, nie żadnym tam następcą. Zobaczysz!

Clive ostrzegł Vansittarta przed korupcją i łapownictwem, ale biorąc pod uwagę jego własną przeszłość, można było pomyśleć, że ostrzegał z przymrużeniem oka. Rada miała przed sobą przykład bitwy pod Plassey, świadczący, że reżyserowanie rewolucji w Murshidabadzie jest najkrótszą drogą do fortuny. Podpisano więc traktat z Mir Kasimem i Vansittart wyprawił się do Murshidabadu.

Przeciwko przedstawionej propozycji abdykacji subadar zaprotestował, acz bez przekonania, bo znużył się już swoim marionetkowym tronem. A gdy wyjrzawszy z okien swego pałacu zobaczył, że go otaczają oddziały Anglików i sepojów, ustąpił od razu, zastrzegając sobie tylko, że będzie zamieszkiwał w Kalkucie - bardzo słusznie, bo gdzie indziej jego życiu groziłoby niebezpieczeństwo - i że jego następca zagwarantuje mu dość znaczny dochód. Następnego ranka człowiek, którego Clive wyniósł na tron i który współdziałał w zamordowaniu Siraj-ud-Dauli, wyruszył statkiem do stolicy Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w otoczeniu poczty sług i sześćdziesięciu kobiet swego haremu - nic dziwnego, że się zestarzał przed czasem.

Za ten doniosły wyczyn polityczno-militarny, Vansittart otrzymał od Mir Kasima około 58 000 funtów, a inni członkowie rady różne sumy od trzydziestu tysięcy w dół. Tylko major Caillaud - dla którego zarezerwowano 22 000 funtów - odmówił udziału w dystrybucji należności za hańbę. Samej Kompanii wypłacono 50 000 na pokrycie kosztów wojennych, wraz z przydzieleniem dochodów z dalszych trzech prowincji Ben-galu: Burdwanu, Midnapuru i Chittagongu.

W Parnie przebywał chwilowo Shahzada. Afgańczycy najechali i zdobyli Delhi, Wielkiego Mogola zamordowano, a jego niegdyś buntowniczy syn ogłosił się cesarzem, przybierając imię Alama Drugiego. Mir Kasim ruszył więc do Patny i przekupił nowego cesarza tak, jak przekupił Anglików. Za uzgodnioną daninę roczną w wysokości 24 lakhów rupii (240 000 funtów szterlingów), Alam Drugi zatwierdził go na tronie su-badarskim.

Kupiwszy swój masnud, Mir Kasim zamierzał być władcą rzeczywistym, nie marionetką. Za usługi, oddane Anglikom przez Rama Naraina, nababa Biharu, Clive przyrzekł mu stałą opiekę. Aby udowodnić, że tarcza obcych intruzów nie skryje zdrajcy i że nowy subadar nie będzie, jak Mir Jafar, zezwalał na wtrącanie się w sprawy nominacji, Mir Kasim usunął Rama Naraina, skonfiskował mu całą fortunę i w końcu skazał go na śmierć. Nababem Biharu mianował Rai Buluba. Gdyby Clive był w Indiach, z pewnością taka samowola nie uszłaby mu bezkarnie. Ale Vansittart nie dostał jeszcze pełnej zapłaty za swój polityczno-militarny wyczyn i wolał na razie nie wszczynać zatargów z Mir Kasimem.

Następnie nowy subadar przeniósł swoją stolicę o 500 km na północ, do wyniosłej górskiej fortecy Monghyru, na prawym brzegu Gangesu. Nie chcąc polegać na oddziałach angielskich, jak Mir Jafar, by podpierały jego tron, zabrał się do wzmocnienia własnej armii. Zwolnił wielu dawnych tak zwanych wojowników - nie wyćwiczonych i nie umiejących obchodzić się z bronią palną - werbując zamiast nich ludzi z wojowniczych szczepów górskich na północy, razem z sepojami, którzy zdezerterowali od Anglików. Dowódcami mianował dwóch ludzi: Armeńczyka Markara oraz dawnego rzeźnika ze Strasburga i byłego sierżanta armii francuskiej, który przybrał nazwisko Somroo. Wprowadzono europejski dryl i dyscyplinę, założono też fabryki w Monghyrze, w których odlewano działa i wyrabiano muszkiety według angielskich wzorów.

W Kalkucie, w kołach urzędników Kompanii, mówiono niebawem o Mir Kasimie jako o zdrajcy i oszuście. Ale kto mu wskazał drogę? Nie powinno było nikogo dziwić, że energiczny młody subadar nie cofał się przed żadnymi metodami, by zdobyć swobodę rządzenia państwem na swój własny sposób, zły czy dobry.

A byłby to sposób stosunkowo dobry z punktu widzenia jego poddanych - gdyby Mir Kasima pozostawiono w spokoju. Nowy subadar zdawał sobie sprawę z prawdy słów muzułmańskiego kronikarza, Seira Mutaqherina:

„Lud pod ich (Anglików) panowaniem jęczy w ucisku, wtrącony w nędzę i niedolę. O, Allachu!

Przyjdź z pomocą twoim uciśnionym sługom i oswobodź ich od ucisku, jaki cierpią.”

Ale wydawało się, że konkretne dowody swojej sympatii dla ludów w niewoli na tym świecie Bóg wyczerpał za czasów faraonów.

Kompania wywoziła z Bengaluru głównie tkaniny bawełniane i jedwabne tak wysokiego gatunku, iż żadne warsztaty



James Burgoyne w Europie nie mogli im dorównać. Po wstąpieniu na masnad Mir Jafara w roku 1757, w Kalkucie wydano rozkazy urzędnikom i agentom Kompanii na prowincji, by przymusili rzemieślników hinduskich do pracowania w założonych przez Kompanię warsztatach. Terrorem i uciskiem zmuszono rzemieślników do zgody na wygórowane normy, a później zatrzymywano ich przy pracy tak długo, dopóki nie wyrobili tych norm. Współczesny angielski podróżnik po Bengaluru, William Bolts, zapisał, iż „zwijaczy surowego jedwabiu traktowano również z taką niesprawiedliwością, iż znane były wypadki, że pracownicy ucinali sobie kciuki, aby tylko nie zapędzono ich do pracy przy zwijaniu jedwabiu.”

Chałupniczych wytwórców zmuszano do sprzedawania wyrobów po cenie o 15% niższej od cen na bazarach, a gdy protestowali, bito ich. W wielu miejscowościach rzemieślnikom, pracującym we własnych domach, nie pozwalano sprzedawać wyrobów nikomu innemu, tylko Kompanii, od której byli tak uzależnieni, jak niewolnicy.

Ale Mir Kasim się przekonał, że wszysdto to było tylko za-cząddem nadużyć i ucisku, jaki się rozszalał po detronizacji i zabójstwie Siraj-ud-Dauli. Podpisany przez Mir Jafara traktat potwierdzał przywilej Kompanii przewożenia towarów przez Bengal, Bihar i Oryssę bez płacenia poborcom subadara zwyczajowego podatku drogowego. Przywileju tego nadużywali urzędnicy Kompanii,

wydając „dastaki” czyli zezwolenia na transport bez opłat, swoich własnych, prywatnych towarów. Dalej, wręczali „dastaki” agentom krajowym i zapewniali im zwolnienie od rewizji pozwalając na ich statkach, barkach i ładownych karawanach wywieszać flagę brytyjską. Sprzedawali dastaki nawet kupcom krajowym, którzy nie byli ich agentami.

Skarbiec subadara ponosił w ten sposób znaczne straty, a urzędnicy Kompanii uzyskiwali awantaże nad uczciwymi kupcami. W końcu zagarnęli dla siebie, praktycznie biorąc, monopol na cały handel wewnętrzny w subadarstwie. Wykorzystywali obawę ludności przed obcokrajowcami i ich żołnierzami, by zmuszać krajowców do sprzedaży po niskich, cenach, a zarazem terroryzowali krajowych kupców, by kupowali od nich lub ich agentów po cenach powyżej bazarowych. Ci, którzy nie chcieli zostać współnikami Kompanii, musieli wyrzec się swego tradycyjnego zawodu i szukać innych sposobów zarobienia na życie.

Toteż dawniej prosperujące osiedla i miasteczka popadały w ruinę z powodu chciwości Kompanii i jej urzędników. Strach krajowców przed obcymi przybrał takie rozmiary, że na widok zbliżającego się palankinu angielskiego podróżnego mieszkańcy wsi uciekali wszyscy do lasu. Urzędnicy Kompanii i ich ajenci, mogąc w razie najmniejszego oporu wezwać na pomoc angielskich żołnierzy, lekceważyli policję i władze fiskalne. „Każdy sługa brytyjskiego kupca dysponował całą potęgą swego pana; a jego pan dysponował całą potęgą Kompanii.” Tak pisał, w XIX wieku, Lord Macaulay, angielski historyk, twórca systemu oświatowego i kodeksu karnego w Indiach. I dalej: „Rządy angielskiej Kompanii dorównywały uciskiem najgorszym formom barbarzyńskiego despotyzmu, a rozporządzały całą siłą cywilizacji. Bardziej przypominały rządy złego geniusza, niż rządy ludzkich tyranów.”

Taki stan rzeczy zastał w swoim subadarstwie Mir Kasim, projektując reformy. Taki stan rzeczy skłonił go do wysyłania protestu za protestem do Vansittarta. Pisał:

„W każdej perganie (okręgu), każdej wsi i nawet każdym warsztacie, ajenci Kompanii kupują i sprzedają sól, betel, ghee (masło z mleka bawolic), ryż, słomę, bambus, ryby, worki jutowe, imbir, cukier, tytoń, opium i wiele innych towarów, których wymienić nie zdołam... Wszystkie te towary, czy handluje nimi Kompania czy jej słudzy w charakterze prywatnych kupców, transportuje się bez opłat przez kraj, pod osłoną nielegalnie wystawionych dastaków... Moi urzędnicy we wszystkich okręgach z obawy przed waszymi pracownikami i agentami zaniechali wykonywania swoich obowiązków; i z powodu takiego ucisku i pozbawienia mnie moich należności, ponoszę straty roczne sięgające 25 lakhów rupii (250 000 funtów)...”

Dla Mir Kasima ta strata nie oznaczała, że będzie miał mniej gotówki na zaspokajanie osobistych zamiłowań do rozwiązłości i zbytku. Młody subadar chciał powrócić do wypełniania tradycyjnych obowiązków dawnych władców - nie wykonywanych od czasów Alivardiego Chana - mianowicie utrzymywania własnym kosztem służb publicznych, dróg, a nade wszystko budowy i konserwacji systemu irygacyjnego.

Vansittart pojechał do Monghyru, by omówić z Mir Kasimem jego skargi. Wiedząc dobrze, że urzędnicy Kompanii żadnych ustępstw nie uczynią inaczej, jak za pieniądze, subadar ofiarował Vansittartowi cztery lakhi rupii (40 000 funtów) w zamian za podpisanie umowy, mocą której tylko towary Kompanii mogły być transportowane bez opłat, natomiast urzędnicy, zajmujący się prywatnym handlem, mieli płacić 9% od wszelkich towarów prócz soli, od której opłata miała wynosić 2W/o. Uzgodniono również, że sądy i poborcy subadara będą mieli prawo karania za nadużycia i ucisk krajowych agentów, zatrudnianych przez Anglików.

Jednakże rada w Kalkucie odmówiła ratyfikowania tej umowy, jako „niehonorowej dla nas, Anglików, i zmierzającej do zniszczenia naszego handlu”. Vansittarta, który przyjąwszy tę olbrzymią sumę pieniędzy od Mir Kasima nie bardzo mógł się bronić, oskarżono o zaprzędanie interesów jego kolegów, ludzi mniej od niego przedajnych. Rada zgodziła się wreszcie na płaćenie 2% akcyzy od soli, ale skreśliła wszelkie inne postanowienia umowy. Młody przedstawiciel Kompanii w Monghyrze, Warren Hastings, późniejszy generalny gubernator Indii, pisał z irytacją:

„Taki sposób rządu musi wywołać w umysłach nieszczęsnych mieszkańców wstręt do miana i autorytetu Anglika; i jak sobie wyobrazić, aby subadar, widząc krzywdy swego ludu, których nie może naprawić, nie zapragnął z całego serca uwolnić się od przymierza, narażającego go na takie zniewagi i upokorzenia”.

„Widząc krzywdy swego ludu” i świadom osobistych „zniewag i upokorzeń”, Mir Kasim zaczął się przygotowywać do walki o prawo do władzy. Śmiało rzucił wyzwanie Kompanii, znosząc wszelkie opłaty drogowe i ustanawiając wolny handel na wszystkich swoich ziemiach dla krajowców i cudzoziemców na równi. Skarb jego poniósł nieobliczalne straty. Pisał o tym pułkownik G. B. Malleson, zajadły wielbiciel Clive’a, ale jednocześnie surowy krytyk Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i jej metod:

„Nigdy po jednej stronie nie było tyle bezwstydnego żądzy bogactw, bez oglądania się na niedolę, sprawianą innym; nigdy też po drugiej stronie nie było rzetelniejszego wysiłku, by za cenę wszelkich poświęceń naprawić zło i uniknąć zguby, którą niosły za sobą te okrutne wymuszenia”.

Radę Kompanii w Kalkucie oburzył do żywego ten cios, zadany przez subadara ich przywilejom. Wysłali dwóch spośród siebie - Petera Amyata i Williama Haya - do Monghyru z protestem. Tymczasem William Ellis, urzędnik Kompanii kierujący jej faktorią w pobliżu Patny, dnia 25 czerwca 1763 roku, dowodząc stu żołnierzami angielskimi oraz dwoma i pół tysiącami sepojów, zajął miasto. Gdy garnizon cytadeli odmówił poddania się, Ellis wysłał swoich żołnierzy, by grabili mieszczan.

Od tego dnia wydarzenia potoczyły się szybko. Amyat i Hay wyjechali już z Monghyru, ale na wieść o zbrojnym napadzie Ellisa na Patnę, Mir Kasim wydał rozkaz, by ich doścignąć i sprowadzić do stolicy z powrotem. Anglicy i ich nieliczna eskorta opierali się; wybuchła utarczka, w wyniku której obaj polegli. W odpowiedzi Vansittart wypowiedział wojnę i ogłosił złożenie z tronu Mir Kasima.

Markar, armeński dowódca wojsk subadara, wypędził wojska z Patny i rozgromił je zupełnie, biorąc do niewoli tych, którzy pozostali przy życiu. A Mir Kasim pozwolił wówczas, by gniew na Kompanię Wschodnio-Indyjską i zniechęconych intruzów wziął w nim górę nad humanitarnością. Wydał rozkaz rozstrzelania Ellisa wraz z pięćdziesięciu innymi cywilnymi Anglikami i stu żołnierzami. Rozkaz miał wykonać drugi jego dowódca, Somroo. Strasburczyk powrócił do swej dawnej profesji rzeźnika: gdy jeńcy znajdowali się na dziedzińcu i w przyległym budynku, gdzie ich trzymano, Somroo zabrał ze sobą oddział żołnierzy na dach i kazał strzelać do bezbronych ludzi na dole. Po pierwszej salwie pozostali przy życiu rzucili się do wnętrza budynku, a tam ich wykluto bagnetami lub zasztyletowano w masakrze nie mniej okropnej od Czarnej Jamy w Kalkucie. Masakry dokonał rzeźnik Somroo, ale rozkaz wydał Mir Kasim, plamiąc swoje dotąd szlachetne imię patrioty.

W lipcu 1763 roku major John Adams, który zastąpił odwołanego Caillauda, dwukrotnie stoczył krwawe bitwy z armią subadara. Zreorganizowane i wyćwiczone wojska Mir Kasima były się z odwagą i uporem, ale w końcu w obu bitwach wielokrotnie silniejsza artyleria angielska przeważała

szalę zwycięstwa. Mir Kasim musiał wycofać się z Monghyru do Patny, a w listopadzie, wobec zbliżania się wojsk Adamsa, uciekł do nababa Oudh. Adams zachorował i zmarł, a jego miejsce zajął Sir Hector Munro.

Ten oficer zabrał się do udowodnienia, że nieludzkość i okrucieństwa nie stanowią bynajmniej monopolu hinduskich książąt i ich rzeźnickich najemników. Batalion sepojów w służbie Anglików zbuntował się, protestując przeciwko używaniu ich do wypędzenia subadara, który chciał poprawić dolę ludu. Sir Hector dwudziestu ośmiu spośród nich postawił przed sąd wojenny - ferujący zwykle wyroki z punktu widzenia potrzeb zamiast sprawiedliwości - i skazał na śmierć barbarzyńską metodą nabijania ich w armaty i strzelania na oczach wszystkich towarzyszy.

W ciągu następnego półtora roku Munro ze swym wojskiem najechał prowincję Oudh i rozszerzył granice terytoriów, opanowanych przez Kompanię Wschodnio-Indyjską aż do Allaha-badu.

Mir Kasim, który odważył się porwać do walki o niepodległość dla swego subadarstwa i oswobodzenie ludności spod ucisku Anglików, musiał uciekać z kraju. W parę lat później zmarł w nędzy na wygnaniu.

A Kompania osadziła na masnudzcie w Murshidabadzie z powrotem Mir Jafara, teraz już zupełnie osłabionego chorobą. Oczywiście, za określoną cenę. Dla „twórców subadarów” - pół miliona funtów szterlingów. Ale ci zdziercy mieli wyciągnąć jeszcze więcej z nieszczęsnego Bengal.

Zanim Clive wyjechał z Anglii, przysłano do Kalkuty z „India House” w Londynie szczegółowe instrukcje, aby „wszystkie osoby w służbie Kompanii pozostające, dotrzymywały umowy wzbraniającej im przyjmowania bezpośrednio albo pośrednio od książąt hinduskich nadań ziemi, stałych dochodów, dzierżaw i wszelkich w ogóle podarunków, przekraczających wartość czterech tysięcy rupii, bez zgody rady dyrektorów”. Ta instrukcja powstała dlatego, że w „India House” chciano zastąpić nieopanowaną i żywiołową grabież Indii przez pojedynczych urzędników grabieżą regularniejszą, sprawniejszą i surowszą na korzyść Kompanii jako całości. Clive - o ile tej instrukcji nie zredagował osobiście - to w każdym razie co najmniej aprobował ją przed wysłaniem.

Ta instrukcja dotarła do Kalkuty dnia 24 stycznia 1765 roku. Otrzymanie jej odnotowano w radzie - z której Vansittart wycofał się, by ze swymi łupami powrócić do Anglii - ale poza tym zignorowano ją najzupełniej, jak zresztą podówczas ignorowano wiele innych ważnych listów z Londynu.

W miesiąc później Mir Jafar zmarł. Ponieważ żaden z jego prawowitych synów nie przeżył go, zdecydowano wyznaczyć na subadara jego osiemnastoletniego bastarda, imieniem Najm-ud-Daula. Za określoną cenę. Przed wstąpieniem na tron musiał podpisać traktat, mocą którego zrzekał się wszelkiej faktycznej władzy i mianował swego następcę, muzułmańskiego magnata Mohammeda Reza Khana. W dalszym ciągu traktatu zobowiązano subadara, aby nie mianował ani odwoływał żadnego urzędnika bez aprobaty rady Kompanii w Kalkucie. Oczywiście, musiał zezwolić Kompanii i jej pracownikom na swobodny handel bez żadnych opłat drogowych, prócz 2 i pół procentu za sól.

Monotonne staje się powtarzanie, że nowy subadar musiał również słono opłacić się tym, którzy do jego intronizacji dopomogli. Panowie z Kompanii byli bardzo łagodni, wymusili od niego nieco mniej, niż ćwierć miliona funtów. Ale mieszki ich skorzystały również z nominacji Rezy Khana, który rozdzielił między nich dwadzieścia lakhów rupii (200 000 funtów) aby sobie zapewnić ich poparcie.

Wszystko to działo się wtedy, gdy umowy, które „urzędnicy w służbie Kompanii” mieli podpisać, zabraniające im przyjmowania jakichkolwiek większych darów, spoczywały nietknięte w archiwach biur Kalkuty.

Historyk hinduski Ramkrishna Mukherjee podsumował złupienie subadarstwa Bengalu, Biharu i Oryssy przez Kompanię Wschodnio-Indyjską i jej pracowników od chwili pierwszej intronizacji Mir Jafara do wstąpienia na masnad Najm-ud-Dauli w roku 1765:

„Przyjmując 5 940 498 funtów jako ogólną sumę bezpośrednio złupioną z subadarstwa w ciągu ośmiu lat po zagarnięciu władzy przez Kompanię (nie istnieją rachunki ani dokumenty stwierdzające, ile prócz tego złupiono pośrednio od ludności, jak wieśniaków, rzemieślników i kupców) było to czterokrotnie więcej, niż wynosił roczny dochód z podatków ze wszystkich terytoriów - to znaczy, połowa całego dochodu za przeciąg ośmiu lat... Należy pamiętać, że wszystko, co złupiono, wywożono do Anglii, by wzbogacać ten kraj, doprowadzając Indie do stanu nędzy.”

Anglik, Lord Macaulay rozłożył na czynniki pierwsze ten kolosalny rabunek:

„Olbrzymie fortuny gromadzono w Kalkucie, a trzydzieści milionów istnień ludzkich doprowadzono do krańcowej nędzy.”

Tak przedstawiała się sytuacja w Bengalu pod władzą Kompanii Wschodnio-Indyjskiej w dniu 3 maja 1765 roku. Tego dnia wylądował w Kalkucie człowiek, który grabież rozpoczął, zgromadził własną kolosalną fortunę i dał innym przykład, gorączkowo naśladowany.

Rozdział XXII

WASZA LORDOWSKA MOŚĆ NASZYM WZOREM

O tym, jak odległa i utrudniona była kontrola, którą „India House” mógł sprawować nad swymi zamorskimi posiadłościami, świadczy fakt, że podróż Lorda Clive’a wysłanego z pilną misją naprawienia krytycznej sytuacji, trwała jednaście miesięcy: z Portsmouth do Kalkuty. Należące do Kompanii statki wschodnioindyjskie, budowane do przewożenia towarów, nie dysponowały komfortem. Pasażerowie, nie zawsze sobie nawzajem przypadający do gustu, musieli większą część czasu spędzać razem w irytującym stłoczeniu. Niecierpliwiły postoje w Rio de Janeiro, koło Przylądka Dobrej Nadziei, a nawet już w Madrasie. Obaj, Robert i Edmund, a także Henryk Strachey, pisywali częste, długie listy do Peggy. Z tej korespondencji można zebrać dużo szczegółów dotyczących warunków żeglugi, życia na statku i tęsknoty Roberta za pozostawioną w Anglii żoną.

Od Lorda Clive’a, dnia 4 czerwca 1764, z Portsmouth: „Bóg jeden wie, ile cierpię rozłączony z Tobą, najlepszą z kobiet...Myślmy o szczęśliwym dniu naszego spotkania, które, jak sądzę, nie nastąpi później, jak za dwa lata. (Miało być trzy)...Nawał pilnych obowiązków, jakich muszę dopełnić... skróci dla mnie czas nieobecności. Teraz, za parę godzin znajdziemy się na pokładzie statku „Kent”...

Od Stracheya, 24 października 1764, z Rio de Janeiro: „...straciliśmy stengę; w dwa dni umieściliśmy nową; iwparę dni później ta też poszła za burtę, zagarniając bramstengę i inne szkody czyniąc. Do 15 sierpnia podnieśliśmy trzecią i ostatnią z zapasowych stengę... Dnia 14 września przekroczyliśmy równik, a 28 dotarliśmy do wyspy Trinidad. Stamtąd już prosto do tego portu, do którego weszliśmy dnia 7 tego miesiąca...”

Minęło sześć tygodni, zanim „Kent” mógł opuścić Rio, a w tym czasie mąż i brat Peggy nie zaniebdywali korespondencji.

Od Clive’a, dnia 14 października:

„...najmilej widziany list od mojej ukochanej żony (przywieziony przez komodora eskadry marynarki wojennej, który opuścił Anglię później niż „Kent”, ale do Rio przybył wcześniej). Nic mi nie mogło sprawić większej przyjemności, niż wiedzieć, że pogodziłaś się z koniecznością mego wyjazdu zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, którego tyle posiadasz i z tym poczuciem obowiązku, jaki jesteś winna naszym dzieciom...”

Nie mogę nie zdawać sobie sprawy, jak dobrze się stało, że nie towarzyszysz nam w tej przeprawie do Indii... natrafiliśmy na wiele kłopotów, które by mnie bardzo martwiły ze względu na ciebie. Kapitan... bardzo nas kiepsko zaprowiantował i bez pomocy naszej służby i kucharza nie mielibyśmy co jeść. I tak przez ostatnie sześć tygodni byliśmy zdani wyłącznie na pud-dingi z wieprzowiny i grochu.

Na dokładkę przekonaliśmy się, że pani Sumner jest kobietą o wręcz diabolicznym usposobieniu, ignorantką i egoistką z humorami... bez jednej zalety... za nic nie chciałbym, żebyś przebywała w jej

towarzystwie... Dała nam do zrozumienia, że się zna na muzyce i gra na klawikordzie: aby nas przekonać o tym, raczy nas teraz dwiema głupimi melodyjkami codziennie bez żadnej zmiany, nic więcej nie gra... moją niechęć do niej potęguje porównywanie twojego słodkiego usposobienia i natury z jej... humorami.

Ufam w Bogu, że przeszłaś już szczęśliwie rozwiązanie i że mi dałaś chłopca... miałem tylko raz atak melancholii i zaradziłem sobie przy pomocy małej dawki opium..”

Pierwsza to wzmianka o nałogu, który miał wzrastać.

Od Edmunda Maskelyne. Rio de Janeiro:

„...Milord tak świetnie odrysował charakter naszej „sultanki”, że od siebie dorzucę tylko, iż jest ona przeciwieństwem wszystkiego, co jest pociągające i przyjemne u płci pięknej. Zamierzam, jeśli mi się uda, posłać ci rozkoszne małe zwierzątko, nazywane lwią małpką... podobne do koczkodana i wiewiórki zarazem, o miękkim futerku barwy rudoczerwonej i główce lwiej...”

W późniejszym liście Edmund wraca do tego tematu i zarazem pokpiwa sobie z jego lordowskiej mości:

„Lwia małpka i papuga, pierwsza dla ciebie, druga dla pani Thornton, już czekają... o ile milord sam ich nie wyśle tobie, to powędrują pod opiekę pewnego hiszpańskiego supercargo albo jednego z pasażerów... chcę powiedzieć, że tak jak wszystko jest na rozkaz jego lordowskiej mości, tak samo wszystko jest do jego dyspozycji...”

Muzykanci zdezerterowali, namówieni przez tutejszego wicekróla, by grywać w jego operze... nienawidzą go wszyscy i zasłużenie, toteż muzykanci wprędce pożałują...”

Nie ma wzmianki w niczyich listach o „zeszytach z partyturą”; nie wiadomo, czy ewentualnie „wróciły bezpiecznie z powrotem” do Peggy, czy też, co bardziej prawdopodobne, przywłaszczyli je sobie dezzerterujący muzykanci.

Pod koniec grudnia „Kent” dotarł do Przylądka Dobrej Nadziei, skąd Clive pisał:

„...w Brazylii kupiłem pewną ilość topazów i ametystów, oszlifowanych i surowych, wartości od dwustu do trzystu funtów, które Ci teraz posyłam przez kapitana Collinsa z „Wey-moutha”. Chciałbym, żebyś z najpiękniejszych okazów kazała sobie zrobić naszyjnik, kolczyki, zapinki i temu podobne. Posyłam Ci również dwie skrzynki bardzo dobrego wina z Konstancji, białego i czerwonego, a także jedną skrzynkę wina z Tent (gatunku mszalnego), które wszystkie każ złożyć w naszej piwnicy...”

Pani Sumner nadal podróżuje z nami... spotkaliśmy tutaj jej ojca, równie kłopotliwego jak córka... pragnę jak najprędzej znaleźć się w Indiach, aby tym wcześniej wrócić tam, gdzie są moi najdrożsi...”

Dwa listy do innych osób Clive wysłał z Madrasu, dokąd wreszcie dotarł dnia 10 kwietnia 1765 i gdzie zastał wiadomości o najważniejszych wydarzeniach w Bengalu. Pierwszy z tych listów ujawnia niektóre intencje Kompanii.

Do pana Rous, prezesa londyńskiej rady dyrektorów:

„Wiadomo panu zapewne o naszych ostatnich sukcesach i o kwitującym stanie interesów Kompanii... Znaleźliśmy się obecnie w tym zwrotnym punkcie, co od dawna przewidywałem; mam na myśli sytuację, w której musimy zdecydować, czy chcemy i możemy zagarnąć wszystko dla siebie... niewielką przesadą jest stwierdzenie, że całe imperium Wielkiego Mo-goła może być w naszych rękach. Czy można wątpić, że silna armia europejska skutecznie zapewni nam suwerenność? Musimy zaiste sami zostać nababami, de facto jeśli nie z nazwy... Należałoby bez żadnej zwłoki dopełnić

nasze trzy europejskie regimetry do stanu tysiąca żołnierzy każdy. Taka armia, wraz z pół tysiącem lekkiej jazdy, trzema lub czterema kompaniami artylerii i najemnymi oddziałami krajowców uczyni nas niezwycięzonymi... Proszę kazać przysłać dwadzieścia tysięcy lekkich karabinów i pod dostatkiem prochu... Krótko mówiąc, jeśli bogactwa i stabilność są celami Kompanii, oto jest metoda...”

Osobiste listy Clive’a często roją się od błędów ortograficznych, brak też znaków przestankowych, nawet kropek. Jego oficjalna korespondencja jest zawsze bardzo poprawna, a jednocześnie formalnie sztywne, sugerując, że pisał ją lub przynajmniej poprawiał sekretarz czy adiutant.

Drugi list, adresowany do agenta Clive’a w Londynie, podkreśla jego determinację - od kiedy wyrzekł się grabieży - skorzystania w maksymalnym stopniu z regularniejszego i sprawniejszego rabunku, prowadzonego wyłącznie przez Kompanię, który zamierzał zorganizować.

„...wszystkie pieniądze, jakie mam w funduszach publicznych, albo gdzie bądź indziej, i ile tylko można pożyczyć na moje nazwisko, proszę zainwestować bez najmniejszej straty czasu w akcjach Kompanii Wschodnio-Indyjskiej...”

Z Kalkuty Clive pisał dnia 3 maja do generała Carnaca, który znajdował się w głębi kraju z wojskami Kompanii:

„Przybyłem tu dziś rano, aby objąć urządowanie w sytuacji, jeszcze gorszej, jeśli to możliwe, niż mi dano do zrozumienia...” Brzmi to cokolwiek inaczej od zapewnień o „kwitującym stanie interesów Kompanii” z listu do „India House”.

Co prawda, w samej Kalkucie nie było widać żadnych braków „kwitującego stanu”, jeśli chodziło o mieszkańców europejskich.

Urzednicy Kompanii żyli w komfortowych domach, z ogrodami i sadzawkami, gdzie panie pędziły próżniaczy żywot wśród luksusów i przepychu. Panowie poświęcali ranki na interesy. Następnie wspólny obiad i sjesta, by wieczorami wyjeżdżać na wycieczki w lektykach i palankinach albo wodą, statkami w piękne okolice, ewentualnie na spotkania towarzyskie, bale i przyjęcia. Często odbywały się polowania, konna jazda, łowienie ryb. Jaką drogą nowo przybyły kancelista osiągał w parę lat ten stan zamożności, opisze później najlepiej nie kto inny, jak właśnie sam Clive przed Izbą Gmin:

„Rozważmy teraz punkt widzenia jednego z tych kancelistów, którzy przybywają do Bengalu bez szylinga w kieszeni. Ledwie wylądował, przybiega do niego „banyan” (faktor krajowiec), ubiegając się o zaszczyt służenia młodemu panu za cztery szylingi i sześć pensów miesięcznie. Kompania dysponuje pokojami gościnnymi, ale to pomieszczenie nie dość dobre; banyan znajduje lepsze. Młody człowiek chodzi po mieście, spostrzega, że inni kanceliści, przybyli ledwie o rok wcześniej, żyją we wspaniałych apartamentach, lub też własnych domach, jeżdżą na pięknych rasowych arabach, albo lektykami i palan-kinami; że utrzymują haremy, wydają przyjęcia, piją szampan i wina z Bordeaux. Gdy powraca z przechadzki, mówi banyanowi o swoich spostrzeżeniach. Banyan zapewnia go, że i on sam niebawem dojdzie do fortuny... towary można dostać tanio, a sprzedawać z wielką korzyścią w głębi kraju... Banyan otrzymuje do rąk dastak młodego kancelisty i angażuje agentów, którzy pod osłoną dastaku prowadzą bez opłat handel na prowincji...”

Zyski z tego handlu, minus oczywiście prowizje dla banya-na i agentów, niebawem napływają do kieszeni kancelisty, który nie ma pojęcia, jakie towary sprzedawano i kupowano, od kogo i komu, w jego imieniu. On tylko dostarczył złoty klucz - dastak Kompanii, ograbiając skarbiec subadara i

doprowadzając „trzydzieści milionów ludności do krańcowej nędzy”. A w zamian za złoty klucz - „wspaniałe apartamenty... arabskie wierzchowce... harem... szampan i wina z Bordeaux.”

Czy należy potępić młodego kancelistę? Może. Ale tym bardziej trzeba potępić Kompanię Wschodnio-Indyjską, tę złą rękę, która płacąc swoim urzędnikom wyłącznie nominalne pensje, zmuszała ich do znajdowania innych sposobów zarobkowania i - jak dotychczas - przymykała oczy na nadużywanie daństaków.

Zgodnie z implikacjami swego listu do pana Rousa, pierwszą troską Clive'a po przyjeździe do Kalkuty była reorganizacja wojska w oczekiwaniu na zapowiedziane posiłki. Nowy głównodowodzący podzielił żołnierzy europejskich na trzy bataliony. Z kolei uformował trzy brygady, każda złożona z jednego batalionu europejskiego i kompanii artylerii - jak gdyby kręgosłup brygady, którą dopełniało sześć batalionów sepojów i oddział hinduskiej jazdy dla celów zwiadowczych. Wszystko to zgadzało się z zasadami sztuki militarnej. Dowódcami trzech brygad zostali pułkownicy: Sir Robert Barker, Richard Smith i Sir Robert Fletcher. Wszyscy w stopniu majorów odbyli wojnę w Karnatyku, dwaj pierwsi z wyróżnieniem, trzeci - niepoprawny intrygant i oszust - był wydalony z wojska, ale Sullivan go zrehabilitował i przywrócił do rangi. Po powrocie Sir Hectora Munro do Anglii, dowództwo armii w polu przypadło generałowi Garnacowi, który był także - razem z Sumnerem, Verelstem i Sykesem - członkiem tajnego komitetu doradczego, mianowanego przez „India House”. Clive był naczelnym wodzem, jak również gubernatorem.

Równocześnie z reorganizowaniem wojska Clive zajął się trudniejszymi, bardziej delikatnymi problemami. W dwa dni po wylądowaniu w Bengalu, zwołał posiedzenie rady, której był obecnie prezesem.

„Poinformowałem ich”, pisał do generała Carnaca, „że członkowie tajnego komitetu zamierzają w pełni wykorzystywać posiadane uprawnienia.” Innymi słowy, rada w Kalkucie miała odtąd tylko potwierdzać decyzje tajnego komitetu. „Pan Lester, jak się wydaje, miał ochotę wszcząć dyskusję o zakresie tych uprawnień, ale uciąłem go krótko... Nie pozwolę na żadne debaty na temat uprawnień; wyłącznie tajny komitet (to znaczy sam Clive) będzie tego jednym i absolutnym sędzią... Twarze dookoła stołu obrad mocno się wydłużyły i nikt z rady już nie wyrzekł ani słowa...”

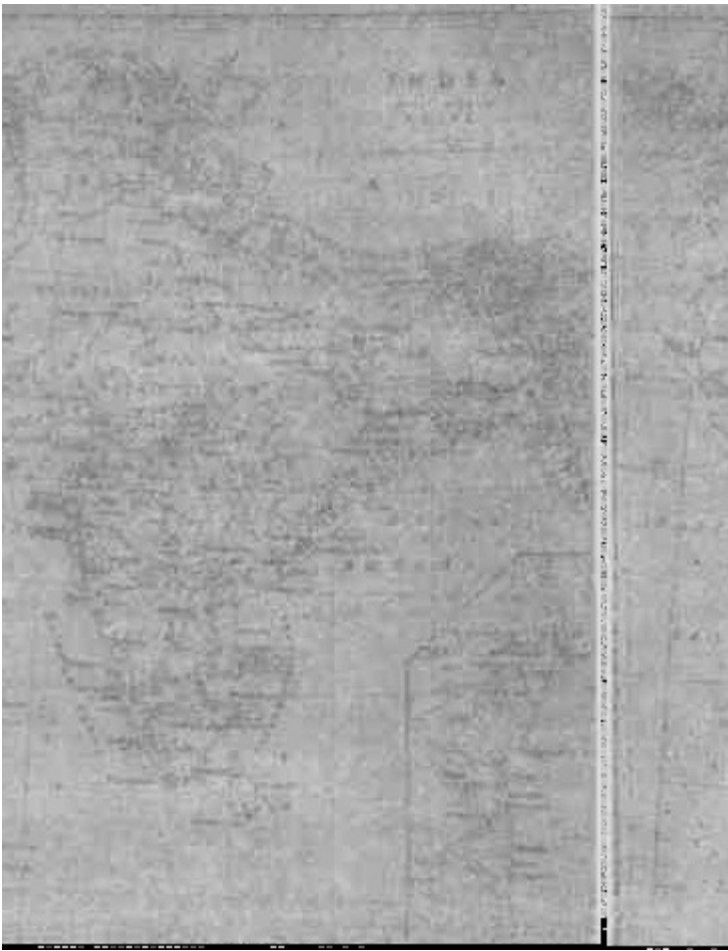
Po dyktatorsku, oczywiście, ale w zupełnej zgodzie z zaleceniami, jakie Clive otrzymał z „India House”.

Dnia 9 maja Clive podjął najryzykowniejsze z powierzonych mu zadań. Zapytał radę:

- Dlaczego żaden z panów nie podpisał i dlaczego nic uzyskano podpisów innych urzędników Kompanii na kontraktach, otrzymanych jeszcze w styczniu, a wzbraniających przyjmowania darów?

Członkowie rady spojrzeli na Johna Spencera, który pełnił obowiązki gubernatora od wyjazdu Vansittarta. Ten odrzekł:

- Wiedzieliśmy, że wasza lordowska mość jest w drodze, więc zostawiliśmy podpisanie kontraktów aż do przyjazdu mi-



Indie za czasów Roberta Clive lorda. W rzeczy samej spodziewaliśmy się, że milord zawiesi sprawę podpisania.

- Ja miałbym zawieszać instrukcję londyńskiej rady dyrektorów? Więc proszę mi pozwolić powiedzieć sobie, że ja tu przyjechałem po to, by dopilnować posłuchu dla zarządzeń „India House”.

Cisza. Członkowie rady ukradkiem obserwowali się nawzajem, starając się ocenić panujące nastroje.

- Te kontrakty - Clive uderzył ręką w stos dokumentów, leżących obok niego na stole - muszą być podpisane natychmiast.

Niezdyscyplinowany pan Lester rzekł z odcieniem szyderstwa:

- Co do mnie, chciałbym zobaczyć milorda, podpisującego w pierwszej kolejności.

- Ja już podpisałem - odparł Clive.

- Wasza lordowska mość... kiedy?

- W Londynie. Wobec rady dyrektorów. Co do panów - szerokim gestem ręki objął wszystkich zebranych - nie tylko zaniedbaliście podpisanie dokumentów i wykonania woli dyrektorów. Już po otrzymaniu kontraktów, wbrew zawartym w nich instrukcjom, przyjęliście prezenty od Najm-ud-Dauli i Rezy Chana.

- Wzorowaliśmy się na waszej lordowskiej mości - rzekł bezczelnie John Johnstone, inny członek rady. - Czy może milord zapomniał już o prezentach, jakie przyjmował od Mir Jafara w roku 1757, i o później nadanym „jagirze” w wysokości trzydziestu tysięcy rocznie? W porównaniu z tym, myśmy dostali tyle, co na cukierki!

Atak jawny i złośliwy. Clive pohamował wzbierający w nim gniew. Odpowiedział powoli i spokojnie:

- W okresie bitwy pod Plassey Kompania nie zabraniała przyjmowania żadnych prezentów. Gdy

panowie przyjęli prezenty za intronizację Najm-ud-Dauli, mieliście już w ręku wyraźną i definitywną instrukcję Kompanii, zabraniającą na przyszłość przyjmowania prezentów.

Johnstone nie umiał tak panować nad sobą.

- Czy milord chce nam powiedzieć - zapytał - że sam zbiwszy fortunę, przyjechał przeszkodzić innym zrobić to samo?

- Ja przyjechałem - odparł Clive - wypełnić wolę i instrukcje rady dyrektorów w Londynie.

Było to leciutkie wypaczenie prawdy. Clive przyjechał, by przeprowadzić własną wolę. I antycypując zyski ze swoich przyszłych poczynań, wydał prywatne polecenie inwestowania „wszystkich pieniędzy, jakie mam... i ile tylko można pożyczyć na moje imię”, w akcjach Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

Znowu odezwał się Lester.

- Kiedy Mir Jafar zmarł, wasza lordowska mość jeszcze tu nie przybyłeś, a kontrakty nie były podpisane. Zatem jeszcze nie obowiązywały.

- Dzielenie włosa na czworo! - wybuchnął Clive, już mniej opanowany. - A teraz moim nieprzyjemnym obowiązkiem jest postawić tę radę w stan oskarżenia, jako że pod pana przewodnictwem, panie Spencer, z chwil 4 śmierci Mir Ja-fara sprzedała masnud murshidabadzki najwięcej dającemu, aby cenę tronu schować do własnych kieszeni... Co więcej, pośpieszyliście się w nieprzyzwoity sposób, by zakończyć transakcję przed moim przyjazdem..

Oskarżenie było najzupełniej słuszne i sprawiedliwe. Ale własna przeszłość Clive'a sprawiła, że nie jemu należało powierzyć zadanie sądenia - i że nie powinien był się takiego zadania podejmować. Jest to tak oczywiste, że wydaje się potwierdzać przypuszczenie, iż Sullivan w Londynie naumyślnie chciał 14 sprawą obarczyć Clive'a, ponieważ wiedział, iż przysporzy mu ona wielu wrogów.

Tak się też stało. Urnowy podpisano. Członkowie rady i urzędnicy nie mieli wyboru. Ale podpisywali w gniewie i oburzeniu, uważając się za pokrzywdzonych, a udział Clive'a określając jako perfidię. Odtąd starali się utrudniać mu urzędowanie, sprzeciwiać się na każdym kroku i krzyżować jego plany. A gdy ewentualnie wracali do Londynu, ich nie ukrywana nienawiść rozdmuchiwała tłące już zarzewie antagonizmu wobec Lorda Clive. Po ludzku biorąc, można tę nienawiść zrozumieć. Ale członkowie rady i urzędnicy byli Anglikami, w epoce, gdy jądrem angielskiej polityki była ekspansja, dająca zarazem szansę osobistego wzbogacenia, którą oni w pełni wykorzystali. Powinni byli ocenić człowieka, który, jakkolwiek wielkie i liczne miał na sumieniu błędy, jednakże oddał swemu krajowi nieocenioną usługę, zdobywając imperium indyjskie.

Rozdział XXIII

FUNT MIĘSA

- Dzięki niech będą Allachowi! Mogę mieć teraz tyle tanecznic, ile mi się spodoba.

Te słowa, którymi powitał Najm-ud-Daula odebranie mu przez Clive'a wszelkiej, praktycznie biorąc, suwerennej władzy w subadarstwie, świadczą o wartości człowieka, któremu Spencer i rada w Kalkucie sprzedali po śmierci Mir Jafara masnud Bengalu, Biharu i Oryssy.

Przeprowadziwszy reorganizację angielskich wojsk i reformę wewnętrznych stosunków między Kompanią Wschodnio-Indyjską, jej urzędnikami i krajowcami w subadarstwie, lord Clive z Maskelynem, Stracheyem i kilku adiutantami wyprawił się do Murshifabadu. Najm-ud-Daula umieścił w obozie wojskowym, założonym w Muti Jhil (Perłowe Jezioro) o trzy kilometry od stolicy.

W wyniku rokowań, a raczej dyktanda Clive'a, Kompania przejmowała na stałe urząd Diwana, a skarbiec subadarstwa miał zostać wcielony do skarbcza Kompanii! Urzędnicy i poborcy subadara, odpowiedzialni za ściąganie podatków, po odliczeniu aprobowanych przez Kompanię potrąceń, mieli wpłacać pozostałość Kompanii. Radosny okrzyk Najm-ud-Dauli spowodowała wiadomość, że do potrąceń zaliczono 50 lakhów rupii rocznie na wydatki subadara, jego rodziny i dworu.

„Chociaż proponowana suma... może się wydawać duża” pisał Clive „sądzę, że jesteśmy honorem zobowiązani do podtrzymywania godności stanu subadara...”

Na papierze te słowa dobrze wyglądają, ale ich znaczenie było raczej cyniczne: „Każdy człowiek ma swoją cenę, a 50 lakhów rocznie jest ceną Najma-ud-Dauli”.

- Doszedłem przed laty do przekonania - mówił Clive do Maskelyne'a - że Dupleix popełnił wielki błąd, występując osobiście w charakterze hinduskiego księcia. Według mojego systemu Kompania będzie ciągnęła zyski, pozostawiając tytuły i ceremoniał miejscowym marionetkom. Niechaj lud mniema, że nim rządzą ich własni książęta, a w rzeczywistości cała władza, polityczna i ekonomiczna, skupi się w naszym ręku.

System ten istotnie długo przetrwa w Indiach, ale ludność nie była tak ślepa, jak Clive przypuszczał. Poznano prędko obcą rękę, a zaciążyła ona o wiele dotkliwiej od ręki książąt ich własnej krwi, gdy sprawowali rzeczywistą władzę.

Clive nie ufał Mohammedowi Rezie Khanowi, który kupił od Spencera i jego kolegów godność zastępcy subadara. Nominował więc trzech ludzi, związanych z angielskimi interesami: dawnego ministra skarbu Mir Jafara, Rai Dulaba, który witając powracającego do Indii Clive'a, pisał o nim, jako o „deszczu, spadającym na wyschniętą od upału ziemię”, oraz dwóch młodzieńców z rodziny Jagata Setha. Ci razem z Rezą utworzyli komitet, kierujący podstawową administracją subadarstwa pod kierunkiem i ogólną kontrolą gubernatora Kompanii w Kalkucie.

Komitetowi administracyjnemu powierzono początkowo odpowiedzialność za porządek i ład w państwie, za sądownictwo i posłuszeństwo prawom. W parę miesięcy później tę odpowiedzialność przekazano bezpośrednio Kompanii. Tak spółka handlowa objęła absolutną władzę w trzech

provincjach. Subadar, kompletne zero, zabawiał się z tancerkami, a jego komitet administracyjny upoważniony był jedynie do ściągania danin.

Aby osiągnąć ten ostateczny cel, w roku 1757 spiskowano i zamordowano Siraj-ud-Daulę, człowieka silnej ręki, który chciał panować nad swoim ludem bez obcej interwencji.

- A teraz do Benares! - oznajmił Clive. - Do Benares, gdzie mój stary przyjaciel Carnac stróżuje przy nababie Oudh. Jego oddział posłuży nam za argument, gdyby się okazał potrzebny. Ale musimy się obchodzić z nababem wielkodusznie. Nasze wojsko strąciło go z masnudu, ale go z powrotem na nim osadzimy.

- Więcej w tym podstęp, niż wielkoduszności, nieprawdaż? - zauważył Maskelyne, nie bez pewnej złośliwości.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Faktem pozostanie, że musimy bronić naszych świeżo zyskanych zdobyczy - najbogatszych prowincji Indii - przeciw Afgańczykom, Mahrattom i innym nie w subadarstwie Najm-ud-Dauli, ale dalej: na granicach Oudh.

Anglicy dotarli do Benares dnia 1 sierpnia. Było to wówczas, jak i dziś, święte miasto i tak czczone przez Hindusów, jak Mekka przez mahometan. Już w VII wieku Hsuan Tang, słynny pielgrzym chiński, odwiedzał Benares i pisał, że mieści ono trzydzieści klasztorów buddyjskich z około trzema tysiącami mnichów, oraz sto świątyń wzniesionych dla bogów hinduskich. Za czasów pobytu Clive'a, hinduizm wypierał buddystów. Było już dobrze ponad tysiąc świątyń, przemieszanych z kaplicami i wspaniałymi pałacami magnatów, spiętrzonych tarasami jedne nad drugimi w górę od szerokich kamiennych schodów, prowadzących do „ghatów” (przystani) na brzegach Gangesu.

Święte miasto Benares otaczał gościniec liczący w obwodzie 80 km i pragnieniem każdego Hindusa w całych Indiach było przejść go w całości przynajmniej raz w życiu. Stojąc na brzegu rzeki, do której przez okrągły rok schodzili wierni, by zmyć grzechy w świętej wodzie, Clive i Maskelyne dostrzegli przede wszystkim strzeliste wieżyczki minaretów meczetu, wybudowanego z rozkazu Aurangzeba, a nazwanego Bisheswar, czyli Złotą Świątynią - nie tyle arcydzieło architektury, ile najświętsze miejsce w mieście; dalej świątynię Durga, wzniesioną przez Mahrattów w XVII wieku.

Barwna scena nad rzeką. Łańcuchy złocistych nagietków przeciągnięte na poprzek nurtów na powitanie Matki Gangesu... jaskrawe kolory długich szat zamożniejszych pielgrzymów... ale też scena chorób i śmierci. Wiara, iż kto napije się wody Gangesu w Benares, rozdając jałmużnę według swoich możliwości, będzie uzdrowiony, sprowadzała tu wszystkie choroby milionów. Kto zmarł w Benares, miał iść prosto do nieba. Więc setki leżały na ghatach, by tu wydać ostatnie tchnienie, jeśli możliwe z nogami w nurcie wody.

W samym środku nabrzeży, miejscu szczególnie uświęconym, znajdował się główny pomost, na którym palono ciała zmarłych. Maskelyne odwrócił głowę, ujrawszy jak psy, węszące między popiołami, wyciągały zwęglone kości. A Clive zamknął na chwilę oczy, gdy zwłoki niemowląt, których nie palono, wrzucano do rzeki.

Nie było żadnych latryn. Ludzie, cierpiący na tyfus i setki innych śmiertelnie zaraźliwych chorób, załatwiali swoje potrzeby na przybrzeżnym piasku, blisko schodów, aż brzegi rzeki przypominały suche, a prąd rzeki płynne kloaki. Wierni rozkładali odzież do suszenia na brzegu, pili i kąpali się w wodzie, nabierali tej samej wody do naczyń i nieśli je razem z ich śmiercionośnym ładunkiem do odległych domów.

- Chodź już, Robercie - zawołał Maskelyne, bliski mdłości. - Ja tego nie mogę dłużej wytrzymać.

Szli wzdłuż szeregów wędrownych mnichów, których uczniowie podnosili żebracze miseczki, zbierając żniwa zabobonu od wiernych, często niewiele zamożniejszych od nich samych.

Gubernator Kalkuty, rzeczywisty władca Bengalu, Biharu i Oryssy, siedł z swymi towarzyszami krętymi uliczkami, tak wąskimi, że w niektórych miejscach dwie lektyki nie mogły się minąć. Domy malowano często na kolor ciemnoczerwony, ozdabiano motywami kwiatów, bawołów, słoni i bóstw z hinduskiej mitologii. Nad sklepionymi wejściami wznosiły się werandy, balkony, galerie, wykusze okienne i wysunięte szerokie okapy, podtrzymywane rzeźbionymi wspornikami. Na rogach ulic, w cieniu wysokich kamienic, stały kaplice, często ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi kwiaty, palmy i zwierzęta, ale wewnątrz tak niehigieniczne, jak odór na brzegach rzeki. Do środka można było wejść tylko bosymi stopami, a otaczały je błoto, żywność położona w ofierze i gnijąca, ludzkie nieczystości. Gdy go zaproszono do wewnątrz, Clive odpowiedział w imieniu wszystkich:

- - Dziękujemy, ale nic. Możemy stąd zobaczyć.

Podczas spacerów po ulicach i zaułkach miasta, generał Carnac poruszył temat wciąż interesujący wszystkich, którzy zajmowali się działalnością i metodami Kompanii Wschodnio-Indyjskiej.

- Zobaczywszy to wszystko, cośmy dzisiaj widzieli, i co ja widziałem po wielekroć, dochodzę do coraz głębszego przekonania, że Kompania Wschodnio-Indyjska musi coś przedsięwziąć, by zlikwidować te religijne zabobony, które mają pierwszeństwo przed zdrowiem, a nawet życiem ludności.

- Kompania jest przeciwna interweniowaniu w sprawy religii i obyczajów jej poddanych - odparł Clive. - Muszę podkreślić, że jest to moim zdaniem słuszne, chociaż oczywiście i mnie ogarnia zgroza, jak ciebie, na widok rozprzestrzeniania zarazy, że już nie wspomnę o takich obyczajach jak suttii: wdowy, wstępujące na stos ze zwłokami męża, by spłonąć żywcem, albo jak wzbranianie wdowom powtórnego małżeństwa, przepisy dotyczące kasty nietykalnych i cała reszta.

- Ja bym się zgodził z generałem - wmieszał się Strachey. - Handel, dochody, terytoria mogą być naszym celem, ale z pewnością powinniśmy zatroszczyć się o obyczaje tych ludzi, przekształcić je według naszego wzoru, głosić im słowo Boże, nawracać ich.

- Kiedy tę sprawę poruszono niedawno w Izbie Gmin - zauważył Maskelyne - jeden z posłów zapytał, bardzo dorzecznie, dlaczego Hindusi miałyby się wyrzec swego wysokiego kodeksu moralnego, by w zamian mieć predestynację i dżin?

- Hindusi są nade wszystko religijnym ludem - powiedział Clive i dodał, jak zwykle praktyczny: - Nie boję się rebelii, wywołanej naruszeniem uczuć narodowych, czy ze względów politycznych. Ale interwencja w sprawy religii - a mogę sobie łatwo wyobrazić przerażające powstanie.

Uparty Strachey zwrócił się do Maskelyne'a:

- Gdzie ten pański poseł znalazł „wysoki kodeks moralny”?

- No cóż, wie pan, naukowcy, którzy ostatnio przeprowadzali szczegółowe badania sanskryckich utworów religijnych dowodzą, że pod względem zasad etycznych hinduizm nie ustępuje chrześcijaństwu. Z moich własnych obserwacji wnoszę, że Hindusi, o ile go nie zdemoralizowała wojna i wszystko, co jej towarzyszy - grabieże, gwałty, brutalność - jest łagodniejszy i trzeźwiejszy od większości Europejczyków, a równie uczciwy i czystych obyczajów.

- Oni nigdy nie zrozumieją nas, ani my ich, dopóki nie nawrócą się na chrześcijaństwo - upierał się Garnac.

- Żadnych misjonarzy - odparł Clive. - Kompania nie chce ich wpuszczać do Indii. I słusznie. Są

uciażliwi, sprawiają subiekcję, podburzają neofitów - w większości hipokrytów, którzy mają nadzieję wykorzystać swoje nawrócenie przeciw innym krajowcom. Tak się rodzą wojny religijne, a my, chrześcijanie, musimy stawać po stronie chrześcijan, narzucać przemocą naszą religię. Nie, nie będę tu miał żadnych misjonarzy.

- Więc nawet to, co uważasz za odrażające w religii Hindusów, pozostawiłbyś bez zmiany? - pytał Carnac. - Ja nie. Tym ludziom potrzeba zdyscyplinowania, a chrześcijaństwo by im to dało.

- Sądzę - powiedział Clive - a podobne poglądy przeważają w „India House”, że reforma bez prób zmiany podstawowych zasad religii Hindusów, ich moralnego kodeksu, winna być przeprowadzona we właściwym czasie przez oświeconych ludzi ich własnej wiary.

Minie jeszcze ponad czterdzieści lat, zanim - w roku 1813 - polityka Kompanii w tej sprawie ulegnie zmianie, i to tylko pod naciskiem ustawy, uchwalonej przez parlament, dzieła fanatycznych ewangelistów, kompletnie nie obeznanych z życiem Indii. A wówczas misjonarze zaleją Indie, wyzywając zarówno hinduizm, jak i islam. Będą wtrącać się do starożytnych obyczajów, tak samo niezrozumiałych dla nich a drogich Hindusom, jak obyczaje, rytuał i zabobony chrześcijańskie były niezrozumiałe dla Hindusów, a drogie sercu chrześcijan. Będą sztydzić w zakładanych przez siebie szkółkach ze starożytnej wiedzy, utrwalonej w sanskrycie, o której nie mieli żadnego pojęcia. Wśród ludności Indii rozejdzie się wieść, że Anglicy zamierzają nawrócić półwysep na swoją wiarę i swój sposób życia i wykorzeń tradycyjne, odwieczne wyznania, praktyki religijne i tajniki wiedzy. Głównie w rezultacie działalności misjonarskiej wybuchnie w roku 1857 to, przed czym w roku 1765 przestrzegał i czego się obawiał Clive - powstanie w Indiach.

Odmawiając misjonarzom zezwolenia na przybycie do Indii, Kompania dała dowód dalekowzroczności i troski o religijne uczucia tych, którzy stali się jej poddanyimi. Oczywiście, jej motywy nie były bezinteresowne. Wpływy z podatków nie zwiększyłyby się z powodu nawrócenia ludności na chrześcijaństwo. Ale niechaj to będzie policzone Kompanii na dobro, jako przeciwwagę długiej, zaiste bardzo długiej listy grzechów i przewinień.

Gubernator Kalkuty nie przybył jednak do Benares w celu zwiedzania skarbów architektury, ani dyskusowania o słuszności europeizowania Hindusów. Przyjechał, by podyktować nababowi Oudh warunki, na jakich mógłby odzyskać swój niasnud: przekazanie granicznych fortec Chanaru Anglikom; wpuszczenie do Benares i Lucknow stałych garnizonów angielskich, złożonych z dwóch batalionów w Benares, a jednego w Lucknow, oraz prawo przemarszu wojsk przez prowincję; przekazanie okręgów Karra i Allahabad Anglikom w charakterze wasalów Wielkiego Mogoła; wypłacenie 50 lakhów rupii na pokrycie kosztów utrzymania wojsk generała Carnaca, które właśnie nababa pobiły; zezwolenia dla Kompanii Wschodnio-Indyjskiej na prowadzenie handlu w obrębie prowincji Oudh i zakładanie faktorii; obietnicę podpisania trójstronnego traktatu między Anglikami, subadarem i nababem o wzajemnej pomocy militarnej; wreszcie zobowiązanie, że w razie przywołania wojsk angielskich do obrony ziem nababa (co znaczyło w ostatecznym rozrachunku, ziem Kompanii) jego skarb pokryje związane z tym koszty.

Nabab przyjął wszystkie warunki Clive'a prócz jednego, a w tym jednym wypowiedział swoje zdanie śmiało i bez ogródek:

- Nie mogę się zgodzić, aby Kompania Wschodnio-Indyjska zakładała na moich ziemiach faktorie. Zwyciężono mnie, ale jeszcze nie oślepiłem. Patrzyłem i widziałem, że gdziekolwiek Anglicy wcisnęli się do kraju, chociażby tylko przy pomocy handlowej faktorii, nigdy się już stamtąd nie ruszyli; ich rodacy napływali w coraz większej liczbie, i w końcu stawali się panami

wszystkiego. Spójrzcie na Kalkutę. W dziewięć lat ta mała faktoria wchłonęła trzy prowincje, a teraz szykuje się do pożarcia dalszych...

Clive omówił z Maskelynem i Carnaciem to jasno postawione zastrzeżenie.

- Wasza lordowska mość nie potrzebuje faktorii w Oudh - argumentował Garnąc. - Razem z Bengalem nabyliśmy teraz tyle, ile możemy strawić.

- A nabab mówi to na serio, wiesz - dodał Maskelyne - chociaż pod innymi względami dał się namówić do ustępstw. Ja bym radził dać spokój faktoriom. Nawet bez nich masz więcej, niż można było oczekiwać, a przynajmniej bez zbyt wielu kłopotów i gróźb.

- Zgadzam się z wami - rzekł Clive. - Na razie. Mając w naszym ręku fortece, garnizony w dwóch największych miastach i prawo przemarszu wojsk, możemy zagarnąć resztę, kiedy to nam będzie odpowiadało.

Tak się też miało stać. Po jednym kąsku na przestrzeni lat Brytyjczycy mieli pochłonąć całą prowincję Oudh - a później resztę jeszcze nie zdobytych ziem Indii.

Wydawało się, że Clive zabezpieczył teraz posiadłości i władzę Kompanii w północnych Indiach. Ale jeszcze nie był zadowolony. Chciał, aby to wszystko potwierdził cesarz Alam II.

- Nawet teraz - dowodził - nie jesteśmy jedynymi Europejczykami, którzy dysponują faktoriom i osiedlami, choćby małymi, na ziemiach pod naszą władzą. Francuzi siedzą w Chandernagore, Holendrzy w Chinsura. Chcę mieć sankcję cesarza na wypadek, gdyby te narody zaprotestowały z powodu władzy, jaką uzyskaliśmy. Szach Alam jako panujący monarcha jest tylko pompacyjnym nonsensem, ale ważności jego firmanu nie można tak łatwo zakwestionować w Paryżu i Hadze.

A więc do Allahabadu, u spływu rzek Jumny i Gangesu, gdzie założył swą czasową rezydencję Szach Alam II, chroniąc się przed zabójcami jego ojca, Afgańczykami, nadal zajmującymi Delhi. Hindusi znają Allahabad pod dawnym mianem Prayag (miejsce składania ofiar), które sięga w przeszłość co najmniej do trzeciego wieku przed naszą erą, do panowania buddyjskiego cesarza Asoka, rządzącego całymi Indiami, od trzynastego stopnia szerokości geograficznej (w pobliżu którego leży Madras) aż do Himalajów, Nepalu, Kaszmiru, Afganistanu i Beludżystanu. W Allahabad znajdowała się (i istnieje do dziś) jedna z kolumn, wznoszonych % rozkazu Asoki we wszystkich jego dominiach, z wykutymi wersetami z nauk Buddy. W XVI wieku cesarz Akbar wybudował tu wspaniałą pałac i twierdzę, i przemianował miasto. Allahabad było celem pielgrzymek, może w mniejszym stopniu niż Bena-res, ale i tak przyciągającym tysięczne tłumy co roku, a raz na dwanaście lat - setki tysięcy, gdyż wtedy odbywał się ceremonia rytualnej kąpieli, znany pod nazwą Maghmela, urządzany u spływu dwóch wielkich rzek.

Szach Alam II (ten sam Shahzada, którego w 1759 roku Ram Narain odpędził od bram Patny) podejmował gubernatora Kalkuty z takimi honorami, jak księcia krwi. Będąc właściwie wygnańcem, cesarz ucieszył się szczerze propozycją Clive'a - na którą przystał nabad Oudh - aby uczynić Allahabad stałą rezydencją cesarską do chwili powrotu do Delhi i przydzielić mu dochody z okręgów Allahabad i Karra, wynoszące dwadzieścia osiem lakhów rupii rocznie. Prócz tego cesarz miał otrzymać dwadzieścia sześć lakhów, pod gwarancją Kompanii, z subadarstwa Bengalu, Biharu i Oryssy. Garnizon brytyjski miał stacjonować w Allahabad, nominalnie dla ochrony osoby cesarza, a w rzeczywistości - by dopilnować, czy cesarz nie zechce odplacić się zdradą swoim „dobroczyńcom”.

W zamian cesarz zgodził się zatwierdzić Kompanię Wschodnio-Indyjską w posiadaniu wszystkich zagarniętych ziem. Akt nadania firmanu miał się odbyć ze zwyczajowym uroczystym

ceremoniałem, z wysokości imperialnego tronu. Ale - w Allahabad cesarz nie posiadał tronu. W Delhi pozostał jego tron, wspierający się na sześciu masywnych nogach ze szczerego złota, cały inkrustowany rubinami, diamentami i szmaragdami. Znalaziono jednak wyjście, a sardoniczny humor tego rozwiązania wskazywał na jego autora - Edmunda Maskelyne.

Dnia 12 sierpnia 1765 roku w największej komnacie pałacu, przydzielonego Alamowi, postawiono duży stół. Na nim umieszczono fotel, który przykryto purpurową materią. Wspiąwszy się na cokolwiek chwiejną konstrukcję przy pomocy krzeselka, przystawionego do stołu w charakterze stopnia, cesarz odczytał przygotowany w języku hinduskim firman:

„...iż uwzględnivszy uprzejmości, przywiązanie i zasługi potężnej i wysokiej, najszlachetniejszej ze szlachetnych, słynącej walecznymi wojownikami, naszymi wiernymi i szczerze przywiązanymi sługami, godnymi naszej monarszej łaski, Angielskiej

Kompanii, nadajemy jej Diwani prowincji Bengalu, Biharu i Oryssy...”

W dalszym ciągu firmanu wyszczególniono zagwarantowane cesarzowi finansowe prowizje i wzywano wszystkich jemu podległych, od subadarów i nababów począwszy - w dół, aby:

„...zarówno w przyszłości jak i dzisiaj, wysiłków i dobrej woli nie żałując, wypełniali ten nasz cesarski rozkaz, pozostawiając rzeczoną Kompanię w posiadaniu tegoż urzędu, z pokolenia na pokolenie, na zawsze i zawsze... i aby nigdy, z żadnego powodu nie było przerw czy przeszkód...”

Gdyby język hindustański z natury nie skłaniał się do kwiecistej frazeologii, można by podejrzewać złośliwość Maskelyne'a również w tych wątpliwych apologiach: „potężna i wysoka, najszlachetniejsza ze szlachetnych, słynąca walecznymi wojownikami, naszymi wiernymi i szczerze przywiązanymi sługami...” Ci szlachetni, wierni i szczerze przywiązani słudzy właśnie w tej chwili, w sposób mniej lub więcej bezbolesny, pozbawiali cesarza resztek władzy, jaką mógł jeszcze posiadać w subadarstwach, i przywłaszczali sobie cały dochód z pracy jego ludu.

Oprócz firmanu, Alam II ratyfikował jeszcze wszystkie nadania, jakie wymuszono od nababa Arcotu i zatwierdził Kompanię w posiadaniu Północnego Sircarsu - ciągnącego się na długości blisko sześciuset kilometrów wzdłuż Zatoki Bengalskiej - który pułkownik Forde oderwał od posiadłości francuskich w roku 1759.

Wówczas dopiero Clive wybrał się w drogę powrotną do Kalkuty. Rad z sukcesów, osiągniętych w tej podróży, żywił jednak dręczące wątpliwości co do tego, jak Sullivan i inni jego oponenci w Londynie przyjmą - i może wypaczą - jer go osiągnięcia. Znalazło to wyraz w jego liście do ojca:

„Jeśli Kompania nie będzie zadowolona z moich i komisji poczynań, to doprawdy nie zostało już chyba ani krzty honoru i uczciwości w Anglii”.

Przesada i niekonsekwencja, bo Kompania Wschodnio-In-dyjska nie była Anglią. Ale czas okaże, że były to słowa prorocze.

Żadna z umów, zawartych z subadarem, nababem Oudb czy samym cesarzem nie zawierała prowizji, danin czy prezentów dla Lorda Roberta Clive'a, ani jego kolegów i współpracowników. Dotrzymali ściśle instrukcji, zawartych w umowach, które podpisali z Kompanią. Clive pisał do Peggy z wyraźną dumą:

„...zadziwiłyby Ciebie te diamenty, rubiny i złoto, jakie ofiarowywano dla Lady Clive, która przecież nie podpisywała zobowiązań, że nie będzie przyjmować podarunków... Zachowałem moją godność i niezależność w obliczu tysiąca pokus. Ale to nie przeszkodzi mi wysłać mojej małżonce paru cennych prezentów, których przyjęcia odmówić nie mogłem, jako że mi je ofiarowano publicznie. Dyrektorzy zadecydują, ile zapłacę za nie, ponieważ postanowiłem absolutnie niczego nie

przyjmować za darmo... i bez przedstawienia im szczegółowego wykazu...”

Nikt tak nie bywa dumny ze swojej cnoty, jak nowicjusze w jej praktykowaniu.

Traktaty z cesarzem stanowiły dla Kompanii Wschodnio-Indyjskiej rodzaj *Magna Charta Libertatum*, na podstawie której następcy Clive’a mieli stopniowo opanować całe Indie. Edmund Burke, współczesny złotousty mówca, nazwał firman „wielkim aktem konstytucyjnego wejścia Kompanii w ustrój polityczny Indii”. Piękna frazeologia. Ale w rzeczywistości firman ten był po prostu zatwierdzeniem *de iure* przez wygnanego i bezsilnego tytularnego cesarza istniejącej *de facto* sytuacji, która powstała dlatego, że spółka tak zwanych kupców, zdradą, przekupstwem, spiskami, zabójstwami, siłą miecza wydarła prawowitym posiadaczom bogate ziemie i kontynuowała eksploatację zasobów i ludności tych ziem na rzecz już zamożnych mieszkańców odległego, europejskiego kraju.



Robert Lord Clive, baron of Plassey. Według portretu pędzla T. Gainsborougha

Kompania uzyskała przemożną siłę polityczną i militarną w północno-wschodnich, wschodnich i południowych prowincjach Indii. Czasem próbowano dowodzić, że uzyskała to przypadkowo. Nic podobnego. Zagarnięcie takiej władzy zawsze leżało w intencjach Kompanii, a od drugiej połowy XVII wieku uznane było wyraźnie jako konieczność. „Przypadkowe” było jedynie pojawienie się w określonym momencie historycznym człowieka dość zdolnego, bezwzględnie i pozbawionego skrupułów, by te cele zrealizować.

Historyk hinduski, Ramkrishna Mukherjee, pisał z goryczą:

„Był to początek realizacji planu... przekształcenia Indii w majątek ziemski Kompanii i zorganizowania systematycznej grabieży...Do »gorliwości handlowej« Kompanii dodano jeszcze motyw Shylocka: »funt mięsa«. Wzrastające podatki, narzucane wieśniakom i ściągane z nadzwyczajną sprawnością, bez żadnych względów na daną sytuację ekonomiczną, wżerały się we wnętrze ludu... Diwani było początkiem zorganizowanego, ekonomicznego puszczania krwi Indii. Za cenę krwi hinduskiej zbudowano przemysłową Anglię i położono podwaliny wielkiej

wiktoriańskiej cywilizacji”.

W ciągu pierwszych trzech lat pełnego działania Diwani - to jest w latach 1766, 1767 i 1768 - wywieziono z subadar-stwa towarów i złota wartości ówczesnych funtów szterlingów 6 311 250, a cały import za ten okres wyniósł zaledwie 624 375 funtów! Innymi słowy, ziemie te ograbiono z sumy dziesięciokrotnie większej od tego, co wpłynęło. Podobnie rabunkową gospodarkę prowadziła Kompania Wschodnio-Indyjska - jeśli to w ogóle gospodarką można nazwać - w Indiach południowych, chociaż na mniejszą skalę w cyfrach absolutnych, ponieważ ziemie te produkowały mniej, niż Bengal.

A najwięcej cierpiał na tym, oczywiście, lud. Zastrzeżono hojne wypłaty - luksus, wystawny tryb życia, tancerki - dla marionetkowych książąt i ich sprzedajnych ministrów, a „trzydzieści milionów ludzkich istnień doprowadzono do skrajnej nędzy”. Kataklyzmowi, jaki miał ogarnąć Indie wkrótce po wyjeździe Clive’a, dały początek aneksje Kompanii. Za parę krótkich lat stopy żałobne spopieła, a Ganges zanieś do morza jedną trzecią ludności Bengalu, Biharu i Oryssy - zagłodzoną na śmierć. Ofiary ceny krwi, której rzeźnicza Kompania kazała płynąć razem ze swoim funtem mięsa.

Rozdział XXIV

W OBLICZU OSTRACYZMU I BUNTÓW

Chociaż Lord Robert Clive tym się różnił od Josepha Dupleix, że nie ubiegał się o tytuł hinduskiego księcia, jednakże żył w Kalkucie na stopie, której by się nie powstydział żaden książę. Makaty i dywany, wspiane srebra stołowe i meble, w jakie wyposażył gubernatorski pałac, radowały oko nielicznych znawców, a budziły zawiść wielu. Jego świetne ekwipaże i bogato przystrojeni sepojscy jeźdźcy z przybocznej gwardii przyciągali na ulicach miasta wzrok wszystkich.

Ale za jego stołem brak było nastroju serdecznej gościnności. Sam pił bardzo umiarkowanie i nie namawiał swych gości do trunków. Swobodny śmiech rzadko kiedy przerywał rzeczową rozmowę, którą Clive prowadził i narzucał towarzystwu. Podejmujący gości pan domu był poważny, majestatyczny, wyniosły. Bywało, że nawet błyskotliwa żywość umysłu Edmunda Maskelyne i jego nieco złośliwy dowcip nie mogły zapobiec wszechogarniającemu nastrojowi zwykłej nudy. Ale i tak, gdy Clive po przyjeździe z Anglii dotarł do Kalkuty, całe tamtejsze towarzystwo ubiegało się o zaproszenia na jego luksusowe obiady i wieczery, bowiem stół u niego zastawiano najwyborniejszymi przysmakami, kielichy napełniano najwykwintniejszymi winami z Europy.

Jednakże wkrótce po powrocie Clive'a z jego uwieńczonych świetnymi sukcesami rokowań w Muti Jhil, Benaresie i Allaha-badzie, wytworzyła się taka sytuacja, że tylko jego osobiści przyjaciele, których było niewielu, i garstka sykofantów spośród personelu Kompanii przyjmowała jego zaproszenia. Zmieniwszy własny stosunek do metod szybkiego zdobywania fortuny i narzuciwszy to samo innym urzędnikom Kompanii, Clive przekonał się, widząc puste krzesła za swoim stołem i słuchając plotek, powtarzanych mu przez wiernych przyjaciół lub sykofantów, że trudniej wybacza się cnoty, niż te z naszych wad, z których inni mogą korzystać.

W związku z próbami zreformowania administracji, Clive zrobił to, o co go niegdyś daremnie prosił Mir Kasim: zabronił nadużywania dastaków przez urzędników Kompanii, którzy za ich okazaniem uzyskiwali wolny od opłat przejazd dla towarów pochodzących z ich prywatnego handlu, a nawet sprzedawali dastaki krajowym kupcom. Zdając sobie sprawę, że takie posunięcie odbije się dotkliwie na dochodach osób zainteresowanych, Clive chciał to wynagrodzić do pewnego stopnia, i zwrócił się do „India House” z prośbą o ustalenie jakiejś sensownej skali wynagrodzeń dla urzędników. Jednakże Rada Dyrektorów odmówiła mu. Pensja członka rady w Kalkucie nadal wynosiła śmieszłą sumę trzystu funtów rocznie, a kancelisty - pięć. Odmowa była krótkowzrocznością, głupotą, zaproszeniem do niesubordynacji i łapownictwa. Anglicy w Kalkucie żyli bez wątplenia ponad stan i spodziewali się zbić oszałamiające fortuny w parę lat. Ale należało im się, by mogli żyć przynajmniej na takim poziomie, jak bogatsi miejscowi kupcy, i nie było nierozsądne, iż się spodziewali jakiejś rekompensaty za lata, spędzone z dala od kraju, w klimacie, który zniszczył niejednemu zdrowie. Dyrektorzy nie przeczyli temu, ale życzyli sobie, żeby koszty pokryli bengalscy wieśniacy, a nie bajecznie bogata Kompania Wschodnio-Indyjska.

Niechęć urzędników nie zwróciła się przeciw Kompanii, ale przeciw Clive'owi, chociaż on właśnie widział i próbował zaradzić trudnościom, w jakich musieli się znaleźć ci spośród urzędników, którzy chcieli żyć uczciwie i przestrzegać nowego regulaminu Kompanii. Poglębiły tę niechęć inne reformy Clive'a. Gdy zabrał się do skontrolowania działalności administracyjnej Kompanii na jej terytoriach, znalazł dowody zaniedbań i nadużyć. Najm-ud-Daula i Rai Dulab skarżyli się, że odpowiedzialni urzędnicy Kompanii organizowali wszystko tak, by dla nich było najlepiej. Odstępowali za wysokim wynagrodzeniem swoje uprawnienia banianom, którzy zagarniali wszystkie płody i produkty kraju, zmuszając wieśniaków i rzemieślników, by im sprzedawali za grosze, a kupowali od nich po wyśrubowanych cenach.

Zgnilizna brała początek w Kalkucie i szerzyła się po innych angielskich osiedlach i faktoriach, po wszystkich miastach i wioskach. Dnia 24 marca 1766 roku Clive pisał do „India House”:

„Obowiązki sekretarza departamentu sprawuje młodzik o trzyletnim stażu w waszej służbie; głównym buchalterem jest kancelista, figurujący jeszcze niżej na liście personelu; ważne funkcje magazyniera wojskowego, magazyniera marynarki wojennej i magazyniera materiałów budowlanych oddano, gdy ostatnio wakowały, kancelistom; także kanceliście dostała się posada kasjera wojskowego i przez jego ręce przechodzą co miesiąc sumy sięgające dwudziestu lakhów rupii (200 000 funtów).” Obowiązki, związane z tymi stanowiskami, wypełniali w rzeczywistości hinduscy faktorzy i hinduscy urzędnicy. „Ba-nianowie stali się głównymi pracownikami w kilku departamentach” - pisał dalej Clive. „Sprawy Kompanii płyną korytem nowym i nienaturalnym: wasze najtajniejsze sprawy są publicznie omawiane na bazarach”.

Przeprowadzając reformy, Clive nie spotykał się z pomocą ze strony rady. Ci najwyżsi w Kalkucie urzędnicy za głęboko byli sami wmieszani w nadużycia i łapownictwo, by można było się po nich spodziewać rzetelnej współpracy. Kilku członków rady było kierownikami faktorii, bardzo odległych od Kalkuty, gdzie więcej było sposobności robienia fortuny, a nieprawidłowości mniej rzucały się w oczy. Z członków tajnej komisji generał Carnac znajdował się z wojskiem w Oudh, Sykes był przedstawicielem Kompanii w Murshidabadzie, a Verelst w głębi kraju próbował realizować reformę lokalnej administracji i system ściągnięcia podatków. Tylko Sumfier został w Kalkucie. Człowiek słaby, bez energii, łatwo ulegający wpływowi, na niewiele mógł się przydać gubernatorowi, a nawet skłaniał się raczej na stronę skorumpowanych urzędników.

Zawakowały trzy krzesła w radzie kalkuckiej. Pozostali członkowie chcieli awansować na te stanowiska urzędników o stosunkowo krótkim stażu i splamionych sprzedajnością, która jak zła krew płynęła żyłami administracji. Clive odmówił zatwierdzenia tych kandydatur. Miał inne plany.

Po pierwsze, wprowadził zasadę, że nikt, kto sprawował jakieś obowiązki w Kompanii poza Kalkutą, nie mógł zasiadać w radzie. To automatycznie wykluczyło pięciu z pozostałych członków. Następnie wezwał z Madrasu kilku doświadczonych urzędników z zamiarem powierzenia im ważnych funkcji i mianowania ich do rady. Administracja Madrasu, pisał Clive:

„...była, biorąc ogólnie, nienaganna i wprowadzenie do Bengalu przykładów takiej wstrzeźliwości, obowiązkowości i subordynacji przyczyni się, jak ufam, do przywrócenia tutaj ładu i prawidłowej pracy.”

Clive pomijał fakt, że „wstrzeźliwość, obowiązkowość i subordynacja” w Madrasie mogły tam istnieć dlatego, że urzędnicy Kompanii nie mieli przed oczyma takiego przykładu przekupstwa, jakie towarzyszyło intronizacji Mir Jafara w roku 1757.

W przyszłości miało się pokazać, że „przywrócenie ładu i prawidłowej pracy” nie przyjdzie w

Bengalu tak łatwo. Od czasu bitwy pod Plassey, Anglicy uważali Bengal za kurę, posiadającą niewyczerpane możliwości znoszenia złotych jajek. Każdy urzędnik Kompanii spodziewał się wytrząsnąć jajko dla siebie.

Tymczasem Clive kolekcjonował cenne przedmioty, by przyozdobić nimi szczerze kochaną żonę i swoje angielskie siedziby. W listach do Peggy wylicza nabytki:

2*5

„Dnia 30 września 1765.

Szkatułka z diamentami, rubinami i perłami rzadkiej wartości, bardzo admirowane... zakupione za bardzo wysoką sumę... Jedenaście zwojów muślinów i szali, także dwie szkatułki z olejkiem różanym... jeden niezwykle mały ogier i dwie jeszcze mniejsze klacze. Śliczny to konik i tańczy nieporównanie...”

„Dnia 31 stycznia 1766.

...mnóstwo kuriozów, takich jak złocisty ptak i jelen nie większy od kota...skrzynia pełna szali, obrazów, szabli i innych cennieści...także jedna beczka Madery i piętnaście ton drzewa brazylijskiego na meble w naszych domach w Londynie i na wsi...”

„Dnia 8 września 1766.

Dostałem jeden z najpiękniejszych naszyjników z pereł, jaki kiedykolwiek widziano. Wart co najmniej 2000... dał mi go nabab Oudh...”

Te prezenty, których przyjęcia, jak już pisał do Peggy, nie mógł odmówić, ponieważ były mu ofiarowane publicznie, Clive później zgłosił w „India House” razem ze szczegółowym zestawieniem wszystkich swoich wydatków i pokwitowań za okres pełnienia obowiązków gubernatora Bengal. Postanowił, że nic osobiście nie zyska przez ten okres, i jego wydatki przekroczyły jego dochody o ponad pięć tysięcy funtów - mógł sobie na wydanie tej sumy pozwolić, zważywszy olbrzymie dochody płynące z zainwestowanych przez niego w Kompanii kapitałów.

Wezwanie z Madrasu urzędników, którzy mieli otrzymać priorytet przed urzędnikami w Bengalu, poruszyło do głębi całą angielską Kalkutę. Większość urzędników zorganizowała się w stowarzyszenie, skierowane przeciwko gubernatorowi. Codziennie Strachey przynosił Clive’owi stos listów z odmowami zaproszeń do gubernatorskiego pałacu, sformułowanych w zaledwie grzecznych słowach. Maskelyne powtarzał, czego się dowiedział:

- Zabroniono składania ci wszelkich wizyt; urzędnicy, którzy tu przyjadą z Madrasu z rodzinami, będą bojkotowani. Ostracyzm ma również objąć każdego urzędnika, który nie usłucha nakazów tego ich stowarzyszenia. Ze mną nikt nie rozmawia. Moje wiadomości mam od banianów.

Clive tylko ramionami wzruszył i rzekł:

- Spędzimy parę spokojnych wieczorów. I zaoszczędzę co nieco na kosztach reprezentacji.

Stąd puste krzesła na przyjęciach w pałacu gubernatorskim. Clive zbierał owoce własnej niekonsekwencji.

Stowarzyszenie wystosowało następnie memoriał do „India House” w Londynie, wyszczególniając swoje pretensje: od ograniczenia prezentów, wycofania dastaków z prywatnego handlu, sparaliżowania działalności członków rady, interweniowania w ustalone metody ściągania podatków, aż do sprawy sprowadzenia urzędników z Madrasu.

Jak spysznieli w posiadaniu swoich wspaniałych domów, swoich lektyk, swoich arabskich wierzchowców, swoich haremów i wina ci ludzie, którzy, gdyby zostali w Anglii, na skromnych posadkach, do których jedynie się nadawali - byliby zerami. Ci nadęci pigmeje wyobrażali sobie, że

potrafią pokonać człowieka, przed którym książęta i cesarz drżeli. Jak mało go rozumieli. A on ich traktował z pogardą, na jaką zasługiwali.

Wysyłając memoriał stowarzyszenia do Londynu, Clive pisał:

„Wydaje się, że chodzi o to, czy w przyszłości my, czy też ci młodzi paniczowie będą trzymali ster rządów. Spójrzcie na ich nazwiska podpisane na memoriale, zbadajcie ich staż, ich zasługi w służbie, a tak jak mnie, zadziwi was arogancka zarozumiałość młodych...”

Clive zawiesił w wykonywaniu obowiązków sekretarza rady, który ponoć był organizatorem stowarzyszenia. Innym, bardziej aktywnym w buntowniczych poczynaniach, zabroniono wszelkiego prywatnego handlu i zostawiono wyłącznie w posiadaniu ich szczupłych pensji. Clive wiedział, gdzie ich uderzy najdotkliwiej - po kieszeni. Stowarzyszenie rozleciało się w proch. Stracheya oblegano prośbami, o zaproszenia na przyjęcia do domu ich pana i władcy. „On jest naszym królem” pisał któryś z nich do przyjaciela. „Jego słowo jest prawem”.

Nadeszła trudniejsza próba, z którą rozprawiając się, Clive wykazał taką samą żelazną wolę. Angielscy oficerowie w Indiach otrzymywali oprócz żołdu dodatek zwany „batta” za służbę w polu, a to dlatego, że w początkach istnienia Kompanii wojskowi często narażeni byli na niewygody i mogli dostawać europejską żywność - jeśli w ogóle mogli - tylko dużym kosztem. Kiedy po raz pierwszy Clive zawarł traktat z Mir Jafarem w roku 1757, przyszły subadar zgodził się podwoić ten dodatek tytułem zachęty dla angielskich oficerów do podejmowania uciążliwych i ryzykownych obowiązków, które inaczej mogliby uważać jako wykraczające poza ramy ich służby. Podwójną „battę” wypłacano podczas panowania Mir Ja-fara i Najm-ud-Dauli. Ale gdy urząd ministra skarbu, czyli „diwani”, wraz ze ściąganiem podatków, a także rozdzielaniem dochodów przejęła Kompania - londyńscy dyrektorzy, z aprobatą Clive’a, postanowili zaprzestać wypłacania podwójnego dodatku innym oficerom prócz tych, którzy dowodzili oddziałami żołnierzy na odległych placówkach. Gdzie indziej pojedyncza „batta” przysługiwała w pochodzie, albo gdy wojsko zamieszkiwało pod namiotami; pół „batty”, jeżeli w garnizonach; w Kalkucie wcale nie wypłacano „batty”, a w zamian tego przysługiwało im darmowe mieszkanie.

Clive ogłosił ten nowy regulamin. Oficerowie, tak samo jak urzędnicy cywilni, uważali służbę w Indiach za sposobność do wielkich zarobków. Ich osobiste interesy przekreśliły poczucie dyscypliny. Rozrzucone regimenty i bataliony zaczęły się ze sobą półoficjalnie porozumiewać, utworzyły się komitety, szukano poparcia u niezadowolonych urzędników, łączono się przeciw władzy. Założono fundusz na zabezpieczenie finansowe oficerów, którzy mogliby zostać zwolnieni za niesubordynację, a buntujący się urzędnicy przysyłali sumy na ten cel. Dowódcy brygad poinformowali Clive’a, że większość ich oficerów zamierza się podać do dymisji, o ile nowy regulamin nie zostanie odwołany. Niepoprawny intrygant, Sir Robert Fletcher, w nadziei przysporzenia kłopotów wrogowi swego przyjaciela, Sulivana, podburzał do buntu.

Krytyczna sytuacja. Wojsko bez oficerów, albo z ich niewystarczającą liczbą, byłoby gorzej niż nieużyteczne - byłoby zagrożeniem, zwłaszcza, że większość żołnierzy stanowili sepoje. Nie trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni, by przewidzieć, jak radzowie mogą podchwycić taką sposobność. Oficerowie uznali, że zapędzili Clive’a w ślepią uliczkę. Ale podobnie jak urzędnicy, źle ocenili człowieka, z którym mieli do czynienia.

„Co do mnie” pisał Clive do jednego z dowódców brygad, Sir Roberta Barkera, „musieliby mi przystawić bagnety do piersi, zanim bym uległ... Najwyższe niebezpieczeństwo zagrażałoby Bengalowi, gdybyśmy musieli podporządkować władzę cywilną ludziom, którzy posunęli się tak

daleko, iż zgorzsyliby całą Anglię...”

Oficerowie przejęli inicjatywę. Ale Clive’a niełatwo było zmusić do zajęcia wyłącznie defensywnego stanowiska. Posłał do Madrasu po oficerów na zastępstwo, po czym wydał wszystkim brygadam rozkaz ogłaszający, że każdy oficer, rezygnujący ze służby w Bengalu, zostanie wykluczony na zawsze ze służby w Kompanii w jakimkolwiek charakterze. Odwiedził wszystkie większe oddziały, przemawiał do oficerów.

- Postępujecie źle i głupio... narażacie na szwank tę dyscyplinę, która, jak wiecie, stanowi kręgosłup wojska... jeśli oficerowie zawiną niesubordynacją, czego można oczekiwać po ich podwładnych żołnierzach? Zastosujcie się natychmiast, bez żadnej zwłoki, do regulaminu Kompanii, a wszystko będzie wybaczone i zapomniane... Ale jeśli będziecie upierać się przy buntowniczym zachowaniu, narazicie samych siebie...

Maskelyne donosił Peggy w swoim zwykłym, na wpół poważnym, na wpół sardonicznym stylu:

„Robert dobrze odegrał tę rolę. Melodramatycznie, to pewna, ale nie powtarzaj mu, że tak powiedziałem. Stawał przed jedną po drugiej grupą oficerów, dowodzących piechotą z gotowymi do strzału karabinami i artylerią z naładowanymi działami. Efekt byłby tym jaskrawszy, gdyby buntownicy mieli brunatną lub czarną skórę. Sama wiesz: „Nieugięty biały człowiek zmusza ognistym spojrzeniem czarnych barbarzyńców do uległości!” Ale ci buntownicy byli oficerami i Anglikami. Tym większa dla nich hańba...”

Tu i ówdzie kilku się poddało, ale większość jednak złożyła rezygnację. Clive i dwaj lojalni dowódcy brygad - Sir Robert Barker i Richard Smith - kazali aresztować tuzin przywódców, wysłali oddział sepojów, by otoczyli grupę oficerów, którzy opuścili Monghyr, i sprowadzili ich do Kalkuty. W Allahabadzie aresztowani oficerowie zagrozili wyłamaniem się z więzienia i usłyszeli w odpowiedzi, że w takim razie zostaną zastrzeleni w czasie próby ucieczki. W tym krytycznym momencie przyjechali oficerowie z Madrasu. Cokolwiek by się nie stało, wojsko nie zostanie bez oficerów. Uparci buntownicy zorientowali się, że stracili inicjatywę, że poprzednia siła ich pozycji jest już podminowana.

W dalszym ciągu listu do siostry Edmund donosił:

„Muszę przyznać, że nigdy bardziej nie podziwiałem Twego męża. Może nigdy tak bardzo. Wiesz, że pomimo długoletniego przywiązania, jakie dla niego żywię, nie wszystko, co robił, mogłem pochwalić. Tak dalece, że nie byłbym tu teraz, gdybyś Ty nie nalegała, żebym z nim pojechał. Ale wątpię, czy jest w tej chwili w Anglii drugi człowiek, który by potrafił, właściwie mówiąc w pojedynkę, rozprawić się z tymi łajdakami oficerami. Nie przypadła mu ta robota do smaku, mogę Ci zapewnić. Ale nie mógł się wykręcić. Między nami mówiąc, wątpię, czy te wszystkie reformy Roberta przetrwają próbę czasu. Ale założyłbym się, że nie będzie więcej buntu oficerów...”

Sir Roberta Fletchera postawiono przed sąd wojskowy i wyrzucono z wojska. Kilku innych oficerów odesłano do kraju. Tych, którzy pod innymi względami mieli nienaganną do tej pory przeszłość, a teraz okazywali skruchę, przywrócono do obowiązków i szarż.

Tylko odwagą i siłą charakteru Clive ocalił armię w Ben-galu od większej hańby, może ocalił życie tym ludziom i urzędnikom cywilnym także, bo wojownicy radzów aż się palili, by podchwycić sposobność pomsty i oswobodzenia swego kraju.

Kłopoty, wynikłe z reformy warunków służby cywilnej i wojskowej w Kompanii, może nigdy by się nie zdarzyły, gdyby celem przeprowadzenia tej reformy wysłano do Indii kogo innego, a nie Lorda Clive o splamionej przeszłości. Winę za to należy złożyć na karb rady dyrektorów Kompanii

Wschodnio-Indyjskiej.

Po powrocie do Kalkuty Clive zachorował. Wyczerpało go to gigantyczne zadanie, które przedsięwziął i usiłował zrealizować w najkrótszym możliwie czasie, by się tym prędzej znaleźć z powrotem w Anglii, przy Peggy, i powrócić do walki o władzę w „India House”. I, jak zwykle w wyczerpaniu i depresji, dr Jekyll kwestionował wiele posunięć pana Hyde; coraz dalej idącą opresję niegdyś wolnego ludu; surowość wobec urzędników Kompanii, którzy w swej sprzedajności szli tylko za przykładem swych poprzedników, a między innymi samego Clive’a; ostentacyjność nowo nabytej uczciwości maskująca powiększenie dochodów, płynących z coraz grubszego portfela akcji Kompanii.

Jeszcze zanim ogarnęła go ciemność melancholii, Clive musiał rozstrzygnąć pewien problem. Mir Jafar, niemało wycierpiawszy z rąk Vansittarta, Spencera i innych odpowiedzialnych za kierownictwo sprawami Kompanii w latach 1760-65, doszedł do przekonania, że jeśli trzeba być marionetką w czyimś ręką, to bywają gorsze ręce od Roberta Clive. Toteż w swoim testamencie człowiekowi, który go pierwszy osadził na masnudzcie, zapisał pięć lakhów rupii.

- Przyjmowania zapisów nie zabroniono umowami i zastrzeżeniami Kompanii - oznajmił Clive. - Te pięćdziesiąt tysięcy funtów mogę posłać do Anglii.

- Na litość boską, nie rób tego! - wykrzyknął Maskelyne. - Choćbyś i miał słuszość z punktu widzenia prawnego, nie możesz oczekiwać, by inni, którzy pod przymusem podpisywali umowy, ocenili to tak jak ty. Powiedzą, że prezent to prezent, od żywego czy od umarłego.

Po długich dyskusjach i samotnych namysłach, Clive zdecydował, że jego szwagier ma jednak rację. Wynalazł więc rozwiązanie problemu. Razem ze Stracheyem, wykombinowali następujący list do rady:

„...bezzwłocznie wpłacę tę sumę do skarbu Kompanii w Kalkucie. Procenty od tej sumy proponuję corocznie rozdzielać w stosunku przeze mnie ustalonym między oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy stali się niezdolni do dalszej służby z powodu odniesionych ran, wieku lub choroby, nabytej w czasie służby Kompanii, i których stan materialny nie pozwala im na zapewnienie oficerom godnego, a innym szarżom przyzwoitego utrzymania w ich ojczystym kraju...”

Wdowy po takich oficerach i żołnierzach, a także po zabitych w służbie Kompanii również korzystały z funduszu, którym dysponować miał każdorazowy gubernator i rada w Kalkucie - po wieczne czasy.

Rozwiązanie było wielkoduszne, wypłacało się dobrem za złe zbuntowanym a skruszonym oficerom, uniemożliwiało, praktycznie biorąc, londyńskiej radzie dyrektorów zagarnięcie legatu i bez wątpienia znacznie poprawiło reputację i popularność Clive’a. Peggy mądrze postąpiła, namawiając swego brata, by towarzyszył jej mężowi do Indii.

W październiku roku 1766 gubernator Kalkuty, de facto władca Bengalu, Biharu i Oryssy, uległ zupełnemu nerwowemu załamaniu. Będąc, jak sam to później określił, „pozbawiony zmysłów”, musiał być przeniesiony do siedziby na prowincji. Odwiedził go tam generał Carnac, który dnia 4 grudnia wysłał długie, szczegółowe sprawozdanie do Lady Clive:

„...gwaltowna choroba nerwowa; strapiło innie ponad miarę, kiedym ujrzał osobę, obdarzoną tak nadzwyczajną siłą woli, teraz w takiej opresji duchowej, iż przekraczała wszelkie wyobrażenie o historii, jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem. Tym bardziej mną to wstrząsnęło, że nigdy dotąd nie widziałem go w podobnym stanie... Może ulgą w trosce o małżonka będzie dla milady informacja, że gdyby nie okoliczność jego choroby, byłby zapewne zaangażowany w służbie tutaj jeszcze przez rok,

a teraz nasz wyjazd jest już absolutnie postanowiony i statek „Britannia” szykuje się do najprędszego przewiezienia nas do kraju...”

Londyńscy dyrektorzy rzeczywiście gorąco namawiali Clive’a, by poświęcił jeszcze jeden rok na utrwalenie tego, co rozpoczął. Ale dnia 29 stycznia 1767 roku, z generałem Carnaciem, Edmundem Maskelynem, Stracheyem i innymi z najbliższego otoczenia, Clive wyruszył w drogę powrotną do Anglii, gdzie przybył w pół roku później. Podczas podróży powietrze morskie, hojne dawki opium i odpoczynek od męczących zajęć w znacznym stopniu poprawiły jego stan zdrowia.

W czasie sprawowania urzędu gubernatora Bengal, zbyt krótkiego, by mógł osiągnąć trwałe rezultaty, Clive usiłował wykorzenić korupcję i nadużycia w służbie Kompanii. Jednocześnie przekształcił ofensywną, ekspansjonistyczną spółkę handlową we władców imperium de jure. Zdławił bunt oficerów wojsk Kompanii. Przyszłość pokaże, że jego reformy nie były dość radykalne, jego traktaty z Wielkim Mogołem nie wytrzymały próby czasu. Nie naprawił skutecznie złej administracji, za którą odpowiedzialność spadała pospołu na angielskich i hinduskich urzędników, wszystkich troszczących się najbardziej o własne interesy, znacznie mniej o interesy Kompanii, a w ogóle nie troszczących się o losy kraju i jego ludności.

W dziewięć lat po ostatecznym wyjeździe Clive’a z Indii filozof i ekonomista Adam Smith miał napisać w swym słynnym dziele: „Bogactwo Narodów”:

„Rząd w Indiach... z konieczności składa się z rady kupców... Ta rada może narzucić posłuch jedynie siłą wojska, jakie jej towarzyszy, więc jej rządy są militarne i despotyczne...”

Nalegając na utrzymywanie stałej, silnej i dobrze wyposażonej armii w Indiach Clive dowiódł, że się zgadzał ze zdaniem Adama Smitha. Ale o ile wielki ekonomista potępiał taki ustrój, gubernator Bengal usiłował przedstawić „militarne i despotyczne rządy” jako pożądane. Zasady tej administracji miały być zmieniane przez jego następców, dziedziców rozlicznych trudności, jakie stąd wynikły, a później przekształcone przez rząd brytyjski. Ale ich zasadnicze podstawy - eksploatacja, wyzysk, wymuszanie pod groźą siły zbrojnej - miały pozostać. Po blisko stu pięćdziesięciu latach istnienia ustroju, stworzonego przez Roberta Clive w imieniu i w interesie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, największy wódz hinduskiego ruchu niepodległościowego, Mahatma Ghandi, nazwie ten ustrój: „zbrodniczym ponad wszelkie określenie”.

Rozdział XXV

ZBRODNICZY LORD

Wkrótce po ostatnim powrocie Clive'a do Anglii Samuel Foote, aktor i dramaturg, wystawił w Londynie sztukę zatytułowaną „Nabab”. To złośliwe przezwisko przyczepiono dyrektorom Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i jej urzędnikom na placówkach zamorskich. W jednej ze scen - a cała sztuka odzwierciedlała powszechną opinię o „nababach” - burmistrz jakiegoś miasteczka rozmawia ze swoim radcą prawnym:

„Burmistrz: Jak to się dzieje? I skąd ci ludzie biorą takie pieniądze?

Radca: To proste: z naszych zamorskich posiadłości i osiedli.

Burmistrz: Może być. Dawno już chciałem zapytać, co to są te posiadłości i osiedla, bo ja przecież nigdy nie byłem za morzami.

Radca: Mogę to wyjaśnić, panie burmistrzu, w paru słowach. Oto grupa kupców przybywa do dalekiego kraju i prosi, by ich wpuścić, jako przyjaciół, dać im zakątek jakiś i zezwolić na prowadzenie handlu ze spokojnymi mieszkańcami, którzy dobrodusznie wyrażają zgodę.

Burmistrz: Czyż nie jest to bardzo uprzejmie z ich strony?

Radca: Z pewnością. Następnie my, panie burmistrzu, chytrze zaczepiwszy się w tym kraju, fortyfikujemy nasze osady, rozszerzamy je stopniowo, aż w końcu stajemy się zbyt potężni dla krajowców, zagarniamy ich ziemie i zabieramy ich pieniądze i klejnoty.

Burmistrz: A czy to nie jest trochę nieuprzejmie z naszej strony?

Radca: Bynajmniej! Ci ludzie są niewiele lepsi od barbarzyńskich Tatarzynów.

Burmistrz, parszkając śmiechem: O, nie, nie panie radco, odwrotnie: to my za łeb trzymamy Tatarzyna!”

Sztuka cieszyła się szalonym powodzeniem. „Nababów” powszechnie nienawidzono. Powróciwszy z Indii, ostentacyjnie chełpili się swoim bogactwem. Ludzie o miążkich umysłach, którzy, gdyby zostali w kraju, prowadziliby życie w ubóstwie, nikomu nieznanym, teraz kupowali wielkie majątki i pałace, gdzie trzymali kucharzy Francuzów, lokai Szwajcarów, forysiów Mulatów, hinduskich chłopców do butów, a kamerdynerów Murzynów. „Nababowie” udawali pogardę wobec dziedzicznej arystokracji, ale małpowali ich maniery i styl życia. Usiłowali się wkręcić do ekskluzywnego towarzystwa, wydając huczne przyjęcia, rozbijali się po Londynie fantastycznymi ekwipażami z poczem forysiów i stangetów o rozmaitej barwie skóry, a przystrojonych w liberie tak jaskrawe, że przyćmiewały służbę książęcą. Szastali pieniędzmi, wyrzucając je na pochlebców i pieczeniarzy, rozprawiali bez ustanku o rupiach i lakhach, di-wanach i gomastach, dastakach i jaghirach. Gdy ktoś szlachetnego urodzenia zarzucił pewnemu „nababowi”, że „nie jest dżentelmenem”, ten odparł:

- Może i nie jestem. Ale mogę kupić dżentelmena.

Opowieści o fortunach, które można było zbić na Wschodzie, podniecały chciwość i żądzę.

Ludzie przekupywali dyrektorów Kompanii, dając im po trzy tysiące funtów, byle tylko dla syna, zięcia czy kogoś z rodziny uzyskać posadę kancelisty z pensją pięciu funtów rocznie. Czyż sam wielki Lord Clive, który stał się najbogatszym człowiekiem w królestwie, i całą rodzinę hojnie wyposażył, nie zaczynał przed kilku laty jako kancelista?

„Nababowie” irytowali również, płacąc wielkie sumy za fotele poselskie. Lord Chesterfield, szukając okręgu wyborczego dla swego syna narzekał, że spodziewał się kupić go za dwa i pół tysiąca funtów, a z powodu dodatkowej rywalizacji „nababów” ceny poszły w górę do czterech, nawet pięciu tysięcy. W jednym z okręgów poselskich, mianowicie Sudbury, na wschodnim wybrzeżu, jawnie i bezwstydnie wystawiono własne przedstawicielstwo w parlamencie na licytację. Clive kupił fotele poselskie dla siebie i sześciu swoich krewnych i przyjaciół, włącznie z Edmundem Maskelyne i Henrykiem Stracheyem. Hrabia Chatham, jeden z największych angielskich mężów stanu, który zresztą dobrze wiedział, że polityczne życie w Anglii jest od dawna skorumpowane, zmuszony był jednak oznajmić:

- Od kilku lat daje się odczuwać w naszym kraju przyływ bogactwa, któremu towarzyszą fatalne konsekwencje, ponieważ nie jest normalnym, periodycznym produktem pracy i przemysłu. Zalały nas bogactwa Azji, sprowadzając jednocześnie nie tylko azjatycką zbytkowność, ale także, jak się obawiam, azjatyckie metody administracyjne. Bez żadnych związków ani naturalnego zainteresowania ziemią, importerzy obcego złota wpełchnęli się do parlamentu przy pomocy takiego potopu łapówek, jakiemu nie może się przeciwstawić żadna fortuna odziedziczona.”

Dawne metody przekupstwa praktykowali ludzie, którzy przynajmniej mieli „naturalne zainteresowanie” rolnictwem, rzemiosłem i pracą; którzy sami, albo ich ojcowie walczyli o miejsce Anglii pod słońcem przeciw Francuzom i Hiszpanom; a nie ludzie, którzy druzgotali brązowoskórych Hindusów armatnimi salwami. Daleko było dawnej korupcji do rozmiarów nowej, „nababowego gatunku”, kiedy to w latach od 1757 do 1766 urzędnicy Kompanii w Bengalu otrzymali w łapówkach ponad dwa miliony funtów szterlingów, a jako kompensatę za straty, rzekomo im wyrządzone przez Siraj-ud-Daulę i Mir Kasima - blisko cztery miliony.

Całą prawie angielską literaturę z końca XVIII wieku zabarwia pogarda, jaką utalentowani, inteligentni ludzie żywili dla „nababów” zarówno z powodu nieludzkich metod, które stosowali zdobywając swe fortuny, jak i z powodu jałowego ich marnotrawienia. W wielu powieściach z owych czasów czarnym charakterem bywa „nabab”, bogaty, okrutny, z chorą wątrobą i sercem z kamienia.

Ogólną wzgardę i nienawiść ściągnęły na głowy „nababów” nie tyle nawet błyskawiczna szybkość i często trudne do przełknięcia metody zdobywania ich fortun. Najpowszechniej raziła wulgarna ostentacja. Kupcy z Liverpoolu zgromadzili i nadal gromadzili olbrzymie fortuny na handlu niewolnikami z afrykańskich wybrzeży, działalności nie mniej nieludzkiej i zasługującej na potępienie od grabieży Bengalu. Ale ci kupcy żyli spokojnie, nie obnosili się publicznie ze swymi źle nabytymi bogactwami, nie małpowali arystokracji i wskutek tego nie ściągali na siebie - jak do tej pory - powszechnego oburzenia.

Trudno nazwać słusznym potępienie poszczególnych „nababów” a pomijanie organizacji, tworzącej ramy, w obrębie których powstały możliwości wzbogacenia się łatwego a szybkiego. Ludzie, wracający z bogactwami i zamiłowaniem do przepychu z Bengalu, stanowili produkt stanowisk, na jakie ich posłano. Umieszczono ich w warunkach, w których - z poparciem wojska tuż za plecami - wyzysk i wymuszenia same się narzucały. Zachęcał ich brak oficjalnych wynagrodzeń,

wystarczających na zaspokojenie ich najskromniejszych, rozsądnych potrzeb. Złą ręką za „nababami” była ekspansjonistyczna, nastawiona jedynie na wyzysk Kompania Wschodnio-Indyjska. Gdyby nie istniała, albo gdyby mniej polegała na sile wojskowej i mniej chciwie żądała zysków, nie byłoby „nababów”.

Jednakże powszechne potępienie spotykało jednostki. To było zrozumiałe. Jednostki stanowiły łatwiejszy cel, więcej satysfakcji sprawiało atakowanie ich, niż organizacji, która nie posiadała twarzy. Atakowanie instytucji zwykle bywa tak użyteczne, jak atakowanie wiatraków dzidą. Prawo wie o tym: nie



Obrady w Izbie Gmin w roku 1793 stawia w stan oskarżenia instytucji, lecz odpowiedzialne jednostki, wyróżniające się w działalności danej instytucji.

Arcy „nababem” był Lord Robert Clive. Powróciwszy do Anglii chełpił się, że zdobył dla Kompanii:

- ...imperium obszerniejsze od jakiegokolwiek królestwa w Europie, prócz Francji i Rosji; dochody wynoszące cztery miliony funtów rocznie i możliwości handlowe w proporcjonalnym stosunku.

Clive żył wystawnie w pałacu przy Berkeley Square, centrum bogactwa i mody. Miał dwie siedziby wiejskie, a prócz tego kazał rozebrać rodzinny dom w Styche i zbudować na tym miejscu nowy, wspaniały dwór. Otaczał się zawsze ekstrawaganckim przepychem, chełpił się fantastyczną ilością strojów, rozgłaszał swoje zamówienia na „dwieście koszul, najlepszych i najcieńszych, jakie można dostać jakim bądź kosztem”. Jego uczytły przewyższały wystawnością przyjęcia na królewskich dworach. I ciągnął za sobą w tym szalonym, bezsensownym galopie niechętną Lady Margaret, przytłoczoną ciężarem orientalnych jedwabi i klejnotów, nienawidzącą wulgarnej ostentacji, ale zawsze lojalną. Robert kochał ją prawdziwie, ale był zbyt wielkim egoistą, by ją zrozumieć. W jego oczach bogate podarki dowodziły najlepiej jego miłości, a tymczasem Peggy marzyła o spokojnym, cichym życiu na wsi z mężem i dziećmi.

Clive obraził radę dyrektorów Kompanii, a teraz narobił sobie nowych wrogów, arogancko odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień na temat swoich reform i poczynań w czasie ostatniego okresu urzędowania w Bengalu. Obraził także Izbę Gmin, agresywnie chełpiąc się tym, co w oczach rozważniejszych posłów stanowiło nieznośne wady, chociaż w jego własnych - było cnotami budowniczego imperium.

W ten sposób ściągnął na własną głowę potępienie nie tylko za detronizowanie prawowitych

książąt, za sprzedawanie tronów uzurpatorom, za oszukaństwa i sfalszowanie podpisu współspiskowca, za doprowadzenie do nędzy całych prowincji, ale także za wszystkie grzechy współkolegów, nawet tych, których on sam najbardziej krytykował, jak bezwstydny Van-sittarta, Spencera i reszty niecnej kalkuckiej zgrai. Gdy Londyn szydził z „nababów” jako bandytów, angielscy wieśniacy, przyglądając się wznoszeniu wiejskich siedzib Clive’a, szeptali między sobą, że „zbrodniczy Lord” dlatego każe tak grube mury budować, by nie dopuścić szatana, który go pewnego dnia porwie z duszą i ciałem.

W roku 1752 Clive podłożył proch i podpalił lont, wysadzając w powietrze hospicjum dla podróżnych, wzniesione przez Dupleixa na cześć triumfów Francuzów na Karnatyku. Podobnie późniejsze spiski, podboje i eksploatacje Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i urzędników w jej służbie tak podminowały Bengal, iż doprowadziły cały ten kraj do kompletnej ruiny. A dowodów nie dało się w roku 1771 dłużej ukrywać. Wieści, docierające do Londynu, pogłębiły powszechne oburzenie na „nababów”.

Kłęska głodu... posucha... zawiodły prawie zupełnie zbiory ryżu i zbóż... ludzie głodują w całym Bengalu, Biharze, Orys-sie... wieśniacy żywią się liśćmi i korą... zjadają mięso poświęconych zwierząt... ludożerstwo... dzieci rozdierają zwłoki zmarłych rodziców, matki zmarłych dzieci... zamożne kobiety w purdach odrzucają zasłony, korzą się przed przechodniami, błagając o garstkę ryżu... ulice Kalkuty i innych miast zatarasowane ciałami umarłych i umierających... ci, co są jeszcze ledwie żywi, nie mają sił, by wznosić stosy pogrzebowe, a nawet odpędzać sępy i szakale, obgryzające prawie pozbawione mięsa kości ludzkie... Ganges i Hugli codziennie unoszą do morza tysiące zwłok...

W samym tylko Bengalu podczas klęski głodu w roku 1770 zmarła trzecia część ludności: dziesięć milionów ludzi...

Nie można brać poważnie pod uwagę możliwości, że katastrofa przybrałaby takie rozmiary w liczbach istnień ludzkich, gdyby Indie pozostawiono pod rządami umiarkowanej wyzyskującej książąt, zamiast we władzy wyzyskiwaczy bezwzględnych: Kompanii Wschodnio-Indyjskiej i jej łowców fortun. Za suszę nie ponosiły winy żadne ludzkie czynniki; ale za jej tragiczne skutki winę ponosiła Kompania. Ekstensywna gospodarka nie pozwoliła wieśniakom na magazynowanie zapasów, co było ich tradycyjnym obyczajem. Prócz tego, w czasach niezawisłych rządów hinduscy książęta utrzymywali system irygacyjny, budowali i stale naprawiali wały wzdłuż brzegów Gangesu, zapobiegając podmywaniu i zagarnianiu przez wodę co roku olbrzymich połaci uprawnej ziemi, plantacji i całych wiosek. Od kiedy diwani przejęła Kompania, gospodarując, według słów Clive’a, na zasadzie: „bierzmy dzisiaj, co się da; niech jutro się samo troszczy o siebie” - zaniechano wszystkich tych dobroczynnych a koniecznych prac. I nadeszło owo „jutro” - ale już nie mogło „troszczyć się samo o siebie”.

A jak troszczyła się Kompania o Bengal podczas klęski głodu?

Za czasów rozkwitu imperium Wielkiego Mogola wzniesiono i stale napełniano olbrzymie spichlerze, jako zabezpieczenie na wypadek suszy i głodu. Z tych spichlerzy żywiono tysiące głodnych - za darmo. Ale Kompania Wschodnio-Indyjska nie zabezpieczyła w ten sposób ludności. Jej urzędnicy, na pierwszą wzmiankę o ewentualnym braku żywności, wykupili prywatnie ziarno z chciwością skąpców, zapełnili własne magazyny - i po pewnym czasie zaczęli sprzedawać po cenach ośmio-, dziesięcio-, a nawet dwunastokrotnie wyższych od tego, co zapłacili. Jeden angielski urzędnik, który w roku 1768 nie miał nawet stu gwinei, w roku 1770 - roku najstraszniejszej klęski

głodowej - przekazał na swoje osobiste konto w Londynie sumę 60 000 funtów.

Diwan Bengal, Bihar i Oryssy w ciągu trwania klęski głodowej bez przestanku zbierał swoje złote jajka, z rygorami może jeszcze obostrzonymi. „Nigdy tak ściśle nie przestrzegano ściągania podatków” pisał przedstawiciel Kompanii w Murshidabadzie. W roku 1770 rada w Kalkucie donosiła z dumą:

„Śmiertelność, plaga żebractwa przekraczają wszelkie opisy... ale jesteśmy szczęśliwi (szczęśliwi!) podkreślając, iż wpływy z podatków zmniejszyły się mniej, niż mogliśmy oczekiwać...

A w roku 1772 Warren Hastings, teraz gubernator Bengal, pisał:

„Pomimo straty co najmniej jednej trzeciej mieszkańców prowincji, i wskutek tego upadku uprawy roli, wpływy netto za rok 1771 przewyższyły nawet dochód z roku 1768. (Jak „szczęśliwi” musieli być akcjonariusze!)... Należało się oczywiście spodziewać, że zmniejszenie wpływów za podatki będzie szło w parze z innymi konsekwencjami tak wielkiej katastrofy. Że jednak tak się nie stało, należy to zawdzięczać wręcz gwałtownemu ściąganiu należności...”

Bez komentarza.

Nic nie przyszło dyrektorom z tego, że się stroili w nieskazitelne białe szaty i udawali, jakoby nie życzyli sobie wywierania presji na głodujących wieśniakach hinduskich. Każdy pracownik, który chce pozostać na swojej posiadce, wie przynajmniej jedno: czego się po nim spodziewa pracodawca. I to stara się zrealizować. Urzędnicy Kompanii w Bengal wiedzieli, że dyrektorzy i akcjonariusze spodziewali się dywidend dużych i regularnych, wypłacanych ze ściągniętych podatków. Właśnie wtedy, gdy klęska głodu szalała, kilku dyrektorów wystąpiło z żądaniem podwyżki rocznych dywidend Kompanii z dziesięciu do dwunastu procent.

Podbój Bengal był mniejszą zbrodnią od stanu, do jakiego rabunkowa administracja tych ziem przez Kompanię i jej podwładnych doprowadziła ludność. William Becher, przyjazny obserwator Indii, pisał na rok przed klęską głodu:

„Anglikowi musi sprawiać ból fakt, że od chwili przejęcia diwani Bengal przez Kompanię... ten piękny kraj skłania się ku ruinie z powodu monopolu, narzuconego w imieniu Kompanii na wszystkie prawie manufaktury miejscowe...”

W Londynie i w całej Anglii oburzenie na „nababów” dosięgło szczytu. Poruszyło się sumienie nawet tej skorumpowanej epoki. Horace Walpole, wybitny człowiek pióra, pisał do przyjaciela:

„Inna jeszcze sprawa ujrzała światło dzienne, a jest naprawdę bardzo czarnej barwy. Jęk rozpaczliwy Indii sięgnął nieba, dokąd chyba z pewnością nie wpuszczą „z nieba zesłanego” generała Lorda Clive’a. Ach, drogi panie, przewyższyliśmy Hiszpanów w Peru! Oni byli rzeźnikami przynajmniej z powodu zasad religijnych, choć szatańscy w swoim ferworze. Myśmy mordowali, detronizowali, grabili, uzurpowali - a co pan sądzi o klęsce głodu w Bengal, która miliony ludzi pochłonęła, a zaostrił ją monopol środków żywności, narzucony przez urzędników Kompanii Wschodnio-Indyjskiej? Wszystko to teraz wychodzi na jaw, chyba że złoto, które inspirowało te okropności, zdoła stłumić prawdę. Voltaire powiada, że nauka, sztuka i filozofia złagodziły obyczaje ludzkości; gdy tygrys nauczy się czytać może złagodnieje, ale człowiek!”

Wzmagająca się również niechęć do Lorda Clive’a, mnożyły się opowieści o jego łupiestwach w Indiach. Wiele z nich było bez wątpienia przesadzonych; niestety, opierały się na podłożu faktów.

Sullivan i jego klika bacznie obserwowali sytuację. Wzmocnił ich powrót z Indii ludzi, których Clive w czasie swego ostatniego pobytu w Bengal usunął ze stanowisk, albo też przeszkodził im w zdzierstwach. Ci ludzie nienawidzili „zbrodniczego lorda” i tylko szukali sposobności do zemsty.

- Opinia publiczna przedstawia się niebezpiecznie - zauważył Sullivan. - Musimy dopilnować, aby nie zaatakowano samej Kompanii, aby wężący nazbyt ciekawie posłowie nie zechcieli wetknąć nosa w nasze wewnętrzne sprawy. Należy odwrócić ich uwagę. I mamy po temu sposobność.

Sullivan i inni z jego kliki w dyrektoriacie Kompanii zasiadali w Izbie Gmin. Wspólnie z innymi zaprzyjaźnionymi posłami ułożyli plan działania. Wszczęli nagonkę na Clive'a. Urzędnicy Kompanii pisali książki i broszury, by oczernić jego imię, a wybielać własne. Różnym gryzipiórkom płacono hojnie za oszczercze artykuły i pamflety, mieszające z błotem dawnego bohatera spod Plassey. Sir Robert Fletcher, słynny z intryg protegowany Sulivana, który podżegał do buntu oficerów w Bengalu, też chwycił za pióro.

Wiele z tego, co pisano, zgadzało się z faktami. Ale skrzypiące pióra maczano nie tyle w atramencie szczerzego oburzenia z powodu nadużyć albo prawdziwej troski o dobrobyt Hindusów, ile w witriolu, dostarczonym przez Sulivana, Fletchera i ich klikę.

Gdy w Izbie Gmin dały się zauważyć nastroje poruszenia w związku z wiadomościami, napływającymi z Indii, Sullivan i spółka podjęli następne taktyczne posunięcie. Wybrali chętnego kolaboranta, który, nie będąc osobiście akcjonariuszem Kompanii, mógł się wydawać bezstronnym. Był to pułkownik

John Burgoyne, światowiec, sławny z dowcipu i wykwinnych strojów. Jemu powierzono zadanie odwrócenia uwagi Izby Gmin od Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, przerzucając ją na wybranego kozła ofiarnego. Ale należało to uczynić sprytnie i umiejętnie.

W pierwszym swoim posunięciu w parlamencie Burgoyne nie wspomniał nazwiska Lorda Clive'a. Dnia 13 kwietnia 1772 roku przedstawił wniosek o utworzenie komisji „celem zbadania organizacji, stanu i działalności Kompanii Wschodnio-Indyjskiej oraz brytyjskich spraw w Indiach”. Burgoyne argumentował, że niektóre fakty są już osławione i że należy je zbadać w interesie milionów ludności. Brzmiało to bardzo szlachetnie. Ale Burgoyne był tak samo marionetką, jak niegdyś Mir Ja-far. A poruszający sznurkami Sullivan i Fletcher z pewnością nie zawiniли szlachetnością.

Przewodniczącym komisji wybrano samego Burgoyne'a. W tym charakterze przyjął on propozycję jednego z członków, protegowanego Sulivana, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie postępowania tych urzędników, którzy zgromadzili największe bogactwa w Bengalu od chwili intronizacji Siraj-ud-Dauli. Cel propozycji był wyraźny. Komisja przestała być z tą chwilą konstytucyjną organizacją, badającą sytuację w Indiach, natomiast przekształciła się w organ śledczy inkwizycji, mający na celu zniszczenie Lorda Clive'a. Sullivan i jego kompani uśmiechali się z satysfakcją w dzień i słodko śnili w nocy. Rząd nie zaprotestował przeciwko tej nielegalnej zmianie celu i charakteru działalności komisji. Wybitni politycy i posłowie do parlamentu też przeważnie byli akcjonariuszami Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Nawet jeśli nie wszystkich przekupiono, co łatwo mogło się być zdarzyć, bo pełnymi garściami rozrzucano „złoto, które inspirowało te okropności” - akcjonariusze nie życzyli sobie atakowania rządów Kompanii z możliwym niekorzystnym wpływem na ich dywidendy i wartość giełdową ich akcji.

Komisja wzywała jednego po drugim wrogów Clive'a na przesłuchania. Jego samego wypytywano szczegółowo o działalność w Bengalu - i jej motywy. Wywleczono transakcje z Mir Jafarem i pewne bardzo trudne do obrony afery, związane z Omichandem. Clive odpowiadał swym oskarżycielom z większą śmiałością, niż taktem. W sprawie Omichanda utrzymywał, że było rzeczą słuszną i sprawiedliwą oszukać takiego łajdaka. Tego rodzaju wypowiedź świadczyła dość żałośnie

o poglądach Clive'a na moralność i prawo. I rzeczywiście nie brakowało materiału, by stworzyć pozory, że Clive zasłużył na popularnie mu nadawane przezwisko „zbrodniczego lorda”.

Kiedy raport komisji przedstawiono w Izbie Gmin, Clive w dłuższym przemówieniu odpowiedział na te ustępy, w których - za poduszczeniem Sulivana - zaatakowano jego dobre imię. Przypomniawszy, że przyjmowanie prezentów bez żadnych ograniczeń było dozwolone, dopóki nie podpisano specjalnych umów, co miało miejsce podczas jego drugiego pobytu jako gubernatora w Bengalu i podkreślił, że obecni dyrektorzy sami otrzymywali takie prezenty, gdy byli w Indiach. I przeszedłszy do otwartego ataku na dyrektorów, zakończył:

- Panie Speakerze, nie pominięto niczego, gdzie tylko mogła istnieć możliwość wykrycia czegoś, co by świadczyło przeciwko mnie... Komisja badała mnie i przesłuchiwała jak złodzieja owiec raczej niż członka tej Izby... Przeszukano wszystkie publiczne sprawozdania, by znaleźć dowody przeciwko mnie; a były prezes Kompanii Wschodnio-Indyjskiej okazał w tym zaiste wielką gorliwość, tak wielką, że chyba zupełnie przeoczył zbadanie swoich własnych spraw. Gdy toczą się głowy w Tempie Bar (miejsce egzekucji zdrajców), ponieważ nadszedł kres stronnictwa Stuartów... zaproponowałbym, panie Speakerze, aby moją głowę, tytułem wyróżnienia, nadać na środkowy słup: jako że jego królewska mość nadał mi zaszczyty, słusznie należy je podtrzymać. A co, gdyby po obu moich stronach umieścić głowy byłego prezesa i byłego wiceprezesa Kompanii?

W danych okolicznościach to usprawiedliwione szyderstwo powitano brawami i śmiechem. Ale poklask był dla szyderstwa, nie dla Clive'a.

Dnia 10 maja 1773 pułkownik Burgoyne przedstawił Izbie do uchwalenia trzy wnioski:

„1. Ażeby wszelkie mienie, nabyte pod groźbą użycia siły militarnej, albo na podstawie traktatów z obcymi książętami, uznać za należące prawnie do państwa.

2. Ażeby przywłaszczenie rzeczonych mienia prywatnie przez osoby, którym powierzono cywilną lub wojskową władzę państwową, uznać za nielegalne.

3. Komisja stwierdza, iż bardzo wielkie sumy pieniężne oraz mienie innego rodzaju były nabywane od książąt i obywateli w Bengalu przez osoby, którym powierzono cywilną lub wojskową władzę państwową; które to sumy pieniężne i mienie zostały przywłaszczone na prywatny użytek rzeczonych osób.”

Nie ulegało wątpliwości, przeciwko komu wnioski były skierowane, chociaż w rzeczywistości Clive'owi nigdy nie powierzono „cywilnej lub wojskowej władzy państwowej”. Państwo odmówiło przejścia władzy w Bengalu. Clive sprawował władzę cywilną i wojskową w imieniu Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Nawet stopień pułkownika nadano mu z tym wyraźnym zastrzeżeniem, że ogranicza się do okresu jego służby dla Kompanii w Indiach.

Mowę na temat tych wniosków Clive zakończył słowami:

- Zwracam się do tej Wysokiej Izby z jedną tylko prośbą: aby rozstrzygając o moim honorze nie zapomniała o własnym.

Izba wysłuchiwała obrony w milczeniu - i uchwaliła wszystkie trzy wnioski Burgoyne'a. Krok za krokiem, rozwijał się podstępny plan Sulivana. Pozostawało tylko zadać ostatni cios.

Dnia 21 maja Burgoyne odrzucił wszelkie pozory zainteresowania „organizacją, stanem i działalnością Kompanii Wschodnio-Indyjskiej”. Przedstawił wniosek oskarżający otwarcie, po nazwisku, Clive'a o „przyjęcie znacznych sum pieniędzy, a przez to nadużycie powierzonej mu władzy ku szkodliwemu przykładowi w służbie publicznej”.

Nareszcie kilku posłów przypomniało sobie, że Clive zdobył w Indiach imperium dla Anglii. Nie

mogli się zgodzić, żeby tego człowieka napiętnowano przed potomnością, jako nadużywającego władzy i dającego zgubny przykład. Zniechęciłoby to innych, którzy by mieli sposobność i zdolności dalszego rozszerzania terytoriów Anglii. Zażądano wykreślenia potępiających zwrotów. Ostatecznie wniosek Burgoyne'a, który przeszedł po burzliwej debacie, brzmiał zupełnie niewinnie:

„Wydaje się tej Izbie, że Robert Lord Clive w okresie detronizacji Siraj-ud-Dauli i wprowadzenia Mir Jafara na ma-snud w Bengalu, Biharu i Oryssy, otrzymał sumę dwóch lakhów i 80 000 rupii jako członek rady w Kalkucie; dalszą sumę dwóch lakhów jako głównodowodzący; i jeszcze dalszą sumę szesnastu lakhów lub więcej tytułem prywatnych podarunków, które to sumy, wynoszące łącznie 20 lakhów i 80 000 rupii, w angielskiej monecie mają wartość 234 000 funtów”.

Pozostawione bez komentarzy, samo w sobie stwierdzenie to stało się śmieszne. Clive sam chełpił się, że otrzymał znacznie więcej. Nikt nie zwrócił uwagi, że nadużyciem władzy nie było przyjmowanie rzeczywistych prezentów, lecz wymuszanie wielkich sum jako ceny za osadzenie uzurpatora na tronie. Burgoyne mówił o komisji, jako „potrzebnej w interesie milionów ludności”. Ale zarówno podczas śledztwa i przesłuchań, jak i debat w Izbie Gmin, zapomniano o „milionach ludności”. Uwaga była skoncentrowana na osobistych zdobyczach Clive'a. Ale 234 000 funtów i więcej, które Clive dostał od Mir Jafara nie była sumą, która by zadecydowała o nędzy milionów mieszkańców Bengalu. Tym, co wywołała nędzę, rozbicie rodzin i wsi, klęskę głodu, była działalność diwani w ręku Kompanii Wschodnio-Indyjskiej - jeden z największych wyczynów grabieży, znanych w historii. Ale tą sprawą, ponieważ nie korzystał z niej Lord Clive, lecz dyrektorzy i akcjonariusze Kompanii, częstokroć wybitni mężowie stanu, nikt się nie zajmował.

Bądź co bądź, uchwały z dnia 10 maja, razem z wnioskiem uchwalonym dnia 21 maja, nie można było uznać za uwolnienie Clive'a od zarzucanych mu win, a tym mniej za rehabilitację. Późnym wieczorem, w dzień uchwalenia wniosków Burgoyne'a po obcięciu zasadniczych zwrotów, gdy połowa posłów wymknęła się na kolację, wino i odpoczynek, a reszta, chciała jak najprędzej zrobić to samo, poseł i prawnik Wedderbum, przyjaciel Clive'a, przedstawił do uchwalenia wniosek, iż „Robert Lord Clive dobrze się zasłużył ojczyźnie”. Wniosek przeszedł i stanowił pewną pociechę dla byłego gubernatora Bengalu, znużonego i upokorzonego męką, którą przecierpiał.

Nie udało się Sullivanowi doprowadzić do oficjalnego potępienia nieprzyjaciela. Ale komisja, którą wyreżyserował i debaty nad jej raportami, poświęconymi domniemanym nadużyciom Clive'a, spełniły drugi z zamierzonych celów: obrzucając błotem kozła ofiarnego, odwróciły uwagę Izby od działalności India House i samego Sulivana.

Tutaj mała dygresja. W dziesięć lat później Sullivan znalazł się w długach w wyniku niefortunnej spekulacji akcjami Kompanii. Jego syn wyjeżdżał właśnie do Madrasu jako urzędnik Kompanii. Przez niego Sullivan posłał list do Muhammeda Ali, nababa Karnatyku, z prośbą o prezent pod postacią znacznej sumy pieniędzy, jako wyraz uznania za rzekome usługi, jakie Sullivan oddał nababowi podczas dawniejszego pobytu w Indiach. Do syna Sullivan napisał sprytnie:

„Obaj potrzebujemy tej sumy bez żadnej zwłoki, ale jak to pogodzić z faktem, że pozostając aktualnie w służbie Kompanii, nie wolno ci według umowy pod surowymi karami przyjmować prezentów? Konieczność zmusza nas do zastosowania określonych metod... Będę ci je podsuwał...”

I ten człowiek organizował prześladowanie Lorda Clive za przyjmowanie wielkich prezentów od hinduskich książąt.

„Cui prodest scelus hic fecit” pisał Seneka. Kto korzysta ze zbrodni, ten jest jej winien. Taka pozostała, wbrew wstrzemięźliwości Izby Gmin, powszechna opinia w Anglii o „zbrodniczym

lordzie” i innych „nababach”.

A gdyby Clive’a nie pociągnięto do odpowiedzialności w Anglii, przed ludźmi, z których wielu wzbogaciło się na jego praktykach, ale w Bengalu, przed ludźmi, których te praktyki doprowadziły do nędzy i dosłownie głodowej śmierci - wyrok byłby niedwuznaczny. W ich oczach, jak w oczach dzisiejszych hinduskich historyków, był on bezwzględnie winny. Ale - nie najbardziej winny.

Godzina Clive’a minęła, jak minąć musiała. Natomiast eksploatacja, opresja i wyzysk Indii trwały nadal. I tu kryje się dowód, że to nie Lord Robert Clive, wykonawca, był arcy-grabieżcą, ale Kompania Wschodnio-Indyjska, planująca i kierująca łupieżczymi operacjami, wspieranymi siłą jej wojska.

W roku 1784 poeta William Cowper w swym wzruszającym utworze zapytał:

„Czy Indie są wolne? I czy wznoszą z uśmiechem pokoju głowę w turbanie z klejnotami? Czy też ciemiężymy ich nadal?”

Kompania Wschodnio-Indyjska ciemiężyla Indie nadal.

EPILOG

Listopad, rok 1774. Lekarze przy łóżku. Bezsilni. Lady Margaret Clive z twarzą zalaną łzami, załamująca rękę.

Melancholia, ciemności... histeria... bez zmysłów w ciągu wielu dni... Dr Jekyll smutnie potrząsając głową, przywoływał niedawną przeszłość... Krwawy cień Siraj-ud-Dauli wygrażał ręką kościotrupa... Omichand ścigał, wymachując groźnym palcem, który rozrastał się, coraz większy, aż zaczął dusić swoją ofiarę... Mir Jafar wysypywał rupie, diamenty, rubiny z worków, aż stały się zupełnie puste... Miran włókł angielskiego oficera do brzegów Gangesu, ale wody rzeki go nie oczyściły... angielscy rzemieślnicy i wieśniacy otaczali go zewsząd, przeszkadzając ucieczce, wołając: „Zbrodniczy lord... niechaj odpokutuje!”... Miliony głodujących Hindusów szły na niego, przechodziły po nim, depcząc... stos pogrzebowy i on sam bezsilny, nie mogąc się poruszyć, wciągany na szczyt stosu... melancholia, ciemność, histeria... widma... bez zmysłów... dr Jekyll wciska w rękę pana Hyde sztylet o rękojeści osypanej klejnotami, dar Wielkiego Mogoła, Alama...

Wewnątrz parafialnego kościółka w Moreton Say, w pobliżu Styche w hrabstwie Shropshire, znajduje się mosiężna tablica z napisem:

„Pamięci Roberta Lorda Clive, Kawalera Orderu Łąźni, pochowanego w murach tego kościoła. Urodzony 29 września 1725. Zmarł 22 listopada 1774. Primus in Indus”.

Żaden nagrobek nie oznacza miejsca, w którym złożono zwłoki z zaszytą głęboką raną na szyi, zadaną sztyletem.

„Kto umiera, płaci wszelkie długi”.

Spis treści

PROLOG 2

Część pierwsza W STRONĘ WIELKIEJ PRZYGODY 4

Rozdział I MAŁO BĘDZIE SŁAWNIEJSZYCH NAZWISK 4

Rozdział II SZERSZEŃ W WILCZYM GNIEŹDZIE 8

Rozdział III PODRÓŻ Z PRZYGODAMI 15

Rozdział IV HARÓWKA W TROPIKACH 21

Rozdział V UCIECZKA I POJEDYNEK 27

Rozdział VI POCZĄTEK WOJENNEJ KARIERY 35

Rozdział VII MENTOR ROBERTA CLIVE’A 43

Rozdział VIII SAMODZIELNE DOWÓDZTWO 53

Rozdział IX WALECZNY W BOJU 62

Rozdział X CZYŻBY PAN HYDE I DOKTOR JEKYLL? 70

Rozdział XI MIŁOŚĆ I ZWYCIĘSTWO 78

Rozdział XII ŁATWO PRZYSZŁO, ŁATWO POSZŁO 86

Część druga NAD GANGESEM 98

Rozdział XIII SUBADAR W OPAŁACH 98

Rozdział XIV KORUPCJA, SPISKI, INTRYGI 106

Rozdział XV ZDRADA, OSZUSTWA I PODSTĘP 115

Rozdział XVI WIĘZIEŃ W ZŁOCONEJ KLATCE 125

Rozdział XVII MARIONETKA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE 134

Rozdział XVIII STRACONA SPOSOBNOŚĆ MIR JAFARA 140

Część trzecia ODEJŚĆ CZY POZOSTAĆ? 149

Rozdział XIX GDY WŁAMYWACZ ZOSTAJE POLICJANTEM 149

Rozdział XX WAŚNIE I PANIKA W „INDIA HOUSE” 155

Rozdział XXI GRABIEŻ Z NIEOGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ 162

Rozdział XXII WASZA LORDOWSKA MOŚĆ NASZYM WZOREM 171

Rozdział XXIII FUNT MIĘSA 179

Rozdział XXIV W OBLICZU OSTRACYZMU I BUNTÓW 189

Rozdział XXV ZBRODNICZY LORD 198

EPILOG 210